



**WSPOMNIENIA
Z ANTARKTYDY**



**DZIENNIKI
LODU**



JEAN McNEIL



DZIENNIKI LODU



DZIENNIKI LODU

JEAN McNEIL

WSPOMNIENIA
Z ANTARKTYDY

PRZEKŁAD
PAULINA SURNIAK



WYDAWNICTWO
PODZIEMNE

Tytuł oryginału: *Ice Diaries: An Antarctic Memoir*

Copyright © Jean McNeil, 2016

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Piotr Chojnacki

Redakcja merytoryczna: Jakub Małecki

Korekta: Magdalena Owczarzak

Łamanie: Grzegorz Kalisiak

Projekt okładki i stron tytułowych: Michał Pawłowski

Fotografia na okładce: Jakub Rybicki

Wszystkie zdjęcia w książce (oprócz s. 76 i s. 99) są autorstwa Łukasza Kuczkowskiego

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

eISBN 978-83-7976-758-8

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@wydawnictwopoznanskie.com

www.wydawnictwopoznanskie.com

Książka oparta jest na wspomnieniach, żeby jednak nie naruszać nikzyjej prywatności, niektórzy jej bohaterowie zostali stworzeni przeze mnie. Imion i nazwisk używałam tylko wtedy, kiedy mowa jest o prawdziwej osobie. Wymyśliłam nazwę Bazy R i niektórych innych miejsc występujących w książce, natomiast nazwy geograficzne, zarówno na lądzie, jak i na wodzie, można odszukać na mapach.

Ośnieżone góry, bardziej niż morze czy niebo, mogą służyć prawdziwej naturze człowieka za lustro – absolutnie nieruchome, absolutnie czyste; próżnia, Pustka bez życia, bez dźwięku, która sama niesie w sobie całe życie, wszystkie dźwięki. Ale dopóki jestem świadom własnego „ja”, świadom próżni i tego, że stoję poza nią, dopóty lustro będzie zasnuwane śnieżną mgiełką.

Peter Matthiessen,
Śnieżna pantera (tłum. Blanka Kuczborska)

Moim zdaniem sen jest stratą czasu.

Max, na pokładzie RRS „James Clark Ross”,
Cieśnina Drake’a, Ocean Południowy

SPIS TREŚCI

WSTĘP

CZEŚĆ I KOŃCZY SIĘ NOC

1. KLATKA
2. PRZEPOWIEDNIA
3. ŻELAZNE WYSPY
4. WIR
5. DZIEWIĄTA FALA
6. POCHODZENIE I SKUTKI DZIAŁANIA WODY
7. WODY, KTÓRYCH NIE MA NA MAPACH
8. SKUCI LODEM
9. GORZKOSŁODKI EROS

CZEŚĆ II OKRUTNE DNI POLARNE

1. PRECESJA
2. ZWYKŁY ROK
3. ŁATWE ŻYCIE!
4. ICE BLUE
5. USKRZYDLONA

CZEŚĆ III ZIMA

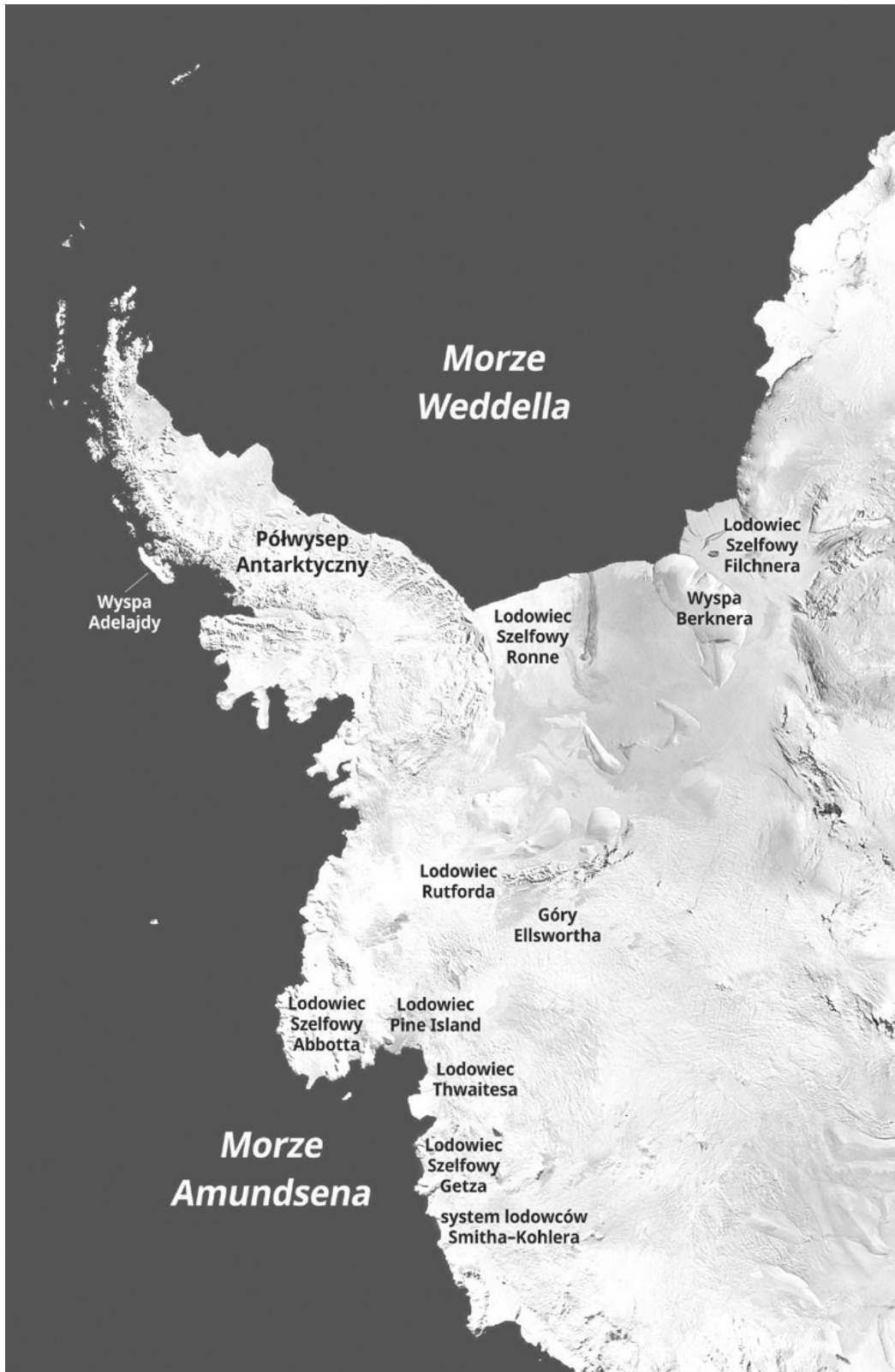
1. JEŚLI NIE, ZIMA
2. NOCNY LOT
3. WSPINACZKA
4. ZIMA
5. SYMPOZJUM
6. RACE

EPILOG: POLA BŁĘKITU

KRÓTKI SŁOWNICZEK POJEĆ ANTARKTYCZNYCH

PODZIĘKOWANIA

Polecamy



WSTĘP

Usłyszałam o niej od Simona, komendanta stacji w Bazie R. Mała, dziwna książeczka stoi gdzieś w biblioteczce stacji, powiedział. Zawiera listę różnych rodzajów lodu, spisana dla marynarzy w podobnym stylu, jak leksykony węzłów, rodzajów wiatru i innych terminów morskich.

Na tym polarnym statku badawczym przypominającym lizak w czerwono-białe paski zetknęłam się już z różnymi terminami opisującymi lód. Dowiedziałam się o istnieniu lodowych kwiatów, połyni, growlerów – to nazwy form lodowych, które można zobaczyć na morzu. Zapałam natychmiastową sympatią do tych chropawych, zaskakująco brzmiących słów. O ilu rodzajach lodu jeszcze nie słyszałam?

Poszperałam w idealnie czystej bibliotece (kurzu nie ma, bo nie ma roztoczy – Antarktyda jest rajem dla pedantów) i znalazłam ją. Była cieniutka, miała niebieską okładkę ze sztywnego papieru, podniszczoną, ale bez śladów „foxingu” – jak mówią antykwariusze o drobnych, rdzawych plamkach pojawiających się zwłaszcza na skraju kartek i na oprawie. W tutejszym powietrzu nie ma wilgoci, więc książki się nie niszczą.

Słowniczek nazw lodu. Tekst wydrukowany został klockowatą czcionką typu Courier i wyglądał, jakby napisano go na starej maszynie do pisania. Ablacja, gołoledź, lód włóknisty, lód pierwszoroczny, sryż, szkło lodowe, growler, toros, breja lodowa, lód stłoczony, lód zmurszały, zastruga, serak, zwał lodowy, jezioro polodowcowe, zimowa pokrywa lodowa. Książka zawierała angielskie definicje ponad sześćdziesięciu terminów związanych z lodem. (W oddzielnym aneksie ujęte zostały słowa związane z Grenlandią). Nie przypuszczałam, że będę musiała aż tylu rzeczy nauczyć się o lodzie.

Wypożyczyłam ją, wypisując przestarzały rewers – w rejestrze wypożyczeń lśniło na niebiesko nazwisko niejakiego Johna Struthersa, obok widniał rok 1978 i tytuł książki *God's Mammoth Tasks*. Cieniutki słowniczek nazw lodu leżał potem na moich biurkach w obu pokojach, które mi przyznano, w Labie 7 i Labie 5, przez cały czas, który spędziłam na Antarktydzie. Kiedy wyjeżdżałam, znałam go na pamięć, tak jak zna się odmianę czasowników. Nie spodziewałam się, że przyswoję taki język.

Lód ma cykl życiowy, podobnie jak ludzie. Kiedy lodowiec się cieli i powstaje nowa góra lodowa, mówimy o narodzinach, topnienie określamy mianem śmierci. Tak naprawdę lód jest jednak wieczny. Nie umiera – podlega reinkarnacji, topiąc się, zmieniając w wodę, a następnie w parę wodną.

Największe światowe zasoby lodu znajdują się na Antarktydzie. Kraina wiecznych lodów – jak się czasem pieszczotliwie mówi na ten kontynent – jest,

obok Grenlandii, najbardziej kompletnym zamrożonym archiwum przeszłości naszej planety. Jest też wyrocznią, choć swoje przepowiednie wygłasza niechętnie i raczej przypadkiem. W lodzie uwięzione są osady chemiczne dostarczające precyzyjnych informacji o historii klimatu, szczególnie zaś o minionych okresach ocieplenia i lodowacenia. Analizując te dane, naukowcy stają się wróżbitami – mogą przewidzieć prawdopodobny scenariusz wydarzeń wywołanych zmianami klimatycznymi i emisją gazów oraz ich wpływem na przyszłą temperaturę naszego globu.

Lód ma też związek z innym rodzajem wróżbiarstwa, a mianowicie z krystalomancją. Już w XVIII i XIX wieku przepowiadano przyszłość z kryształów – wpatrywano się w nie, aby wyczytać, co się wydarzy. Ówczesni mistycy wierzyli, że patrząc w lód, można zobaczyć przyszłość. Lód przynosi objawienie, zarówno na poziomie molekularnym, jak i ezoterycznym.

Podczas ostatniego zlodowacenia półkulę północną przykryły wielkie połacie lodu: lądolód laurentyjski, skandynawski i grenlandzki, południową zaś lądolód zachodnio- i wschodnioantarktyczny. My też żyjemy w epoce lodowej, jednak obecna faza zwana jest interglacją, co znaczy, że pokrywa lodowa się nie powiększa. To dość istotne – interglacja nie jest epoką, w której pokrywa lodowa kurczy się do zera, lecz jedynie częściowo. Większa część historii naszej planety tak wyglądała. W naturalnym cyklu następna epoka lodowa prawdopodobnie rozpoczęłaby się za jakieś dziesięć tysięcy lat. Wynika to z subtelnych zmian temperatury, które zachodzą w sposób naturalny i cykliczny.

Jednak po raz pierwszy w długiej historii Ziemi cykl ten został zaburzony przez człowieka, w wyniku czego lądolody, czekające cierpliwie na swoją chwilę, mogą już nigdy nie urosnąć. Półwysep Antarktyczny, na którym spędziłam kilka miesięcy, jest odpowiednim miejscem do prowadzenia rozważań na ten temat. Jest to jeden z najszybciej ogrzewających się lądów na świecie, temperatura wzrosła tu o ok. 2,5°C w ostatnich 50 latach, czyli mniej więcej sześć razy szybciej niż średnia temperatura na świecie.

Kraina lodu to tajemnicze miejsce, tym bardziej że wiąże się z nią kilka wciąż niewyjaśnionych i rzadko wspominanych zagadek naukowych. Choć dorastałam wśród zimnych, lodowcowych krajobrazów, przed wyjazdem na Antarktydę nie wiedziałam zbyt wiele o kriosferze – sferze, która składa się z lodu. Ludzie wywodzący się z tego samego co ja środowiska – najubożsi mieszkańcy Ameryki Północnej – raczej nie jeżdżą na Antarktydę, przynajmniej nie do brytyjskiej bazy, a już zwłaszcza nie w charakterze pisarzy. Nigdy nie marzyłam, że tam pojedę. Większość osób wyruszających na Antarktydę to naukowcy zajmujący się różnymi dziedzinami nauki związanymi z kriosferą – glaciologią, oceanografią, biologią morza, biologią lądu, chemią atmosfery, fizyką i astronomią. Towarzyszą im inżynierowie, technicy, wspinacze, piloci i marynarze pracujący przy programach badawczych na tym zamrożonym kontynencie. Odgrywają rolę współczesnych odpowiedników dawnych odkrywców, przywożąc okruchy wiedzy o kapryśnej naturze lodu, o ostrości

światła, o postawionym na głowie świecie, który czeka tam, gdzie wszystkie oczekiwania i poglądy na temat tego, jak planeta powinna się zachowywać, obracają się w pył w zetknięciu z dziwnym zachowaniem słońca na niebie.

Przez te wszystkie lata, które spędziłam między dwoma krańcami świata – od pierwszego wyjazdu na Antarktydę, przez pobyty na Grenlandii, w archipelagu Svalbardu, na Islandii, w Norwegii i na Falklandach, a także przemieszczając się między tymi miejscami na statkach badawczych – spotkałam wielu ludzi: naukowców, marynarzy, pilotów, elektryków. Wszyscy jak jeden mówili o wyjątkowym powabie Antarktydy. „Kiedy tam trochę pomieszkasz, nie będziesz mogła przestać o niej myśleć” – powiedział Tim, wygadany budowlaniec, którego poznałam w bazie. Australijski pisarz Thomas Keneally opisał Antarktydę nie jako fizycznie istniejące miejsce, ale jako „inny stan istnienia”. Rzuca ona na świadomość ludzi, którzy ją odwiedzili, biały promień ściągający, skłaniający ich do powrotu, oddziałujący w sposób nieoczywisty, nieodnoszący się do jej powszechnie znanych cech – zimnej charyzmy, nieskalanego krajobrazu. Czy kupa kamieni i lodu obciążająca dół naszej planety może mieć cechy, jakich nie ma żadne inne miejsce? Czy może być obdarzona czymś zbliżonym do świadomości? Będąc tam, czułam, że wpływa na mnie jakaś zewnętrzna świadomość, nie po raz pierwszy zresztą. Podobny wpływ miało na mnie miejsce, w którym się wychowałam – zimne, wschodnie wybrzeże Kanady, zdążyłam jednak o tym zapomnieć.

Dzienniki lodu to ostatnia z moich trzech książek o obszarach polarnych. Nie jest to chronologiczny zapis tego, co się wydarzyło, nie wyjaśniam w niej także, dlaczego zmienia się klimat ani jak tłumaczy to nauka. Jest wiele książek (niektóre z nich cytuję), które radzą sobie z tym dużo lepiej. Moje zamiary były mniej ambitne – chciałam spisać relację naocznego świadka, sporządzić dziennik z podróży na najbardziej niedostępny z siedmiu kontynentów. Jest to także studium termodynamiki naszego życia. Podobnie jak nasza planeta, przechodzimy przez cykle zimna i gorąca, rozdzielone okresami umiarkowania. Czasami pograżamy się w kriogenicznym uśpieniu na całe lata. Kiedy indziej żar topi wszystko, co uważaliśmy za prawdziwe – nasze domy, partnerów, rodziny. To, jak radzimy sobie z tymi osobistymi zmianami klimatu, wpływa na bieg naszego życia.

Pamiętniki karmią się gorącą walutą osobistej przemiany, wybrzmiewającej w zdaniu: „To doświadczenie całkowicie mnie zmieniło”. Nie jestem pewna, czy uda mi się ta sztuka, chociaż staram się odkopywać wszelkie symptomy zmian w moim życiu, nawet podczas przeżywania go – w końcu pisarze są zapalonymi archeologami czasów obecnych. „W chłodzie pewne rzeczy rozkwitają piękniej niż w cieple. Przekształciłaś swój smutek w sukces. Nie żegnam się, nie patrzę wstecz, nie jesteśmy przecież zbyt dobrzy w wyobrażaniu sobie tego, co ma się dopiero wydarzyć”. Nie są to wyłącznie zdania wypowiedziane przez osoby, które spotkałam na Antarktydzie – za ich dosłownym znaczeniem skrywają się głębokie sensory. Są czymś więcej, niż się wydaje. Nadal mnie prześladują, co oznacza, że zostały ze mną, choć bez mojej woli.

Jak to jest z podróżami? Najlepiej wyraził to Arystoteles: „Na początku wszystko jest możliwe. W połowie drogi prawdopodobne jest jedno lub dwa rozwiązania. Koniec jest nieunikniony”. Arystoteles pisał o narracji, a nie o podróży, lecz te dwie rzeczy mają ze sobą sporo wspólnego. Podróż jest jak klarowny wątek opowieści, którego nasze życia – te mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy dni, które rozciągają się między smętnymi punktami wyznaczanymi przez narodziny i śmierć – zazwyczaj nie mają. Jest początek, jest koniec, a pomiędzy nimi jest to, co się wydarzy.

Moim zdaniem jednak podróże nie są takie proste. Przyszłość rzuciła cię na moją siedmioletnią podróż przez krainy skute lodem. Przez ten czas stałam się bardziej wyczulona na to, co ma się wydarzyć, doprowadzając to wreszcie do skrajności. W pewien sposób bawiłam się we wróżbiarstwo, wkraczając w niebezpieczną przestrzeń przewidywania przyszłości. Przekonałam się, że ludzie nie są w stanie przyjąć przyszłości, tak samo jak nie potrafią przyswoić zbyt wiele prawdy. Odkryłam, że przyszłość i prawda są ze sobą nierozzerwalnie związane, tak jakby były zbudowane z tej samej materii. Pokrywy lodowe stały się synonimami pewnej wizji przyszłości – wizji, w której ludzka cywilizacja kończy się, albo przynajmniej ulega poważnej przemianie, z powodu zmian klimatycznych.

Wydawało mi się, że skoro wychowałam się w skromnych warunkach na wschodnim wybrzeżu Kanady, wiem, czym jest skrajne zimno. Starłam się nie myśleć zbyt wiele o tamtych czasach, udając, że się nigdy nie zdarzyły. Gdy jechałam na Antarktydę, wierzyłam, że wybieram się do całkiem innego miejsca. Jediną wspólną cechą Antarktydy i miejsca, w którym spędziłam dzieciństwo, miała być temperatura. Mimo piętnastu łagodnych zim w Anglii będę przynajmniej wiedziała, jak się wkłada śniegowce. Będę umiała rozpoznać pierwsze oznaki odmrożenia i im zapobiec. I tyle. Jadąc na Antarktydę, nie byłam osobą z przeszłością – byłam pisarką, posłem z przyszłości, który ma jak najwięcej zrozumieć.

Domy dla pisarzy prowadzone przez British Antarctic Survey (BAS) i Arts Council England International funkcjonowały od 1998 do 2010 roku. Miałam to szczęście, że udało mi się wziąć udział w programie, w ramach którego wielu utalentowanych artystów i kilku pisarzy mogło wyjechać na Antarktydę. Nie musieliśmy podpisywać żadnej umowy ani też obiecywać, że czegoś dokonamy. Mieliśmy być świadkami. Oczekiwano, że prace, które potem powstaną, przyczynią się do zrozumienia wyników badań naukowych, przede wszystkim tych na temat ocieplenia klimatu. Dzięki nam abstrakcyjne pojęcia i liczby staną się bardziej zrozumiałe dla szerokiej publiczności, do której nie docierają naukowcy. Nadamy im wymiar ludzki, osobisty. Ludzie zaczną się przejmować nauką, obszarami polarnymi, zmianami klimatycznymi. Jak napisał angielski pisarz Robert Macfarlane: „Nie ocalimy tego, czego nie kochamy”.

Bez wątpienia udało się to dzięki pracy literatów i artystów wysłanych na siódmy kontynent. Jednak pisarze są niepewnym źródłem informacji. Jeżą się, kiedy ktoś im mówi, co mają pisać i co powinni widzieć. Trzeba przyznać, że

BAS tego nie robiło. Wina leży po stronie wrażliwości pisarza. Automatycznie nastawiamy się na sabotowanie oficjalnego stanowiska, świadomie lub nie. Robimy tak nawet wtedy, kiedy to stanowisko niemal nie istnieje. Nie możemy tego uniknąć, ponieważ jednym z zadań pisarza jest mierzenie się z rzeczywistością, którą nam się serwuje, zamówioną przedpremierowo i poddaną wstępnej obróbce. Nazywam ją „rzeczywistością zgody”, ponieważ wszyscy dla wygody zgadzają się, że jest prawdziwa. Kiedy jednak zajrzy się pod powierzchnię danej chwili, można zauważyć kłębiące się napięcie, takie jak na południowym Atlantyku jesienią i zimą – dynamiczny konflikt, tak potężny i wszechogarniający, że trudno uwierzyć, iż udaje mu się nie wybuchnąć. Przez cały czas jesteśmy o krok od zrozumienia, które sprawi, że nasz świat się rozpadnie. Jest to jednym z powodów, dla których wypieramy te myśli.

Ta książka przedstawia coś, co wielu czytelników uważa za naukę, choć moim zdaniem nie da się oddzielić nauki – informacji i obserwacji – od tego, co się naprawdę zdarzyło i co czułam. Są tym samym, tak jak woda, a nawet lód. Jeśli wykluczę naukę, książka niebezpiecznie zbliży się do solipsyzmu. Na Antarktydzie informacja, doświadczenie i wysiłek są ze sobą zespolone. Antarktyda to jedno ogromne, otwarte laboratorium. Jeśli nie liczyć nielicznych zamożnych turystów poszukujących przygód, wszyscy na tym kontynencie poświęcają się nauce.

Nauka pozwala widzieć sprawy jasno, przynosi oświecenie. Pisarz także próbuje widzieć sprawy jasno, dostrzegając niezmiennie prawdy leżące pod powierzchnią pułapki, którą uważamy za rzeczywistość. Czasem ta wnikliwość przynosi oświecenie, ale bywa też aktem sabotażu, ponieważ może pokrzyżować osobisty interes innych kuratorów prawdy. Aby odkryć prawdę, na światło dzienne muszą wyjść rzeczy, które normalnie pozostają w ukryciu – zarówno przed nami samymi, jak i przed innymi. W Antarktyce po raz pierwszy dowiedziałam się, że słowo „apokalipsa” (pochodzące od greckiego *apokalupsis*) oznaczało odkrycie czegoś, ujawnienie.


Na Antarktydzie sporo się nauczyłam o zmianach klimatycznych. Jednak klimat jest dość elastycznym pojęciem, a książka w takim samym stopniu dotyczy przestrzeni wewnętrznej, jak i zewnętrznej i jest zapisem emocjonalnego wrażenia, jakie wywarło na mnie ponowne zaznajomienie się z zimą. Mówiąc krótko, jest rodzajem zasadzki, jaką urządziłam sama na siebie. Zima w sercu i zima w umyśle potrafią zmrozić bardziej niż najniższa nawet temperatura, jakiej można doświadczyć. Ta książka mierzy się z zimą jako konceptem i zimą jako doświadczeniem. Teraz, kiedy część każdego roku spędzam na kenijskim wybrzeżu Oceanu Indyjskiego, zima wydaje mi się konieczna. To czas leżenia odłogiem, regeneracji, odbudowy zaufania. Zimą ludzie są zdecydowani i pełni pomysłów. Potrzebujemy tych cech, żeby przetrwać chude czasy.

Tęsknię za zimą, za czasem śniegu i lodu, za wewnętrzną siłą, którą trzeba wtedy przywołać. Moglibyśmy się wiele nauczyć od jej surowego splendoru. *Dzienniki lodu* są zapisem życia spędzonego w takim czy innym rodzaju lodu, a także opowieścią o tym, jak fascynacja zimnem zmieniła mnie i ludzi, którzy

mnie ukształtowali. To także opis podróży i licznych odkryć. Nie dotarłam do lądów pełnych bogactw, dane mi było jednak odkryć bogactwo w sobie. Przekonałam się, że umysł, wyobraźnia i serce mogą zapłonąć od lodu.







**CZĘŚĆ PIERWSZA
KOŃCZY SIĘ NOC**



1. KLATKA

DYMIENIE MORZA

Mgła tworząca się nad morzem, kiedy mroźne powietrze napływa nad cieplejszą wodę, zjawisko typowe dla antarktycznej wiosny, kiedy pokrywa lodowa na morzu topi się i znika, ale nad lądem utrzymuje się niska temperatura.

25 MARCA

Przed zimnem, ciepło. Ponownie jestem w Klatce. Nie spodziewałam się, że znowu zobaczę to miejsce po tym, jak zatrzymałam się tu w drodze z Antarktydy dwa lata temu. A jednak tu jestem, choć tym razem nie wybieram się na biały kontynent. Samolotem Royal Air Force lecę na Falklandy. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Przy stołach piknikowych sączymy słabą, słonawą kawę przygotowaną na odsalanej wodzie morskiej. Pod słuchuję prowadzone przyciszonymi głosami rozmowy najeżone takimi słowami jak „rozmieszczenie” i „operacje”. Oficerowie siedzą w idealnie wyprasowanych chinosach i markowych koszulach, podczas gdy szeregowcy stoją z założonymi rękoma, zbijając się w hałaśliwe grupki. Wokoło widzę wystające brzuchy, tatuaże, znoszone buciory i sporo łysiejących głów. Wszyscy wydajemy się przygaszeni. Epoka podróży lotniczych umożliwiła nam przyspieszone przejście od zimna do ciepła w ciągu ośmiu godzin. Mrużymy oczy, znieważeni przez blask słońca. Pocą nam się plecy. Czytamy gazety albo wpatrujemy się w taki czy inny gadżet, próbując złapać zasięg, chociaż dobrze wiemy, że na Wyspie Wniebowstąpienia to niemożliwe.

Po raz drugi podróżuję RAF-em. Czuję się, jakbym znowu wstąpiła do wojska, chociaż nie przypominam sobie, żebym się zaciągała. Na Wyspie Wniebowstąpienia znajduje się lotnisko wojskowe, więc bez problemu można ominąć wszystkie przepisy lotnictwa cywilnego i prawa pasażera. Podczas tankowania jesteśmy wszyscy zamknięci w pilnowanej przez strażnika Klatce – tak właśnie wszyscy nazywają tu halę odlotów, częściowo zadaszoną, częściowo zaś będącą miejscem piknikowym, przykrytym zardzewiałym dachem z blachy i otoczonym drutem kolczastym.

Do drutu przytwierdzono tablice ostrzegawcze: NIEBEZPIECZNE CIAŁA OBCE, krzyczała jedna z nich, ozdobiona dziecinnymi rysunkami scyzoryków i korkociągów – niebezpiecznych ciał obcych. Inny znak głosił „Zakaz fotografii”, czym prędzej zrobiłam więc kilka zdjęć nieoznakowanych samolotów stojących na pasie (nie ma dowodów na to, że samoloty przewożące więźniów lądowały na wyspie, ale nie jest to całkiem wykluczone, jako że tylko brytyjscy

i amerykańscy wojskowi naprawdę wiedzą, co się tu dzieje) – posępne, obciążające ujęcia, które wyglądają, jakby pochodziły ze strony Amnesty International.

Znowu to samo, dziecięcy bunt. Zawsze, kiedy jestem w budynku jakichś służb, mam ochotę go zburzyć albo przynajmniej złamać zasady. Pocięcza mnie to, że znowu jestem w świecie, którego działanie pojmuję.

Liście mizernych palm skrzypią na wietrze, zaraz za płotem. Krzewy bugenwilli chylą się ku nam. Gdyby tylko udało mi się przeciąć drut, mogłabym zerwać jeden z kwiatów.

Byłam na Wyspie Wniebowstąpienia dwa lata temu. Nie spodziewałam się, że tu wrócę, tak samo jak nie spodziewam się, że wrócę w wiele innych miejsc. Ta wyspa ma coś wspólnego z Antarktydą – podobno jeśli nie jesteś pracownikiem RAF-u albo Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Wspólnoty, czy też naukowcem zajmującym się Antarktydą, nie uda ci się przyjechać tu więcej niż raz.

Wyspa Wniebowstąpienia leży na przedziwnym szlaku komunikacyjnym prowadzącym z Wielkiej Brytanii na Falklandy i Brytyjskie Terytorium Antarktyczne. Zanim przejęło ją wojsko, zakładając na niej śródoceaniczne lotnisko oraz bazę kontroli i monitorowania systemu GPS, znajdowała się na niej stacja przekaźnikowa BBC. Za pośrednictwem imponujących instalacji elektromagnetycznych, które wciąż pokrywają pola zastygniętej lawy na południowym krańcu wyspy, przekazywano stąd sygnał do Afryki Zachodniej. Obecnie tankują tu samoloty, a rządy brytyjski i amerykański używają wyspy jako stacji szpiegowskiej. Jest tak najeżona antenami, kopułami satelitarnymi i ogromnymi urządzeniami z drutu, wyglądającymi jak przerośnięte łapacze snów, że czułam, jak moje komórki wibrują od mikrofal.

To jedna z najbardziej oddalonych od reszty świata wysp, podobnie jak Tristan da Cunha i Wyspa Wielkanocna. Jest położona prawie osiem stopni na południe od równika, na 14°36' długości geograficznej zachodniej. Na tym samym, wyjątkowo osamotnionym południku, leżą tylko Dakar, Senegal i Tristan da Cunha. Prawie tak samo daleko jest stąd do Afryki (1600 km), jak do Ameryki Południowej (1400 km). Najbliższy ląd to Wyspa Świętej Heleny, położona na południowym zachodzie i oddalona o 1300 kilometrów. My mieliśmy do pokonania 6000 kilometrów dzielące nas od Falklandów. Siedząc w Klatce w ten marcowy poranek, nie byłam pewna, czy te odległości w ogóle coś znaczą. Byliśmy po prostu bardzo, bardzo daleko od wszystkiego.

Dwa i pół roku wcześniej, na Konferencji (tak nazywane jest coroczne spotkanie British Antarctic Survey, podczas którego przygotowywane są plany na kolejny rok), poznałam meteorologa, który kilka lat temu pracował przez pół roku na Wyspie Wniebowstąpienia. Staliśmy w ogromnej jadalni Girton College, ściskając kieliszki do wina. Podobał mi się – był trochę potargany i nieco niechlujny. Chwiał się lekko, tak jakby kieliszek, który trzymał w dłoni, nie był

pierwszym tego wieczoru.

– Co się tam właściwie dzieje? – spytałam.

– No wiesz, chociaż przygotowywałem prognozy pogody dla brytyjskiego i amerykańskiego wojska, nie miałem wstępu do większości budynków. – Urwał na chwilę. – Ale widziałem samoloty, o których nikt nie wiedział. Leciały ze Stanów do Botswany, Kenii i Senegal.

– Do Botswany?

– Najwyraźniej. Nie wiedziałem nawet, że Botswana ma wojsko.

Po czym zaczął opowiadać mi anegdotki o prowadzonych na wyspie operacjach wojskowych.

– A teraz – powiedział, kołysząc lekko biodrami i cofając się o krok – będę musiał cię zastrzelić.

Poprzednio byłam na wyspie dwa lata temu. Zatrzymałam się tu wtedy na pięć dni podczas podróży do domu z Antarktydy, raczej z ciekawości, a nie z jakiegoś konkretnego powodu. Paul, dyrektor Działu Komunikacji BAS, powiedział mi wtedy: „To może być twoja jedyna szansa, żeby obejrzeć wyspę. Tak naprawdę potrzebna ci będzie zgoda gubernatora na pobyt, ale możemy ją dla ciebie zdobyć”.

Na miejscu wynajęłam sobie samochód i zataczałam koła i spirale po czterdziestu kilometrach dróg. Oprócz baz wojskowych, na wyspie nie ma prawie nic. Obskurne osady, które tu kiedyś istniały, nazywały się Jedna Łódź i Druga Łódź, Trzecia Łódź najwyraźniej nie istniała. Poszłam też na siłownię w bazie RAF-u. Nazywała się Wzgórze Podróżnych i wyglądała trochę jak kanadyjskie obozy letnie, na które jeździłam w dzieciństwie, ze swoimi lichymi, drewnianymi domkami i ręcznikami plażowymi suszącymi się na balustradach. Potem pojechałam do nieco solidniej wyglądającej bazy amerykańskiej, zaglądając po drodze do Wideawake Airfield, następnie do Jednej Łodzi i dalej do przekaźników BBC World Service, przy których umieszczono znaki ostrzegające przed promieniowaniem. Zmobilizowałam się też do wjechania na Green Mountain – szczyt porośnięty lasem deszczowym, jedyny zielony teren na całej liczącej 98 km² wyspie. Przejechałam serpentynami wijącymi się przez ciche lasy sosnowe pełne ogromnych głazów, dopóki drogi nie zablokował mi strumień lawy. Jeśli Wyspa Wniebowstąpienia kiedykolwiek znudzi się byciem stacją szpiegowską, będzie się mogła z łatwością przekwalifikować na plan filmowy idealny dla produkcji typu *Wulkaniczna apokalipsa*. Jestem pewna, że tak właśnie wyglądały początki naszej planety – jałowa ziemia, potoki lawy, głazy i stożki czterdziestu czterech kraterów.

Analizowałam to, co widzę. Wyspa nie tylko nie jest zamieszkała przez tubylców, nie występują tu również żadne rodzime gatunki. Porastające Green Mountain drzewa i kwiaty były tu sadzone od roku 1850, kiedy to z angielskich, argentyńskich i południowoafrykańskich szklarni zaczęto przywozić sadzonki drzew, kwiatów i innych roślin. Obecnie rosną na szczycie góry las zatrzymuje wilgoć z przepływających chmur, która następnie spada na niego w postaci deszczu.

Zazielenienie zboczy krateru to duży sukces. Gdyby się to nie udało, wyspa wyglądałaby jak Lanzarote. Smagana przez suchy wiatr z Sahary, niosący z sobą tumany piasku, nie mogłaby liczyć na opady deszczu, gdyby nie systematyczne sadzenie drzew. Obecnie opady są tu wystarczające, żeby przetrwać mogła cała masa gatunków o ciekawych nazwach – ślimak, nazywany po angielsku rumianym (*Succinea sanctaehelenae*), eukaliptus nazywany bękarciem (*Commidendrum rotundifolium*), konik polny, endemiczny gumowiec i fenestraria „dziecięce paluszki”.

Spacerowałam po zasypanych piaskiem uliczkach Georgetown, czyli „stolicy” (tak naprawdę będącej zbieraniną niedbale skleconych szop). Stopień odizolowania tego miejsca od świata napawał mnie lekkim strachem, wystawiałam więc do słońca swoje antarktycznie białe plecy, nie przejmując się wizją oparzeń. W nocy na plażę przyplłyły ogromne, zielone żółwie morskie. Widziałam ślady, które zostawiły tego ranka, i wgłębienia, które pracownicy przygotowały w nocy, żeby złożyć w nich jaja. Horyzont był zawsze pusty. Tankowce z wodą i gazem, na wszelki wypadek zawsze zakotwiczone w pobliżu, kręciły piruety na falach, a znudzeni strażnicy portowi ze Świętej Heleny chowali się w cieniu. Mimo upału nie potrafiłam się zmobilizować, żeby zanurzyć się w położonym koło doków ogólnodostępnym basenie, jedynym miejscu, w którym można tu popływać, jako że ocean jest zbyt wzburzony, a fale rozbijają się o falochron lub o ostre jak brzytwy, bazaltowe rafy. Na domiar złego w otaczających wyspę wodach roi się od rekinów.

W nocy usiadłam na podłodze w moim pokoju, z butelką chilijskiego shiraza, kupionego w West Store na Falklandach, i oglądałam jedyny program dostępny na antycznym telewizorze – British Forces Broadcasting Services. Nie mogłam zasnąć nie tylko dlatego, że krzyczał we mnie niepokój, ale też z powodu mężczyzny ze Świętej Heleny, który kaszlał w pokoju obok, i zdziczałych osłów, które łąziły po uliczkach Georgetown, rycząc swoje ii-oo jak potępieńcy przez całą noc.

Oprócz mnie, jedynymi gośćmi byli mieszkańcy Świętej Heleny czekający na statek, który zabierze ich do domu. Zaczepiła mnie grupka pań. Ubrane były jak na niedzielny obiad – w schludne sukienki w groszki i niebieskie kapelusze. Siedziały na werandzie i obserwowały wędrujące ulicą osły.

– Cześć – odezwały się uprzejmie. – Masz męża?

– Ja... No cóż. – Postanowiłam skłamać. – Tak.

– O! – Uśmiechnęły się szeroko. – To dobrze!

Odeszłam kawałek, po czym wróciłam.

– Dlaczego mnie o to spytałyście?

– No, na Świętej Helenie wszyscy o to pytają.

Nie powiedziałam: nie jesteście na Świętej Helenie. Uśmiechnęłam się tylko, pławiąc w ich aprobacie.

Gdy teraz siedziałam w Klatce i piłam słoną kawę, zdałam sobie sprawę, że każdy mężczyzna wygląda jak Tom – koszula w kratkę, niemodne dzinsy, buty będące skrzyżowaniem adidasów i butów trekkingowych, skomplikowany

w obsłudze zegarek na nadgarstku. Łysina, często siwiejące włosy przystrzyżone równo na karku, twarze usiane starczymi plamami od latania za blisko słońca.

Czasem faktycznie spotykam Toma – albo tak mi się wydaje – na ulicy, na dworcach, na lotniskach. Tak naprawdę widziałam go dwa lata temu, na płycie lotniska w Bazie R. Kolejny antarktyczny duch.

Mam trudności z radzeniem sobie z tą stroną życia, którą nazywam widmową. Ludzie przychodzą i odchodzą bez wyjaśnienia, jak niezapowiedziane postacie w sztuce elżbietańskiej. Stoją sztywno w blasku reflektorów, coś znaczą, wydają się wieczni. A potem znikają. Nie łudzę się, że jestem bez winy, nie sądzę też, że to nie jest typowe – ludzie przemijają, nie można na nich liczyć, nie da się ich zgłębić.

Mimo wszystko tego ranka na Wyspie Wniebowstąpienia poczułam znowu to samo, co czułam na Antarktydzie podczas miesiący, które tam spędziłam dwa lata temu. Było to ledwie uchwytne, ale nie do pomylenia z niczym innym wrażenie, że istnieje jakaś większa, bezimienna inteligencja. Znowu jej podlegałam. Odległe miejsca, w których życie nie płynie tak bezpiecznie jak gdzie indziej, uświadamiają nam, jak krucha i przypadkowa jest nasza egzystencja. Oto byłam na wyspie, na której telefony nie łapią zasięgu, nie ma tu bankomatów, właściwie w ogóle nie ma gotówki, oprócz monet ze Świętej Heleny z wizerunkami siewcezek atlantyckich i zawilców. Byłam w miejscu, które jest bazą dla systemu GPS, informującego nas, gdzie znajdziemy stację benzynową, ale które Stany Zjednoczone i Wielka Brytania ukryłyby przed resztą świata, gdyby tylko dało się to zrobić w erze satelitów i systemów śledzenia samolotów. Czułam, jak młody jest ten ład. Wciąż jeszcze nie był przekonany, jak bardzo jest oddany planecie. Jedno czknięcie wulkanu mogło go wessać z powrotem do oceanu, a nas razem z nim.

Zacznij od początku. Nauczyłam się tego, pisząc powieści, i ta rada prawie zawsze się sprawdza. Tylko że często opowieść zaczyna się w środku, a nawet pod koniec. Tak jak góra lodowa, kiedyś oderwana od kontynentu, bez ustanku się obraca, uwięziona w gigantycznym wirze Antarktycznego Prądu Okołoobiegunowego, my również bez ustanku zataczamy kręgi. Nie wędrujemy wzdłuż pojedynczej linii, jak w prostej przypowieści, która przeskakuje od punktu A do punktu B, nie obracamy się w koło – jesteśmy uwięzieni w spirali.

Rozległ się komunikat. Opryskliwy głos wydawał rozkazy.

– Uwaga, uwaga, major Christian zgłosił się do podoficera w obsłudze lotów. Pasażerów prosi się o wchodzenie na pokład w następującym porządku: oficerowie, następnie cywile i na końcu personel.

W samolocie RAF-u jeszcze inna hierarchia. Nie było tu superbiznesmenów, grubych ryb z przedmieść Londynu, których można spotkać w pierwszej klasie British Airways. Z przodu samolotu siedzieli tu oficerowie, a szeregowcy i cywile zajmowali część dla pasażerów klasy ekonomicznej. Na karcie pokładowej widniała informacja o stopniu wojskowym (na mojej był napis „Pani”). Poza tym wśród pasażerów znaleźli się Falklandczycy i mieszkańcy Świętej Heleny,

których wszyscy nazywają tu Świętymi. Dwójka Świętych stała naprzeciw mnie. Wciąż jeszcze zaspani, opierali się o siebie, obejmując się nawzajem w pasie. To było ich miejsce na tej planecie, a dwugodzinne oczekiwanie w lotniskowej pace uważali za coś równie normalnego, jak pobyt w hali tranzytowej na Heathrow.

Gęsiego maszerowaliśmy w stronę samolotu. Odnosiłam wrażenie, że powłóczyliśmy nogami, nie chcąc wyjeżdżać z tego zalanego tropikalnym słońcem miejsca. Na południowej półkuli zaczynała się jesień. Czułam, że już tu jest, małowólna i enigmatyczna. Brytyjczycy z Antarktydy mówią po prostu „Południe”, tak jakby wszystko na południe od równika tonęło w oślepiającej rzeczywistości lodowego kontynentu, któremu nazwa nie jest potrzebna, wystarczy tylko ogólny kierunek.

Tom opowiadał mi kiedyś o uroku, o magnetycznej sile przyciągania, jaką ma ten kontynent. Siedzieliśmy w samolocie Twin Otter podczas śnieżycy, czekając, aż przejaśni się na tyle, że będziemy mogli wystartować i wrócić do bazy.

– Już od dwunastu lat pracuję na Południu – powiedział. – Na początku, kiedy przyleciałem tu po raz pierwszy, nie mogłem przestać myśleć o tym miejscu. Zimą pracowałem na Falklandach albo latałem do Wielkiej Brytanii, ale czasami po prostu musiałem wszystko na chwilę odłożyć. Przed oczami stawała mi ta połać bieli. Potrzebowałem jej. Czułem się lepiej, kiedy wiedziałem, że wrócę tu zaraz po rozpoczęciu kolejnego sezonu.

– A teraz? – spytałam.

– Nie wiem. – Potrząsnął głową. Wyglądał... Nie wiem, jak nazwać wyraz jego twarzy. Wyglądał na pokonanego. Może nawet winnego. – Teraz dostrzegam tylko niedostatki. Kiedy wyjeżdżam, wszystko to przestaje się wydawać realne. Jak sądzisz, dlaczego tak się dzieje?

– Może dlatego, że nie ma tu twojej rodziny. Nie ma tu nikogo, kogo kochasz.

– Wiem tylko – powiedział – że kiedy teraz stąd wyjadę, zostawię to miejsce za sobą.

Już w samolocie, wiekowym DC-10 – paliwożernym modelu z lat siedemdziesiątych, którego dawniej używali tylko przewoźnicy cargo, a który obecnie jest czarterowany przez RAF – wystawiłam twarz do wschodzącego słońca. Poczułam upiorny zew podróży, w którą nie powinnam była wyruszyć. Leciałam na Falklandy, gdzie miałam przez dwa miesiące zajmować się pisaniem.

Miałam być gdzie indziej. Większość moich znajomych sądziła, że jestem gdzieś na Oceanie Południowym, na statku badawczym. Zostawiałam za sobą porzuconą podróż, dziwne kłamstwo i katastrofę, którą do pewnego stopnia przewidziałam. Leciałam na kraniec Ziemi w skrzypiącym samolocie nad pustką oceanu, więc wsłuchiwałam się w siebie, szukając oznak niepokoju, który poczułam zaledwie kilka tygodni temu w Kapsztadzie i który zmusił mnie do porzucenia obranej ścieżki.

Miałam wrażenie, że nie wiem już, kim jestem. Przychodziło mi to na myśl już wcześniej – że być może nie posiadamy naszych ciał, a nawet dusz. Że zostały nam pożyczone przez dawców losu, którzy chcieli się przekonać, jaki zrobimy

z nich użytek. Jeśli zaś chodzi o charakter i tożsamość, te konstelacje przebłysków, przeczuć i lęków rządzących naszym zachowaniem mogą być w znacznym stopniu fikcją, w którą wierzymy.

Czasem, kilka razy w życiu, podejmujemy niespodziewaną i niewytłumaczalną decyzję, popełniamy niewybaczalny błąd, załamujemy się emocjonalnie, co uświadamia nam, że nie wiemy, kim jesteśmy, czego chcemy ani nawet dokąd zmierzamy w tej konkretnej chwili. Znika złudzenie spójności jaźni. Stajemy się sami sobie obcy. Przemieszczamy się między tajemnicą naszych pragnień i ograniczeniami naszych możliwości.

Nagle moje ograniczenia stały się właśnie takie – zaczęły mnie ograniczać. Siatka i drut, którymi Royal Air Force postanowiło mnie odgrodzić, były zbędne. Sama dla siebie byłam klatką.

Niektóre miejsca zostawia się za sobą, ale inne nie chcą zająć należnej pozycji na osi czasu. Tworzą wyspy na rzece czasu i w pamięci, trwałe i nieprzezroczyście. Zamieszkują je ludzie i zdarzenia, które dzieją się wciąż od nowa, wykraczając poza to, co znane, poza wcześniejsze doświadczenia. Jest w nich coś, czego nie można pojąć z perspektywy tej chwili, w której przyszło nam żyć. Są przeszłością, ale też przyszłością.

Maks, klimatolog, którego poznałam na Antarktydzie, opowiadał mi o tym, że dzięki programowi komputerowemu udało mu się zajrzeć w zakamarki przeszłości tego kontynentu, co z kolei pomaga mu tworzyć trafne prognozy dotyczące tempa i intensywności ocieplania klimatu. – Jeśli chcesz znać przyszłość – w jego głosie dźwięczała pewność siebie, charakterystyczna dla bardzo młodych ludzi – musisz zajrzeć w przeszłość.

Rozpędziliśmy się na czterokilometrowym pasie. Pięćdziesiąt parę stewardes z Teksasu, pracujących dla firmy wynajmującej samoloty, trzęsło się na fotelach. Po chwili byliśmy już w górze, a otaczające nas powietrze zacisnęło się z zimna. Od najbliższego skrawka ładu dzieliło nas dziesięć godzin oceanu i nieba.

Samolot przechylił się, skręcił, po czym wyprostował się nad kruchymi brzegami wyspy, otoczonymi przez pełne rekinów wody. Wróciliśmy do troposfery. Stare silniki ryczały. Oddalaliśmy się od Afryki i Ameryki Południowej, zmierzając w stronę nicości. Lecieliśmy na południe.

2. PRZEPOWIEDNIA

SZADŹ

Biały lub mleczny osad złożony z bardzo małych kulek lodu powstających na eksponowanych obiektach w temperaturze poniżej 0°C.

Taksówka okrążyła rondo, mijała klockowate budynki o spadzistych dachach, z szarobrazowego i rdzawego piaskowca, które tkwiły wśród lasów, pojedynczych drzew i polan niczym wiecznie odpoczywające żurawie. Obok nas przemykały rowerzystki w skromnych, tweedowych spódnicach. Wyglądały jak z innej epoki. Może były statystkami na planie filmu o Wittgensteinie albo Turingu, albo innym wielkim uczonym z tych okolic.

Było to oczywiście w Cambridge. Nie ma takiego drugiego miejsca na świecie, z takimi popielatymi budynkami i sklepami spożywczymi, w których laureaci Nagrody Nobla z fizyki stoją w kolejce po sushi.

Mieliśmy piękną, złotą jesień. Był ciepły, wrześniowy dzień. Pociąg z Londynu jechał przez gorące miasteczka z niską zabudową i pola tak płaskie i nieskazitelne, jakby narysowano je kredkami.

Siedziałam w taksówce z Suzanne, rzeźbiarką z Kornwalii, która od jakiegoś czasu mieszkała w Londynie, podobnie jak ja. W tym roku przyjęto ją do programu. Miała tworzyć ceramiczne rzeźby przedstawiające nie lód, lecz budynki i instalacje elektryczne, anteny satelitarne i mechaniczne pługi śnieżne, których się używa na Antarktydzie – szpetne bryły ciężkich maszyn. – Estetyka postindustrialna – tak to nazwała.

Nie wiedziałyśmy, czego się spodziewać. Powiedziano nam tylko, że każda wyprawa British Antarctic Survey zaczyna się w ceglany budynku w Cambridge. Pod koniec lata setki ludzi o różnych zawodach i narodowościach zbierają się na trzydniową konferencję. Łączy ich tylko jedno – Antarktyda.

Na Antarktydzie badania prowadzi trzydzieści kilka krajów. Program organizowany przez British Antarctic Survey należy do najstarszych. Częściowo jest to pokłosie epoki brytyjskich wypraw badawczych prowadzonych przez bohaterów rywali z epoki edwardiańskiej – Roberta Falcona Scotta i Ernesta Shackletona. Obecnie BAS to instytucja czysto naukowa, chociaż jej biegłość w dziedzinie nauk o Ziemi i w fizyce ma związek z wieloletnim doświadczeniem Wielkiej Brytanii w prowadzeniu polarnych ekspedycji.

Doroczna, letnia konferencja BAS odbywa się w Girton College dłużej, niż ktokolwiek sięga pamięcią. Budynek kolegium jest surowy i onieśmielający. Żeby uciec z jego niekończących się korytarzy, pełnych portretów zrzędlivych

profesorów, postanowiłam pierwszego dnia obieć cały teren i przeżyłam przy tym coś dziwnego. Kiedy biegłam, za plecami poczułam masę powietrza o rozmiarze człowieka, która zaszeptała coś przy mojej szyi. Wzdrygnęłam się i odwróciłam, ale nikogo tam nie było – ani żadnego biegacza, ani potencjalnego napastnika. Na długo zapamiętałam powiew powietrza, który towarzyszył temu głosowi. Miał masę, był naelektryzowany, choć niewidoczny. Pomyślałam, że Girton musi mieć własne duchy, zwłaszcza duchy nieszczęśliwych, młodych kobiet, które zostały wydane za mąż zaraz po uzyskaniu symbolicznego wykształcenia – przez większość czasu studiowały tu tylko kobiety.

Nocami w barze w piwnicy młodzi ludzie w polarach doskonalili swoje umiejętności bilardowe i pili piwo z ogromnych niczym dzbany kuflów. Przebywanie w towarzystwie młodzieży okazało się zaskakująco ożywcze. Było hałaśliwie, a atmosfera uderzała do głowy. Wszyscy wyglądali jak chodzące okazy zdrowia. Większość asystentów terenowych – tak nazywano wspinaczy, którzy towarzyszyli naukowcom podczas wypraw naukowych – dopiero co zeszała z gór, żeby wziąć udział w konferencji. Po jej zakończeniu wrócą do Snowdonii albo w góry Cairngorm, przeczekując jesień, aż dni staną się tak krótkie, że będą mogli opuścić szczyty północnej półkuli na rzecz ich antarktycznych kuzynów.

Stałyśmy z Suzanne przy barze. Spoglądałyśmy na siebie, myśląc o tym, że w grupie raźniej, nawet jeśli grupa liczy tylko dwie osoby. I tak tworzyłyśmy swoisty duet, tym bardziej dopasowany, że wyglądałyśmy prawie identycznie – dwie niskie, ciemnowłose kobiety. Byłyśmy zwyczajnie ubrane, ale i tak przypominałyśmy fanki rocka gotyckiego przeniesione do katalogu firmy North Face.

Jednak my też czułyśmy ożywienie. Wkrótce zostawimy za sobą życie bohemy typowe dla północnego Londynu, wypełnione brutalnymi walkami o zdobycie przyzwoitego mieszkania w Islington albo w Stoke Newington, negocjowaniem stawek z agentami literackimi i galeriami, niespokojnego sprawdzania, czyja książka jest czytana w odcinkach w BBC i czyj program jest recenzowany w „Art Monthly”. To była swoista walka o przetrwanie, ten nasz świat. Patrząc na tych krzepkich, normalnych młodych ludzi zastanawiałyśmy się, w co się właściwie pakowałyśmy.

– Nikt nie trafia na Antarktydę przypadkiem – oznajmił mi Paul, dyrektor działu informatyki i nasz opiekun w Programie dla Artystów i Pisarzy, kiedy się poznaliśmy trzy miesiące temu. – Przeszłaś przez taką samą selekcję, przez jaką przechodzą wszyscy inni, zarówno hydraulicy, jak i piloci.

Paul powiedział nam, że co roku o pracę w brytyjskiej bazie na Antarktydzie stara się prawie czterysta osób. Piloci sami się odsiewali – na całym świecie była tylko garstka ludzi, którzy potrafili i chcieli latać w takich warunkach, na jakie tam można trafić. Naukowcy – do których, dla celów logistycznych, też się miałam zaliczać, dzięki czemu pławiłam się przez chwilę w nowym dla mnie poczuciu prawowitości – musieli przejść przez wiele etapów starania się o fundusze. Ludzie, których spotykałam, gratulowali mi tego, że udało mi się

przejsć przez rygorystyczny proces selekcji, podczas którego moje podanie rozpatrywały nieznane mi komisje.

Sam Paul stanowił przykład człowieka renesansu – naukowca interesującego się sztuką i obdarzonego doskonałym gustem. Ten kosmopolita był całkowicie oddany tej bryle lodu o rozmiarach kontynentu, umiejscowionej na dnie świata. Była w nim niezwykła intensywność i przytomność umysłu. Miałam się później zetknąć z wieloma antarktycznymi weteranami, którzy posiadali te same cechy. Sprawiali wrażenie ludzi, którzy zmierzili się z własnymi granicami, podobnie jak ci, którzy byli na wojnie lub brali udział w innych konfliktach.

W tamtej chwili, na konferencji, wyglądało na to, że wszyscy ludzie Antarktyki toczyli boje o to, żeby się tam dostać, a do ich cech należało przekonanie o niemalże boskim posłannictwie. Nie było w nich cynizmu ani poczucia, że coś im się należy. Wydawało się to bardzo odświeżające.

Pewnego wieczoru podczas konferencyjnej kolacji trafiłam na Mathieu, francuskiego glaciologa, który pracował dla BAS od ponad dziesięciu lat. BAS ściągnęło go, żeby wygłosił odczyt o różnicach w dynamice pokrywy lodowej Arktyki i Antarktydy. Mathieu spędził dwanaście lat na południu, w lecie zaś przenościł się do Arktyki.

– Jestem rybitwą – oznajmił. Badawczo przyjrzałam się jego twarzy, szukając śladów poparzeń słonecznych. Ostrzegano mnie, że łatwo o nie w rejonach polarnych. Połączenie skrajnej suchości klimatu i intensywnego promieniowania UVA i UVB może postarzyć skórę twarzy o pięć lat podczas trwającego trzy miesiące lata.

Mathieu wyglądał jak dwunastolatek. Nosił niebieską koszulę założoną na biały podkoszulek i beżowe chinosy. Ten strój był zresztą czymś w rodzaju mundurka dla naukowców.

– Tak naprawdę nie byłem jednak na południu od dziesięciu lat. Robiłem tam badania do doktoratu i po doktoracie, ale potem uciekłem na północ – powiedział.

– Różnią się? Arktyka i Antarktyda?

Mathieu pokręcił lekko głową. Nie było to ani zaprzeczenie, ani przytaknięcie. Zadałam pytanie, na które nie da się udzielić odpowiedzi.

Ważył słowa, być może zastanawiając się, które nadają się dla kretynki, która stała przed nim i nigdy nie była na żadnym z biegunów.

– Oczywiście i tu, i tu jest zimno. Ale nie da się tych miejsc porównać.

Wpatrywał się we mnie spokojnie swoimi brązowymi oczami. W kolejnych miesiącach miałam się przyzwyczaić do tego uczucia – wstydu z powodu swojej względnej ignorancji albo przynajmniej do bycia najgorzej poinformowaną osobą w pomieszczeniu.

Przynajmniej wiedziałam, skąd wywodzą się obie nazwy. Ich przeciwstawność osadzona jest w grece: *arktos* pochodzi od *arktikos*, co oznacza „północny” i wywodzi się z greckiej nazwy Wielkiego Wozu. *Antarktikos* to przeciwieństwo *arktos*. Lustrzaność sięga dalej niż do nazewnictwa. Amerykański historyk środowiskowy Stephen Pyne zauważył w *The Ice*, swojej kanonicznej historii

kontynentu: „Arktyka to prawdziwy ocean, otoczony przez kontynenty. Antarktyda to kontynent otoczony przez oceany”. Różnią się skrajnie także pod innymi względami, takimi jak historia ludzkiej obecności, klimat, prądy oceaniczne, rodzaje lodu i historia glaciologiczna.

– Antarktyda jest o wiele zimniejsza – powiedział Mathieu. – Wyobraź sobie stanie na lodzie w porywistym wietrze. – Uderzył się dłonią w pierś. – Można sobie odmrozić płuca, biorąc oddech. W Arktyce tak zimno bywa tylko na Grenlandii. W zimie – dodał. W jego oczach pojawiło się coś nowego. Mglisty, lecz pełen entuzjazmu błysk. – Arktyka jest pełna życia! – Potrząsnął głową, jakby sam nie mógł w to uwierzyć. – Są lisy, kwiaty, mchy, renifery, ludzie.

– A na Antarktydzie?

– Antarktyda jest martwa. Ale pociągająca.

– Jak coś, co jest martwe, może być pociągające?

Rzucił mi spojrzenie, którego nie potrafiłam odczytać, ale mogło oznaczać coś w rodzaju: „Sama zobaczysz”.

– Tęsknisz za nią?

– Tak – odparł. – Ale zaskoczy cię, za czym najbardziej.

– Za czym?

– To naprawdę najbardziej śmiertelne miejsce, jakie możesz sobie wyobrazić – stwierdził, potrząsając głową. – Może cię zabić ot tak! – Pstryknął palcami.

– I za tym tęsknisz?

– Za brakiem bodźców. Antarktyda jest wyjątkowa, nawet w Arktyce nie jest tak ekstremalnie. W Arktyce jest głośniejsze. Nawet wiatr ma inny dźwięk. Na Antarktydzie nie wyje, po prostu przenika. Patrzysz na lód i nie słyszysz niczego poza biciem swojego serca. – Znowu uderzył się w pierś. – Nie ma dźwięków, nie ma zapachów. Dwa zmysły z głowy. Co za ulga.

Zacząłam się zastanawiać, czy Antarktyda przyciąga ludzi pragnących śmierci, czy też kliniczna martwota tego miejsca wyzwala pragnienie uciszenia samego siebie i zniknięcia. Z historii wynika, że Antarktyda przyciąga do siebie niezwykle, często niestabilnie emocjonalnie osoby, i wielokrotnie dowiedziono jej związków ze śmiercią.

– Antarktyda jest całkiem Inna – powiedział mi Paul, kiedy w maju tego roku przyjechałam do siedziby BAS w Cambridge. Było to krótko po tym, jak przyznano mi stypendium. – Nie istnieje drugie takie miejsce. – To stwierdzenie wydało się oczywiste, wręcz liturgiczne. Zapach Paula zaczął mi się jednak udzielać. W umyśle z wolna pojawiały mi się obrazy pochodzące z filmów i zdjęć, ale też będące projekcją moich lęków. Zobaczyłam połacie bieli pomarszczone kobaltowymi szwami niewidzialnych rozpadlin. Czytałam *Wszystko za Everest* Krakauera. Potrafiłam sobie więc wyobrazić jak to jest zniknąć w jednej z tych lodowych szczelin, zostać pożartym żywcem przez zmrożoną ziemię.

W literaturze polarnej śmierć jest obecna od dawna, miałam jednak nadzieję, że nie jest obowiązkowa. Zanim wysłałam zgłoszenie do Programu dla Artystów

i Pisarzy, czytałam klasykę literatury podróżniczej: *Południe* Ernesta Shackletona, *Na krańcu świata* Apsleya Cherry-Garrarda, listy kapitana Scotta. Opowieści tych mężczyzn (wtedy tylko mężczyźni wyruszali w takie podróże), którzy zmierzli się z wyniszczającym zimmem, składały się w zawstydzające kompendia bezinteresownego poddawania się trudom i znojom, a zarazem bardzo skutecznie zniechęcały do postawienia stopy w takich rejonach.

Choć jednak śmierć była najwyraźniej typowym wątkiem i jedyną dopuszczalną metaforą tego kontynentu, jej przeciwieństwo też się pojawiało. W swojej historii Antarktydy pod tytułem *I May Be Some Time* Francis Spufford stwierdził, że choć wszystkie te książki miały opisywać zewnętrzne środowisko i narzucone przez nie wyzwania, a także królewską obojętność tego ładu na los jakiegokolwiek ludzkiej istoty, tak naprawdę opowiadają też o psychice samych zdobywców. Literatura dotycząca wypraw geograficznych stanowi afirmację życia. Śmierć grasuje po Antarktydzie; kontynent uwalnia nadzwyczajne pokłady odwagi i wytrzymałości, skazując próbujących go podbić śmiazków na pokutę, która wykracza poza granice zwykłego cierpienia, czyniąc z nich niemalże świętych.

Podczas lektury rzadziej zastanawiałam się, jak ci ludzie przetrwali wszystkie próby fizyczne. Bardziej mnie interesowało, jak radzili sobie potem emocjonalnie, o ile udawało im się przeżyć. Jak można było, po tych chwilach triumfu, rozpacz, braterstwa i odwagi, tak sugestywnie opisanych przez odkrywców-pisarzy, wrócić do normalnego życia, do żywopłotów i zwieszających się hortensji edwardiańskiej Anglii, do niekończących się podwieczorków z matronami, na które z pewnością zapraszano ich po wykładach, jakie wygłaszali po powrocie. Czy adrenalina nie skolonizowała ich zmysłów, jednocześnie je wyostrzając i tłumiąc, uniemożliwiając przeprogramowanie emocji na wypełnione herbatkami, codzienne życie?

Podczas lektury tych wyczerpujących katalogów nieszczęśliwych wypadków, załamania pogody, błędnych decyzji, sytuacji, w których wszystkie te czynniki występują równocześnie, a także smutku, dostrzegłam jeszcze jeden powracający motyw – fart. Śmierć i łut szczęścia – niespecjalnie podnosząca na duchu para. Moje życie znalazło się akurat w impasie, bardziej więc ufałam śmierci niż szczęściu. Te dwa zwodnicze widma miały toczyć bój w pustym sercu lodowego kontynentu. Dało mi to do myślenia.

Oparłam się o ceglany mur, podczas gdy sympatyczni oficerowie częstowali nas ciasteczkami imbirowymi, które podobno pomagają na chorobę morską. Miałam wyruszyć na Antarktydę za dwa miesiące. Wciąż mogłam to odwołać. Nie wiem, czy jest na świecie inne miejsce, które potrafi cię tak oddzielić od siebie samego. Będiesz podzielony, rozdarty na cząstki, o których nie miałeś pojęcia. To będzie podróż według innych zasad, bez gwarancji bezpiecznego powrotu.

2 WRZEŚNIA

Moje trzydzieste siódme urodziny. Całkiem o nich zapomniałam. Znajomi wysyłają mi SMS-y z pytaniem, gdzie jestem. Jest noc, siedzę sama w moim pokoju na uniwersytecie. Wpatruje się we mnie pusta tablica korkowa. Ściany upstrzone są śladami po Blu Tacku. Wkrótce wprowadzi się tu jakiś student lub studentka, nie wierząc własnemu szczęściu, w końcu to jedna z najlepszych uczelni w kraju.

Próbuję zrobić bilans sytuacji. W uniwersyteckim barze wszyscy się przekrzykują, ta hałaśliwość to klasa sama w sobie. Taka wylewność prowadzi zarówno do żartów, jak i do powstawania klik. Ten entuzjazm wydaje się wręcz patologiczny. Przyzwyczajona jestem do posępności i asekuranctwa. Zanotowałam dzisiaj coś takiego: „jedyna w swoim rodzaju grupa, prawdopodobnie na całym świecie nie ma podobnej, tworzą ją prowadzący osiadły tryb życia myśliciele, przyklejeni do coraz bardziej skomplikowanych programów komputerowych, i odważni poszukiwacze przygód”.

Zapisuję zawody osób, które spotykam: stolarz, pierwszy oficer (na statku), główny pilot, glaciolog, chemik atmosfery, biolog środowiskowy, kucharz, mechanik, operator maszyn budowlanych. Wszyscy ze sobą rozmawiają, nie ma wyraźnego podziału na naukowców i pracowników obsługi. Ten romans nauki i logistyki wydaje się charakterystyczny dla wojska, częściowo ze względu na zaangażowanie Królewskiej Marynarki Wojennej, która użyczyła swojego okrętu „Endurance”, i dwóch niezaprzeczalnie stukniętych kandydatów na pilotów, którzy spędzą lato w bazie jako asystenci do spraw łączności i lotnictwa.

Dlaczego wszyscy są tak podekscytowani, tak zdeterminowani? Jestem pisarką, a nikt parający się piórem nie przyzna się do takich uproszczeń jak poczucie pewności. Weterani z Antarktydy stawiają mi drinki. Nie opowiadają historii, a przynajmniej nie tylko. Ich opowieści zawierają coś w rodzaju duchowych przestróg.

Antarktyda uzależnia, mówią. Wszystkiego tam brakuje, ale nawet jeśli będziesz miała całkowicie dość, przyciągnie cię z powrotem. Pod koniec sezonu będziesz myśleć tylko o tym, żeby się stamtąd wydostać. Zaledwie jednak wyjedziesz, poczujesz, że cierpisz na amnezję. Będziesz pamiętać tylko to, co dobre. I wtedy zamarzysz o powrocie.

Ostrzegają, że świat już nigdy nie będzie taki sam. Po wyjeździe nic nie będzie się wydawało rzeczywiste. Będziesz śnić o rombach lodu zmieniających się w lodołamacze albo pokrywających czerwone samoloty niczym zamrożone hangary. Ale nie będziesz mogła wrócić, bo miałaś już swoją szansę. Inni czekają w kolejce, a dostęp do kontynentu jest ograniczony. Jeszcze zanim tam pojedziesz, usłyszysz: „To twoja jedyna szansa”, a słowo „jedyna” będzie brzmiało ostrzegawczo, jakby dotyczyło jakiejś choroby. Latami będziesz się budzić ze snów o lodzie, spocona i dezorientowana, zastanawiając się, dlaczego nie możesz wrócić do domu.

Dwa dni później trąba powietrzna, jaką była Konferencja Antarktyczna, zabrała

manatki. Pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Wspólnoty odwiedziono do Londynu jaguarami, oficerowie wrócili na statek cumujący gdzieś na rzece Humber, a naukowcy ponownie zabrali się za wykonywanie skomplikowanych obliczeń.

Suzanne i ja złapałyśmy wspólnie taksówkę i pociąg na King's Cross, by wrócić na dwa miesiące do londyńskiego życia. W trzecim tygodniu listopada przyszedł rozkaz wymarszu, dołączyłyśmy więc do jednej z pierwszych wylatujących grup BAS-u.

– Było o wiele fajniej, niż się spodziewałam – powiedziała Suzanne. Przytaknęłam, chociaż wstrząsnęła mną świadomość, że choć artyści i pisarze cieszyli się szacunkiem, nie byli priorytetem całego programu. Dotarło to do mnie pierwszego dnia podczas lunchu, kiedy usiadłam obok przedstawicielki Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Wspólnoty.

– Czy strategiczne interesy Wielkiej Brytanii na Antarkydydzie są zbieżne z polityką utrzymania suwerenności Falklandów? – spytałam. Spojrzała na mnie, jakby ziemniak na jej widelcu wyhodował sobie usta i przemówił. Nie zniżyła się do udzielenia odpowiedzi i przez resztę lunchu rozmawiała z siedzącym po drugiej stronie zastępcą dyrektora BAS-u.

– A jakie ty masz wrażenia? – spytała pogodnie Suzanne.

– Nie wiem. Było... – szukałam neutralnego określenia. – Przytłaczająco.

– O czym będzie twoja książka?

– Nie wiem. Zależy, co się tam wydarzy – odparłam.

Skinęła głową, ale widziałam, że nie czuje się usatysfakcjonowana. Nie wydawało mi się, że mogę jej wyjawić, do jakiego stopnia powieści pisze się na ślepo. Ludziom, którzy nie podejmują się wymyślenia historii z powietrza, musi się to wydawać przypadkowe i niemądre. Jedynym pewnikiem w powieści jest to, że będzie jakaś przyczyna i skutek, odegrane przez bohaterów, a całość ułoży się w początek, środek i zakończenie. Nie miałam jednak pojęcia, jak będą wyglądać.

Za oknem pociągu przesuwały się wciąż takie same pola. Jedyna różnica polegała na tym, że w ostatnich trzech dniach rozciągnęły się nieco w pionie. Teraz sterczały w niebo.

– Dlaczego zdecydowałaś się jechać na Antarktydę? – spytała Suzanne.

– Chyba szukałam twórczego wyzwania.

To była szczerą odpowiedzią, ale ta szczerść skrywała inną, bardziej ambiwalentną warstwę prawdy. Być może tym właśnie zajmują się pisarze – szukaniem chwili, w której pojawia się iskra, a do głowy przychodzi ci pomysł, który uruchomi cały ciąg zdarzeń – nazwiemy je potem losem, przeznaczeniem albo po prostu zwykłą kolejną rzeczą.

Moje zauroczenie obszarami polarnymi zaczęło się od rzuconej od niechcienia przepowiedni, która praktycznie wypadła mi z głowy, zanim zdołałam ją zapamiętać.

„Widzę stojących wokoło ludzi w niezwykłych strojach. Śnieg, lód. Czy to Eskimosi? Będziesz pisała o Arktyce?”.

Denise to zajmująca się astrologią znajoma znajomej. Przygotowywała horoskopy dla bogaczy z Holland Park i doradzała szefom międzynarodowych korporacji w sprawach giełdy. Nie poznałam jej osobiście, ale rok przed moim wyjazdem na Antarktydę koleżanka zamówiła u niej mój horoskop na prezent urodzinowy. Denise zadzwoniła do mnie, żeby powiedzieć, że jest gotowy i że wyśle go pocztą. Było w nim jednak kilka elementów, które chciała ze mną najpierw „przegadać”.

– Coś zobaczyłam – powiedziała. Niemal słyszałam, jak się zastanawia, zanim mi to wyjawiała.

Kiedy już to wyartykułowała, pomyślałam, że nie wierzę. Przeżyłam dwadzieścia zim w Kanadzie, zanim przeniosłam się do Wielkiej Brytanii. Wystarczająco się już namarzłam, dziękuję bardzo.

– Jesteś pewna? – spytałam.

W jej głosie zadźwięczała lekka irytacja. Oczywiście, że była pewna.

Kiedy dostałam maila od British Antarctic Survey, siedziałam właśnie w hotelu w Rzymie. Podróż do Włoch okazała się lekko surrealistycznym i samotnym objazdem uniwersytetów. Byłam w Sienie, w Trieście, a teraz w Rzymie. W przepastnych salach wykładowych zalanych ciepłym światłem wiosennego słońca opowiadałam studentom o tym, jak to jest być pisarką. W Watykanie wybrano właśnie nowego papieża – z wznoszącego się nad placem Świętego Piotra komina, oddalonego o trzy kilometry od sali, w której właśnie wykładałam, unosił się biały dym.

Po powrocie do hotelu spadłam z krzesła, a właściwie krzesło odmówiło pozostania pode mną. Tak czy inaczej, kółka poślizgnęły się na wypolerowanym marmurze i zrzuciły mnie na podłogę. Wytworni Włosi spoglądali na mnie w tępym osłupieniu.

Słowa Denise zakwitły w mojej głowie niczym zaniedbany kwiat. Zdążyłam już o nich zapomnieć, teraz jednak na zawsze je zapamiętam. Na tym polega jeden z problemów związanych z przepowiedniami – kiedy już się je pozna, nie można tego odwrócić. Albo będziemy się im sprzeciwiać, albo z niejasnego poczucia obowiązku poddamy się ich dyktatowi.

Przeczytałam maila od BAS-u po raz drugi, tak jakby słowa mogły się przeterminować albo zniknąć w dowolnym momencie. Wciąż tam widniały, wyrte na ekranie. Nie był to już tylko szalony pomysł, twórczy impuls w ciemności, przeczucie. Jechałam na Antarktydę.

3. ŻELAZNE WYSPY

GRUZ LODOWY

Unoszący się na wodzie, pokruszony na drobne kawałki lód. Pochodzi z lodu morskiego lub z odłamków cielącej się góry lodowej albo góry lodowej, która się rozłamuje wskutek ciągłej erozji. Odpadki z innych form lodowych.

Późny listopad. Po raz pierwszy w życiu leciałam na grupowym bilecie, za który nie musiałam sama zapłacić. Moje nazwisko było tylko jednym z wielu na liście. Trasa wiodła przez Madryt do Santiago de Chile, gdzie mieliśmy zatrzymać się na noc. Następnego dnia przeskakiwaliśmy do Punta Arenas z przesiadką w Puerto Montt, aby wreszcie dotrzeć do lotniska o nazwie Mount Pleasant.

Na Heathrow nasza grupa kręciła się, całkowicie niezdyscyplinowana. Każdy chciał skoczyć jeszcze w ostatniej chwili do toalety albo przed dwudziestogodzinnym lotem wypalić ostatniego papierosa. Suzanne poleciała na Antarktydę dwa tygodnie wcześniej, w grupie była więc tylko jedna osoba, którą znałam – Paul, szef działu informacji. Dreptał za nami niczym brodata i rozproszona kwoka.

Stopniowo przyłączali się do nas kolejni podejrzani. Mężczyzna z twarzą upstrzoną popękanymi naczynkami niósł torbę z logo organizacji. Potem pojawili się krzepcy panowie o krótko przyszczyżonych włosach. Usiadłam obok hydraulika, który wypowiedział dwa czy trzy słowa w moją stronę, po czym skrzyżował ręce na piersi i przez resztę lotu do Madrytu wpatrywał się w tył siedzenia przed nim.

W Madrycie dołączyły do nas kolejne twarze. Nils, student oceanografii z Norwegii, Emilia, studiująca to samo, uczestniczka Włoskiego Programu Antarktycznego, i Max, który był wprawdzie Szwajcarem, ale pracował w Instytucie Meteorologii Maxa Plancka w Hamburgu – nie wiem, czy dowiedziałam się tego od niego, czy powiedział mi o tym Nils, czy też sama to wywnioskowałam. Nie wiedziałam jeszcze, że spędzimy razem tyle czasu, iż będę miała wrażenie, że znam ich od zawsze i że zawsze będę ich znała. Będę z nimi tak blisko, tak całkowicie, jak nie byłam z nikim od czasów studenckich.

Max mówił jak Anglik – miał lepszy akcent niż większość Anglików. Jego spółgłoski były krystalicznie czyste i staranne. Emilia miała ciemne włosy, była drobna, ładna i trochę sztywna. Uśmiechała się przelotnie i wyglądała na lekko spłoszoną. Nie czuła się komfortowo wśród obcych ludzi, których okoliczności rzuciły w to samo miejsce. Nils był dość wyciszony. Wydawał się o kilka lat starszy od Maxa. Ostentacyjnie wyłączył komórkę, podnosząc ją i machając do

nas.

– Pa, pa, mamó i tato, pa, pa, Nadiu – Nadia to moja dziewczyna – powiedział.

Na Falklandach nie będzie zasięgu. W Chile też może nam się nie udać go złapać, a jeśli nawet, opłaty mogą okazać się za wysokie. Dla tych z nas, którzy jechali na Antarktydę na dłużej, ta godzina na madryckim lotnisku będzie ostatnią na dwa i pół roku okazją do użycia telefonu.

Max, Emilia i Nils spędzą w Antarktyce sześć tygodni, w tym zaledwie trzy lub cztery dni na samym kontynencie. Wysłano ich w podróż razem z promotorami, do których mieli dołączyć na statku. Nils prowadził badania w ramach podoktorskiego stażu w Tromsø. Max zaczął niedawno pisać doktorat.

Zdałam sobie sprawę z tego, że rzadko przebywam z dwudziestoparolatkami. Większość czasu spędzamy z ludźmi w swoim wieku, najpierw w szkole, potem na uniwersytecie, następnie robiąc karierę, wybierając przyjaciół, zakładając rodzinę i dokonując innych wyborów życiowych. Na Antarktydzie jednak prawie nie spotkam rówieśników. Miałam dopiero odkryć, że to świat zasiedlony przez dwudziesto-, czterdziesto-, pięćdziesięciolatków i starszych. Nikt nie zabrania przyjazdu trzydziestoparolatkom, ale w tym wieku częściej ma się małe dzieci, a wyjazd na Antarktydę wymaga dłuższego pobytu po drugiej stronie kuli ziemskiej niemal bez kontaktu ze światem.

Przyglądałam się im z pewną dozą zazdrości. Max wyciągał swobodnie swoje długie nogi, Emilia wyglądała tajemniczo, przyjacielsko nastawiony Nils siedział wyprostowany. Po tej podróży zostaną przyjaciółmi na całe życie, może nawet więcej niż przyjaciółmi. Tymczasem moje życie miało już utrwalony rytm – praca, hobby, przyjaciele. Od lat nic się w nim nie zmieniło i nie byłam pewna, czy zmiany są jeszcze w ogóle możliwe.

Aczkolwiek krótkoterminowe zrywy były chyba charakterystyczne dla miejsca, do którego zmierzaliśmy. Na Antarktydzie łatwo zejść na złą drogę – powiedziało mi to kilka osób na konferencji, okraszając wypowiedź soczystymi anegdotami. Znajoma pisarka, która była na Antarktydzie w ramach amerykańskiego programu dla artystów i pisarzy, ostrzegła mnie:

– Mają takie powiedzenie: „To, co się dzieje na statku, zostaje na statku. To, co się dzieje w bazie, zostaje w bazie”.

Jej zdaniem Antarktydę zamieszkuje sekretna społeczność. Jak tylko staniesz się jej częścią, normy społeczne i powinności wyparują w tajemniczy sposób. Mieszkańcy Antarktydy wdają się w katastrofalne romanse, upijają i zaczynają się przystawiać do swoich szefów albo studentów, zapominają, że w domu czeka żona z trójką dzieci.

– To dotyczy zwłaszcza mężczyzn – powiedziała, ale nie byłam zaskoczona. W końcu mniej więcej dwie trzecie osób na Antarktydzie stanowią mężczyźni. – To nawet dość zabawne.

26 LISTOPADA

Czternaście godzin. Dobrze jest znaleźć się znowu w Ameryce Południowej,

choćby na chwilę. Zasypiam nad Amazonką. Śni mi się mężczyzna. Nie znam go. Dotrzymuję mu towarzystwa. Czeka na moją przyjaciółkę Rebeke, która jest piękna. Pamiętam tylko, jakim bagnem jest zabawianie mężczyzny, który czeka na pięknieszą, bardziej uwodzicielską kobietę.

Rano lecimy nad Salta. Myślę o filmie Lukrecji Martel „La Ciénaga”, czyli „Bagno”, który kręcono w tym regionie. Brak w nim ujęcia wprowadzającego, widz gubi się, tak samo jak bohaterowie mieszkający w domu, w którym toczy się akcja. Ten zabieg podkreśla klaustrofobiczność i znaczenie filmu. Chcę to samo zrobić w powieściach, ale jak? Zacząć od środka, od wnętrza emocji. Nie wyjaśniać, utkać spójny materiał z uczuć i doświadczeń, które w rzeczywistości nie chcą się tak gładko splatać.

Max, Emilia i Nils siedzą z tyłu samolotu i oglądają filmy. Mijam ich, idąc po coś do picia albo do toalety, ale nie podnoszą wzroku. Mamy świadomość, że spędzimy ze sobą długie tygodnie, może nawet więcej, ważymy więc starannie wszelkie interakcje. Godzinami wpatruję się w mapę, na której zaznaczona jest trasa lotu. La Serena, San Juan, Tucumán, El Salvador, San Luis, Córdoba, Jujuy, Juliaca, Viña del Mar, Copiapó. Nazwy miejscowości z przesuwaną się mapy pojawiają się na sztucznym horyzoncie, a następnie znikają w smudze za nami.

27 LISTOPADA

Santiago. Wystawy sklepowe żywcem przeniesione z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Chaotyczne galerie handlowe. Palacio de la Moneda jest naprawdę brzydki. Żandarmeria wojskowa snuje się dookoła, jakby czekając na rebeliantów. Jedyne wykroczenia popełniają jednak turyści, którzy wchodzą na trawę albo na ogrodzony teren.

Jemy razem kolację. Jest wśród nas naukowiec – kto? Nie zapamiętałam imienia, mam wrażenie, że umykają mi wszystkie imiona, chociaż jest nas tylko około dwudziestki. Opowiadał mi podczas kolacji o kominach hydrotermalnych. Wznoszą się one z dna oceanu dzięki gromadzącej się pod spodem magmie. Są niczym gotyckie wazony, skręcone, ale jednocześnie stanowiące spójną całość. Powiedział, że czasem wybuchają pod ciśnieniem. Kiedy tak się dzieje, ulegają zgnieceniu niczym kawałki papieru.

Następnego ranka wyruszamy w długą podróż na południe tego cienkiego niczym wyprostowany palec kraju. Zostawiamy za sobą pokryte winnicami doliny, lecimy nad garnizonami świerków, aż wreszcie lądujemy na smaganym wiatrem pasie lotniska w Punta Arenas.

Tutaj, w hali odlotów zalanej ostrym niczym miecz światłem typowym dla najdalszych zakątków półkuli południowej, po raz pierwszy zaczynamy czuć obecność Antarktydy. Niebo ma w sobie pustkę. Nie jest to jednak pustka spowodowana brakiem. To raczej obecność czegoś ogromnego, narastającego,

co z niej emanuje w pełnej napięcia ciszy.

Ściany hali odlotów oklejone są mapami i plakatami. Na precyzyjnych rysunkach odwzorowany jest potrzaskany koniuszek Ameryki Południowej z płataniną rozrzuconych wysepek, półwyspów, fiordów i prowadzących na manowce kanałów, które kończą się ślepymi zaułkami. To Ziemia Ognista (Tierra del Fuego). Marginesy map południowej Patagonii pokryte są rysunkami tutejszych zwierząt i miejscowych Indian z plemienia Tehuelche, zanim jeszcze ich kultura została zniszczona przez hiszpańskich najeźdźców. Zawierają informacje o pochodzeniu nazwy tego koniuszka Patagonii – wzięła się ona od ognisk, które Tehuelche rozpalali nocami podczas surowej, południowej zimy. Portugalski nawigator, Magellan, i jego kompani dostrzegli ze swoich statków, jak ogień migocze na wietrze.

Stopniowo, centymetr po centymetrze, oddalaliśmy się od świata. Tylko jeden lot i wzburzony kawałek oceanu dzieliły nas od celu.

– Sama się przekonasz – powiedział podczas konferencji Paul. – Nie ma drugiego takiego miejsca jak Wyspy. – Trudno było wyczytać coś z jego twarzy. Nie miał zachęcającej miny, zachowywał kamienny spokój, jakby Wyspy stanowiły jakiś sprawdzian. Nie wiedziałam prawie nic o Falklandach, ale byłam na tyle dorosła, żeby pamiętać pełne zakłóceń transmisje z wojny w 1982 roku: płonące statki, nieodwracalnie uszkodzone przez torpedy, płynące powoli przez wzburzone morze i żałośnie wyglądających młodych mężczyzn w zielonych mundurach, którzy przedzierali się z mozołem przez bagna.

Odkąd Argentyna zabroniła lotów przez swoją przestrzeń powietrzną, jedyną komercyjną linią lotniczą latającą na Wyspy jest LAN Chile. Wsiadliśmy do ich latającego raz w tygodniu samolotu, a stewardesy oznajmiły dyplomatycznie, że naszym celem są „Las Valkan/Malvinas”. Kiedy samolot wzbił się w powietrze i skręcił w stronę oceanu, przeszył mnie lęk. Skoczyłam z klifu. Istnienie jakiegokolwiek cywilizacji za czarnymi brzegami Patagonii wydawało się niemożliwe.

Wodę znaczyły białe grzywy. Kiedy nabieraliśmy wysokości, uderzały w nas dziwne, ryczące dźwięki – skrzydła przecinały uskoki wiatru. Wybrzeże Ameryki toczyło się do tyłu, aż wreszcie połknął je horyzont.

Godzinę później z oceanu wynurzyły się poszarpane, bazaltowe skały. Na ich krawędziach zbierała się morska piana. Za nimi widać było niskie, musztardowe wzgórza. Ucieszyłam się na ich widok, choć na pierwszy rzut oka nie wyglądały zachęcająco. Były jednak lądem. Zaczęliśmy schodzić niżej, lecieliśmy dwa tysiące stóp nad ziemią przecinaną ciemnymi pasmami chmur i rzekami kamieni. Światło, ciemność, światło, ciemność. Jak u zebry.

Kazano nam zapiąć pasy. „Señores y señoras, vamos a aterrizar en las Valkan/Malvinas”.

– Czy ona powiedziała właśnie, że będziemy terroryzować Falklandy? – spytała siedząca obok mnie Tilly, specjalistka od gleboznawstwa.

– *Aterizar* znaczy lądować – wyjaśniłam. Okrążaliśmy surowe, żółte wzgórza. Wpatrując się w przysłonięty niskimi chmurami horyzont, dostrzegłam błękitne

pęknięcie. To Cieśnina Falklandzka, której kotłujące się wody upstrzone były białymi grzywami. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że to wyspy nas sterroryzują.

Wylądowaliśmy bokiem – podmuch wiatru uderzył w nas w chwili, kiedy samolot niemalże dotykał już asfaltu. Szarpnięciem sterów pilot wyprostował maszynę dokładnie w tej sekundzie, w której koła uderzyły o podłoże, tak głośno, że Tilly chwyciła mnie za rękę. Wyspiarze zaczęli klaskać. Pozostali z nas próbowali odgiąć zaciśnięte na oparciach foteli palce.

W hali z taśmociągami przywitały nas napisy. Jeden z nich wołał: *NIEBEZPIECZEŃSTWO*, nie rozwijając jednak tematu szerzej. Na przeciwległej ścianie widać było czaszkę ze skrzyżowanymi pieszczelami, pod którą narysowany był niewielki statek kosmiczny z wydostającymi się z niego promieniami – symbol min lądowych. *STOPIEŃ ALARMOWY: BIKINI*^[1] – widniało na znaku umieszczonym ponad taśmociągiem.

– To źle czy dobrze? – spytałam Tilly.

– Mogli napisać „stopień alarmowy: kostium jednoczęściowy”. Brzmiałoby poważniej.

Mężczyźni w mundurach polowych wrzucali ciężkie torby na wózki. Ustawiliśmy się w kolejce dla „obcokrajowców” – zakładałam, że chodzi o niewyspiarzy. Żandarm wbijał nam pieczątki do paszportów. Wzrok mężczyzny, który sprawdzał mój dokument, zatrzymał się na miejscu urodzenia.

– Przeniesiono mnie tam na sześć miesięcy! – oświadczył i podał nazwę bazy wojskowej położonej obok miasteczka, w którym się urodziłam, ale w którym nigdy potem nie mieszkałam. Był zachwycony spotkaniem z przypadkową krajanką w tym miejscu będącym niczym odpływ globalnego zlewu.

I zanim zdążyliśmy się zorientować, byliśmy już na zewnątrz, odpierając snopy światła słonecznego, tak jasnego i zawłaszczającego przestrzeń, że musiałam włożyć ciemne okulary. Zawieziono nas do stolicy, Port Stanley, położonej godzinę drogi od lotniska. Oglądaliśmy pierwsze widoki z rozklekotanego, szkolnego autobusu, podskakującego na wybojach.

Wpatrywałam się w musztardowe wzgórze poprzecinane rzekami kamieni. Spływały z łysych wierzchołków, wrzynając się w leżące u podnóży równiny, zrzucając kaskady ostro zakończonych gładów na skraj szutrowej drogi. Grzebały w nich groźnie wyglądające owce. Szarpał nami wiatr. Czytałam, że Falklandy to jedno z najbardziej wietrznych miejsc na świecie. Na próżno rozglądałam się za drzewami. Wydrzyki – podobne do bombowców, duże, popielate ptaki o podłużnych brzuchach – wznosiły się z trudem.

W Stanley zameldowaliśmy się w hotelu Upland Goose, czyli Magelanka Zmienna. Różowe ściany, dywan w kwiaty. Delikatny zapach pleśni. Cienkie ściany, dach z przerdzewiałej blachy.

Przywitał nas mówiący z akcentem ze środkowej Anglii mężczyzna ubrany jak szef kuchni. Wyłonił się znikąd. Miał na sobie poplamiony krwią fartuch, w rękę trzymał tasak. Dał nam klucze.

– Staramy się zadowolić gości, staramy się zadowolić gości – powiedział, jakby włączono mu tryb zapętlenia. – Sprowadzono mnie tu, żebym tu zaprowadził porządek. Tak, w Magelance Zmiennej wszystko się zmienia. – Uśmiechnął się.

Nas, kobiety, zakwaterowano w oddzielnym budynku. Caroline, która jest nurkiem, miała ogromne torby w kształcie bananów. Okazało się, że trzymała w nich płetwy i kombinezon z pianki.

– Wiem, że to gdzieś tutaj – powiedział taksówkarz – ale nie mam pojęcia gdzie.

Spojrzałyśmy na siebie. Jakim cudem w tak małej osadzie taksówkarz może nie wiedzieć, gdzie jest jakiś budynek? Pokazałyśmy mu adres: Fitzroy Road 38. W końcu zatrzymał się przy krawężniku i zapytał o drogę mężczyznę spacerującego z podobnym do wilka psem.

– Chyba nie zdał testu z teorii – wyszeptwała Caroline.

– Długo pan tu mieszka? – spytałam.

– Całe życie – odparł siwowłosy kierowca. – Urodzony i wychowany na Falklandach.

Dom nie wyróżniał się niczym, ale nadawał się do użytku. Przebudowa albo modernizacja nie miała sensu. Najbliższa IKEA była w Houston, 10 084 kilometry stąd – sprawdziłam w Google Maps.

Powiedziałam o tym Tilly.

– Nie ma co się przejmować meblami. Nie zabawimy tu długo, chyba że statek się spóźni. – Zakryła sobie usta dłonią. – Cholera. To prawie jak powiedzenie „Makbet” w teatrze.

Wieczorem dowiedziałyśmy, że nasz płynący z Georgii Południowej statek się spóźni. Będziemy siedzieć w naszym niewyróżniającym się niczym domu przez kolejne cztery dni, czekając jak na zbawienie.

29 LISTOPADA

Parzący deszcz. Dojmujący wiatr. Tutejsze słowa wydają się wymyślone. Odwrócone do góry nogami określenia rzeczy z krańca świata. „Wielorybia trawa. Ciemniejsza paproć”. Bażyna nazywana potocznie didel-di. Archipeląg liczy w sumie 778 wysp – być może wszystkie wyglądają podobnie. Wypolerowane przez wiatr cyrki lodowcowe, kwarcytowe wierzchołki upstrzone wrakami helikopterów, zakonserwowane tubki po argentyńskiej paście do zębów zostawione przez najeźdźców. Uchatki szczerzą niczym pilnujący granic celnicy. Kolonie tysięcy pingwinów białobrewych o pomarańczowych dziobach. Wyspy są ostoją dla stworzeń nie z tego świata.

Brytyjskie flagi, wszędzie owce, nawet w herbie Falklandów. Wyblakłe świąteczne dekoracje umocowane pod sufitem albo wiszące na stojącej w kącie choince. Letnie słońce na niebie. Zapach żywicy z rozgrzanych sosen. Także kokosu – z kwiatów? Rozpadające się, blaszane domki, powyginane od wiatru. Gdyby nie to, można by pomyśleć, że to szkockie przedmieścia, dzielnica jakiegoś przycupniętego na wzgórzu, rybackiego miasteczka. Pasma

krasnorostów w stalowoszarej wodzie.

W takich miejscach wszystkie animozje się nasilają. Spory, antypatie, otwarta nienawiść – wszystko jest tu zagęszczone. Nie ma dokąd uciec, nie ma się czym zająć. W takim miejscu zastanawiasz się, dlaczego tu jesteś. Wygnanie błyskawiczne, jak zupka w proszku.

W ciągu jednego dnia przeszłam wszystkimi ulicami miasta. Na jego obu krańcach stały przysadziste monumenty upamiętniające wojnę, świeżo obsypane makami. Nawet bez tych pomników czuć było obecność wojny. To milcząca, ale buntownicza kraina. Nie pozwoliłaby się wziąć bez walki, ta grupa wysp, która dla żadnego kraju nie stanowiłaby nagrody, ta wojownicza Gondwana, osierocona przez swoich geologicznych rodziców – Patagonię i południową Afrykę.

Nazywano nas teraz FIDS-ami, od Falkland Island Directive Survey – tak brzmiała wcześniejsza nazwa British Antarctic Survey. Snuliśmy się po mieście, z niedowierzaniem przyglądając się lokalnej gotówce. Banknoty wyglądały jak sfałszowane i nie można się nimi posługiwać nigdzie indziej. Były na nich wizerunki owiec, a nie, jak można by się spodziewać, podobizna Margaret Thatcher, zbawczyni wysp, traktowanej tu jak święta.

Żołnierze piechoty morskiej maszerowali ulicami w czapkach koloru wina albo jeździli armadą land roverów, a z ich anten powiewały malutkie brytyjskie flagi. Spotkaliśmy człowieka, który wypychał delfiny i wieloryby, preparując najpierw ich skóry, i zwiedziliśmy wystawę w jego ogrodzie. Zrobiliśmy sobie zdjęcia w czerwonej budce telefonicznej przed pocztą, na dowód, że po przebyciu 13 tysięcy kilometrów i przedostaniu się na drugi koniec kuli ziemskiej znowu znaleźliśmy się w Zjednoczonym Królestwie.

W Stanley czas się zatrzymał, i to na kilka sposobów. Bywalcy pubów wpatrywali się intensywnie w przestrzeń. Stojący przy barze mężczyźni odwracali się jak jeden mąż i spoglądali przez ramię. Wszyscy mieli tu ogorzałe od wiatru policzki i niebieskie oczy, tak jasne, że niemal przezroczyste. Ich skóra miała czerwonawy, prawie indiański odcień. Mówili przez nos, trochę jak Australijczycy.

Pustka tego miejsca urzekała. Była w oceanie, którego wody kotłowały się zaraz za wąskim pasem lądu, ochraniającym port w Stanley, i w tym, że żaden ląd nie oddzielał tych wysp ani od Antarktydy, ani od Australii. Czuć ją było we wszechobecnym niebie poprzecinanym dziwnymi, podłużnymi chmurami; rozdieranym codziennie przez myśliwce robiące wypadki z bazy Mount Pleasant. Czaiła się w spokojnym krajobrazie samych wysp, których historia i kultura toczyła się na nieurodzajnych farmach i w blaszanych szopach. Powiedziano nam, że w Stanley nigdy nie było kina. „Kręgielni też nie”, zauważył jeden z wyspiarzy, nie wiadomo dlaczego. Pozornie miejsce to przypominało miasteczko gdzieś na Hebrydach, ale nie było dokąd pojechać. Nie latały stąd samoloty, którymi można by dotrzeć w godzinę na przykład do

Glasgow. Jedyne miejsce, w jakie można dolecieć, to ojczysty ląd, oddalony o 13 tysięcy kilometrów. Dla porównania, wybrzeże wroga, czyli Argentyny, jest położone o 480 kilometrów.

Wieczorami niebo przybierało kolor benzyny. Oddychanie powietrzem tych wysp było niczym picie szampana. Czułam się lekka i pełna życia.

Weszliśmy całą grupą do pubu. Wszystkie oczy skierowały się na nas. Bywalcy obserwowali, jak niewprawnie gramy w rzutki.

– Jak sądzisz, dlaczego tak się w nas wpatrują? – spytałam Maxa.

Wzruszył ramionami.

– Jesteśmy świeżym mięsem.

Spotkałam już Maxa wiele razy. Ścieżki nas wszystkich się teraz ciągle przecinały. Podczas tych dni, które spędziliśmy niczym małżonkowie czekający na swoją drugą połówkę – Antarktydę, wpadaliśmy na siebie w jedynym supermarkecie w mieście i na basenie.

Był wysoki i jasnowłosy. Miał zielone oczy, które zazwyczaj budzą moją nieufność – nie wydają się całkiem prawdziwe. Jego twarz miejscami opadała jak stok narciarski. Kości policzkowe wysklepiały się nad muldami. Miał piękne, choć za mocno zaciśnięte usta. Wyglądał jak świeżo wyrzeźbiony, jakby do idealnego życia powołał go jakiś anatom.

Miał w sobie coś z wojskowego, tak jakby z niechęcią porzucił naturalną skłonność do wydawania rozkazów. Szybko zauważyłam, że był jednym z tych ludzi, którzy albo cię lubią, albo nie, i nie zastanawiają się nad tym za wiele. Decyzyje same się dla nich podejmują.

– Przypominasz mi moją byłą – powiedział.

– To dobrze czy źle?

– Fizycznie jesteś do niej niesamowicie podobna. – To była cała odpowiedź, wygłoszona chłodnym głosem diagnosty. A może to wina lekkiego, niemieckiego akcentu. Miałam wrażenie, że zostałam poddana badaniu.

W innych okolicznościach może bym go unikała, ale na Południu nie było to możliwe. Trzymaliśmy się wszyscy razem podczas tych dni w Stanley. Suzanne była na statku. Mogła wyrwać się ze swojego życia na dłużej niż ja, udało jej się więc załapać na opłynięcie statkiem leżących wokół Antarktydy baz. Zatrzymywali się w Signy, w King Edward Point, a także w miejscu pochówku Ernesta Shackletona na Georgii Południowej.

Wszyscy ciągle na siebie wpadaliśmy. Chodziliśmy na długie spacery, żeby pooglądać pingwiny na Volunteer Point albo żeby pograć w piłkę nożną pięć na pięć. W tym czasie prowadziliśmy z Maxem długą rozmowę, którą bez trudu wznawialiśmy po każdej przerwie.

Podczas pierwszego z tych wielu leniwych dni w Stanley, zaraz po tym, jak powiedziano nam, że statek się spóźni, poszliśmy do położonej za miastem latarni. Jej czerwono-biały postument był popularnym celem spacerów. Po drodze mija się obowiązkowe pole minowe, zmarnowane owce i lichą szope, w której przechowuje się, jak nam powiedziano, karabiny maszynowe. W dniu, w którym Argentyńczycy powrócą, wypiarze ustawią się po nie w kolejce, tak

jak londyńczycy stoją po kanapki w Pret A Manger.

Max był ciekawym rozmówcą. Jako klimatolog interesował się szerszym kontekstem, tym, jak kawałki układanki składają się w całość.

Powiedział mi, że jest po części Francuzem, a po części Niemcem. W obu tych językach mówił równie dobrze, jak po angielsku. Nie chciał powiedzieć, czym zajmował się jego ojciec, zdradził tylko, że „siedział w finansach”. Pomyślałam, że handlował bronią. Albo był inwestorem. A może zajmował się i tym, i tym. Cokolwiek robił, Max miał w sobie rezerwę charakterystyczną dla ludzi bogatych.

Aż do liceum uczył się w szkole w Anglii. To tłumaczyło doskonałą wymowę. Jego ojciec jednak mieszkał przez trzy lata w Nowym Jorku, a samogłoski Maxa niosły w sobie mgliste wspomnienie amerykańskiego akcentu. Studiował najpierw fizykę, a następnie glaciologię. Chciał wstąpić do wojska i zastosować swoją wiedzę w praktyce, na przykład jako inżynier albo specjalista do spraw modelowania i symulacji działań wojennych, ale zafascynowała go nauka.

– To klucz do wszystkiego – powiedział. – Może wyjaśnić całą przeszłość i całą przyszłość.

Doktorat Maxa miał dotyczyć formowania lądolodu. A także kwestii, dlaczego, osiągnąwszy apogeum po licznych cyklach zamarzania i topnienia, pokrywa lodowa zaczyna się cofać. Dlaczego planeta musiała przejść przez traumę kolejnych epok lodowych po to, żeby móc na nowo rozkwitnąć? Powiedział mi, że choć kolejne zlodowacenia prowadziły do wyginięcia wielu gatunków, to kiedy ustępowały, ptaki, ssaki, owady i rośliny wykonywały gigantyczny skok ewolucyjny. Ziemia rozkwitała w chłodzie, a nie w upale.

– Prawda jest taka, że niektóre gatunki skorzystały na epokach lodowych – powiedział. – Na przykład ludzie. Ostatnie zlodowacenie zrobiło miejsce dla *homo sapiens*, który stał się dominującym gatunkiem.

Tak się skupiłam na przetrawianiu tej idei – że lód nie oznaczał tylko mroźnej przerwy, że mógł przyspieszyć rozwój ludzkości, a nie włączyć przycisk pauzy na tysiące lat – że nie dosłyszałam kolejnego pytania.

– Twoja powieść będzie o zmianie klimatu?

– Tak naprawdę nie da się pisać powieści o czymś tak ogólnym. Powieść musi dotyczyć emocji, musi opierać się na zdarzeniach i bohaterach. Chcę nadać życie temu, czego doświadczę na Antarktydzie.

Powiew wiatru wcisnął nam włosy do ust. Na Falklandach wiatr jest naprawdę inny. Pojawia się bez zapowiedzi, jak pojedyncze uderzenie energii. Całkiem jakby przed chwilą został wytworzony przez ziemię. Wyjęłam pasmo włosów z ust i zaśmiałam się.

Max zmarszczył brwi.

– Co cię tak śmieszy?

– To, że próbuję wyjaśnić, co to znaczy pisać powieści. Tutaj. Tobie.

Na jego twarzy pogłębił się wyraz niezadowolenia. Widziałam, że zastanawia się, czy „tobie” można potraktować jako coś pozytywnego.

– Chodzi o to, jakie to jest wszystko nieprawdopodobne – wyjaśniłam. Czuję,

jak umyka mi ta chwila, przedziwnie rozszczepiona, złożona ze mnie, stojącej pod latarnią morską na końcu świata i próbującej objaśnić aspirującemu, dwudziestotrzyletniemu klimatologowi, czym jest pisanie powieści, czynność tak poukładana i niemrawa, podczas gdy targa nami huraganowy wiatr.

Wpuściłam ją. Wewnątrz mnie zapłonęła iskra samotności. Max ją dostrzegł, a przynajmniej coś wyczuł, ponieważ w drodze powrotnej zaczął mnie podnosić na duchu, oplatając siecią doniosłych pytań. Czy wierzysz w prawdę absolutną, w jej istnienie? Dlaczego interesuje cię przestrzeń emocji? Piszesz dlatego, że chcesz, czy też masz taką potrzebę? Jak chęci i potrzeby się ze sobą wiążą? Jaki jest związek emocji i intelektu u pisarza?

W przypadku większości ludzi potraktowałabym takie przepytywania jako przejaw poczucia wyższości, element przeciągania liny, któremu oddajemy się, walcząc o dominację. Zaskoczyło mnie, z jaką gotowością i pewnością siebie odpowiadałam na wnikliwe pytania Maxa. Miał w sobie mnóstwo energii, ciekawości i elokwencji. Podczas tych dni nieróbstwa zauważyłam wiele drobnych gestów, które zdradzały, jaki to serdeczny i przemiły człowiek. Przeczynałam jednak, że najdrobniejsza oznaka słabości – czy to charakteru, czy też zamiarów – sprowokuje go do pokazania jego najbardziej oczywistej cechy, tej charakterystycznej dla pewnych siebie młodych mężczyzn skłonności do skakania komuś prosto do gardła. Nie chciał się nikomu przypodobać, nie przejmował tym, czy coś jest stosowne. Nie dbał o to, jaki skutek wywrą na mnie jego pytania. Chciał się po prostu dowiedzieć, więc pytał. Było coś orzeźwiającego w jego podejściu, chociaż chwilami zaczynałam podejrzewać, że traktuje mnie jak kolejny lodowiec, który trzeba przewiercić, żeby zebrać dane.

Równie dobrze mogliśmy być przedstawicielami innych gatunków, Max i ja. On był młody, przystojny i pewny siebie. Wychowano go na diecie z afirmacji i pochwał. Byłam od niego o czternaście lat starsza. Żyłam już na tej planecie na tyle długo, żeby zrozumieć, iż życie potrafi zdemontować pewność siebie i siłę, którą na początku być może posiadaliśmy. Oddaliśmy się od siebie samych, aż w końcu stajemy się tylko księżycami krążącymi wokół słońca, którym we własnym mniemaniu niegdyś byliśmy.

1 GRUDNIA

Poranek w Stanley. Zaczyna wiać o ósmej trzydzieści. Wkrótce wiatr uderza mocno niczym deska. Z zachodu nadchodzą chmury. Kokosowy zapach okazuje się pochodzić od kolcolistu.

„Queen Elizabeth II” ma przypłynąć dzisiaj. Patrzymy, jak cumują motorówki. Turyści płaczą się pod nogami. Kupują pluszowe pingwiny w sklepie z pamiątkami i jogurt w West Store. Pasażerami są wytworni mężczyźni z kremowymi szalikami owiniętymi wokół szyi i szczupłe kobiety w brązowych butach za kostkę. – Argentynicy – mówi ponuro kasjer z West Store’u.

Dzisiaj idziemy na spacer po planetach. To jedno z wielu dziwactw tego miejsca – wokół portu w Stanley umieszczono model Układu Słonecznego.

Planety są ułożone w odstępach, które mają pasować do rozmiaru Słońca. Samo Słońce leży przed wrakiem okrętu „Jhelum”, a Pluton jest już za miastem, gdzieś na Mount Tumbledown.

Pogoda się zmienia. Nadszedł sztorm, przynosząc ze sobą deszcz i gwałtowne opady gradu, podczas gdy druga strona nieba pozostała spokojna i wiosenna. Ktoś mówi, że takie właśnie są Falklandy. Cztery pory roku w ciągu jednego dnia.

Niezwykła natura Falklandów odegrała swoją rolę w tym okresie beczynności. Oderwaliśmy się od naszego zwykłego życia i upijaliśmy ożywczym powietrzem. Chodziłam po ulicach Stanley z uśmiechem na ustach, a w ciemnych okularach odbijało się słońce, niemal nieoddzielone warstwą ozonową. Mijałam Deano – bar dla niegrzecznych chłopców i piekarnię, która produkowała mnóstwo białych bułeczek, podróbek pieczywa z Greggsa. Przechodziłam obok posterunku policji z lat siedemdziesiątych i obok magelanek drzemiących w słońcu lub skutecznie przycinających miejską zieleń. Wiedziałam, że sam przyjazd na koniec świata pozwolił mi wyrwać się z nienazwanego więzienia.

Następnego dnia pojechaliśmy na wycieczkę, pakując się do land roverów. Jeździliśmy po łysych wzgórzach, które w słońcu przybierały płowy kolor. Zatrzymaliśmy się obok zadbanego, białego domu, z oknami wychodzącymi na plażę w kształcie półksiężyca, i ruszyliśmy pieszo przez bagna, po przypominającym mokre espresso torfie. Magelanki witały nas głośnym kwakaniem. Wszystkie krzewy zostały ubite przez wiatr na kształt bonsai.

Przed nami była kolonia pingwinów. Usłyszeliśmy nieznaną gwar, arras utkany z ostrych pisków sonaru. Okazało się, że pingwiny są gadułami. Stały dziób w dziób za wydumą, niczym miniaturowi mężowie stanu, i prowadziły ze sobą poważne rozmowy. Tysiące pingwinów królewskich zbierały się na tej plaży, żeby odchowić młode. Nie spodziewałam się, że późnolistopadowe słońce będzie tak przeszywające. Zalany złotym blaskiem ocean pokrywały błękitne cekiny.

Razem z Maxem poszliśmy dalej, pustą, białą plażą obramowaną nefrytowymi cieniami. Patrzyliśmy na wynurzające się z fal niewielkie, czarne kształty, gładkie i lśniące w słońcu. Pierwszy raz w życiu widziałam pingwiny na wolności i miałam wrażenie, że pochodzą z innego wymiaru. Wyłaniały się z oceanu, otrzepywały z wody swoje schludne, szaro-czarne kostiumy kąpielowe, tylko po to, żeby się rzucić prosto na piach. Zatrzymywały się na skraju mokrego piasku, zamykały oczy, kiedy uderzała w nie uniesiona wiatrem chmura pyłu, i wyruszały w stronę swoich nor na wydmach.

Staliśmy na plaży, wydłubując ziarenka piasku z oczu. Poraziła nas ta zmiana świata, który wydawał się całkiem inny, całkiem nowy, tylko dlatego, że przemieściliśmy się w inne miejsce planety. Przyjemnie było tak się oderwać od rzeczywistości.

Powiedziano nam, że musimy pójść dalej. Pod żadnym pozorem nie wolno było

niepokoić pingwinów naszą obecnością. Dołączyli do nas pozostali, a najwyżsi z naszej grupy, w tym Max, ustawili się z przodu, osłaniając resztę od wiatru. Max górował nad wszystkimi. Przechylał głowę, żeby lepiej słyszeć, co mówimy – wiatr wyrwał nam słowa z ust. Od czasu do czasu wybuchał śmiechem, odrzucając głowę do tyłu, albo przysuwał się bliżej do swojego rozmówcy, zaśmiewając się przy tym. Kroczył energicznie i sztywno, co nie do końca pasowało do jego wieku.

Ostatniego wieczoru w Stanley, zanim wsiedliśmy na statek, w Women's House przy Fitzroy Road 38 wyprawiono pożegnalną kolację. Przyszedł Nils, a także Max, Emilia, zajmująca się gleboznawstwem Patricia, Tilly, Veronique – „pani od ośmiornic”, która porzuciła swoją specjalizację, żeby spędzić lato na obrączkowaniu pingwinów, Caroline – nasz kierowca, i ja. Stoły zastawione były butelkami cydru Savanna i chilijskiego wina.

Max wszedł i od razu zapytał:

– Mogę zobaczyć twoje książki? – Nie zawahał się nawet przez chwilę, tak jakby od dłuższego czasu o tym myślał.

Pokazałam mu je. Przeczytał stronę lub dwie. Odczytał linijkę na głos, przy wszystkich – zapomniałam którą – i zapytał:

– Czy to twój instynkt pisarski pomaga ci odczuwać ból?

Pytanie uderzyło mnie jak obuchem.

– Może mam jeszcze inny instynkt, którego nie zauważyłeś?

Skrzywił się i odwrócił wzrok.

Impreza trwała. Max przyniósł ciasto. Zanim je podano, zgasił światło i zapalił świeczki na stole.

Przywiozłam ze sobą jeden numer „London Review of Books” do poczytania (sądząc, jak się okazało, słusznie, że pismo nie będzie łatwo dostępne na Antarktydzie). Była w nim recenzja wystawy Edvarda Muncha, tego od *Krzyku*.

W późnych latach swojej kariery Munch napisał: „Druga połowa mojego życia to walka, żeby utrzymać się na prostej drodze. Ścieżka prowadzi mnie na skraj przepaści, dołu bez dna. (...) Od czasu do czasu próbuję zejść ze ścieżki i rzucić się w tłum, między innych ludzi. Za każdym razem jednak muszę wracać na ścieżkę nad klifem”.

Tematem dzieł Muncha była depresja, rozpacz, ból zazdrości. Stał się malarzem życia wewnętrznego, zwłaszcza w czasie swojego pobytu wśród cyganerii Berlina i Oslo (które wtedy nazywało się Kristiania).

Artykuł w „London Review of Books” zilustrowano reprodukcją szkicu, który posłużył do stworzenia obrazu *Wesele cyganerii*. Spojrzałam na nasz falklandzki stół. Grupa ludzi zgromadziła się na uroczystej kolacji, srebrzyste światło dalekiego południa, brzegi pizzy, puste butelki po piwie i chilijskim winie, resztki ciasta. W Kristianii goście Muncha, z zamazanymi twarzami, przy spartańsko zastawionym stole: dwie butelki wina, jedno danie, deser. Szczęśliwa para młoda w skromnych strojach weselnych siedzi przy końcu stołu.



Munch był pełnym melancholii romantykiem. Choć był przystojny, nie znalazł partnerki. Często chodził na przyjęcia, na których piękne, ponętne kobiety mówiły coś druzgocącego. Mimo że dobrze wyglądał, nie przyciągał miłości ani szczęścia i dobrze o tym wiedział.

Nagła wiosna na Falklandach, pachnące jak krem do opalania kolcolisty, nieznana mi wcześniej ostrość słońca i wiatru pobudziły mnie do życia. Teraz jednak byłam niepokieszona niczym siedząca przy stole kobieta z obrazu Muncha. Radość wyparły surowe, białe pasma niepokoju. W uwadze Maxa usłyszałam dźwięk ostrzenia noży. Krytyka i intymność zawsze płynęły dla mnie tym samym nurtem.

Noc ociągała się na tym zapomnianym przez świat równoleżniku. W moim umyśle wybuchła bijatyka. Zawsze byłam podatna na nagłe napady depresji, nastrój zmienia mi się w mgnieniu oka. Chwila, w której Max i ja mogliśmy zostać przyjaciółmi, odpłynęła w nieznane i nikt oprócz mnie tego nie zauważył.

Shades of Light zamykają o szóstej. O siódmej jestem już na zewnątrz; w międzyczasie rozliczam kasę i ścieram kurze – kłębki kurzu zbierają się na witrażowych motylach, ręcznie farbowanych, jedwabnych apaszkach, kartkach okolicznościowych produkowanych przez lokalnych artystów, suszonych rozgwiazdach i pieniążkowcach. Bursztynowożłote światło zalewa sklep. Jest już prawie wiosna, zima wreszcie zaczęła rozluźniać swój uścisk.

Droga do domu prowadzi uporządkowanymi ulicami. Trzeba minąć dziesięć przecznic, ale kiedy jest jasno, idę na skróty przez stare tory kolejowe. Miasto się zmienia – stary młyn i fabryka butów Baty są

zamieniane na „luksusowe apartamenty”. Na billboardach widać jasną przestrzeń bez ścian i urządzenia z lśniącego chromu.

Już od czterdziestu lat w mieście nie zatrzymują się pociągi pasażerskie. Teraz jeździ tędy tylko pociąg ze zbożem. Przemyka się dwa razy w tygodniu, przywożąc pszenicę i żyto do silosu. Stary magazyn obok torów niedawno przekształcono w pralnię. Zimą przechodzę przez kłęby pary buchającej z okien. Teraz, wczesną wiosną, unosi się tam mdła woń mydła.

Wkładam kasetę do walkmana – Siouxsie and the Banshees. Nie słyszę zatrzymującego się samochodu.

– Hej. HEJ!

Wyciągam słuchawkę. Biało-niebieski samochód dogonił mnie, zanim zdążyłam wejść na tory.

– Gdzie idziesz? – Michael nie włączył koguta.

– Jeździsz za mną?

Śmieje się.

– Po prostu się rozglądam. Taką mam pracę, przecież wiesz.

– Gdzie Donna?

– W domu, robi lekcje. Ty chyba też powinnaś?

– Niektórzy muszą pracować.

Michael schował głowę z powrotem do auta.

– Tylko bądź ostrożna. Patrz dookoła. Ja bym nie chodził z walkmanem, nie teraz. Nara! – W jego ustach brzmi to jak „narra”.

– Narra. – Zastanawiam się, czy zauważył, że go przedrzeźniam, ale on po prostu odjeżdża.

Wiosną las pachnie ściółką i tajemnicą. Od dziecka mam w lesie przywidzenia. Widzę różne stwory, podobne do ludzi, pokryte ciemną sierścią, rozpływające się między drzewami. Czasem widzę ogromne wilko-niedźwiedzie. Nie boję się ich. Mam wrażenie, że próbują mnie unikać. Nie rzucają cieni, a ich obraz zlewa się w jedno na mojej siatkówce.

Chodzimy z Donną po lesie obok zapory. Drzewa są jak szkielety na tle nieba. Wkrótce będą miały liście. W tym rejonie wiosna uderza niczym młot.

Mój ulubiony przedmiot w ostatniej klasie liceum to geografia. Uczymy się o karbonie – epoce, w której powstały złoża węgla, przynoszące niegdyś bogactwo tej prowincji. To była era paproci, bagien i ogromnego ciśnienia, które zmieniało powalone, wilgotne drzewa w grafit. Uczymy się, że grafit to właściwie to samo, co diament – różnią się tylko jednym wiązaniem.

Pan McIsaac, nasz nauczyciel geografii, mówi, że musimy patrzeć na krajobraz i szukać śladów po lodzie, który kiedyś pokrywał cały ten teren. Mamy czytać historię odejścia lodu – rozdziałami są głazy, pojedynczymi akapitami drumliny i bruzdy polodowcowe, okruchy miki i malachitu. Kiedy lód wycofywał się pospiesznie na północ niczym zwijający się, gigantyczny wąż, zostawił po sobie całe to zwałowisko. Dowiadujemy się, że nasz krajobraz to wytwór nieistniejącej już pokrywy lodowej, która sięgała prawie

do Morza Śródziemnego.

Jeździmy z Donną do lasu, żeby spacerować, rozmawiać, a czasem przysiąść na pniu i wypić szybko piwo w tajemnicy przed rodzicami, machając nogami dla rozgrzania.

Mam siedemnaście lat, Donna jest o rok starsza. Przeskoczyłam jedną klasę. Uczę się w przyspieszonym trybie, przez co mam wrażenie, że wystrzelono mnie w przyszłość z katapulty. Za osiem tygodni skończę liceum. Część z nas nie wie, co będzie później. Nawet ci, którzy wybierają się na studia, nie mają pojęcia, czego się tak naprawdę spodziewać. Nie wiemy, jakie to wszystko będzie ulotne, ta przerwa od życia, okres, w którym nie należymy już do przeszłości, a przyszłość się jeszcze nie zaczęła.

Idziemy po dywanie z sosnowych igieł, ubitych zimą na miązgę pod ciężarem dwóch stóp śniegu i lodu. Kępki popielatych grzybów rosną w ciemnych kałużach, do których przez całą zimę nie docierało światło. Warstwy rozmrażających się liści klonowych wzdychają pod naszymi stopami.

Znajdujemy pień i z mocnej, papierowej torebki wyciągamy dwie butelki piwa. Chowamy je za plecami. Musimy uważać na straż parku albo, co gorsza, na policję. Picie alkoholu w miejscach publicznych jest niezgodne z prawem. Bardziej niż policji boimy się rodziców Donny, zwłaszcza jej potężnego, surowego ojca – lokalnego barona cementowego i całkowitego abstynenta. Nawet Michael, starszy brat Donny, który pracuje w policji, mógłby nie dać rady nas uratować, gdyby nas nakryto.

– Michael mnie wczoraj zatrzymał.

– Szczęściara.

– Chyba chciał mi powiedzieć, że nie powinnam chodzić na skróty przez tory.

Donna pociąga kolejny łyk.

– No cóż, może nie powinnaś.

– Nie chcę żyć w strachu.

– Nikt nie chce. Trzeba być praktycznym. W tej sytuacji.

– Michael go szuka?

– Wszyscy go szukają. Michael nie pozwala mi wracać samej do domu. Patrol odbiera mnie ze szkoły. Nie muszę mówić, że moja popularność spadła na łeb na szyję. – Donna uderza się lekko butelką w głowę.

– Nie masz się o co martwić, zawsze będziesz popularna.

Mam tylko trzy albo cztery przyjaciółki, być może przez to, że przeprowadziłam się tu dopiero w gimnazjum, za późno, żeby wywalczyć sobie miejsce w lokalnej hierarchii. Moje pozostałe przyjaciółki – Christine, Summer i Morgana – to córki hippisów. Mieszkają w domach z bali, a w ich kuchniach pełno jest soczewicy. Donna to jedyna normalna przyjaciółka, jaką mam. Jej rodzina mieszka tu od dawna. Rodzice są bardzo religijni, zarówno oni, jak i szóstka rodzeństwa, cały czas mają oko na Donnę. Szczególnie dokucza jej bezustanny nadzór Michaela. Dopóki nie wstąpił do

policii, był naszym sprzymierzeńcem. – Teraz zadziera nosa – mówi Donna. Jeśli Michael dowie się czegokolwiek o prawdziwym życiu Donny, wywiezie ją na całe lato do Ontario na obóz zielonoświątkowców.

Panuje tu całkiem inny klimat niż na wyspie, na której się urodziłam, dziesięć godzin drogi autostradą stąd. Tutaj zimy są surowe, a lata wilgotne i pozbawione uroku.

W powietrzu nadal czuć chłód. Drżymy z zimna w puchowych kurtkach, idąc wąskimi ścieżkami wśród świerków. Ta prowincja jest tak gęsto zalesiona, że niektóre jej obszary nie mają nawet dokładnych map. Z samolotu wygląda to jak czarna płatanina poprzecinana piaskowymi arteriami leśnych dróg. Miasto, w którym mieszkamy, ma sporo mieszkańców, ale szerokie, spokojne ulice, położone wzdłuż drogi sklepy i sąsiadujące z KFC i barem Dairy Queen lodowisko nadają mu małomiasteczkowy klimat. Przeprowadziłam się tu do matki, którą poznałam dopiero sześć albo siedem lat temu, żeby skończyć szkołę. Wcześniej mieszkałam z babcią w stolicy prowincji. Chodziłam tam na lekcje rysunku i stepowania, a moi koledzy z klasy pochodzili z Kolumbii i z Niemiec.

– Nie mogę się doczekać, aż się stąd wyrwę – wzdycha Donna, podnosząc wzrok w górę, w stronę przecinających niebo gałęzi. – Te dwa miesiące będą trwały wieki. Wiesz, że nie mam pojęcia, co to są za drzewa?

Sumak. Modrzew. Na geografii nauczyłam się rozpoznawać tutejsze drzewa: wiąz syberyjski i szypułkowy, głóg, wawrzyn, sosnę Banksa, osikę, modrzew amerykański – drzewa, które użyczyły swoich nazw ulicom tego miasta, razem z kilkoma postaciami historycznymi. Ich nazwiska powtarzają się po wielokroć, zacne, angielskie nazwiska osadników, którzy przybyli do tej prowincji i od razu zaczęli odzierać ją z drzew, minerałów, ryb i zwierząt.

– Nie powinniśmy tu za długo siedzieć. – Donna trzęsie się z zimna. – Tata mówi, że kiedy o tej porze roku jest tak zimno, można się spodziewać gorącego lata. Ale użył słowa, którego nie znam. Zaczyna się na s i brzmi podobnie jak „parny”.

– Skwarny – mówię. – Skwarne lato.

[1] Jeden ze stopni alarmowych używanych dawniej w Wielkiej Brytanii w sytuacji niespecyficznego zagrożenia, np. związanego z zamieszkami, wojną lub terroryzmem. Według brytyjskiego Ministerstwa Obrony, słowo „bikini” zostało przypadkowo wybrane przez program komputerowy (przyp. tłum.).

4. WIR

LODOWE KWIATY

Tworzenie się kryształów lodu poprzez kondensację wilgoci z powietrza na powierzchni młodego lodu.

4 GRUDNIA

Stawiamy żagle i wypływamy na Ocean Południowy. Marynarze wciąż mówią „stawiamy żagle”, chociaż to cztery silniki i rodzaj oleju napędowego nazywany olejem żeglugowym sprawiają, że się przemieszczamy.

Statek wypływa z portu, odwraca i lekko kołysze na tylnych stabilizatorach. Prześlizgujemy się po spokojnych wodach Cieśniny Falklandzkiej – wąskiego pasa wody oddzielonego od otwartego oceanu zaledwie przez kilometr lądu. Spokój jest zwodniczy – po drugiej stronie cypla rozciąga się zupełnie inne morze. – Płyniemy prosto w sztorm. Osiem w skali Beauforta – ostrzega nas kapitan David. – Będziecie musieli szybko nauczyć się chodzić po bujającym się pokładzie.

Kiedy statek zмага się z falami, gramy w scrabble w barze. Patrzę, jak Nils, mój przeciwnik, nagle zielenieje. Porzuca planszę i pospiesznie wychodzi. Im mocniej huśta, tym lepiej się czuję. Nagła niestabilność podłoża pod stopami dodaje mi wigoru. Staję na chwilę za barem, zapierając się nogami o zlew, żeby nie uderzyć nagle twarzą o maszynę do lodu.

Następne w kolejności są ćwiczenia bezpieczeństwa. Siedzimy w barze w towarzystwie kamizelek ratunkowych i duszących osłon z peluru, nazywanych maskami przeciwdymowymi, które zabarwiają świat na bursztynowo. Mike, główny steward, instruuje nas, jak postępować w przypadkach różnych katastrof. Mówi z tak silnym, brzęczącym akcentem z Glasgow, że rozumiem mniej więcej co trzecie słowo: – Brrr... góra lodowa! ... Grrr... alarm pożarowy!... Punkt zbiórki... brgggrrr... wszyscy!

Okazuje się, że pożar jest równie poważnym zagrożeniem, jak przewrócenie przez falę czy awaria silnika. Pożar na pokładzie potrafi się błyskawicznie rozprzestrzeniać. Szybko wymyka się spod kontroli w łatwopalnym, bogatym w tlen otoczeniu. Ćwiczymy gaszenie ognia i zakładanie masek przeciwdymowych, a oddech świszczuje nam głośno w uszach. Na pokładzie uczymy się, jak opanować grube, wijące się węże pożarnicze.

Po ćwiczeniach popadamy w przyjemną rutynę okrętowego życia: kolacja na dwie tury (jest nas zbyt wielu, żeby się zmieścić w stołówce) – jedna o osiemnastej, druga o osiemnastej trzydzieści, obiad o dwunastej i dwunastej trzydzieści, śniadanie zaś o siódmej i siódmej trzydzieści. Każdy wie, o której

przychodzi – nie wolno nam po prostu wejść, kiedy chcemy. Po kolei jesteśmy też na gaszu, czyli mamy dyżury porządkowe.

Nocą w kabinie kołyszę się przez sen. Śnię o falach tsunami, które przewracają statek, ale wszystkim udaje się przeżyć, a zamiast antarktycznych wód mamy wokół siebie tropikalne morze. Wyrzuceni ze statku, próbujemy trzymać się kadłuba, ale palce ślizgają nam się na maziowatych wodorostach. Budzę się i odnotowuję nasilenie emocji, które odczuwam, poruszając się po statku w ciągu dnia albo patrząc przez ogromne okna na mostku – osamotnienia, niepewności, strachu, podziwu, wdzięczności.

Jest jeszcze jeden aspekt życia na statku, który trudno zdefiniować. To klaustrofobia wymieszana z ekscytacją. Nic nowego nie wydarzy się nam przez kolejne dwa tygodnie. Jesteśmy zamkniętą społecznością. Na dłuższą skalę mogłoby się to przerodzić w znudzenie i poczucie nieuchronności, które prowadzi do konfliktów. Jednak w tych pierwszych dniach odosobnienie jest dla nas wciąż czymś tajemniczym i pełnym dramatyzmu. Skoro nie możemy od siebie uciec, czas na emocjonalne rozrachunki.

Max tkwił na progu mojej kabiny. Przyczepiałam właśnie do ściany pocztówki ze zdjęciami Franka Hurleya z ekspedycji Shackletona. Mężczyźni o rozpromienionych twarzach uśmiechali się do mnie, pijąc herbatę z menażek i mierzwiąc sierść jednego z psów zaprzęgowych.

– Co będziesz robić?

– Co masz na myśli?

– Przez cały dzień, kiedy my będziemy się zajmować badaniami?

Każdy na statku miał swoje obowiązki – oficerowie pełnili czterogodzinne wachty, naukowcy zajmowali się oceanografią przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, kucharze i stewardzi przygotowali Yorkshire pudding w kuchni.

– Będę pisać.

Max oparł się o nadproże.

– O czym? Nic się jeszcze nie dzieje.

– W takim razie będę pisać o tym, co się nie dzieje.

Zmarszczył brwi. Wiedział, że unikam odpowiedzi, i nie podobało mu się to.

Ustałam.

– Będę pisać poezję. Mam zamiar napisać wiersz pod tytułem „Nocne wiadomości”. Zainspirowały mnie nocne rozkazy w dzienniku okrętowym na mostku.

Nocne rozkazy to coś, co kapitan zapisuje, zanim pójdzie spać, o ile to nie on ma wachtę. To instrukcje dotyczące żeglowania, kursu, który należy utrzymać, prędkości, niebezpieczeństw, na które trzeba uważać. Wszystkie kończą się tym samym zdaniem: „Wezwać mnie w razie konieczności lub jakichkolwiek wątpliwości”.

Od dwudziestu czterech godzin byliśmy na morzu. Miałam wrażenie, że cały czas śpię. Podobno jest to normalne na początku każdego rejsu, zwłaszcza na

wzburzonych falach. Ucho wewnętrzne ciężko pracuje, utrzymując równowagę w świecie, który zaczął się zniecackać, a to męczy mózg. Zaczynałam się też przyzwyczajać do ciągłych kopnięć prądem (ładunki elektryczne gromadzą się w zamkniętym otoczeniu), do zataczania się po korytarzach, objęcia o ściany, zerkania podejrzliwie na miskę z zupą podczas obiadu i pilnowania, żeby się nie wywróciła, a także do tysięcy innych, drobnych zmian, które zachodzą, kiedy przeprowadzamy się na kolejkę górską.

Na statku życie stało się lżejsze. Było tak, jakby pobyt na morzu stał się celem samym w sobie. Jedynym sensem naszego istnienia było przemieszczanie się. Byliśmy zdani tylko na siebie, przedzieraliśmy się przez najbardziej niebezpieczne wody świata, by dokonać czegoś istotnego. Po raz pierwszy w życiu sam fakt bycia w ruchu dostarczał mi wrażeń. Jednocześnie jednak życie na statku miało w sobie jakąś niepewność i wahanie, podobne do cicho brzmiącej muzyki. Znajdowaliśmy się na jednostce przystosowanej do walki z lodem, płynęliśmy przez Cieśninę Drake'a, powszechnie uważaną za najbardziej niebezpieczne miejsce na morzach naszej planety, a z każdą godziną opadała z nas kolejna warstwa cywilizacji. Zdarzenia, rodziny, a także cała codzienność – gazety, podróże pociągiem, telewizja, zakupy, kawa – wszystko to stawało się coraz mniej realne.

To, że antarktyczny świat nie jest zwyczajny, było jasne od samego początku, od konferencji. Teraz, na statku, zaczynaliśmy rozumieć strukturę społeczną i hierarchię. Zaczęliśmy coś przeczuwać tego popołudnia, kiedy odpływaliśmy z Falklandów. Zdarzyło się wtedy coś dziwnego.

Kapitan wygłaszał w barze krótką mowę, informując pasażerów, czego się mają spodziewać podczas podróży do Bazy R. Stał przed nami, wysoki i nieco chłodny, jak wielu Anglików. Miał na sobie białą koszulę z czterema złotymi belkami na epoletach i półbuty lśniące niczym płynna smoła. Zaczynał łysieć, ale był pełen energii. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Podczas rejsu dowiedzieliśmy się, że tak naprawdę miał o dziesięć lat więcej. Dowództwo było wbudowane w każde włókno jego jestestwa. Na wąskich korytarzach statku dawało się wyczuć, że nadchodzi, zanim wynurzył się zza rogu. Jego autorytet emitował pole siłowe. Nawet powietrze stało przed nim na baczność. W każdym gościu można było wyczuć nutę posiadania. To był jego statek.

Zaskoczyła nas więc propozycja, by zwracać się do kapitana po imieniu.

– Jeśli wszystko przebiega normalnie, podróż trwa od czterech do pięciu dni – poinformował nas kapitan David. Ale badania oceanograficzne, które będziemy prowadzić w Cieśninie Drake'a oznaczają, że statek będzie się musiał zatrzymywać. Zazwyczaj nie powinno się zatrzymywać okrętu na wzburzonych wodach, ale „James Clark Ross” był lepiej wyważony dzięki systemowi dynamicznego pozycjonowania. Po zakończeniu badań oceanograficznych zabierzemy towary i ekwipunek do dwóch baz, które leżą po drodze. – Będziemy więc w drodze przez półtora tygodnia, może dłużej – powiedział kapitan.

Stolarz, który leciał z nami z Wielkiej Brytanii, wstał podczas przemówienia kapitana, podszedł do baru i wyjął sobie piwo z lodówki. Śledziłam go

wzrokiem. Zaczął pić w samolocie z Londynu do Madrytu, nie przestawał podczas postoju w Santiago i przez całą drogę na Falklandy.

Później tego samego dnia steward poinformował nas, że stolarz wraca już do Wielkiej Brytanii. Wezwano go na mostek kapitański i wydalono ze statku w trybie natychmiastowym za picie podczas odprawy.

– Czy to się często zdarza – spytałam stewarda Mike'a – że ktoś zostaje odesłany z powrotem?

– Niezbyt. Szefostwo BAS dobrze dobiera ludzi, którzy tu trafiają, przynajmniej zazwyczaj. Mimo to lepiej i taniej zrobić to teraz. Sama pomyśl – powiedział. – Jeśli gówno wpadnie w wiatrak, na przykład coś się zacznie dziać ze statkiem, chcesz ściągać pijanego gościa z koi i zapędzać go do szalupy? A kiedy już trafi do bazy, to odesłanie go do domu będzie kosztowało dziesięć tysięcy funtów.

Przypomniałam sobie, że tutaj wszyscy mieliśmy ceny na czole. Za wysłanie mnie na Antarktydę zapłacili podatnicy. Poprzedniego dnia, podczas próbnej ewakuacji, nasza szalupa uderzyła o wodę, kiedy zwolniono wyciągarke, a ja poczułam, jak wnętrzości skręcają mi się z nerwów. Miałam tu zadanie do wykonania. Miałam nadzieję, że mu sprostam.

Podczas tych pierwszych dni rejsu pogoda dopisywała. Było spokojnie, nawet kojąco. Spędzałam na zewnątrz całe godziny, ciesząc się ostatnimi na wiele miesięcy chwilami w temperaturze powyżej zera.

Nie przypuszczałam, że na Oceanie Południowym będzie tyle ptaków. Towarzyszyła nam wygadana eskorta, kołysząca się na wodzie – nawałniki burzowe, warcabniki, czarne od sadzy, szarogłowe albatrosy o czarnych oczach i malutkie samolociki, które okazały się albatrosami wędrownymi. Wszystkie wyglądały groźnie i bardzo sprawnie unosiły się na falach, przejawiając prorocze zdolności. Wiedziały, co robi morze wcześniej niż ono samo. Fale dygotały, potem wygładzały się, obmywały się wiatrem, rozchlapywały kropelki wody, następnie zwijały i uderzały o burtę statku, a ptaki przez cały czas leciały milimetr ponad powierzchnią. Patrzyłam na to *pas de deux* z falami, zafascynowana ich precyzją. Nie moczyły sobie nawet koniuszków skrzydeł.

Najbardziej eleganckie były albatrosy szarogłowe. Ich głowy i kark wyglądały jak okryte gronostajem, a w czujnych oczach błyszczała inteligencja. Przyglądałam się z pokładu, jak ślizgają się na kilwaterze. Albatrosy z poematu Coleridge'a łatwo rozpoznać po rozmiarze – ich rozpiętość skrzydeł wynosi ponad dwa metry – i po fosforycznej bieli. Albatrosy wędrowne mają duży dziób cielistego koloru, który nadaje im bandycki wygląd i upodabnia je do wydrzyków. Kiedy lecą, wydają się całkowicie nieruchome, przypominając przy tym samolot. Przez godzinę obserwowałam jednego ptaka, myśląc, że na pewno uderzy skrzydłami teraz, teraz, w tej chwili. Nie zrobił tego.

Życie zwolniło. Podglądanie ptaków wprowadziło nietypowy spokój. Od dawna już nie wpatrywałam się w jakiś szczegół ładu lub morza. Przez trzydzieści lat pędziłam na oślep przed siebie, mając nadmiar bodźców. Będę musiała nauczyć się znowu zwracać uwagę na detale, zauważać niewinne drobiazgi. Jedną

z rzeczy, których pozbawia nas tak zwana nowoczesność, jest ukryte oczekiwanie, że namacalna rzeczywistość dostarczy nam osobistej satysfakcji, że każdy jarzący się zachód słońca i każdy łagodny poranek stanowi odpowiedź na nasze pragnienia. To oczywiście egoistyczna fantazja, ale zaskakujące jest to, jak trudno jest przestać spodziewać się, że za każdym rogiem kryje się coś satysfakcjonującego. W środowisku pozbawionym bodźców możemy zetknąć się z wewnętrznym horyzontem, którego istnienia nawet nie podejrzewaliśmy, z rodzajem spokojnego, głęboko ukrytego jądra świadomości. Trudno tego doświadczyć w mieście.

Pomyślałam, że dobrze, że podróżujemy statkiem, a nie lecimy jednym z samolotów BAS-u, które przewożą ludzi z Falklandów na Antarktydę w cztery godziny. Płynąc, zbliżasz się do Antarktydy stopniowo, pokonując serię etapów. Świat za oknem kajuty staje się coraz bardziej i bardziej obcy. Wkraczasz w alternatywną rzeczywistość tego kontynentu, a sygnałem tego przejścia jest język. Ablacja, sublimacja, dryft, terran, nie wspominając nawet o stygijskiej mgłę i stalowoszarym niebie. Przypomniały mi się słowa francuskiego glaciologa Mathieu: „Antarktyka nie jest do niczego podobna. W żadnym innym miejscu na naszej planecie nie można zobaczyć takich kolorów i takiego związku między lądem a niebem”.

Na razie jednak wciąż byliśmy w znajomym świecie. Morze wydawało się niespokojne i przyciężkawe, ale nie wyglądało na śmiertelnie groźne. Było chłodno, ale nie bardziej niż w Anglii w zimie. Podczas tych pierwszych nocy na morzu graliśmy w barze w trivial pursuit. To były hałaśliwe rozgrywki pozbawione zwycięzcy. Graliśmy też w oczko i w snapa, śmialiśmy się. Bawiliśmy się w zagadki, słuchaliśmy płyt. Piliśmy i rozmawialiśmy o niczym – były to pozbawione celu, meandrujące dyskusje, jakich nie prowadziłam od czasu studiów.

Nocą wracałam do kajuty, ale nie byłam sama. Miałam opiekuna. Towarzyszył mi przez całą podróż, w takiej lub innej postaci. Jednego dnia był nim czarnooki albatros, innego olbrzym mórz południowych, wychudzony albatros wędrowny. Leciał równo ze statkiem, trzymając się mojego okna, dniem i nocą. Od czasu do czasu odwracał głowę i zaglądał do mojej kajuty. Nasze oczy się spotykały. Patrzył na mnie surowo i z dezaprobatą – wysłannik zbierający informacje, ale nieszukający przyjaciół.

7 GRUDNIA

Max chodzi po statku nocą, kiedy ja już od dawna leżę w łóżku, realizując misję, którą sam sobie wyznaczył. Próbuje zlokalizować wszystkie miejsca ujęte w spisie wewnętrznych numerów telefonów, umieszczonym w każdej kajucie: Warsztat, Chłodnię, Przetworniki.

– Nie powinieneś spać? – pytam. Jakby nie patrzeć, przez dwanaście godzin dziennie prowadzi badania.

– Sen to strata czasu.

Max wygłasza to stwierdzenie z charakterystyczną dla niego pewnością siebie. Nie zastanawiał się nad tym, po prostu tak postanowił. A co ja, dla odmiany, robię? Rozmyślam i przyglądam się. Prokrastynuję. Decyduję się na uczciwość. Stałam się jedną z dyplomatek egzystencji, próbuję nie zaburzyć żadnych oczywistych prawd, traktuję je jak starzejących się monarchów, którzy chętnie ostrzą miecze. W międzyczasie gromadzą się zapomniani tyrani.

Sen jest stratą czasu. Po co śpimy? Wszystko, co Max robi lub mówi – branie do ręki noża podczas obiadu, nalewanie sobie piwa – niesie ze sobą niski, przeraźliwy dźwięk, przypominający krzyk nieznanego ptaka. Żyję, woła. Jestem tak żywy, że nie poddam się tej nocnej śpiączce, którą nazywamy snem.

Na statku ciągle się widujemy. Wpadamy na siebie przypadkiem albo celowo dwadzieścia razy dziennie. Zwracamy na siebie uwagę w przyspieszonym tempie – na pewno szybciej niż w Londynie, gdzie umówienie się z najdroższym przyjacielem może zająć trzy tygodnie. W tej ciasnocie trudno odróżnić przypadkowe spotkania od zaplanowanych. Na statku obowiązywał swego rodzaju szyfr, za pomocą którego sygnalizowaliśmy, czy chcemy z kimś rozmawiać. Zamknięte drzwi kabiny oznaczały: „Jestem zajęta albo śpię”. Drzwi z zaciągniętą zasłonką to: „Nie śpię, ale pracuję”. Otwarte drzwi stanowiły zaproszenie do wejścia.

Max odsunął zasłonkę i zajrzał do mojej kabiny.

– Jak leci? Skończyłaś już tę powieść?

Wiedział już, że grymas niezadowolenia na mojej twarzy stanowi zaproszenie do rozmowy. Miał chwilę przerwy od przeglądania strumienia danych dotyczących lodu. Huśtaliśmy się w rytm ruchów statku, kiedy opowiadał mi o swoim życiu. Był tak młody, że chciało mu się jeszcze mówić o szkole. Domyśliłam się z jego słów, że chodził do prywatnej szkoły, ale miałam dość rozsądku, żeby nie pytać o szczegóły.

Jego szkoła mieściła się w miejscu nazywanym Zug. Opowiadał o białych lasach i zamarzniętym jeziorze. Budynek zbudowano tak wysoko w górach, że musiał jeździć czymś w rodzaju wyciągu, żeby się tam dostać.

– Niewykluczone, że to najwyższej położona szkoła w Europie, może nawet na świecie – powiedział swoim obojętnym, wypranym z emocji tonem. Razem z kolegami jeździli na szkolne wycieczki na narty, oglądali greckie ruiny na Krecie i uprawiali kitesurfing na wybrzeżu Kenii. Wyobraziłam sobie *Czarodziejską górę* Manna – sanatorium przekształcone w szkołę dla uprzywilejowanych, ze sztalugami przedstawiającymi akwarelowe widoki jezior polodowcowych.

– Z kim się przyjaźniłeś? – spytałam.

– Głównie z Rosjanami.

– Dlaczego akurat z Rosjanami?

– Mają w sobie pewną surowość, którą lubię. Poza tym zawsze latali do domu na weekendy. Jakby ciągle byli w pobliżu, łatwiej bym się nimi zmęczył.

– Ta twoja szkoła musiała być dość międzynarodowa?

– A tak. Ludzie byli z różnych miejsc – z Londynu, z Malezji, z Peru, z Korsyki, skąd tylko chcesz.

– Z Korsyki?

Wzruszył ramionami.

– Tak, jak mówię, zewsząd. Mieliśmy trzy dziewczyny, które były córkami afrykańskich prezydentów. Przychodziły do szkoły z ochroniarzami. Ci goście to dopiero się nudzili, mówię ci. Ciągłe rozmawiali przez telefon ze swoimi żonami w Kongo. Ci mięśniacy byli zresztą tylko na pokaz. Nikt im chyba nie powiedział, że jesteśmy w Szwajcarii.

Max nie kończył rozmów w konwencjonalny sposób. Zawsze zrywał się, jakby mu się coś nagle przypomniało, i wychodził, nie oglądając się za siebie. Być może w taki sposób przystosował się do życia wśród dzieci oligarchów.

Podjęłam własne nocne misje. Siedziałam w kajucie do pierwszej lub drugiej nad ranem, patrząc na srebrzące się fale. Dziwnie było znowu poczuć, że żyję. Zostałam nagle rzucona w świat zbieżności i niewidzialnych granic. Dawna rzeczywistość została gdzieś z tyłu, czekałam więc na jej nową, nieznaną wersję. Jednocześnie czułam, że pokonało mnie coś lub ktoś, że wyprzedza mnie znajomy, coraz bardziej obecny duet niepewności i strachu. Ale strachu przed czym? Statek jest solidny. Nie zawiedzie nas.

Byłam przyzwyczajona do spędzania czasu w pojedynkę, na rozmyślaniach i pisaniu. Być może straciłam już umiejętność łatwego nawiązywania kontaktów – o ile w ogóle kiedykolwiek ją posiadałam – a przynajmniej prowadzenia przypadkowych i luźnych rozmów, zamiast intelektualnych przepychanek.

Zalane ostrym słońcem dni na Falklandach, potem wypłynięcie w morze, nauka gaszenia pożarów i przeżycia po wpadnięciu do lodowatej wody, nowość ciągłego przebywania w czyimś towarzystwie – wszystkie te bodźce sprawiały, że coraz bardziej się oddalałam od samej siebie – zazwyczaj pogrążonej w myślach. Kiedy jednak przyzwyczaiałam się do tego nowego, pełnego życia świata, moje zwykłe wątpliwości powróciły niczym przyczajona na horyzoncie chmura.

Ciągły ruch statku wpływał też na nasze stany emocjonalne. Miarowe przemieszczanie się przypominało mi rytm myśli. Mgle morskiej towarzyszył znajomy głos. To moja wewnętrzna przyzwoitka, strażniczka wstydu. Mówiła do mnie w drugiej osobie, na ty, upominająco. Jak chcesz napisać powieść, której akcja będzie się dziać w miejscu pozbawionym historii? Jak chcesz napisać coś naprawdę oryginalnego, skoro lepszym pisarzom się to nie udało? Dlaczego jesteś sama, w tym wieku? Co tu robisz?

8 GRUDNIA

Cztery dni na morzu. Stuart, inżynier pokładowy, zabiera nas na wycieczkę po statku. W mesie spotykamy innych inżynierów w poplamionych smarem, białych kombinezonach. Brudny gang kumpli robiących przepyszną herbatę.

Przechodzimy do laboratoriów. W wielkiej wannie przetrzymywane są tu wyłowione z głębin oceanu okazy – ryby, ośmiornice, kałamarnice, sprzagle. Te ostatnie są rodzajem planktonu, a Stuart mówi, że można je nazwać oceanicznymi raketami, ponieważ potrafią się poruszać jak odrzutowce.

Stuart wygląda jak chłopiec. Prawdopodobnie ma około czterdziestki, ale twarz ma gładką, a oczy szeroko otwarte ze zdziwienia.

– Uwielbiasz to miejsce, prawda? – pytam.

– Wiesz, to dziwne. Spędziłem na południu siedemnaście sezonów, ale za każdym razem jestem tak samo podekscytowany. Za każdym razem jest tak, jakbym widział to wszystko po raz pierwszy.

Jesteśmy na mostku, po obu stronach mamy doświadczonych marynarzy z przyklejonymi do oczu lornetkami. Zaczęły się pojawiać góry lodowe, chociaż wciąż jeszcze jesteśmy na północ od strefy konwergencji antarktycznej. Te, których znaczna część się roztopiła, przypominają z wyglądu łódki z postawionym spinakerem.

Stuart i ja mrużymy oczy, patrząc na horyzont. W szarym świetle coś zaczyna pulsować na niebiesko. Pochylamy się w tę stronę. Czy to przefiltrowane przez chmury słońce? Wygląda jak odbite od cyny światło. Antarktyda pełna jest takich dziwnych efektów wizualnych. Cokolwiek to jest, świeci z paniczną gorliwością substancji, którą wkrótce pochłonie wir.

Wskutek naszych postojów na badania oceanograficzne jeszcze siedem dni dzieli nas od kontynentu. Mimo to nawet z tej odległości wyczuwamy już jego hart, jego buntowniczą naturę i jego ogrom. Łatwo zrozumieć, jak kartografowie i żeglarze przeculi jego istnienie na tysiące lat przed tym, zanim ludzkie oko po raz pierwszy na niego padło.

Od początku obszary polarne były kluczowe dla koncepcji klimatu. Słowo to pochodzi z greki, Grecy opracowali też koncept zmieniających się stref, w których przeważają konkretne wzorce. Słowo *klima* po raz pierwszy zapisał Parmenides, uczeń Pitagorasa. W VI wieku p.n.e. przyjął, że Ziemia dzieli się na pięć stref. Chociaż nie wiadano wtedy, że Ziemia jest kulą, przypisał tym strefom szerokości geograficzne, w zależności od kąta, pod jakim promienie słońca padają na powierzchnię planety. Parmenides uważał, że *klima* na północy charakteryzuje się chłodem, podczas gdy na południu jest ciepło – cieplej niż na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego. Pojęcie stref klimatycznych zależących od szerokości geograficznej jest zbyt sztywne, żeby mogło odzwierciedlać rzeczywistość. Obecnie wiemy, że klimat to nie tylko temperatura, składają się na niego warunki atmosferyczne, topografia i pogoda.

Około 330 roku p.n.e. Arystoteles w *Meteorologii* zastanawiał się, czy Ziemia nie jest kulą, podzieloną na strefę północną i południową, które są identyczne, choć leżą po przeciwnych stronach. Sugerował, że zimna kraina może czaić się w najdalszych zakątkach ekumeny, czyli znanego mu świata, który w tym czasie nie sięgał poza wybrzeże Morza Śródziemnego.

Kartografowie wierzyli, że coś musi być dalej. Wizja, że świat jest dociążony przez pusty ocean, wydawała się mało prawdopodobna. Ale ilu z nich uwierzyłoby, że na samym dnie planety istnieje sarkofag z lodu o rozmiarach kontynentu, wrogi niemal wszystkim formom życia i nienadający się do zamieszkania? Rysowano go na greckich mapach, czasem z pieczołowicie odwzorowaną linią brzegową, już od czasów Ptolemeusza, którego *terra australis incognita* pojawiała się na mapach przez następne 1700 lat, póki nie zastąpił jej obraz lądu wypatrzonego najpierw przez Jamesa Cooka, a potem innych żeglarzy już w XIX wieku.

Grecy mogli poszczycić się zadziwiającą przenikliwością w zakresie topografii. Ich przypuszczenie, że rozgrzane krainy położone na równiku są równoważone przez mroźne królestwa leżące na osi kręcącego się globu, okazało się mniej więcej prawdziwe. Aż do XIX wieku uważano, że obszary polarne to zamrożone miejsca potencjalnych apokalips, niezbadane i budzące lęk.

Słowo „apokalipsa” pochodzi od greckiego *apokalupsis*, które z kolei jest pochodną czasownika „odkryć”, „objawić”. Apokalipsa to nie tylko sąd boży, nagłe unicestwienie wszystkiego. To także objawienie. W *Rymach o starym marynarzu* Coleridge’a Antarktyda niszczy mapy i instrumenty, czyli narzędzia do zrozumienia świata i poruszania się w nim. Jednocześnie jednak ujawnia prawdziwą, duchową naturę życia.



Podobnie jak w nowatorskim wierszu Coleridge'a, *terra australis incognita* była pustą kartą, która pobudzała wyobraźnię, zarazem będąc doskonałą powierzchnią do przenoszenia ludzkich fobii i lęków. Mapa z Hereford, narysowana przez Richarda z Haldingham i Lafford w latach osiemdziesiątych XIII wieku, która do dziś wisi w katedrze w Hereford, przedstawia jedenaście rodzajów potworów z Antarktydy, które czają się na południowym koniuszku świata. Są wśród nich jednonogie stwory, które trzymają stopy nad głowami, całkiem jakby niosły parasole. Są ludzie z głowami psów, jest też stworzenie, które ma tak małe usta, że musi wsysać pokarm przez słomkę. Wreszcie byli Psyllowie, którzy sprawdzali cnotliwość swoich żon, zostawiając dzieci w węzowisku. Psyllowie uważali to za całkiem precyzyjny test DNA, wierząc, że węże oszczędzą dzieci z prawego łóża, podczas gdy bękarty umrą od ukąszeń.

Antarktyda była matecznikiem potworów, ale także miejscem magicznym. Zauważyłam, że wiele słów ze słownika oficerów i marynarzy odnosi się do miejsc, w których splatają się rzeczywistość i świat wyobrażony, w których nie da się wytyczyć granicy między pogodą a krajobrazem. „Odblask lodu”, czyli odbita od lodu poświata oświetlająca chmury. „Słońce poboczne”, inaczej parhelion – jasne plamy, wyglądające jak słońca i otaczające prawdziwe słońce, tworzone przez załamujące się w kryształkach lodu światło. Widziałam na

własne oczy, wyglądając przez okna statku, że wkraczaliśmy do krainy miraży i refrakcji, zamieci i znikających horyzontów.

Antarktyczny ląd i otaczające go morza sprowadzają nasz wzrok na manowce. To jeden z wielu powodów, dla których ten kontynent jest tak niebezpieczny dla ludzi. Wzrok osadza nas w rzeczywistości. Oczy szukają linii, definicji, granic, kontrastów i podziałów po to, żeby osądzić, która powierzchnia nadaje się do użytku. Kiedy ich nie ma, tracimy orientację i zaczynamy halucynować. Na poziomie wizualnym stwarzamy sobie w wyobraźni to, co jest nam niezbędne do orientacji w świecie, tak jak nasza podświadomość potrzebuje podobnych wytworów, żeby nas prowadzić przez chaotyczną rzeczywistość.

Czym właściwie jest to miejsce, będące celem naszej podróży? Ta przebrana za kontynent pustka? Ta przestrzeń wypełniona tak potężną energią, że umieszcza się na mapach największych kartografów i myślicieli naszej cywilizacji, zanim ją jeszcze odkryto? Na razie to raczej idea niż realne miejsce. Nie zacumujemy w żadnym mieście. Nie będzie sklepów, kawiarni, biur, wygodnych domostw. Stojąc ze Stuartem na mostku, przeczynałam już, jak bezradni będziemy w tym *nullius*, miejscu rządzone przez nieobecność i pustkę. To strefa poetyckiej siły, pozornie pozbawiona koloru, jednocześnie będąca miejscem występowania najbardziej pociągających zjawisk chromatycznych na całej planecie. To jedyny obszar, który nie jest niczym krajem. Utopia, apokryficzna wizja, zagadka. Mistyfikacja.

Moje zmiany w *Shades of Light* zaczynają się zaraz po szkole, o wpół do czwartej, i kończą o siódmej, kiedy sklep się zamyka.

Zanim Elin kupiła ten budynek i przerobiła go na sklep, ktoś tu mieszkał. Podłużne okna wychodzą na zalany czerwonym światłem ogród. Każdy centymetr pomieszczenia, które kiedyś było salonem, wypełniają przedmioty na sprzedaż: rzędy rzeźbionych w steatycie pieczęci z Labradoru, ręcznie robione świece połączone knotem, który trzeba przeciąć, obracające się stojaki z kolczykami, łańcuszkami i kartkami okolicznościowymi. Zawieszane w oknie ozdobne witrażyki i kryształki rzucają odblaski. Kupiłam kilka dla siebie, wiszą w oknie mojego pokoju.

– Nie wydaj na to całej wypłaty – ostrzegła mnie matka. – Albo nic nie zostanie na szkołę. – Użyła słowa „szkoła”, ale tak naprawdę to za uniwersytet będę musiała zapłacić jesienią, tysiące dolarów. Zakręciło mi się w głowie na myśl, że pieniądze, które zaoszczędziłam, pracując w trzech miejscach, opuszczają moje konto. Mam oszczędności na rok, ale studia potrważą cztery lata.

Został już tylko miesiąc do matury, a potem, jeśli tylko mi dobrze pójdzie, będę wolna. Czuję na sobie ciężar przeszłości. Przez pięć lat czekałam, aż będę mogła uwolnić się od tego miejsca – odkąd zamieszkałam z matką i jej mężem. Już nigdy nie przeżyję tak długich pięciu lat.

Moja matka ma dwójkę dzieci ze swoim mężem, dwóch chłopców. Staram

się zamykać drzwi jak najciszej, żeby ich nie obudzić. Zdradza mnie skrzypnięcie.

– Gdzie byłaś?

– W pracy.

Dom mojej matki i Marka, jej męża, jest charakterystyczny dla tego miasta – to szeroki, szalowany budynek z wykuszowym oknem i zielonymi okiennicami. Ma prawdziwy, biały płot ze sztachet. Jest w tych domach coś lekko wstydliwego, w ich surowych oknach i drewnianych brwiach (znowu te okiennice), w podwórkach, na których powinny szaleć dzieci, w sznurach na pranie i garażach. Kiedy nie ma w nich dzieci, stają się mauzoleami w długie, błękitne letnie godziny i w zimowej zmarzlinie.

– Chodź tu – woła matka. – Chcę ci coś powiedzieć.

Idę na górę, meandrując między niestabilnymi stosami zabawek rozrzuconych na schodach.

– Po co mam wchodzić na górę?

– Nie chcę, żeby nas ktoś podsłuchał.

Staję na progu sypialni, którą matka dzieli ze swoim mężem. Mówi szybko, a w jej głosie słychać jakiś obcy ton.

– Twój ojciec... Jest tutaj.

– O czym ty mówisz?

– O twoim ojcu. Nie bądź tępa.

Nie pytam: Mój prawdziwy ojciec?, jak zrobiłyby to niektóre siedemnastolatki, piskliwym i podekscytowanym tonem. Mój głos brzmi staro i chrypliwie.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo on może chcieć cię zobaczyć.

– Dlaczego miałby chcieć mnie zobaczyć?

– Bo jest twoim ojcem. – Matka mówi „ooojcem”, przeciągając „o” w sposób typowy dla naszej rodzinnej wyspy. Brzmimy przez to jak Irlandczycy. Obie nauczyłyśmy się ukrywać swój akcent, żeby się nie wyróżniać, ale czasami się ujawnia, zwłaszcza kiedy się złościśmy albo jesteśmy w stresie.

– Za miesiąc mam maturę.

– Wiem. Nie chciałam ci tego mówić. Nie chciałam cię rozpraszać.

Zastanawiam się, czy to prawda. Matka nigdy nie pyta o szkołę. Nie pomaga mi z papierami na uniwersytet, jak inne matki. Nie zapisuje mnie na powtórkowe kursy korespondencyjne. Nie wie, że złożyłam papiery do trzech najlepszych uniwersytetów w kraju.

– Powiedziałaś mu, że nie może tu przychodzić. Wiesz, dla mnie to też nie jest łatwe. Mark myśli, że on nie żyje.

– Że co?

– Bóg mi świadkiem, skłamałam. – Matka uderza się w pierś. Lubi takie gesty, nauczyła się ich w grupie kościelnej. Często się tam uderzają w piersi i w głowę.

Podaje mi kawałek papieru, który ścisnęła w dłoni.

– Zadzwoń do niego, dobrze? W przeciwnym razie może się tu pojawić i narobić nam kłopotów.

– Masz na myśli, że tobie może narobić kłopotów.

– Po prostu zadzwoń. To w końcu twój ojciec.

Mam już ojca, ale być może moja matka tak tego nie widzi. Jednak to jej rodzice mnie wychowali, i dlatego jej ojciec jest też moim ojcem. Tak jak moja matka, dorastałam dziesięć godzin drogi stąd, w sąsiedniej prowincji, na położonej wewnątrz wyspy wyspie.

Kiedy miałam dwanaście lat, musiałam się wyprowadzić od dziadków i zamieszkać z matką, którą poznałam dwa lata wcześniej i która była mi obca. Razem z mężem mieszkali w tym zamożnym, złowrogim mieście nad wezbraną rzeką, która co roku występuje z brzegów, zalewając położone nad brzegami wille zamożnych wdów.

W tej chwili nie widuję zbyt często mojego prawdziwego ojca, czyli mojego dziadka. Zniknął z mojego pola widzenia na kilka lat, po czym ostatnio wkradł się w nie z powrotem. Mimo to jest jak niknący punkt, który coraz bardziej się oddala.

5. DZIEWIĄTA FALA

BREKCJA

Kawałki lodu w różnych stadiach rozwoju, przymarznęte do siebie.

9 GRUDNIA

Czas zamyka się za nami niczym krypta. Okres przed wejściem na pokład „JCR” został wymazany. Nie pamiętam już, kim wtedy byłam i czego chciałam.

Statek posuwa się naprzód niczym w przyjemnej, nieustającej procesji. Płyniemy z prędkością jedenastu węzłów. Kapitan David mówi, że „JCR” może przyspieszyć do szesnastu. To mniej więcej tyle, ile wyciąga przeciętny rowerzysta albo ciągnięty przez konia wóz. Pedalujemy na Antarktydę.

W powietrzu czuć coś nowego. Przekraczamy granicę strefy konwergencji antarktycznej, czyli wstęgę chłodnej wody, która otacza cały kontynent. Umieszczone na mostku czujniki temperatury wody odnotowały spadek o pięć stopni w ciągu dziesięciu minut.

Szukam Nilsa, żeby wyjaśnił mi, czym jest konwergencja. Siedzi w laboratorium przed komputerem, z nogami na stole, i pije herbatę.

– Komputer robi czarną robotę – wyjaśnia, wskazując ekran. Widzę na nim wykres przedstawiający wodę, przez którą płyniemy, chociaż domyślam się tego tylko dzięki pomocnej ilustracji w kształcie wanny. Poza tym z ekranu wylewa się strumień kolorowych liczb – turkusowe dotyczą zimna, a ametystowe ciepła. Nils pokazuje mi ciąg fioletowych cyfr.

– To skok temperatury wody. Zdarza się, kiedy trafiamy na słodkowodny prąd, a trafiamy na nie teraz dość często.

Nie wiem, czy przez „teraz” rozumie czasy globalnego ocieplenia, czy moment, w którym przepływamy przez konwergencję. Słodkowodne prądy na tej szerokości geograficznej oznaczają topniejące góry lodowe.

Patrzę na strumień cyfr.

– Chciałabym wiedzieć, co oznaczają.

Nils wzrusza ramionami.

– To proste.

– Może dla ciebie. Skończyłeś fizykę.

Spojrzenie Nilsa jest nieodgadnione. Nie sądzę, żeby często przebywał w towarzystwie osób, które nie są naukowcami. Mój brak kompetencji jest dla niego wstrząsem. Muszę sobie ciągle przypominać, że moje moce nie mają tutaj znaczenia – o ile w ogóle gdzieś mają.

Strefa konwergencji antarktycznej to prawdziwa granica Antarktydy. Tworzy się, kiedy cieplejsze wody strefy umiarkowanej zderzają się z zimnymi prądami antarktycznymi. Zimna woda zwycięża, tworząc kordon wokół kontynentu. Wody konwergencji są o pięć stopni zimniejsze niż wody subantarktyczne. Wyznaczają granicę innego świata – krainy gór lodowych. Poza konwergencją rzadziej spotyka się duże góry lodowe. Wody są tam za ciepłe, chociaż zdarzało się, że odłamki gór docierały daleko na północ, nawet na Falklandy.

Nieco później w moich drzwiach stanął Max. Pojawiał się tak samo nagle, jak znikał. Nie przychodził, po prostu się materializował, jak statek kosmiczny. Każdy jego ruch krył w sobie coś mrocznego. Pomyślałam, że to niezwykle, iż człowiek o tak jasnych włosach i karnacji bywa jednocześnie tak posępny.

Max, Nils i Emilia byli ode mnie dużo młodszy, ale tutaj, w tym nowym antarktycznym świecie, zdawało się to bez znaczenia. Być może to moja względna ignorancja w kwestiach naukowych sprowadzała nas na ten sam poziom. Max bardziej niż pozostali ucieleśniał wszystkie zalety młodości – miał w sobie optymizm, ciekawość, energię i pewność siebie. Chęć zacząć od nowa. Ta myśl pojawiła się całkiem jak Max, bez zapowiedzi. Odpędziłam ją, nie byłam jeszcze tak stara, żeby paść ofiarą kryzysu wieku średniego.

O ile wiedziałam, życie Maxa osiągnęło swoiste apogeum. Składały się na nie wyjazdy na narty, imprezy rodzinne, festiwale muzyczne, a ostatnio także zaproszenia na międzynarodowe konferencje klimatologiczne. Kiedy byłam w jego wieku, od dwóch lat nie mieszkałam już w Kanadzie, do której odwróciłam się plecami. Straciłam rodziców, pracę i ludzi, których kochałam. W londyńskich autobusach dostawałam napadów paniki. Musiałam natychmiast wyjść, usiąść na ławce w nieznannej okolicy – w Cricklewood albo w Willesden, całe kilometry od miejsca, do którego jechałam. Siedziałam, oddychając głęboko przez długie godziny, po czym wyciągałam plan miasta i wsiadałam w autobus do domu. W czasie wolnym chodziłam na rezonans magnetyczny mózgu, który miał wykryć tajemniczą, wycieńczającą chorobę.

Opowiedziałam mu kawałek swojej historii, częściowo dlatego, że zasypywał mnie pytaniami z uporczywością wiertarki udarowej: „A potem? Dlaczego to zrobiłaś? Kto umarł potem? Co czułaś?”. Słuchał, przekrzywiając lekko głowę. Widziałam, jak jego umysł rozważa takie czynniki jak los i prawdopodobieństwo, znikomą samowystarczalność i prędkość. Rozpisywał mnie na równanie: stres+pech=ponury nastrój. W jego ciekawości nie było zaangażowania, ale podejście to wydawało się demokratyczne. Zauważyłam, że wszystkich poddawał tej samej ocenie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Przegadaliśmy wiele dłużeńych się godzin na statku: rozmawialiśmy w barze, przy stole podczas śniadania, na pokładzie, kiedy wychodziliśmy z ciepła, żeby się ożywić wiatrem o temperaturze minus pięciu stopni. Odkryliśmy, że mamy podobną wizję zimnej, uśpionej ziemi, uwięzionej przez zimę, która potrwa dziesięć tysięcy lat – z tym że moja powstała w wyobraźni, a jego była oparta na rzeczywistości, rozrysowanej przez modele komputerowe.

Na mostku wpatrywaliśmy się w morze, próbując przyciągnąć myślą góry lodowe. Przez cały dzień zachowywałam czujność i teraz, kiedy przekroczyliśmy konwergencję, na radarze, zaraz przed nami, zaczęły się pojawiać wiele mówiące żółte obiekty.

– Co cię tak interesuje w epokach lodowych? – spytałam.

– To, że planeta wyglądała wtedy zupełnie inaczej. To, że nie było ludzi, przynajmniej nie we wcześniejszych odsłonach zlodowacenia. A poza tym odtworzenie łądolodu jest prawdziwym wyzwaniem, a ja potrzebuję wyzwań.

Dotarłam aż tutaj, bo uległam powabowi takiego wyzwania. Zastanawiałam się, czy powinnam to powiedzieć. Max był bystry, nie spodobałaby mu się taka niby przypadkowa zbieżność – może stanowić bezpieczny sposób znalezienia wspólnej płaszczyzny, ale może też być źródłem konfliktów. Przyjaźń z nim będzie wymagała skomplikowanych zabiegów.

– Zasadniczo jestem dość zmienny – powiedział mi poprzedniego dnia podczas jednej z naszych długich dyskusji po śniadaniu, zanim zaczął swoją zmianę w labie.

– Tak jak wszyscy – odparłam. – Jesteśmy jak pogoda.

– Chodzi mi o to, że nie potrafię poczuć czegoś całym sercem. Jak tylko stwierdzam, co czuję, zaczynam szukać sposobów na to, żeby się wycofać.

„Wolność do tego, żeby odwrócić się od Bożej miłości”. Tak Święty Augustyn definiował zboczenie – jako wrodzony instynkt, który popycha nas przeciwko ziarnku dobroci lub wsparcia. Pierwotne znaczenie tego słowa nie miało prawie nic wspólnego z seksem.

– Zauważyłam. Pytanie brzmi: dlaczego? Co próbujesz osiągnąć przez to ciągłe zaprzeczanie?

Wyglądał na zatroskanego. Wydał usta.

– Chcesz iść na kolację?

– Jasne.

– OK. Daj mi pięć minut na gajerek i buty.

Też się przebrałam. Kolacje na statku były uroczyste. Co wieczór mieliśmy tę samą zagwozdkę – jak dobrać przyzwoity strój, mając do dyspozycji głównie polary i dżinsy. – Nie śmiałybym mówić kobiecie, co ma na siebie włożyć, nigdy w życiu – powiedział Mike, główny steward, kiedy poprosiłam go o wskazówki dotyczące stosownego stroju. Prawie zawsze stawiałam na czerń. Czarna koszulka, czarna spódnica – polarna wdowa. Dzięki temu wieczorny posiłek wydawał się czymś odświętnym. W marynarkach i krawatach wyglądaliśmy bardziej kompetentnie i profesjonalnie. Z drugiej strony, cała ta elegancja, kiedy na zewnątrz czyhały góry lodowe, nieuchronnie nasuwała myśl o „Titanicu”.

Czekałam pięć minut, potem dziesięć. Zaczęłam się zastanawiać, czy Max miał przyjść tu po mnie, czy też mieliśmy się spotkać przy barze. Zajrzałam za róg i zobaczyłam, że siedzi już przy stole i je. Nie było tam już wolnych miejsc. Zabrałam swoją serwetkę, włożoną w srebrne kółko z moim imieniem, i usiadłam z kilkoma oficerami przy innym stole.

Byłam przygaszona przez resztę wieczoru. Max mógł liczyć na to, że – jak to na statku – prędzej czy później wpadnie się na każdego, po co się więc formalnie umawiać. A może była to jakaś gra?

Nie rozmawiałam z Maxem podczas kolacji ani później, przy barze. Epizod z wieczorną choreografią przygnębił mnie i nie mogłam zdobyć się na wesołość podczas obowiązkowych przekomarzanek przy barze. Uciekłam z butelką wina do kajuty.

Wróciłam myślami do rozmowy z poprzedniego dnia. Siedzieliśmy nadal przy stole, ja i Max, kiedy wszyscy dawno poszli już do baru albo do swoich kajut.

– Nigdy nie patrzę wstecz – powiedział.

– To znaczy?

– Nie oglądam się za siebie. Nie żałuję.

– Nie wydaje mi się, że da się biec przez życie bez chwili refleksji. Skąd masz wiedzieć, dokąd zmierzasz, jeśli nie wiesz, gdzie byłeś?

Zacisnął usta.

– Nie chodzi o to, że zapominam. Po prostu nie myślę o rzeczach, które się już wydarzyły.

– Myślenie i pamiętanie to jedno i to samo. – Opowiedziałam mu o dwóch ptakach Odyna. Nazywają się Hugin i Munin, czyli Myśl i Pamięć. – To para kruków, które co dzień latają dookoła świata. Kiedy wracają, opowiadają Odynowi o tym, co widziały.

Zachmurzył się.

– Nie da się przelecieć dookoła świata w jeden dzień. Nawet albatros nie dałby rady.

– To alegoria. Ma symboliczne znaczenie. Oznacza, że dla ludów skandynawskich myśl i pamięć były tym samym.

Przyswajał to.

– To dlatego postanowiłaś zostać pisarką?

Unikałam tego tematu od czasu jego komentarzy na Falklandach. Teraz jednak poczułam, że się otwieram. Łatwo było mu się zwierzać, mimo że był taki poważny. A może właśnie dzięki temu?

Statek pomrukiwał gdzieś pod nami, stale się przemieszczając. To kolejny drobniaczek, do którego tak szybko się przyzwyczaiłam – bycie w ciągłym ruchu. Wibracje i pomruk statku sprawiały, że czułam się tak bezpiecznie, jak w łonie matki.

– Pisarze często mają takie życie, które zmusza ich do myślenia za dużo, i to już od dzieciństwa.

– O czym?

– O... – Nagle nie potrafiłam sobie niczego przypomnieć. – O błędach, moralności, o przypadkach i zbiegach okoliczności. O tym, w jakim stopniu jesteśmy tylko marionetkami uzależnionymi od biologii, przekonanymi, że żyją świadomym życiem. Myślimy, że to daje nam prawo do życia, ale to złudzenie.

Milczał przez chwilę.

– Nie czytałem zbyt wielu powieści, ale te, które czytałem, były bardzo... –

Urwał na chwilę. – Przygnębiające. Opowiadają o rzeczach, o jakich normalnie staram się nie myśleć. Ludziom, którzy występują w powieściach, przytrafiają się same złe rzeczy, tak jakby pisarze byli zmuszeni do zsyłania na swoich bohaterów najgorszych... nieszczęść.

– Powieści faktycznie często opowiadają o czymś, co idzie nie tak – zgodziłam się. – Kiedy wszystko idzie dobrze, historia bywa niezbyt ciekawa.

Poprawiłam się w fotelu i zamilkłam. Sama napisałam książki opowiadające o różnych nieszczęściach. Takie natężenie melancholii jest dla mnie czymś tak charakterystycznym, że nie poświęcałam temu nigdy żadnej myśli. Teraz poczułam, że drażni mnie własny upór w kwestii brodzenia w wodach żalości. Rzadko kiedy komuś udaje się wywabić mnie poza granice własnych przekonań, ale jakimś cudem Maxowi udawało się to niemal przy każdym temacie.

– A co powiesz na takie równanie? – powiedziałam. – Lęk przyciąga lęk, a optymizm przyciąga szczęście.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Widziałam to na własne oczy, wiele razy. Między innymi dlatego tak trudno jest podnieść się z napadów lęku lub rozpacz, zwłaszcza w młodości. Wysysają z człowieka energię. Czasem trudno ją w ogóle odzyskać.

Rzucił mi nieodgadnione, surowe spojrzenie. Podobnie jak w przypadku innych jego spojrzeń, pamiętam jego ładunek i złożoność. Dla Maxa mogłam być kimś w rodzaju generatora tematów tabu. Kimś, kto mówi rzeczy, o których on nigdy nie myślał, nie chciał myśleć. Nie byłam pewna, czy chcę grać rolę zatechłej Sybilli.

Zawsze wolałam ludzi bystrych i wygadanych, ale chłodnych, od tych, którzy może i są mniej rozgarnięci, ale za to serdeczni. Nie pochwalałam tego w sobie i próbowałam to zwalczać. Nie znasz go, mówiłam sobie. To tylko iluzja przyjaźni czy nawet intymności. Okoliczności popchnęły was ku sobie. Jest wyjątkowo intensywnie. Nie mogłam uwierzyć, że to życie trwa dopiero od trzech tygodni. Nasza relacja wydawała mi się czymś zakazanym, jak uzależnienie od narkotyków albo zaburzenia żywienia. Być może właśnie przez to odosobnienie, przez fakt, że byliśmy odcięci od świata i od przyjaciół, wszystko, co działo się na statku, tak nas pochłaniało.

Przy Maxie bardziej niż przy kimkolwiek innym na statku czułam, że żyję. Jednocześnie wyzwała we mnie odrobinę niezadowolenia. Było w nas pewne podobieństwo, przed którym się wzdragaliśmy, jak kot na widok swojego odbicia w lustrze.

Wiedziałam doskonale, że mam skłonność do rzucania się głową w dół z dużej wysokości tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie. Na Antarktydzie zawieranie przyjaźni niosło ze sobą takie ryzyko, jakie zazwyczaj występuje w przypadku romantycznych związków. Na końcu świata potrzebni są odpowiedni przyjaciele. Jesteś z dala od domu, od rodziny, znajomych, swojego terenu – od miejsca, w którym masz moc, że użyję słowa, które przyszło mi już dzisiaj do głowy. Najmniejsze zakłócenia mogą cię wytrącić z równowagi, a wtedy nie

będzie dokąd uciec.

Przypomniały mi się ostrzeżenia antarktycznych weteranów z konferencji: „Niektórzy się zapominają”. Ich zdziwienie i rozbawienie tym, że stateczni obywatele z doktoratami, kredytami hipotecznymi i rodzinami mogą się tak pograć. Na Antarktydzie łatwo o lekkomyślność i zły osąd. Zastanawiałam się, czy ma to coś wspólnego z brakiem poczucia bezpieczeństwa. Na tych wodach nie ma ekip ratunkowych. Na ekranie radaru widać tylko tundrę wody i lodu. – Najbliższy statek jest w tej chwili pięćset kilometrów stąd – poinformował mnie kapitan David, kiedy ostatnio zajrzałam na mostek, całkiem jakby wiedział, o czym myślę.

Pragnienie intymności – nieważne, czy wynikającej z przyjaźni, czy z miłości – jest czymś naturalnym w nieprzyjaznym środowisku, chociaż Antarktyda jest nie tyle nieprzyjazna, ile wyniosła. Wyniosłe miejsca, podobnie jak wyniosli ludzie, budzą we mnie palącą chęć zmuszenia ich, żeby coś poczuli. Także po to, żeby udowodnić moją przewagę nad przypadkowością, oprzeć się szorstkiej obojętności i pokazać, że żyję. Miłość powinna być odpowiedzią na Antarktydę, jej lustrzanym odbiciem. Odkrycie miłości, albo chociaż bliskości, byłoby uhonorowaniem ekscytującej i nielogicznej podróży, której celem jest pusty kontynent. Tutaj miłość nie byłaby tylko ludzkim doświadczeniem – zyskałaby wymiar ogólnoplanetarny. Rozpaliłaby tę zasysającą pustkę i rozkwitła w jej surowym wnętrzu.

Codziennie chodziłam na pokład pelengowy – umieszczone nad mostkiem miejsce, z którego dokonuje się pomiarów. Jest najeżony urządzeniami – są tam anteny radaru, wiatromierz i gigantyczne, obracające się jajo, które okazało się nadajnikiem satelitarnym.

– Nie powinno się tu spędzać zbyt dużo czasu – powiedział mi Roger, inżynier łączności, kiedy zauważył, że schodzę na pokład po metalowej drabince. – System VSAT emituje silne mikrofałe. Mogą cię przysmażyć.

Jeśli nawet mikrofałe mnie nie zabiją, zrobi to zimno. Zostawiliśmy słońce kawałek za Falklandami. Przez ostatnie trzy dni płynęliśmy pod zachmurzonym niebem. Morze się dostosowało – tłusto-szare, pniące się fale pędziły w stronę horyzontu z powagą i zaangażowaniem, jakby miały coś ważnego do załatwienia zaraz za krawędzią świata.

Fale – to słowo niesie w sobie obietnicę uporządkowanego postępu, stałego kołysania rozciągniętego po horyzont morza. O morzu można jednak powiedzieć wiele, ale nie to, że jest rytmiczne. Na jego powierzchni wciąż zderzają się przeciwstawne siły, skręcają się jak tysiące węży, które wrzucono razem, choć każdy chce się udać gdzie indziej. Zwłaszcza podczas złej pogody morze przestaje być jedną istotą. Staje się zbiorem wirów i kłębowisk zmierzających ku różnym celom.

Specjaliści od dynamiki fal stwierdzili, że falowanie oceanu układa się w pewien cykl. Zwłaszcza dziewiąta (zdaniem niektórych dziesiąta) fala wydaje się potężniejsza niż poprzednie i następne. Spędziwszy godziny na pokładzie pelengowym, stwierdziłam ze zdumieniem, że faktycznie istnieje jakiś wzór. Fale

wznosiły się w identyczny sposób, statek je przecinał, spod dziobu w powietrze wznosiły tysiące kropelek, a następnie kadłub opadał i uderzał głucho o powierzchnię wody. Pokład znikał, stopy traciły oparcie. W brzuchu coś się przewracało, jak podczas nagłego zjazdu kolejki górskiej. Ho ho! – wołał statek. I wtedy, właśnie kiedy wydaje ci się, że trzymasz się mocno poręczy i nie zaskoczy cię kolejne zanurzenie, pojawia się większa fala.

Statek przygotowywał się do tej aberracji, tak jak my przygotowalibyśmy się do dnia sądu. Kadłub wiedział, co się szykuje. Unosił się wyżej niż przy zetknięciu z innymi falami. Wtedy nadchodziła chwila, w której stalowy autorytet statku i grawitacja zaczynały spór. Fala ustępowała spod nas, zostawiając pustą przestrzeń. Statek zawisał na sekundę, po czym z jękiem zaczynał opadać, prosto w otchłań, jaka została po fali. Och! Łup! Trzask! Plusk! Statek wydawał z siebie ryk, kiedy woda uderzała o dziobówkę, po czym ustępowała, wracając tam, skąd przyszła. Nie brzmiało to jak chluśnięcie wody, raczej jakby na pokładzie rozbiła się szyba. Potem cały cykl zaczynał się od nowa. Ta symfonia miała inną tonację niż w przypadku fal, które nadeszły wcześniej lub pojawiają się później. Zaczęłam liczyć i stwierdziłam, że faktycznie to bezkrólowie występują co dziewięć lub dziesięć fal.

Tego wieczoru morze się zmieniło. Uspokoiło się, jakby ktoś wydał mu rozkaz.

– Góry lodowe – powiedział kapitan David. – Jeszcze ich nie widzimy, ale są na radarze. – Pokazał mi żółte łódeczki rozrzucone po błękitnym ekranie radaru. Duże góry opierają się falom, uspokajając ich rytm i zmieniając cykl. Kra, krążki lodowe i pak lodowy mogą całkowicie wygasić dynamikę fal.

Po obu bokach kapitana stali starsi marynarze z przyklejonymi do oczu lornetkami.

– Stół! – zawołał jeden z nich, starszy marynarz o imieniu George.

Na to właśnie czekaliśmy. Stołowe góry lodowe to strażnicy Antarktydy. Kiedy zaczynają się pojawiać, wiadomo, że kontynent jest już blisko.

Odkąd przekroczyliśmy konwergencję, widywaliśmy pojedyncze góry lodowe, były one jednak małe. Oficerowie i starsi marynarze trzymali całodobową wartę, wypatrując gór lodowych i growlerów, czyli ich odłamków. Stali na mostku i wpatrywali się przez lornetkę w fale.

Najpierw zobaczyliśmy góry piramidalne. Miały trójkątny kształt i wyglądały jak statki widma, którym zamarzły rozwinięte żagle.

– Na początku były górami stołowymi – wyjaśnił George. – To już ich ostatnie chwile. – Trudno było uwierzyć, że góry są początkowo taką potęgą, a kończą jako te skazane na zagładę odłamki.

Pierwszą górę stołową zobaczyliśmy o zmierzchu, który teraz zapadał bardzo późno, koło dwudziestej trzeciej. George podał mi lornetkę.

– Do zwrotu przez rufę! Ster prawy! – rozkazał.

Góra była za daleko, żebym mogła obejrzeć ją gołym okiem. Zobaczyłam niski, biały klin, wyglądający jak przymocowana do oceanu półka. Za nią rozpościerało się różowe niebo.

Wszyscy zgromadziliśmy się w położonym na rufie laboratorium, żeby mieć

lepszy widok. Góra była najmniej rzeczywistą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałam. Wpatrywałam się w nią, ale jakaś część mojego umysłu odmawiała przyjęcia do wiadomości tego, co widzę.

Wyglądała jak półka. Trochę przypominała białe klify w Dover. Widziałam, jak fale rozbijają się o jej krawędzie. Ten klif był jednak bielutki niczym zęby i rozświetlony od wewnątrz, jakby miał platynową lampę w środku.

Wróciliśmy na mostek. Otworzyliśmy drzwi i się wzdrygnęliśmy. W miejsce morza za oknami pojawił się lód. Drogę zagroził nam kolejny stół. Jego potężne ściany wznosiły się nie dalej niż dwa lub trzy kilometry od dziobu statku. Lód górował nad nami jak zamarznęty wieżowiec. Statek trzymał bezpieczny dystans, płynąc wzdłuż granicy turkusowej wody, która otaczała górę – słodkiej, gęstszej i zimniejszej niż morze. Radar sprawdza się w przypadku rzeczy, które są ponad powierzchnią, ale nie pokazuje zanurzonej części góry.

Biel to bardziej złożony kolor, niż mi się wcześniej wydawało. Stara góra lodowa, która jest na morzu od dawna, ma barwę kości słoniowej i nie lśni już fosforyzującym blaskiem. Można też zobaczyć przezroczystą biel ociekającego wodą lodu, przydymiony opal, różowawą biel, metaliczną, niemalże błękitną biel prądu elektrycznego lub błyskawicy. Jest biel blada i matowa. Niebo też było wtedy białe, zaciągnięte lodowatymi chmurami.

Minęliśmy tę lodową twierdzę, a na wodzie zaroilo się od trapezów i wieloboków, między nimi wiły się kanały. Na krawędzi kry znajdowały się substancje, których nazwy wkrótce poznam: lód granitowy, lód diamentowy, chmury lodowe. Wyglądały jak gruz albo owsianka – małe grudki lodu tworzące konstrukcje, przekształcające wodę w stalowe belki, kopce termitów, skamieniałe drzewa. Atakowały mnie swoimi kształtami, wymuszając porównania.

Martin, pierwszy oficer, powiedział mi, że na Antarktydzie góry lodowe często przypominają statki. Mają szerokie dzioby i rufy – to optymalny kształt do wykorzystywania siły wiatru. Wspomniał, że w 1927 roku zaobserwowano górę lodową o długości stu sześćdziesięciu kilometrów. Największa góra lodowa widziana w miarę niedawno, bo w 1965 roku, miała sto czterdzieści kilometrów długości i powierzchnię siedmiu tysięcy kilometrów kwadratowych – była więc mniej więcej rozmiaru Belgii.^[2]

Jednak niezależnie od ich rozmiarów w momencie powstania, kiedy już trafiają do wody, rozpad jest szybki. Procesy topnienia i erozji są nieubłagalne, więc jak tylko góra oderwie się od lodowca, zaczyna znikać. Jej dni są policzone w momencie, w którym opuszcza dom i wyrusza na wędrowkę. Po dwóch miesiącach na morzu wszystkie góry, z wyjątkiem tych największych, przestają istnieć.

O północy w mojej kabinie pełno wędrujących cieni. Gaszę górną jarzeniówkę i patrzę, jak się gromadzą. Noc chyba już wie, że jej czas dobiegł końca. Wkrótce, za dzień lub dwa, ciemność zniknie. Czy będziemy za nią tęsknić? Noc należy do wspomnień, to sfera bezpieczeństwa i ukrycia. Kiedy skryje się za

krzywizną ziemi, możemy poczuć się wyzwoleni albo wystawieni na niebezpieczeństwo. Zrozumiałam, że noc jest wymiarem, tajemniczym czasem przegrupowania i naprawiania, być może niezbędnym, jeśli chce się stawić czoła badawczemu światłu dnia. Niekończąca się jasność może nadszarpnąć nasze nerwy, aż zostaną z nich strzępy. Wkrótce będziemy żyli w słonecznym czasie terazniejszym. Przez kolejne trzy miesiące nie zobaczą nocy.

Budzę się z długiego snu i widzę biały pył. Na tle nieba odcinają się ciemne sylwetki drzew, czarne ptaki buszują wśród gałęzi. Pokryte bielą pola, gdzieś sterczy zeszłoroczne siano, podobne do malutkich postumentów z brązowego szkła. Jestem sama na werandzie, zawinięta w koc. Robi się tak od pokoleń – zostawia dzieci na zewnątrz w temperaturze minus trzydziestu stopni, żeby się zahartowały.

Mam dziesięć lat i wciąż to robię. Zawijam się w narzutę z króliczych skórek, którą własnoręcznie zrobiłam z futerek zwierząt, na które zastawiałam sidła. Nasze niebo jest puste. Nie latają po nim samoloty. Nie słychać dźwięku pojazdów, od czasu do czasu tylko pojedynczy samochód przemyka po aksamitnym asfalcie naszej szosy. Słychać jednak słabe buczenie, a potem świst. Następnym razem usłyszę ten dźwięk dopiero, kiedy pojedę na Antarktydę. To krew płynąca w moich żyłach, prąd o niskim natężeniu produkowany przez ciało.

Pola są bure. Liście są w kolorze fuksji, ale bladożółta ziemia wygląda na pokonaną. Zamyka się już w sobie. Jest październik. Świat czeka na doroczne zniszczenie siane przez zimę.

Jesień to pracowity okres. Od września do listopada gromadzimy zapasy. Jesienią polujemy, każdego dnia powietrze jest naznaczone strzałami. W wieku ośmiu lat umiem posługiwać się bronią, kiedy skończyłam dziesięć, pozwolili mi zabijać.

Najlepiej z całej rodziny strzela moja prababcia. Kiedy dziadek był w moim wieku, nauczyła go strzelać. Teraz kolej na mnie. Najpierw każe mi oprzeć się o drzewo, żeby nie przewrócił mnie odrzut broni. Pokazuje mi, jak czyścić i nabijać strzelbę, a także jak bezpiecznie przechowywać amunicję. Jedną z pierwszych rzeczy, które nauczyłam się odczytywać, jest kaliber pocisków na pudełku.

Jesienią obdziera się ze skóry króliki, wiesza i skubie kuropatwy i cietrzewie. One też trafią do zamrażarki. W ogrodzie trzeba pozbierać śliwki i przerobić je na dżem, ciasta, babeczki, ciasteczka i marynaty. W lecie robiliśmy to samo z truskawkami, malinami, jagodami i porzeczkami, w takiej właśnie kolejności. Nauczyliśmy się tego wszystkiego od prababci, która umie ścinać drzewa jak mężczyzna i jest pomyslową gospodynią. To ona dzierga dywaniki, szyje kołdry, wyprawia skóry, pod którymi śpimy.

Nawet teraz, kiedy prababcia jest już poskręcaną przez reumatyzm staruszką, boję się jej. Czegoś w niej brakuje, jakiegoś niezbędnego

elementu. Może bez niego żyć, tak jak da się żyć bez kończyny. Jest zabawna, tak jak wszyscy moi krewni – bohaterowie sztuki teatralnej, wystawieni na konflikty i konfrontacje, ale nawet w wieku dziesięciu lat widzę, że jest sprytną manipulatką, która dba tylko o własną korzyść.

Zeskakuję z werandy, gotowa na następną lekcję. Idę za nią. Wetknęła strzelbę pod ramię, ubrana jest we flanelową koszulę. Pali fajkę. Z tyłu nie da się stwierdzić, czy jest kobietą, czy mężczyzną.

Ziemia wydaje z siebie dziwne dźwięki. Skrzypi i wzdycha. Zrobiło się cicho, choć nie z wyboru. Jakimś cudem wiem, że nadchodząca właśnie długa, cicha zima nie przyniesie nic dobrego.

Mam jedenaście lat. Nie ma już werandy. Nie ma domu. Zniknęły jak w magicznej sztuczce – takiej z serwisem do herbaty i obrusem. My jesteśmy tym, co zostało. Jesteśmy stołem.

Mój dziadek ma naprawdę kiepską karmę, jeśli chodzi o samochody. Kupuje kolejne używane auta – forda takiego, chevroleta owakiego – w których coś jest zepsute. Jeśli nie układ kierowania, to alternator. Rezultatem są godziny spędzane na poboczu przy wozie z podniesioną maską. Musimy łapać stopa, żeby dostać się do domu. Tworzymy świetną ekipę włóczęgów – ja oczarowuję kierowców, a on skłania ich, by zawieźli nas jak najdalej.

Czasami znika, po czym odkrywamy, że był u buddystów. Nie jestem pewna, kim są buddyści, ale założyli klasztor na przylądku. Podobno nasza prowincja leży na potężnych żyłach energii. Mówi nam to, kiedy wraca do domu ze swoich tajemniczych weekendów w klasztorze, gdzie doskonale się bawi, grając na organkach i opowiadając historie o czasach, kiedy całe rodziny, łącznie z końmi i psami, ginęły na lodzie pokrywającym wewnątrzłądowe morze, pośrodku którego mieszkamy.

Buddyści podrzucają go do domu, trzeźwego, w poniedziałki rano. Do tego czasu moja babcia jest już przekonana, że leży martwy gdzieś w rowie od co najmniej dwóch dni. Przynosi do domu doskonałe, makrobiotyczne babeczki, które pieką buddyści.

Kiedy indziej łapię go na malowaniu rzęs w łazience. Stracił prawie całe brwi i rzęsy w czołgu w czasie wojny. To było na Sycylii – z całej załogi czołgu tylko on ocalał. Lubi nakładać sobie tusz do rzęs, żeby podkreślić te resztki, które mu zostały.

– Dobrze to wygląda, nie sądzisz? – Frankenstein odwraca się do mnie. Nie było wtedy jeszcze wodoodpornych tuszów.

– Chyba trochę za dużo nakładasz – odpowiadam, wycierając strużki czerni patyczkiem do uszu.

– Skoro tak się znasz na tuszach, to mnie pomaluj.

– Gotowe – mówię i oddaję mu z powrotem szczoteczkę.

Patrzy w lustro i się uśmiecha. Później też będzie to robił – kiedy już straci wszystkie zęby. Będzie wyjmował sztuczną szczękę i szczyrzył się do lustra,

robiąc miny i obdarzając się bezzębnym uśmiechem człowieka, który nagle wygląda staro.

[\[2\]](#) W 2000 roku powstała największa widziana góra lodowa B-15. Miała trzysta kilometrów długości i powierzchnię jedenastu kilometrów kwadratowych – prawie tyle, co Irlandia Północna.

6. POCHODZENIE I SKUTKI DZIAŁANIA WODY

LÓD STŁOCZONY

Lód o łatwych do zaobserwowania nierównościach powierzchni. Lód, który narastał i rozwijał się w trudnych warunkach.

10 GRUDNIA

Zatrzymuję się na progu kabiny Maxa. Waham się, czy wejść. Wezwał mnie, wysyłając mi maila ze swojej kabiny, położonej pokład wyżej niż moja.

W ostatnich dniach opowiedział mi więcej o swoim życiu. Mówi, że spędził rok między studiami licencjackimi a magisterskimi, pracując na „luksusowych jachtach” na Morzu Karaibskim. Jako doświadczony żeglarz był „członkiem załogi, a nie tylko kelnerem. Mogłem czasem żeglować”.

– I jak było?

Wzrusza ramionami.

– Wszyscy byli bogaci. Kobiety napalone.

– Ale serio, jak było?

Marszczy brwi.

– Raczej niezbyt pouczająco. A przynajmniej nie tak, jak bym chciał. Mogłem sobie naprawdę fajnie pożeglować. Poza tym jednak było monotennie. Bardzo bogaci ludzie są tacy nudni. Właściwie tęskniłem za mamą.

Jego matka jest prawnikiem. Pracuje w Czerwonym Krzyżu w Genewie. W tej chwili jest w Sudanie, pomaga stworzyć kodeks cywilny obejmujący prawa kobiet. Max jest z niej dumny. O ojcu mówi bardziej wymijająco.

– Jest teraz w Dubaju. Chyba – opowiada mi o siostrze, która jest kilka lat starsza. – Jest na stażu w ONZ w Nairobi.

– Co powiedziałaś swojej rodzinie o Antarktydzie? Jak dotąd?

– Że jest pięknie. I zimno.

Napalone. Zimno. Jego język jest jak Islandia, składa się z ognia i lodu. Mimo to w zasadzie nie porusza go to doświadczenie. Co zmusiłoby go do gorętszych uczuć? Jest w nim jakaś bierność. RzUCA wyzwanie rzeczywistości, żeby popchnęła go do działania. Mam wrażenie, że nie chce, żeby cokolwiek zrobiło na nim wrażenie. Nawet kąciaki jego ust o tym świadczą. Opadają starannie jak prześcieradła w drogim hotelu.

Taka bezwstydną pewnością siebie powinna roztoczyć wokół niego martwą strefę, pole pożerające energię. Jest też jednak przeciwny prąd – ogromna hojność, chęć do rozmowy z każdym, zdziwienie tym, jak działa świat, świeże i nieskażone cynizmem. Staje się bierny, kiedy musi rozmawiać o swoim życiu

i uczuciach. Wtedy za wszelką cenę przedstawia wszystkie doświadczenia jak kupki gruzu.

Statek posuwał się do przodu w słabym blasku świtu, który w najbliższych dniach stanie się dla nas synonimem Antarktydy – przejściowe światło, które nie jest ani dniem, ani nocą. Na ekranie laptopa Maxa wyświetlały się linie, kreski hieroglifów, rzędy liter, cyfr i symboli znanych jako kod komputerowy.

Rozmawialiśmy znowu o naszej wspólnej wizji zimnej, uśpionej ziemi, tkwiącej w pułapce wiecznej zimy, która będzie trwała dziesięć tysięcy lat. Ludzie żyli zbyt krótko, żeby być świadkami całego tego wydarzenia, ale człowiek współczesny zobaczył końcówkę epoki lodowej niecałe dziesięć tysięcy lat temu.

Czy dało się zaobserwować moment, w którym lądolód zaczął wycofywać swoje długie macki, orząc przy tym ziemię? Czy te grupy myśliwych i zbieraczy miały świadomość zmiany klimatu? Czy przeczuwały, że kończy się czas głodu? Wrócą karibu, morza się cofną, odsłaniając ławice trzepoczących ryb. Czy można było dostrzec punkt zwrotny? Tego właśnie dotyczyły obliczenia Maxa.

Rozmyślałam o rozkwicie nowego gatunku literackiego, jakim była nowela, w dziewiętnastowiecznych Niemczech. Ówczesni wielcy literatury, tacy jak T.W. Schlegel i E.T.A. Hoffmann zdobyli sławę dzięki tej zagadkowej formie, zawieszanej gdzieś pomiędzy opowiadaniem a powieścią. Krytycy literaccy z epoki wskazali wspólny mianownik tego gatunku, nazywanego wówczas *nouvelle*, co po francusku oznacza zarówno „wiadomość”, jak i „nowy”. Nowele kręciły się wokół punktu zwrotnego, po niemiecku *Wendepunkt*. W każdym z tych tekstów da się zidentyfikować moment, który zmienia i przeddefiniuje wszystko, co wydarzy się później, zarazem rzucając jaśniejsze światło na wcześniejsze wydarzenia.

Zdałam sobie sprawę, że we własnych pracach stosowałam się do tej zasady, przynajmniej mniej więcej. Opowiadanie albo powieść powinny zawierać moment, który – gdyby można go unieważnić – wpłynąłby na wszystko, co się wydarzy potem. Moment, który zmienia przyszłość.

– Możesz mi to pokazać na obrazku? – spytałam Maxa. Liczyłam na to, że zamiast liczb zobaczę trójwymiarowy model.

– Oczywiście. – Max zmienił okno i na ekranie pojawił się polodowcowy, ociekający wodą ląd. Pod modelem była lista kategorii: suma pojedynczych obciążeń, prędkość przesuwu, naprężenie ścinające. Dopisał kolejne: zanieczyszczenia w lodzie, ciśnienie wód subglacjalnych.

– Po co to?

– Do rozdziału, który piszę na temat pochodzenia i skutków działania wody.

Ta fraza utkwiała mi w pamięci. Pochodzenie i skutki działania wody. Polodowcowy, nasiąknięty wodą krajobraz stworzony przez Maxa wyglądał znajomo. Zobaczyłam drzewa iglaste, bagna, gnejsy i łupki. Pokryta żłobieniami prowincja, z której pochodzę. Roje meszek w lecie, łosie, wilki. Wtedy pojawił się nieuporządkowany ciąg obrazów przypominających pocięty na kawałki film.

Zobaczyłam na nich przyczepę, w której zamieszkaliśmy po tym, jak nas wyrzucono z drewnianego domku dziadków. Płonące budynki, wypadki samochodowe, pogrzeby, porzucone domy, kolejne wypadki, alkohol, więcej alkoholu, aresztowania albo prawie aresztowania, cudowne ułaskawienia, ucieczki w środku nocy.

Kim bym była, gdybym wiedziała to, co Max? Zazdrościć komuś jego wiedzy nie jest chyba niczym lepszym czy też bardziej szlachetnym niż zazdrość wywołana jego stanem posiadania. Znowu zaczęłam studiować hieroglify jego matematycznych równań. Jestem już za stara, pomyślałam, nigdy tego nie zrozumie.

– Idę do pomieszczenia z solomierzem. Chcesz iść ze mną?

Poczułam się nagle bardzo samotna. Nie chciałam wracać do swojej kabiny. Czekają tam na mnie tylko pocztówki z ekspedycją Shackletona i jego biednymi psami zaprzęgowymi, które patrzą, jak lód zawłaszcza statek.

W pomieszczeniu z solomierzem Max usiadł na stołku w swojej typowej pozycji orła – czujny, z nogami podwiniętymi pod siebie. Stałam plecami do zlewu, na szeroko rozstawionych nogach, żeby nie stracić równowagi. Kolana przyjmowały całą siłę wstrząsów będących skutkiem stykania się kadłuba i betonowej powierzchni oceanu. Wydawało się, że statek zbudowany jest nie ze stali, ale z najcieńszej membrany.

– Dlaczego woda zamarza? – Max zaczął mnie przepytwać.

– Bo robi się zimna.

Zachmurzył się. Oczekiwał prawdziwej odpowiedzi. Zaczął opowiadać historię, która nadal mnie szokuje.

Kryształki lodu są oczywiście zbudowane z wody, ale choć nie jest to najbardziej skomplikowany obszar nauki, napotyka tu tajemnicę. Tajemnicę, od której zależy nie tylko zachowanie wody, ale także lodu, a zgodnie z prawem przyczyn i skutków, wszystko na naszej planecie.

Na początku kryształły są wodą. Choć jednak żyjemy w czasach rozszczepiania jądra atomowego i fizyki cząstek elementarnych, zachowanie wody podczas zamarzania wciąż jest zagadką. Większość substancji kurczy się i gęstnieje podczas zamarzania. Woda jest wyjątkiem – rozszerza się i staje mniej gęsta. Gdyby było inaczej, na ziemi nie istniałoby życie. Gdyby lód był gęstszy niż woda, zapadałby się na dno jezior i oceanów, dławiąc je. Zabrakłoby miejsca dla wody, a to w niej narodziło się życie. Przez miliardy lat mikroorganizmy rozwijały się w wodzie. Lód unosi się na wodzie, ponieważ ma mniejszą niż ona gęstość, co oznacza, że woda zamarza, kiedy wchodzi w kontakt ze spodnią warstwą lodu. Dzięki temu zamarza od góry, a w głębinach oceanu życie może trwać, nawet w niskich temperaturach.

Oboje w tym samym momencie spojrzeliśmy na zegarki, które nie były nam tak naprawdę potrzebne. Nasze zinstytucjonalizowane żołądki wiedziały, że jest 18.25. Za pięć minut podadzą kolację. Wypadliśmy z labu i popędziliśmy do kabin, żeby się przebrać.

Tego wieczoru znowu się rozdzieliliśmy. Max siedział naprzeciw kapitana,

którego wziął w krzyżowy ogień pytań. Nie słyszałam, co mówią, ale obserwowałam ich mowę ciała. Kapitan David był trochę najeżony, ponieważ Max nie okazywał należytego szacunku. Miałam ochotę przemknąć do Maxa i powiedzieć mu, że irytowanie kapitana statku antarktycznego nie jest zbyt mądrym posunięciem. Kapitan mógł go wysadzić w kolonii pingwinów albo zostawić do pilnowania jakiegoś masztu radiowego. Zabrałby go dopiero za rok następny statek BAS-u.

Kiedy podawano danie główne – podsmażane małże, za oknami salonu przesuwwały się potężne góry lodowe. Siedzieliśmy w eleganckich strojach, otwierając butelkę macon-villages, ze ścian zaś patrzyły na nas portrety królowej i księcia Edynburga. Jeśli jednak uderzylibyśmy o niewykrytą flankę góry lodowej, w jednej chwili musielibyśmy zacząć walczyć o życie. Wyobraziłam sobie statek odwrócony do góry dnem i siebie, w czarnych dżinsach i kozakach, skapaną w lodowatej zupie na wodzie polarnej i lodzie, wymiotującą, skuloną na dmuchanej tratwie.

Statek płynął ostrożnie przez aleję gór lodowych. Mijały nas, ich ściany lśniły bursztynowo w zachodzącym bez przerwy słońcu.

11 GRUDNIA

W środku nocy ze snu wyrywa mnie dźwięk sterów strumieniowych. Znowu stoimy. W normalnych okolicznościach zatrzymanie statku na pełnym morzu oznacza katastrofę. Nawet ciało szczura lądowego rozumie to instynktownie.

Mniej więcej co sześćdziesiąt kilometrów oficerowie muszą unieruchomić statek, żeby można było dokonać pomiarów przewodności, temperatury i gęstości w słupie wody. Program cyklicznych badań hydrograficznych w Cieśninie Drake'a to dorocznie prowadzone pomiary słupa wody w Antarktycznym Prądzie Okołobiegunowym. Oceanografowie nazywają tę podróż „transektem”. Badania prowadzi się co roku, dokładnie w tym samym miejscu i czasie. Odczytuje się współrzędne GPS i zaznacza przystanki, zwane stacjami, małymi iksami na głównej mapie.

Silniki zgasły. Falom nie podoba się nasz bezruch. Uderzają o kadłub i kołyszają nim. W ich ruchach czuć zachłanną potrzebę przykucia uwagi, której nie ma, kiedy płyniemy. Mogę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby statek zaczął tu tonąć. Te filmiki, które obejrzałam przed wyjazdem z Londynu, wpisywanie nocami w Google'a „katastrofy i wielkie fale” i oglądanie na YouTube filmów zatytułowanych „Potworna fala uderza w statek rejsowy”. Nikt nie wie, co się z nimi stało. Gdyby lecieli samolotem, wszyscy by o nich usłyszeli. Potworne fale występują coraz częściej. Miejsce ich najczęstszego występowania: Ocean Południowy.

Zastałam Nilsa przed komputerem w pracowni LKP (Laboratorium Kontroli Przyrządów – pełna nazwa budziła głupie skojarzenia, nikt jej więc nie używał).

Znowu trzymał nogi na stole. Przez monitor przesuwawała się kolejna rzeka cyfr, zmieniały się zbyt szybko, żeby dało się je odczytać.

Nilsowi brakowało dwóch lat do skończenia doktoratu na temat poboru dwutlenku węgla na Oceanie Południowym. Skończył fizykę i, podobnie jak Max, chciał zastosować swoją wiedzę w praktyce, przyczyniając się do zrozumienia zmian klimatu. Zajął się więc oceanografią.

– Po co nam te sondy CTD? – spytałam.

– Bo Ocean Południowy odgrywa istotną rolę w systemie ocean – atmosfera. Zasadniczo, gdyby nie on, nie byłoby Prądu Zatokowego i wielu innych prądów. Próbuje sprawdzimy, czy woda w Cieśninie Drake’a się ociepla, a jeśli tak, to na jakim poziomie słupa wody.

Nils wyjaśnił to wszystko spokojnym tonem przyszłego wykładowcy. Nadawał się na przyjaciela lepiej niż Max. Był miłym, refleksyjnym człowiekiem. Lubił pożyczać książki, które przywiozłam, żeby mieć gdzie szukać różnych informacji, choć mało z nich rozumiałam. Czytał je, a w miejscach, które go szczególnie zainteresowały, naklejał żółte karteczki. Potrafił czuć wyrzuty sumienia, tak przynajmniej wynikało z rozmów na temat nieudanych związków, podczas gdy dla Maxa wyrzuty sumienia znaczyły tyle samo co góralek drzewny lub rzadki kameleon. Mimo to nasza znajomość nigdy nie przerodziła się w pełne zrozumienie, choć byliśmy względem siebie serdeczni.

To Max, zmienny i wybuchowy jak bomba zegarowa, stał się moim powiernikiem. Wpadał do mojej kabiny bez zaproszenia, przynosząc kubki z herbatą. Zdradzał swoją niepewność – co utwierdzało mnie w przekonaniu, że jest zwykłym śmiertelnikiem. Za tę zażyłość trzeba było jednak zapłacić. Wiedziałam, że uważa mnie za dziwną i ekscentryczną. Tak jak wielu młodych ludzi, nie ufał tym, którzy są na tej planecie dłużej, jak gdyby doświadczenie było czymś podejrzanym. Rzucał mi nieufne spojrzenia, jakbym była ukrytym wrogiem. Miał mnie więc na oku, co dzień naruszając moją przestrzeń. Jeśli podchodziłam do niego, kiedy siedział pochylony nad laptopem, sztywniał i wygaszał ekran.

– Nie pracuję dla kontrwywiadu, wiesz?

Widziałam, jak się zamyka.

– Mam skłonność do bycia tajemniczym.

– I to jest powód do dumy?

Było za wcześnie na bezpośrednią konfrontację – mieliśmy spędzić jeszcze przynajmniej dziesięć dni na morzu – więc odeszłam.

Snułam się po statku z notesem i dyktafonem, zapisując zagadkowe zwroty z dziennika pokładowego i map Admiralicji przedstawiających Ocean Południowy, robiąc zdjęcia różnych instrumentów i odczytów GPS, ekranu radaru z rozrzuconymi na ciemnobłękitnym polu malutkimi, żółtymi klinami.

Przez cały dzień i całą noc sonda CTD zjeżdżała, bardzo wolno, i równie wolno się podnosiła. Zadaniem Maxa było wyciąganie kanistrów, kiedy sonda wracała na pokład, i mierzenie zasolenia. Próbowalam słuchać ich rozmów, ale Max, Emilia i Nils mówili w obcym języku. Był to język duchów albo gwiazd, albo

ciągłych tajemnic. Dynamika płynów, metoda różnic skończonych albo metoda spektralna, korekcja i linearyzacja przepływu, symulacje przejściowe, zróżnicowanie strefowe, nocny prąd strumieniowy.

Zatarły się różnice pomiędzy nocą a dniem. Siedzieliśmy nocą w pracowni LKP, do pierwszej, drugiej, trzeciej nad ranem. Ciemność nie przychodziła, nocne światło było nieco przygaszone, nierówne.

Zastanawiałam się, czy istnieje granica nocy, niewidzialny południk, próg, po przekroczeniu którego wpadamy w niekończący się dzień. Myślałam o nocnych mapach w samolocie, tych, które pokazują, jak ciemność przesuwa się po kuli ziemskiej. Skraj nocy zbliża się do kontynentu, a następnie nieubłaganie się przez niego przekrada. Granica między dwoma krajami. Język tego drugiego może być nam obcy. Możemy nie dostać pozwolenia na powrót, kiedy już przekroczymy granicę.

– Chodź, przejedziemy się.

– Dokąd?

Nie ma celu. Jeździł, żeby oddalić się od zamieszania, żeby podjąć daremną próbę ucieczki od tego gigantycznego kontynentu, który nas trzymał. Wszyscy tak robili. Ja też to kiedyś zrobię.

Już wcześniej tego wieczoru można było dostrzec, co się święci. Potrafiłyśmy odczytać swój los, patrząc, jak zaparkował. Odczytywałyśmy przeszłość w śladach opon na asfalcie.

W przyczepie, do której się przeprowadziliśmy, kiedy jego matka stwierdziła, że bardziej jej się opłaca sprzedać dom parze artystów z Bostonu, nie ma się gdzie schować.

Jestem pod łóżkiem, babcia zabarykadowała się w pokoju. Wyłamuje drzwi. Słyszę trzask łamanych mebli i jej krzyk. Wywleka mnie spod łóżka jedną ręką. Ślizgam się na zakurzonej, filcowym dywanie.

Przez otwarte drzwi widzę babcię. Siedzi skulona na podłodze, z ust cieknie jej strużka krwi. Roztrzaskane okulary leżą na podłodze. Jedną nogę ma zagiętą pod dziwnym kątem.

Nie żyje, myślę. Nie żyje, zostałam już tylko ja i on. Zaczeka, aż będę większa i też będę tak siedziała na podłodze.

Jazdy zawsze wyglądają tak samo. Jestem w piżamie, kiedy wrzuca mnie na fotel dla pasażera. Nie mam pasów. Nigdy się nie boję. Gwiazdy, wierzchołki drzew, gwiazdy, wierzchołki drzew – zlewają się w jedno, jakby były wyciosane z klejnotów i cieni.

Prowadzi w zapadających ciemnościach, slalomem od jednej krawędzi szosy do drugiej. Nie dlatego, że jest pijany. Świetnie prowadzi po pijanemu. Nie, nudzi mu się. Na wirażu wyjeżdża na żwir, za mocno skręca kierownicę i dachujemy w rowie. Jest jak na szybkoobrotowej karuzeli, na której jeżdżę podczas festynu w North Sydney każdej jesieni.

Uderzam o szybę, po czym spadam z powrotem na siedzenie. Czuję, że

moje ciało wiotczeje, jak u szmacianej lalki, którą zostawiłam pod łóżkiem.

Obok mnie on, nieruchomy. Zaczynam panikować. Jak go stąd wyciągnę? Jak wrócę do domu? Jest środek nocy, nie wiem, gdzie jesteśmy. Jestem jeszcze tak niska, że na siedząco nie widzę nic przez szybę.

Po pięciu minutach wraca mu przytomność.

– Co do...? – Dotyka dłonią szczęki. – Ha, ha – śmieje się. – Nieźle, co?

– Jak wrócimy do domu?

– O to się nie martw. – Nadal masuje sobie szczękę. – Nic się nie martw.

Mówi, że ktoś nas zauważy, ale nic nie jedzie. Kilka godzin później nadal tu tkwimy. Jest mi zimno. Obejmuje mnie i ściska mocno.

Niesie mnie tej nocy do domu, maszerując przez dwie godziny po ciemnej szosie. Kiedy wracamy, babcia siedzi w fotelu. Na nosie ma okulary, chociaż lewe szkło jest stłuczone. Nie widzę wyrazu jej oczu.

Znosimy te epizody, które od czasu do czasu przychodzą, pojawiają się jak grzyby w zaniedbanym rogu pola. Przynosi do domu śmiesznie niską pensję ze stoczni, potem z kopalni. Kiedy i ją zamykają, dostaje rentę jako weteran. Zawsze coś robi – łowi ryby, zastawia sidła, poluje, patroszy, tnie na kawałki, mrozi. Pije.

Wszyscy piją. Na niego alkohol działa jednak inaczej niż na innych. Innych alkohol usypia, chrapią przy kuchennym stole do rana. Z ust ciekną im strużki śliny, a stopy mają tak lodowate, że muszą je potem wkładać do letniej wody, jak ofiary odmrożeń.

Alkohol wyzwala w nim demona. Nie jest to przyjacielski, lubiący szybką jazdę demon, nie duchowy towarzysz, nawet nie jego mroczne odbicie. To czerwonoskrzydły smok.

Wyobraźcie sobie dziewczynkę ze strzelbą. Jest wycelowana w demona, który siedzi przy stole z twarzą zamroczoną żądzą zniszczenia, z zaciśniętymi pięściami, krwawiącymi od uderzenia w ścianę. Demon zwyciężył, ściana się poddała.

Dziewczynka obrzuca całą scenę zmęczonym spojrzeniem. Za boazerią są czerwone kable, prawdopodobnie telefoniczne. Wiszą jak strzępki nerwów. Będzie potrzebowała telefonu, później.

Czerwony smok się ślini. Ma zniekształcone lewe ucho – płatek skóry, na którym widać pulsujące od krwi żyłki. Widzi pieniający się w jego płucach chaos. Smok nadaje się tylko do wchłaniania i wytwarzania tego tworu, mieszaniny furii i tchórzostwa. Kiedy uderza, jest jak podmuch wiatru nadchodzący z góry, jakby spadał z nieba. Trochę mu współczuje. Pewnego dnia też będzie miała smoka. Czysta furia, którą będzie się poił, będzie pachniała sokiem z buraków.

Przemoc to chmura, myśli. Zaciemnia horyzont, przychodzi i odchodzi według własnej logiki. Nie da się z nią walczyć, nie bardziej niż z pogodą.

Dziwny to więc obraz, chociaż wcale nie tak niespotykany w tym czasie i miejscu – dziewczynka w nocnej koszuli, kanapa z kiepską tapicerką, fotele

na biegunach i zielona wanna (w końcu to lata siedemdziesiąte), w jej ręku kaliber .303. Chociaż ma mniej więcej tyle wzrostu, ile lufa długości, nie ma problemu z przyłożeniem jej do ramienia i pociągnięciem za spust.

Głowa opada mu na fornirowany stół, ciało jest wciśnięte w tapicerowane krzesło o szeroko rozstawionych, metalowych nóżkach. Dziewczynka podnosi słuchawkę i wykręca numer babci, która pracuje jako kelnerka w Puffin Inn. Chociaż kable są w strzępach, telefon działa.

Rozmawia, kierując wylot lufy w stronę podłogi. Nauczono ją tak trzymać broń, chyba że jest gotowa oddać strzał. Jej słowa odbijają się echem w uszach zachłannych podsłuchiowaczy.

- Możesz już wrócić do domu.

7. WODY, KTÓRYCH NIE MA NA MAPACH

TARAN

Podwodny występ ściany lodowej, bariery lodowej, góry lodowej lub kry. Powstanie tarana zwykle spowodowane jest znacznie intensywniejszym topnieniem i erozją części nawodnej lodu.

12 GRUDNIA

Płyniemy przez przemieszczający się lód, rzeźbiony w trapezy i sześcioboki. Wydaje się nieruchomy, ale kiedy się zbliżamy, widać, że jest w ciągłym ruchu. Statek musi od czasu do czasu zwolnić, torując sobie drogę przez tę ruchomą układankę.

Pojawia się coraz więcej gór lodowych. Kiedy się spotykają, jęczą. Przypuszczam, że to rodzaj lodowego języka. Brzmia jak zniechęcone wieloryby. Powietrze jest ostre. Jest w nim nowa nuta, nie zimno, a przynajmniej nie do końca, raczej coś suchego.

Nie ma już nocy, tylko ponury półmrok. Jest tu coś żywego, ale ukrytego wewnątrz, leniwe, mlecznoszare zwierzę. Szarość, błękit, kredowa biel, srebrzystość. Dlaczego nie widziałam wcześniej takiego koloru? Coś we mnie odpowiada na wezwanie tego przyćmionego światła, dziwnie gorliwie. Pragnienie, żeby przeżyć, za wszelką cenę.

Im dalej wpływaliśmy w ten posepny zmierzch, tym więcej czasu spędzaliśmy na pokładzie, opatuleni w ciepłe rzeczy, wpatrując się z pełną przerażenia fascynacją w nowy krajobraz. Dzieliłam z Nilssem miejsce przy prawej burcie. Byliśmy na tyle nisko, że dało się dostrzec złobienia w powierzchni mijających nas gór lodowych. Widzieliśmy żyły żwiru sąsiadujące z płatami turkusowego, przezroczystego lodu, tak nieskazitelnego i urzekającego, że zapominaliśmy o robieniu zdjęć.

– To jest piękne – powiedział Nils, i to niejedynym razem. W jego głosie zabrzmiała nuta głuchego zachwyty, którą będę często słyszała na Antarktydzie. Był też lęk wywołany napotkaniem tak pięknego miejsca, które jest kompletnie nieporuszone naszymi spojrzeniami. W ciągu nadchodzących miesięcy w bazie Tom powie mi:

– Antarktyda jest jak idealny kochanek, który nie odwzajemnia twojego uczucia. Zabiera wszystko, co masz do zaoferowania, a w zamian nie daje niczego oprócz siebie. I w jakiś dziwny sposób to wystarcza.

Połączenie zimna i martwoty ma tak samo długą historię jak przeciwstawne

założenie, że ciepło jest pełne życia i słońca. Pod względem psychologicznym kontrast chłodu i ciepła jest równie dobrze znany. Często używa się go jako metafory w prozie. Weźmy lodowatą naturę Karenina i szarpiące Wrońskim chłód i gorliwość w wielkiej powieści Tołstoja *Anna Karenina* albo pannę Havisham Dickensa, która zamienia się w żywą rzeźbę lodową, kiedy nie chce zaakceptować upływu czasu. O ile jednak ciepło i zimno stały się znanymi tropami w psychologii, o tyle duchowy aspekt lodu zniknął z mapy dwudziestowiecznej kultury.

Ernst Haeckel był niemieckim biologiem, przyrodnikiem, filozofem, lekarzem, profesorem i artystą. W 1895 roku stworzył pojęcie „duszy-śniegu” – rodzaju skryzalizowanej duszy. Wierzył, że dusza to cielesna substancja, mająca postać gazu, który można skroplić pod ciśnieniem. Jeśli można go zamienić w ciecz, można go też zamrozić. Wtedy dusza będzie mogła zniknąć, ulecieć z wiatrem jak skremowane prochy. Nazywano to religijną termodynamiką. Na krótko zapanowała na nią moda. Próbowano zinterpretować boskość w kategoriach praw temperatury – była to kosmologia ciepła i zimna.

Postanowiłam odszukać Maxa (w końcu mówił po niemiecku, mógł słyszeć o Haecklu) i zapytać go, co sądzi o tej dziwnej teorii. Minęłam jego kabinę, wracając z górnego pokładu. Drzwi były otwarte, ale kotara zaciągnięta. Siedział przy biurku, a czoło opierał na dłoni. Włosy wyslizgnęły mu się przez palce. Wpatrywał się tępo w biurko.

– Co się stało?

– Och, nic takiego. – Nie brzmiało to przekonująco. Chyba zdał sobie z tego sprawę. – Właśnie się czegoś dowiedziałem... – Urwał. – O kimś... – Po raz pierwszy, odkąd weszła, spojrzał prosto na mnie. W jego wzroku widać było niepewność. – Właściwie mogę ci powiedzieć.

Liczył na to, że między nim a Emilią, studentką z Włoch, coś się zacznie, ale poprzedniego wieczoru powiedziała mu, że ma zamiar wrócić do swojego byłego.

– Nie mam pojęcia, co jej chodzi po głowie. Nie ma między nami prawdziwego porozumienia. Jest taka... – Zmarszczył brwi. – Nieufna.

Od razu to zauważyłam, ten typowy dla miłości brak logiki. Wiedział, że nic między nimi nie ma, ale nie zmieniło to jego uczuć.

Przeniósł się na pryczę, podciągnął swoje długie nogi i oparł brodę na kolanach.

– Przyzwyczailem się do tego, że dostaję to, co chcę. Zawsze tak było, kiedy kogoś pragnąłem.

– Cóż, nie zawsze tak będzie.

Spojrzał na mnie. Zauważył cierpką nutę w moim głosie.

– Nie szukałem jej – powiedział. Wyraz jego twarzy wydawał się znajomy. Wyglądał, jakby czuł się winny, bo marzy o cudzie. – Miłości.

Wyczułam pułapkę. Nie konwencjonalną, raczej coś w rodzaju sideł zastawionych przez los. Miały sprawdzić, czy jestem oddana życiu. Cokolwiek bym powiedziała, zabrzmiałoby banalnie. Podporządkowałam się więc.

– Zawsze tak jest, kiedy się pojawia.

Wstałam, żeby zostawić go sam na sam z nieszczęściem.

– Poczekaj. Nie idź. – Jego zielone oczy pociemniały, zmieniając się w migoczące od drobinek bólu węgielki. – Mogę pokazać ci kilka zdjęć?

Otworzył laptopa i zaczął otwierać kolejne obrazy. Pojawił się wąski, melancholijny pysk psa, wychudzonego niczym znak zapytania.

– To chart rosyjski – powiedział.

– Jak ma na imię.

– Bismarck. Ale mówimy na niego Biz.

Następny był basen, chłodny, turmalinowy prostokąt pośrodku trawnika, który wyglądał jak namalowany, taki był doskonały. Dom z dwiema wieżyczkami, krawędź góry za jedną z nich.

– To twój dom?

Przytaknął.

– Koło Zurychu. To dziwne. Uwielbiam tu być, pośrodku niczego, ale nigdy nie tęskniłem za domem bardziej niż teraz.

Pojawiła się wysoka blondynka. Miała oczy koloru basenu. Na nadgarstku nosiła złoty zegarek. Miała usta Maxa, a może on miał jej usta, z twarzy nie byli jednak podobni. Brakowało jej jego surowości i dramatyzmu. Obok niej stała jej własna fotokopia – takie same błękitne oczy, takie same lniane włosy.

– Moja matka i siostra – powiedział.

– Domyśliłam się. A gdzie twój ojciec?

– Nie ma go. Spędza teraz dużo czasu w Stuttgarcie. Najwyraźniej tam się teraz inwestuje.

– W Stuttgarcie? Myślałam, że to Zurych jest centrum finansowym.

Wzruszył ramionami.

– Prawda jest taka, że zarabianie kasy strasznie mnie nudzi.

W jego słowach zabrzmiała jakaś gorycz. Strasznie mnie nudzi – zazwyczaj wypowiada się to lekko, z westchnieniem wapniaka. Ale nie, pieniądze budziły w nim złość, ponieważ zabrały mu ojca.

Zerknęłam za okno. Morze przybrało kolor łożu. Na barierkach osadziły się kulki lodu. Posępna chmura, która unosiła się nad Maxem, była gęstsza niż kiedykolwiek.

Zrozumiałam, że myliłam się co do niego. Odczuwał za dużo, a nie za mało. Nie obracał swoich doświadczeń w kupkę gruzu, raczej oczekiwał na próżno, że dotrzymają obietnicy, która nigdy nie została wypowiedziana, i dodadzą mu życia. Nie doświadczył tylu strat, żeby skalibrować swoje emocje. Obrósł w tłuszczuk powodzenia. Z natury był jednak szczupły i ostrokatny, jak trójkąt równoramienny. Olśniewające dzieciństwo go uśpiło. Czekał na coś, co przywróci go do życia.

– Dziękuję ci za rozmowę – powiedział. Usłyszałam, jak się zamyka. Tak naprawdę mi nie dziękował. Chciał być tym, który mnie odeśle, żebym nie mogła go zostawić samego z bólem.

– Nie ma za co. – W moim głosie pojawiła się nowa, formalna nuta. A może po prostu jeszcze jej wobec niego nie użyłam. Zadzźwięczała w powietrzu między

nami.

Wyszłam na tylny pokład, położony nisko, zaraz nad wodą. Nie miałam kurtki. Było zimno, ale dało się wytrzymać. Oplotłam rękami burty i pozwoliłam, żeby zamoczyły mnie rozpryskujące się fale. Morze było względnie spokojne. Unosiło się lekko, fale nie miały więcej niż metr wysokości. Statek zatrząsnął się, spadając w dół rynnny. Woda była czarna i gładka, lśniła jak ciemny kamień.

Wyobraziłam sobie, że do niej wpadam, a statek się oddala, ugniatając fale, aż stanie się tylko białym światełkiem na horyzoncie. Sporo czasu minęłoby, zanim ktoś by zauważył, że mnie nie ma. Może zorientowaliby się dopiero następnego dnia? Opuszczałam czasem posiłki, bo nie chciałam przybrać na wadze (na statku to ryzyko jest dość realne, ponieważ co rano podawane jest pełne, angielskie śniadanie, a wieczorami jadamy steki), i nikt nie przychodził sprawdzić, czy przypadkiem nie wpadłam do południowego Atlantyku.

Umieranie w zimnej wodzie wygląda tak: najpierw jest szok wywołany zimnem, potem skurcz serca spowodowany nagłym zanurzeniem w wodzie o temperaturze zera stopni lub niższej. Następnie próbujemy nabrać powietrza, ale bez kamizelki ratunkowej i rurki z ustnikiem usta napełniają nam się wodą. W ciągu minuty woda zalewa nam płuca. Szok wywołany zimnem powoduje tak gwałtowny skok tętna, że zaczynamy oddychać w przyspieszonym tempie, próbując dostarczyć tlenu galopującemu sercu. Większość ludzi wtedy tonie, na długo przed popadnięciem w hipotermię.

Woda była taka czarna. Wyglądała niemal jak ciało stałe. Przypominała lukrecję.

– Hej!

Odwrociłam się i zobaczyłam, że ktoś idzie w moją stronę. Pomarańczowy kombinezon, kurtka wodoodporna, wełniana czapka. Zerknęłam na jego twarz. Nie spotkałam go jeszcze. Gdzie się ukrywał? Wyglądał na zaniepokojonego, ale zdecydowanego.

– Nie powinno cię tu być.

– Przepraszam – odparłam. – Nie wiedziałam. – To było kłamstwo. Doskonale wiedziałam, że nie powinnam wychodzić na pokład bez gumiaków, kasku i kurtki.

– Powinnaś pójść do środka. – Odprowadził mnie do drzwi, jakby był przekonany, że mam inne zamiary.

Po powrocie do kabiny stanęłam przed lustrem. Zobaczyłam drobną kobietę, nie całkiem znajomą. Miała trzydzieści siedem lat. Zszokowała ją łatwość śmierci na Antarktydzie, jej dostępność.

Tego wieczoru robiłam zdjęcia kobiecie w lustrze. Wciąż je mam w aparacie. Z jakiegoś powodu włączyłam tryb czarno-biały. Ruszyłam się podczas fotografowania, a może statek się zakołysał, na zdjęciach widać więc niewyraźne kształty: biel, czern, lustro i szarość. Niewyraźna postać. Duch.

13 GRUDNIA

Dzisiaj zaczęłam cykl wywiadów z ludźmi ze statku. Najpierw z kapitanem Davidem, potem z Elliottem, starym wyjadaczem z Antarktydy i dowódcą bazy w Port Lockroy, dokąd dopłyniemy za dwa dni i gdzie on wysiądzie. Pytam Elliotta o dawne czasy, kiedy zamiast sań motorowych wykorzystywano psy, a na Antarktydzie nie było kobiet.

– Tak naprawdę nie pochwalam obecności kobiet tutaj. – Elliott patrzy na mnie wyczekująco. Widzę, że czuje się urażony moim brakiem oburzenia. – To zakłóca równowagę, która tu kiedyś panowała. Mężczyźni zaczynają rywalizować o kobiety, a wtedy nie jest łatwo budować społeczność. Kiedy spędzałem tu zimę, tworzyliśmy jedność. – Podnosi rękę i pokazuje splecione palce. – Byliśmy niezwykłymi.

– Z tego, co słyszałam, społeczności złożone z mężczyzn i kobiet też potrafią zbudować takiego ducha – mówię. – Kilka osób mówiło mi, że ich zdaniem to dobrze, że kobiety przyjeżdżają na Antarktydę. Cywilizują wszystkich, a społeczność zyskuje stabilność emocjonalną.

– Za dawnych czasów było dobrze. Tylko my i psy. Nie mogliśmy liczyć na nic więcej. Był w tym spokój i pewien rodzaj chwały. – Rzuca mi kończące temat spojrzenie, które mówi: trzeba tu było być.

Ostatecznie jednak Elliott nie odgrywa dobrze roli skandalizującego bigota. Jest szarmancki i wygadany, stanowi też kopalnię wiedzy o Antarktydzie i Arktyce. Okazuje się, że mieszkał przez lata na Alasce i odnosił sukcesy jako poganianiec psów.

– Dlaczego obszary polarne? Co w nich widzisz?

– Po prostu kocham takie życie, w terenie. – Kiedy to mówi, jego ogorzała twarz jeszcze bardziej brązowieje. – Lubię być na zewnątrz, zawsze – w śniegu, na morzu, w powietrzu. No i mieliśmy coś ważnego do zrobienia w kwestiach naukowych. Poza tym trzeba było utrzymać prawo Brytyjczyków do tego obszaru.

Nie ze wszystkim się zgadzam, na pewno nie z imperialistycznym zabarwieniem tych słów. Ujmuję mnie jednak jego zachwyt i przekonanie. Jak je przekazać, bez popadania przy tym w ckliwość i zaślepienie, zwłaszcza skłonny do samouwielbienia czytelnikom, których emocje uległy już przytępieniu?

To pytanie, które zadaję sobie ciągle od nowa: czy możliwe jest przekazanie tych emocji w literaturze? I po co to w ogóle robić? Czasem trzeba po prostu żyć. Nie rejestrować, nie badać, nie przerabiać na sztukę i nie odwzorowywać w świecie wyobrażonym. Czy to dlatego czuję ciągły zachwyt? Czy dlatego czuję się, jakbym obudziła się z długiego snu, bo jestem otoczona ludźmi, którzy po prostu przeżywają swoje życie?

„Zbudowałaś karierę na smutku”. Staliśmy przed jego kabiną, czekając na Nilsa, żeby pójść razem na kolację. Max wyskoczył z tą repliką w odpowiedzi na

coś, co powiedziałam. Wzdrygnęłam się. Wtedy pojawił się Nils, a ja straciłam okazję do wygłoszenia riposty.

Siedziałam tego wieczoru przy tym samym stole, co Max, ale oddzielały nas dwie albo trzy osoby. Zarzucał swoich rozmówców pytaniami, podobnie jak to robił ze mną. Być może między nami nie było niczego wyjątkowego. Być może dla niego była to całkiem zwyczajna relacja. Kluczowe stawało się to, czy druga osoba odpowiadała. Nie wszyscy to robili. Jego dociekliwość i otwartość zachęcały do zwierzeń, ale wiedziałam już, że to złudne. Dlaczego wytrzymywałam? Czy aż tak rozpaczliwie potrzebowałam kogoś, z kim będę mogła rozmawiać?

Kiedy jedliśmy, w głośnikach rozległ się głos Davida, gładki niczym melasa.

– Panie i panowie, właśnie wpływamy do Cieśniny Gerlache’a.

Cieśnina Gerlache’a otrzymała imię po Adrienie de Gerlache’u, belgijskim odkrywcy, który w latach 1897–1899 wyruszył na Antarktydę na czele ekspedycji. Płynęli statkiem „Belgica”. Była to pierwsza wyprawa, która miała zamiar przezimować na Antarktydzie. Gerlache zamierzał pozwolić, żeby statek uwiązał w lodzie na początku południowej zimy, i czekać, aż siedem miesięcy później lód się stopi i go uwolni.

Jednym z uczestników wyprawy był człowiek, którego imię zapisze się w historii wypraw polarnych – Roald Amundsen, wówczas pierwszy oficer, później zaś pierwszy człowiek, który przepłynął Przejście Południowo-Zachodnie, jak również pierwszy człowiek na biegunie południowym. Podróż „Belgiki” była też pierwszą czysto naukową wyprawą na Antarktydę^[3].

Lód unieruchomił statek na początku marca. 19 maja zaszło słońce. Nie zobaczą go przez kolejne sześćdziesiąt trzy dni. Od samego początku plagą ekspedycji były spory, pijaństwo i brak dyscypliny. Chociaż de Gerlache zdołał pozbyć się awanturników, zanim statek dotarł do Antarktydy, jego ludzi zaczęły prześladować choroby, psychiczne i fizyczne. Jeden z członków załogi zmarł na atak serca, a co najmniej dwóch popadło w poważną depresję. Przez całą zimę Amundsen prowadził dziennik, podobnie jak lekarz wyprawy, młody Amerykanin Frederick Cook. On również zapisze się w historii wypraw polarnych, gdyż będzie twierdził, że jako pierwszy człowiek postawił stopę na biegunie północnym w 1908 roku. Stwierdzenie to zrodzi sporo kontrowersji.

Cook dokumentował przebieg zimy i ciężkie chwile, jakie przechodzili w bezlitosnych ciemnościach. Za psychiczne problemy uczestników wyprawy winił ciasnotę, dziwactwa kapitana i niekończącą się noc. Jego relacja z trzynastu miesięcy, które spędził na statku, diametralnie różni się od późniejszych zapisków Scotta i Shackletona, pełnych opisów względnej harmonii i zbiorowego wysiłku. „Prawda jest taka, że zmęczeni już jesteśmy swoim towarzystwem, jak też i zimną monotonią ciemnej nocy i niesmacznego jedzenia. Od czasu do czasu doświadczamy napadów ciepłych uczuć. Próbujemy wtedy dodawać sobie wzajemnie otuchy, udając dobry nastrój, chwile te nie trwają jednak długo. Jesteśmy w depresji pod względem fizycznym, mentalnym, być może także moralnym”.

To zadziwiająco szczery opis, zwłaszcza że słowo „depresja” nie było w powszechnym użyciu mniej więcej przez kolejne pięćdziesiąt lat. Ostatecznie zmarł tylko jeden członek ekspedycji „Belgiki”, porucznik Danco, marynarz, którego imię uświetnia wybrzeże położone obok naszego najbliższego portu. Była jednak jeszcze jedna, ważna ofiara – kot Nansen, dostarczający mężczyznom rozrywki i podnoszący ich na duchu. Mniej więcej w czerwcu uczestnicy wyprawy zaczęli miewać wybuchy złości, a kot zaczął ich naśladować. Wcześniej był przyjacielski i chętny do pieszczot, wówczas zaczął syczeć i prychać, kiedy podawano mu codzienną porcję mięsa z pingwina. A potem po prostu umarł.

Ciemność należała do innego wymiaru niż wszystko, czego do tej pory doświadczyli, podobnie zresztą jak zimno – pisał Cook. Było tak, jakby ich ciała o tym wiedziały i zaczęły zanikać. Ich twarze najpierw zzieleniały, potem zżółkły. Podstawowe narządy zaczęły wysiadać. Ciało ich zawodziło, zauważywszy, że jest w obcym miejscu.

Tego wieczoru zakotwiczyłam za barem i bawiłam się w barmankę, podczas gdy Steve opowiadał mi historie z życia pięć metrów pod powierzchnią w starej Bazie Z.

Steve był prawdziwym okazem z Antarktydy: sękaty, krępy brodac z kraciastą koszulą.

– Bazę co roku coraz bardziej zasypywał śnieg – mówił. – W końcu musieliśmy zbudować schody ze śniegu i lodu, żeby dostać się do środka. Oddech nam zamarzał, budziliśmy się pokryci warstwą lodu.

Kiedy Steve wyszedł, do baru podszedł jeden z oficerów pokładowych.

– Czyli poznałaś jednego z laminatów. Tak nazywamy gości, którzy rok w rok wracają na Antarktydę. Niektórzy spędzili tu wiele zim, i to jedną po drugiej. Nie potrafią już żyć inaczej.

– Dlaczego?

– Są całkowicie uzależnieni. Mają zapewnione jedzenie, ubrania, ubezpieczenie, transport, życie towarzyskie. Nawet coś w rodzaju rodziny. Niewiele jest miejsc, w których można to wszystko dostać. Może w wojsku.

Później tego wieczoru Max zajrzał do mojej kabiny w drodze do pracowni LKP.

– Jak nazywa się ten zabieg, kiedy pogoda odzwierciedla czyjeś uczucia?

– Nieuprawniona personifikacja.

Nadal próbował oczarować Emilię. Był zirytowany samym sobą, ponieważ normalnie by się tak nie zachowywał. Działał kompulsywnie i irracjonalnie. Nie był w stanie dokonać wyboru, kiedy chodziło o Emilię. Zaczynał rozumieć, że spora część naszego życia nie jest wynikiem wyborów. Kierują nami wewnętrzne impulsy i nieprzejędane zamysły losu.

Widziałam dawną samą siebie w jego nieszczęściu. Czy w jego wieku nie osaczałam ludzi, myśląc, że mogę ich zmusić do robienia tego, co chcę, tak samo jak sama decydowałam, czym zajmujemy się na moim seminarium z Zaawansowanych Zagadnień z Dziedziny Nauk Politycznych? Sprawy nie ułatwiało to, że byliśmy tu, na wzburzonym morzu, wśród coraz grubszego

lodowca, zdani sami na siebie, za zbroję mając tylko swoje charaktery. W ostatnich kilku tygodniach lina, która łączyła nas z normalnym życiem, naciągała się, robiła coraz cieńsza, aż wreszcie pękła.

Zapożyczamy część własnych wyobrażeń o sobie z zewnętrznych okoliczności – z naszych sfer mocy, z więzi rodzinnych, statusu, stanu naszych finansów. Na Antarktydzie naukowcy mogą być pewni swojej władzy. Tak naprawdę cały kontynent jest jednym wielkim laboratorium. Naukowcy są tu importowani wraz z personelem pomocniczym po to, żeby wykazać swoje kompetencje – wykrywać zamrożone jeziora podlodowcowe, przewidywać łamanie się wędrującego lodowca, nanosić na mapę fragmenty lodowca szelfowego, które co roku topią się w morzu.

Jednak pisarz nigdy nie przebywa w swojej strefie mocy. Zawsze musi się tłumaczyć z tego, co robi, ponieważ tylko w książkach to zajęcie zyskuje prawomocność. W tej książce, która jeszcze nie istnieje i być może zmaterializuje się dopiero za kilka lat. Albo nigdy. Nawet Suzanne była obecna w świecie antarktycznym w bardziej trójwymiarowy sposób – chodziła po statku, kręcąc krótkie filmy, na podstawie których będzie tworzyła ogromne rzeźby przedstawiające kadłuby statków i sondy CTD.

Moją jedyną mocą była moja osoba, a to nie wystarczało. Jestem introwertyczką, lubię rozmyślać i obserwować. Nie mam takiej osobowości, takiego charakteru, żeby triumfować, kiedy żadna szprycha nie trzyma mnie obręczy normalnego życia. Jednak w jakiś sposób, mimo że Max miał dużo więcej charyzmy, oboje byliśmy tu samotni, pozbawieni kategorii, na tym statku na dnie świata.

Wszyscy uczyliśmy się, że na statku nie da się odgonić emocji. Nie ma parków, po których można by spacerować, przyjaciół, do których można by wpaść, sklepów i galerii sztuki, które odwróciłyby naszą uwagę. Żyłam już bez tych codziennych udogodnień, wychowałam się bez nich, ale zdałam sobie sprawę, że ostatnio zaczęłam przyjmować je za pewnik. Każdy rodzaj odosobnienia jest sprawdzianem. Trzeba nauczyć się radzić sobie z napięciem, nudą i irytacją, zwłaszcza jeśli podszywa je ledwo wyczuwalny strach.

Kiedy nasz statek wspinał się na grzbiety fal i opadał dziobem w dół, myślałam, że nie dam rady tego znieść, że nie potrafię wytrzymać tego braku stabilności. Czułam się jak ofiara kiepskiego dowcipu o niejasnym charakterze, który uwypuklił moją samotność i zmusił mnie do zmierzenia się z konsekwencjami wyborów, których dokonałam. Na statku było to silniejsze niż w Londynie. Byłam tym zaniepokojona, ale i zafascynowana. Nosiłam to uczucie po statku jak okaz naukowy.

Tymczasem zbliżało się Boże Narodzenie. Planowaliśmy dekoracje, a oficerowie poinformowali nas, że tradycja nakazuje, żeby zajęli się tym FIDS-owie, zwłaszcza kobiety. Wśród FIDS-ów dało się jednak zauważyć pewną ospałość. Poszłam o szesnastej do baru, żeby zrobić sobie herbatę, i zastałam tam grupkę osób, które piły alkohol i grały w trivial pursuit. Ta sama grupka siedziała tam po kolacji, o dwudziestej trzeciej, o pierwszej w nocy, o piątej nad

ranem – wtedy byli już w pewnym nieładzie. Nie zachowywali się hałaśliwie ani agresywnie. Wyglądali raczej na rozmemłanych i biernych. Przyszłość czekała na kontynencie, od którego wciąż dzieliło co najmniej kilka dni, a chwilowo nie było nic do roboty oprócz picia.

14 GRUDNIA

Stoimy z Elliottem na skale, ubrani w puchowe kurtki i otoczeni przez ponad setkę pingwinów Adeli. Pingwiny, a raczej pingwinie guano, śmierdzi rybami i zgniłym sianem, z nutą kredy, która lekko łagodzi najgorszy efekt.

– To amoniak – Elliott wciąga nosem powietrze. – Za kilka dni przestaniemy go czuć.

Guano jest bladozielone, jak flegma odkastywana podczas przeziębienia. Jest rozsmarowane po skałach, przez co są bardziej śliskie, niż gdyby były pokryte roztartymi skórkami bananów. Jedna lub dwie osoby zdążyły się już przewrócić i obić sobie kolana o twarde, gładkie kamienie.

– Dobrze jest dla odmiany w ogóle coś poczuć. – Nie mówię, że nie mogę sobie wyobrazić, że spędza tu cztery miesiące. W niczym by to nie pomogło, a poza tym Elliott wygląda na kogoś, kto wie, w co się pakuje.

Elliott bada nieosłonięte i odizolowane miejsce, które na cztery miesiące stanie się jego domem. Towarzyszyć mu będą dwie osoby: Mike, wspinacz, wciąż będący w euforii po niedawnym wejściu na Everest, i Liz, zapalona obserwatorka ptaków z Norwich, która wkrótce zdobędzie tytuł listonoszki w najdalszym zakątku świata.

Chata stoi u stóp górującego nad nią lodowca. Idąc do niej od strony statku, na początku widzimy tylko drobinę, małe wzniesienie w kolorze płynnej czekolady, z jaskrawoczerwonymi ramami okiennymi i postrzępioną flagą brytyjską trzepoczącą na cieniutkim maszcie. Kiedy się zbliżamy, dostrzegamy mnogość małych, czarnych kształtów, śliskich i lśniących, podobnych do pijawek lub polipów, które kulą się wokół budynku. To pingwiny, które zauważyliśmy przez lornetkę. W odpowiedzi na nasz przyjazd zaczęły kręcić tylnymi częściami ciała, rozpryskując zieloną breję.

Lockroy to samotne miejsce. W otoczeniu majestatycznych gór wygląda niepozornie. Piętrzące się na ich zboczach lodowce spływają prosto do morza. Chatka wygląda jak klocek lego. Zaczynam przyzwyczajać swoje oczy do ogromu Antarktydy.

– Nie potrafię tu oceniać rozmiarów – mówię do Nilsa, kiedy robimy sobie przerwę od noszenia pudeł.

– To zasadniczo kwestia skali – odpowiada na swój precyzyjny sposób. – Wszystko jest za duże i za puste, brakuje elementów ludzkich. To dokładnie tak, jak nie możemy sobie zwizualizować atomu. To nie kwestia wiary, tylko skali.

Podczas II wojny światowej Lockroy było ważną placówką. Wypatrywano stąd niemieckich okrętów podwodnych, które przemykały wzdłuż krawędzi szelfu.

Teraz to żywe muzeum. Każdego lata zawijają tu statki z turystami, a ich pasażerowie przewożeni są na Lockroy, żeby pozwiedzać, kupić pamiątki i znaczki na pocztówki, które kiedyś trafią pod różne adresy, przyozdobione podobiznami pingwinów i bohaterów z epoki edwardiańskiej.

– Przychodzą tu prosto po lunchu, na którym serwowano szampana, albo po sesji w jacuzzi. Kobiety mają buty na obcasach! I co tu zastają? – Elliott kręci głową. – Trzech wariatów w chacie pośrodku niczego.

Mieliśmy tylko kilka godzin, żeby rozpakować znaczki i zapasy, które mają wystarczyć na cztery miesiące. Okazało się, że znaczki pocztowe ważą dwa razy więcej niż pieczarki konserwowe. Z trudem utrzymywaliśmy równowagę na śliskich skałach w naszym obszernym, zimowym rynsztunku.

Wzajemna pomoc to na Antarktydzie najważniejsza zasada – niepisana, ale surowo przestrzegana na nieprzebraną liczbę sposobów. W kwestii czyjegoś zachowania albo sposobu bycia nie liczy się niemal nic innego. Albo przyłączasz się do wspólnej pracy z energią, albo zostaniesz uznany za lesera i ryzykujesz, że inni będą cię unikać. Wspólny wysiłek jest ważniejszy od osobistych preferencji. Miesiąc temu mogłam być redaktorką oceniającą nadesłane rękopisy przy biurku w Londynie, a tu nagle mam na sobie gumki i razem z grupą marynarzy wchodzę na pokład tendra – małego statku pomocniczego, żeby rozładować zapasy na czteromiesięczny pobyt w antarktycznej bazie.

Po dotarciu na brzeg zaczęliśmy rozładowywać tender, klucząc po torze przeszkód złożonym z pingwinów, które nas nie zauważały. Wolały się ślizgać po ścieżkach prowadzących na skały, skrzecząc. Wyglądały jak kamienie do curlingu. Zapewne w ich oczach wyglądaliśmy równie dziwnie, niezgrabnie wykonując taniec pełen skrętów i uników, ślizgając się na guanie, przejeżdżając niebezpiecznie blisko. Nikt nie chciał nadepnąć na pingwina.

– Jesteśmy przygotowani do lata. Bez odbioru. – Usłyszałam, jak Elliott rozmawia z Bazą R. Elliott będzie łączył się z kierownikiem komunikacji w Bazie R codziennie, raz rano i raz wieczorem. Uśmiechał się tym ekstatycznym uśmiechem, który zobaczę na Antarktydzie jeszcze wiele razy – płonącym jak zapałka przez krótką chwilę, po czym przechodzącym w czarny, zdumiony zachwyty.

Kiedy szykowaliśmy się do powrotu na statek, pogoda się zmieniła. Zaczął padać śnieg, twarze płonęły nam od kłujących uderzeń. Zaczęło wiać od lodowca, a niebo pociemniało.

Wtedy po raz pierwszy spotkałam się z wiatrem katabatycznym. Nazwa pochodzi od greckiego słowa oznaczającego „idący w dół”. Wiatry katabatyczne to jedyne wiatry na naszej planecie, które wynikają z grawitacji, a nie z ruchu obrotowego Ziemi. Tworzą się na lodowcach i są ściągane przez grawitację do poziomu morza, pędzą więc wzdłuż lodu, nabierając prędkości. W jednej chwili jest bezpiecznie, a w następnej chwili wiatr zwala z nóg. Takie wiatry regularnie wywracają latające nad Antarktydą samoloty.

Kapitan David odezwał się przez radio. Załoga statku musiała wyciągnąć tender z wody i przymocować go do pokładu. Morze było zbyt wzburzone, żeby mógł po nas wrócić.

– Być może wysłemy po was RIB-y – powiedział przez radio pierwszy oficer. Miał na myśli pneumatyczne łodzie ze sztywnym dnem, potocznie nazywane RIB-ami, których BAS używa do szybkich transferów.

– Tak twierdzą, ale dla RIB-ów za mocno wieje – poinformował nas Elliott.

Zgromadziliśmy się w kuchni. Wiedzieliśmy, że oficerowie starają się trzymać planu. Następnego dnia spodziewano się nas w Wiernadskim, czyli w ukraińskiej stacji badawczej, która jest położona po drodze, jeśli można tak powiedzieć. Byliśmy już spóźnieni i dwadzieścia osób uwięzionych na Lockroy w oczekiwaniu na zmianę pogody, która może wkrótce nadejść, ale nie musi, z pewnością martwiło kapitana Davida.

Podeszliśmy do okna. Statku nie było widać. Wyglądaliśmy przez oblepione śniegiem szyby, patrząc, jak mgła wchłania płyty lodowca.

– Cóż, chyba powinienem się zabrać za przygotowanie obiadu dla dwudziestu pięciu osób – powiedział Elliott.

Elliott zaczął opowiadać nam historię. Dwa lata temu w Lockroy zacumował francuski jacht. Płynął nim żeglarz, który przebył już najbardziej zdradliwe wody na świecie. Zignorował ostrzeżenie Elliotta i poszedł się przejść. Nie oddalił się nawet na sto metrów od chaty, kiedy moment nieuwagi sprawił, że nie zauważył znaczącego, jasnoniebieskiego ściegu na przysypanej śniegiem powierzchni. Wpadł do rozpadliny.

– Tak naprawdę zmarł od urazu głowy – powiedział Elliott. – Wyciągnęliśmy go w ciągu kilku minut. Nie miał kasku, a uderzył się w głowę. Wiosenny lód jest naprawdę twardy.

Zatrzeszczało radio. Usłyszeliśmy głos pierwszego oficera.

– Wysyłamy RIB-y.

Pożegnaliśmy się z zostającymi tu wariatami i z pingwinami. Obrzuciłam ostatnim spojrzeniem chatę i okoliczne lodowce. Wyglądały nieszkodliwie, jak dziewicze stoki w kurorcie narciarskim, pokryte świeżo ugniecionym śniegiem. Zdałam sobie sprawę, że jesteśmy w innym świecie. Wkrótce zamienimy niebezpieczeństwa czyhające na morzu na te czające się na lądzie. Opowieść Elliotta stanowiła ostrzeżenie. Chciał powiedzieć tej grupie hałaśliwych, ciągle żartujących żółtodziobów, jakimi byliśmy, że na Antarktydzie życie jest czymś wątpliwym i niepewnym. Sekunda nieuwagi może nas zabić.

Tej nocy trójka mieszkańców Lockroy ugotuje obiad na dwóch prymusach w kuchni, w której jedynym źródłem ciepła są lampy naftowe. Ułożą się do snu na twardych pryczach, pod lodowatymi kołdrami, w pełnym ubraniu. W tym czasie na statku będziemy jedli elegancką kolację, pili whisky przy barze, a lekarz okrętowy, Dan, przeprowadzi swój cotygodniowy konkurs. Organizowanie konkursów jest wpisane do obowiązków lekarza antarktycznego od czasów Shackletona i Scotta i ich medyków, którzy mogli się pochwalić wieloma talentami.

Na RIB-ach trzymaliśmy się twardych burt mknącej łodzi. Mieliśmy na sobie skafandry, a trzeci oficer starał się nie uderzać prosto w fale. Byłam mokra, ale nie przemoczona. Nie czułam zimna.

Statek przed nami powiększał się. Kiedy zakręciliśmy pod dziób, jego czerwony kadłub i nadbudówka wznosiły się nad nami na wysokość sześciopiętrowego bloku. Serce zabiło mi mocniej – poczułam falę, wypływającą prosto z mięśnia, uderzającą do głowy mieszankę ekscytacji i wdzięczności. Pomyślałam o ludziach Shackletona, o tym, że musieli czuć takie samo uwielbienie dla „Endurance”, który wiernie dostarczył ich na koniec świata, a potem musieli patrzeć na jego koniec. Pewnie było tak, jakby ich własne serca pękały w lodowym imadle.

Wyciągarka zjechała na dół, zaczepiła RIB-a i wzniesiliśmy się w powietrze, w całości, a następnie wylądowaliśmy na pokładzie. Statek wydawał się bardziej stabilny niż planeta. Czułam się jak w domu.

Tej nocy prześlizgnęliśmy się przez kanał położony między wyspą o nazwie Antwerpia a półwyspem.

– Dlaczego nie wypływamy na otwarte morze? – spytałam Martina, który skończył wachtę na mostku i zszedł do baru na drinka.

– Nie wiem. Stary ma na pewno jakiś pomysł. – Oficerowie mówili na Davida Kapitan albo, kiedy nie było go w pobliżu, Stary. Być może miało to być pieszczotliwe, a może był to taki zwyczaj niższych rangą marynarzy. David nie wyglądał zbyt staro. Zaczął karierę w młodym wieku i po lodowatych morzach pływał już od dwudziestu siedmiu lat. To miał być jego ostatni sezon. Po tym rejsie przechodzi na emeryturę, przez co nasza podróż miała w sobie coś ostatecznego, jakby jego decyzja była ważna nie tylko dla niego, ale dla całego stowarzyszenia. Kiedy dopłyniemy do bazy (w tym momencie nie było już kwestii, czy dopłyniemy do bazy), urządzimy mu przyjęcie pożegnalne.

Poszłam na mostek razem z Caroline, tą, która nurkuje, i zastałyśmy tam Davida. Był sam, jeśli nie liczyć starszego marynarza, który obserwował sterburtę. David miał na sobie dzinsy, sweter w warkocze i, co dziwne u takiego męskiego Anglika, drewniaki. Jedną nogawkę miał podwiniętą, odsłaniając żylastą łydkę. Chodził od stołu z mapami do pulpitu sterowniczego, wyciągając olbrzymie płachty papieru, na których wyrysowane były szczegółowe mapy morza. Przywitał się z nami, ale wyglądał na zmartwionego. Podeszłam do map. Nasz kurs był zaznaczony ołówkiem, jak zawsze. Linie poprzecinane iksami pokazywały odległość, którą już pokonaliśmy, oraz naszą pozycję. Na ekranach komputerów z elektronicznymi mapami migiała wiadomość: „Uwaga – niezbadane wody”.

Postanowiłyśmy z Caroline, że wyrecytujemy *Rymy o sędziwym marynarzu*. Ku naszemu obopólnemu zdziwieniu okazało się, że pamiętamy spore kawałki. Usadowiłyśmy się z przodu mostka i zaczęłyśmy deklamować:

A potem nadbiegł wicher, dął –

*Gwałtowna, zła nawałność;
Dopędził nas, skrzydłami trząsł,
I na południe gnał nas.*

*Nurzając dziób i chyląc maszt,
Jak ktoś, ścigany z wrzaskiem, z chłostą,
Cień wroga depcząc, bieży prosto
I naprzód głowę ugnie,
Tak statek mknął, wiatr ryczał, dął
Nas pędząc na południe.
A potem nadszedł dziwny ziąb
I śnieg, i mgła z nim szara;
I góry kry tuż obok szły,
Zielone niby szmaragd^[4].*

David nam przerwał.

– No dobrze, chłopcy i dziewczęta, rozwijamy szesnaście węzłów na niezbadanych wodach. Na mostku musi być cisza.

Byliśmy zszokowane, że kapitan wyrzucił nas z mostka, nie wspominając już o tym „chłopcy i dziewczęta”. Przywołane do porządku, wyszliśmy. Na dole w barze siedzieliśmy w takim milczeniu, że zaczęto nas pytać, co się stało.

– Nie wiesz? – Mike, główny steward, wyjaśnił. – Deklamowanie tego wiersza na statku przynosi pecha. Zwłaszcza na Antarktydzie.

Znowu to samo: pech. Być może to, że Antarktyda była tak pełna przesądów, jak teatr, nie powinno zaskakiwać. Przypomniałam sobie parę błaznów – śmierć i szczęście, którzy przewijają się przez literaturę amerykańską. Wróciłam do kabiny. Wrócił mój opiekun. Przez chwilę go nie było – znikł, kiedy zatrzymaliśmy się w Lockroy. Teraz zobaczyłam go za oknem – czarnego od sadzy albatrosa. Twardo leciał tuż obok statku przez całą noc.

15 GRUDNIA

Szósta rano. Ktoś puka do drzwi. Owijam się w prześcieradło. Mam zakwasy po dźwiganiu ciężarów na Lockroy.

To Max, całkowicie ubrany. Ma na sobie puchową kurtkę, czapkę i ciepłe buty.

– Płyniemy przez kanał Lemaire’a. Pomyślałem, że nie chciałabyś tego przegapić.

Ubieram się. Wkładam kalesony, koszulkę termiczną, polar numer 1, polar numer 2, wełniane skarpety, kombinezon, kurtkę puchową, kurtkę wodoodporną, ocieplane gumki. W tym stroju drepczę na pokład pelengowy.

Płyniemy powoli w gęstej mgłę. Nie słyszę silników. Wydaje się, jakby statek ślizgał się po wodzie. Po obu stronach z mgły wyłaniają się skaliste, ostro zakończone wzgórza, oprószone śniegiem. Mają po pięćset metrów wysokości

i są tak blisko, że mogłabym ich dotknąć.

Ten kanał to coś w rodzaju głębokiego rowu, myślę sobie, skoro nasz mocno zanurzony statek może się tędy przedostać. To niepokojące, płynąć o centymetry od tych przyprawiających o zawroty głowy skał. Przed nami jest ślepy zaułek. Lodowiec zablokował wyjście, jego biały jęzor spływa do czarnej jak smoła wody. Płyniemy prosto na niego. W ostatniej chwili statek skręca na prawo, a między skałami ukazuje się wąski przesmyk. Za nim widzimy otwarte morze i pokryte lodem skały.

Max pokazuje mi różne rodzaje lodu.

– Zawiesina kryształków lodu – mówi, wskazując na unoszące się na powierzchni wody igiełki. – Stary lód – ciągnie. – Można go poznać po braku koloru. – Widzę ogromne płyty, wyglądają jak łupki. Niektóre są jasnoniebieskie, inne szare albo czekoladowe od żwiru. – Z bazaltu – wyjaśnia. W jego głosie pobrzmiewa niecierpliwość, zostawiam go więc przy barierze pokładu pelengowego z oczami wbitymi w ciemną wodę.

Tworzą się krażki lodowe. Po opuszczeniu cieśniny płyniemy wolno, dwa lub trzy węzły, tak jakby kapitan nie chciał przestraszyć lodu. Ten rozstępuje się ochoczo, jak papkowata zupa. Lód na morzu lśni. Biały jest brakiem koloru. Mimo to ten brak migocze i jest oszałamiający.

Biały to kolor trudny to uchwycenia. W kabinie zaglądam do słownika synonimów. Wiele słów określających biel niesie w sobie nutę podejrzeń i ma negatywny wydźwięk. W przypadku ludzi biel łączy się z chorobą: biały jak ściana, chorobliwie blade, widmowy, zmizerniały, ziemisty. Wiele synonimów odnosi się do naturalnie występujących substancji lub związków chemicznych: kość słoniowa, wosk, śmietanka, cynk, tytan, wapno palone. Wapno palone – tlenek wapnia, związek chemiczny, który ma właściwości żrące i alkaliczne. Jest skuteczny, kiedy trzeba ukryć zapach rozkładającego się mięsa. Do tego był używany, przez setki lat. Wapno palone pasuje do opisu śniegu na poziomie morza, tam, gdzie temperatura jest łagodniejsza, a śnieg ziarnisty. Na Lockroy jednak zauważyłam, że na lodowcu śnieg jest suchy i pudrowy, leciutki jak wórkki kokosowe. Dźwięczy na wietrze jak milion malutkich dzwoneczków.

Okno widzi biel, kiedy światło zawiera fale o wszystkich długościach promieniowania widzialnego. Jeśli przepuścimy białe światło przez pryzmat, rozszczepia się na tęczę: pomarańczową, zieloną, niebieską, czerwoną. Biel to połączenie wszystkich kolorów, które przestają być do siebie podobne.

Próbowałam zobaczyć coś na lodzie przed nami. Błyszczy tak, że oczy bołą, kiedy się na niego patrzy. Wygląda atrakcyjnie, ale też widmowo. *Glace* – francuskie słowo na lód – lepiej oddaje prawdziwą naturę tej substancji, jej łamliwą śliskość. Rozpostarty przed nami, aż po horyzont, nie wygląda jak lód, bardziej przypomina zmiążdżony metal.

Po południu zeszedliśmy ze statku, żeby odwiedzić Wiernadskiego – ukraińską bazę. Woda ściemniała niczym klisza. Za to góry lśniły fosforyzującą, świecąca

białą. Wkroczyliśmy do świata odbitek srebrzych – to, co normalnie było jasne, stawało się ciemne, chociaż pulsowało pozbawioną kształtu, niestabilną bielą.

Na Wiernadskiego popłynęliśmy RIB-ami. Mieliśmy na sobie wodoszczelne skafandry. Znowu mknęliśmy przez zacinający śnieg. W skafandrach i kamizelkach ratunkowych dreptaliśmy sztywno, jeden za drugim, do bazy przez śnieżny korytarz. Czekał na nas komitet powitalny.

Główny biolog bazy nosił fotochromatyczne okulary. Chociaż niebo zasnuwały chmury, jego szkła były ciemne. Wyglądał jak kierowca rajdowy, którego wysadzono na chwilę na Antarktydzie. Miał ciemną karnację i (tak sobie przynajmniej wyobrażałam) ciemne oczy. Ubrany był tylko w polar i chociaż było minus pięć, stał na zewnątrz bez czapki i rękawiczek, całkiem jakbyśmy się umówili w lekko pochmurny dzień w Anglii.

– No cóż, jest już zaaklimatyzowany – powiedział Peter, oceanograf.

Staliśmy jak grupa pomarańczowych, za mocno wypchanych pingwinów, przed skromnymi, blaszanymi szopami, przyglądając się bazie. Wiernadski to jedna z najstarszych baz na Antarktydzie. Zbudowano ją podczas brytyjskiej wyprawy na Ziemię Grahama w latach 1934–1937, i początkowo była bazą brytyjską. Przycupnięta na skalistym wzgórzu na wyspie Galindez, baza kiedyś nosiła nazwę Faraday, a w latach osiemdziesiątych XX wieku Brytyjczycy sprzedali ją za jednego funta Ukrainie, ponieważ nie byli w stanie ani jej utrzymać, ani rozebrać, a tak nakazuje Traktat Antarktyczny. Ukraińcy zaczęli prowadzić tu badania w 1995 roku i nazwali bazę na cześć Władimira Wiernadskiego, założyciela Narodowej Akademii Nauk Ukrainy.

Prowadzono nas od jednego laboratorium do drugiego. Nie byłam pewna, czy Ukraińcy zrobili dobry interes. Peter szturchnął mnie dyskretnie, kiedy główny biolog się odwrócił.

– Popatrz na ten mikroskop!

Na ławie zobaczyłam mikroskop z mojej szkoły średniej. Na ścianach wciąż wisi kilka oryginalnych, brytyjskich ogłoszeń dotyczących procedur bezpieczeństwa i częstotliwości radiowych.

W bazie była pracownia meteorologiczna wyposażona w stare pecety. Mieli też działające, chociaż zakurzone radio VHF, prowizoryczną siłownię – pomieszczenie z rdzewiejącymi, starymi ciężarkami i maszyną do wiosłowania na żetony. Ze wszystkich pomieszczeń w bazie tylko siłownia wyglądała naprawdę ukraińsko, ze względu na plakaty z krzepkimi, jasnowłosymi kobietami w trykotach z lat osiemdziesiątych.

Zaprowadzono nas do baru na piętrze i poczęstowano wódką – była dziesiąta rano – i plastrami wędzonego łososia. Za barem stał ubrany w nieskazitelnie białą koszulę i szare spodnie mechanik. Miał siwiejące włosy, krzaczaste wąsy i smutne, niebieskie oczy.

– Ilu was tu jest? – spytałam.

– Trzynastu. Szczęśliwa liczba!

– Sami mężczyźni?

Twarz mu się wydłużyła.

– Tak, nie mamy tu kobiet.

To wyjaśniało bawiącą się z nami w „a kuku!” grupkę mniej więcej ośmiu pracowników, którzy się w nas wpatrywali (byłyśmy dwiema kobietami w grupie dwudziestu mężczyzn). Zerkali zza rogów korytarzy, całkiem jakby właśnie udało im się znaleźć jajo wielkanocne.

Bar w Wiernadskim cieszył się opinią najlepiej zaopatrzonego na Antarktydzie, i jak na 67°15' szerokości geograficznej południowej nie było źle. Mieli johnny'ego walkera, whisky Talisker, trzy rodzaje wódki, cztery rodzaje ginu – kolejny ślad brytyjskiej spuścizny. Między butelkami wódki i whisky wisiał obszerny stanik.

Nagle do baru wpadła grupka ludzi. Kobieta w futrzanym płaszczu i czapce z brzękiem postawiła na ladzie butelkę opakowaną w bożonarodzeniowy papier, przechyliła się przez bufet i objęła mechanika. Obróciliśmy się jak jeden mąż, zdumieni na widok kolejnych ludzi wpadających przez drzwi. Było to roześmiane, śpiewające, ciepło ubrane towarzystwo. Zdjęliśmy nasze skafandry, ale przy tych odzianych w futra ludziach wyglądaliśmy nieciekawie w naszych wytuszczonych kurtkach i bawełnianych spodniach.

– To rosyjski statek wycieczkowy. – Martin, pierwszy oficer, który przywiózł nas tutaj, odpowiedział na malujące się na mojej twarzy pytanie.

– Nie widziałam żadnego statku.

– Zacumowali po drugiej stronie wyspy. Widziałem ich na radarze. Statki wycieczkowe często się tak chowają, żeby pasażerowie mieli wrażenie, że są w dziczy. Słyszałem przez radio, jak się umawiali. Przeprowadzają turystów tak, żeby nikt się nie zorientował, że depcze mu po piętach tysiąc osób.

Rosjanie zainstalowali się w rogu i zaczęli pić wódkę.

Mechanik wziął mnie pod rękę.

– Potrzebuję asystentki.

Zaciągnął mnie do stojącego pośrodku pomieszczenia stołu bilardowego.

– Nie, nie – protestowałam. – Gram beznadziejnie.

– Nie. Asystentki. Zostań tu.

Wrócił z garścią monet, które położył na stole, i z dwoma kłębkami sznurka. Powiedział coś po rosyjsku, a pasażerowie wycieczkowca podeszli bliżej.

– Magic show! – zawołał i mówił dalej po rosyjsku. Tłum zaczął coś wykrzykiwać i klaskać.

Mechanik pokazywał mi, co mam robić z monetami i sznurkiem. Byłam kiepska w roli asystentki magika, nie wspominając już, że nie wyglądałam zbyt efektownie w za dużych spodniach i workowatym polarze. Poplątałam sznurek i nie dałam rady ani zawiązać, ani odwiązać magicznego węzła. Rosjanie się chyba nie przejmowali. Śmiali się i klaskali. Wódka się lała.

Nadal wracam do domu piechotą, ale staram się unikać torów. Zardzewiałe wagony towarowe mogą stanowić doskonałą kryjówkę dla napastnika.

Trzymam się bocznych uliczek, wzdłuż których rosną świeżo zieleniące się wiązy. Nie noszę walkmana, przechodzę przez roje czarnych meszek.

Na ulicy pojawia się samochód. Zwalnia. Zerkam w bok. W środku siedzi mężczyzna, ledwie widoczny w ciemności. Promienie zachodzącego słońca padają na szybę, wewnątrz samochodu jest jeszcze słabiej widoczne wśród odbłasków.

– Przepraszam.

Zezuję. W twarzy mężczyzny widzę swoje oczy.

Znowu słysząc głos.

– Przepraszam.

Przyspieszam kroku.

Zjeżdżam na autostradę transkanadyjską. Mijam zbiornik, jezioro i tamę, po czym opuszczam dolinę i po długim zboczach wjeżdżam na zimniejszą wyżynę. Oprócz mnie jeżdżą tędy tylko duże ciężarówki z naczepami, które omiatają mnie snopami pomarańczowego światła. To nie jest bezpieczne, myślę. A co, jeśli samochód się zepsuje? Telefony alarmowe są daleko od siebie. Idąc nocą po poboczu, będę doskonałą przynętą dla mordercy.

Jakiś mężczyzna (wszyscy zakładają, że to był mężczyzna) zamordował dwie kobiety w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Obie szły samotnie – jedna skrajem szosy, którą właśnie jadę, druga pustą ścieżką wzdłuż rzeki. Obie wracały do domu, niezbyt późno, o wpół do piątej i o siódmej.

O obu morderstwach z ociąganiem doniosły lokalne media. Obie kobiety należały do klasy pracującej. Jedna była pokojówką w hotelu przy drodze, niedaleko od swojego domu. Druga to nastolatka, która poszła na wagary. Wiem to, bo znam Donnę, która słyszy różne mało znane szczegóły od Michaela. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że policja szuka powiązań między tymi dwiema sprawami.

W lokalnej gazecie o tym nie piszą. Miasto musi dbać o swoją reputację. Młodzi ludzie mają tu zostawać, zamiast wyprowadzać się z dziećmi do Montrealu albo Toronto. To miasto, w którym nie trzeba zamykać drzwi na klucz w nocy. Ale nawet przed tymi morderstwami niechętnie patrzono tu na spacerujące samotnie kobiety. Najwyraźniej jest w tym coś podejrzanego. Tak jakby twój los był przesądzony, jeśli nie masz rodziców, którzy cię mogą wozić, którzy chcą cię wozić. Często chodzę sama wieczorami do położonej nad rzeką biblioteki.

Następnego dnia moi koledzy z klasy szepczą: – Widziałem, jak szłaś wczoraj wieczorem.

Jadę w stronę odległych wzgórz i położonych na północy prowincji gór, które ciągną się jak śródlądowe morze.

Mijają mnie kolejne ciężarówki, na przyczepach mają ładunek z byłych drzew. Kora spada mi na szybę, a nozdrza wypełnia balsamiczny zapach. Dziewczyna z mojego rocznika została w zeszłym roku zabita przez taką

ciężarówkę. Pnie wielkości domów ułożono na naczepie. Wyciekała z nich żywica, łańcuchy, którymi je związano, ześlizgnęły się, a pniaki zjechały akurat, kiedy dziewczyna wyprzedzała ciężarówkę na zakręcie w swojej hondzie civic.

Z niepokojem patrzyłam na ciężarówki, trzymając stopę na pedale hamulca. Co było ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła ta dziewczyna? Ogromne słoje drzewa na szybie, przypominające pierścienie Saturna. A może wszystko stało się za szybko. Może nie miała czasu na żadną myśl.

W niedzielę matka ciągnie mnie na mszę, oburzona niechęcią, jaką przejawiam wobec religii. Na mszy ksiądz opowiada o istnieniach, które są „zdmuchnięte” jak świece. Tak, uznaję, tak to musi wyglądać. Mikrosekunda paniki, okruczeństwa, a potem nicość.

– Dzwoniłaś do niego?

– Nie, ale chyba mnie śledził.

– Śledził cię?

– Samochodem. Zatrzymał się i chciał rozmawiać.

– Jezu, to mógł być każdy. Na przykład ten morderca.

– No cóż, skoro nie masz jego zdjęć, skąd mam wiedzieć? Superwybór, prawda? Wsiąść do samochodu z ojcem, którego nigdy nie widziałam, albo z facetem, który mnie zgwałcił i zamorduje.

– Nie dramatyzuj. Wy, nastolatki, tak się unosicie, że nie wiem, jakim cudem nie wybuchacie.

– Cóż, powodzenia. Masz nas jeszcze dwoje.

Matka spojrzała na mnie dziwnie. Dopiero później rozpoznałam, czym było to, co widziałam, ale nie umiałam nazwać. Żalem.

Wieczory są coraz dłuższe. Dostaję trzecią pracę w Executive Motor Inn – to kompleks hotelowo-restauracyjny, bardzo popularny wśród grubych ryb naszego miasteczka. Bywają tu radni, policjanci, sędziowie i właściciele lokalnych przedsiębiorstw.

Exec, bo tak wszyscy mówią na to miejsce, leży nad rzeką. Przed zmianą chodzę w zapadającym zmroku na brzeg. Na tyłach baru ustawiane są stoliki, żeby goście mieli widok na rzekę. Opędzając się od ospałych komarów, patrzą na powierzchnię wody, nieruchomą niczym plastik.

Rzeka ma prawie dwa kilometry szerokości. Płynący środkiem prąd unosi wodę aż do położonego sto pięćdziesiąt kilometrów stąd morza. W oleistych wodach przybrzeżnych mnożą się chrabąszcze, a płochliwe ptaki wodne latają nisko pod przęsłami mostu.

Pracuję od osiemnastej do czwartej rano. W łóżku jestem dopiero koło siódmej. Zanim zapadnie wieczór, wychyłam się z balkonu. Powierzchnia wody jest tylko trzy albo cztery stopy niżej. Zimorodki latają nad powierzchnią i odbijają się w wodzie. Wygląda to, jakby były podwójne – każdy to doskonała kopia.

Pewnego dnia na początku maja jest sześć stopni, dzień później już siedemnaście. Nigdy się nie przyzwyczaję do tych skoków, do braku okresu przejściowego. Chociaż pochodzę z sąsiedniej prowincji, widzę, że tu jest zupełnie inaczej. To miejsce jest oddzielone od reszty świata i skupia się tylko na sobie. Wychowałam się nad oceanem, a ta prowincja przypomina minikontynent. Latem przez trzy albo cztery tygodnie panuje tu lepki upał. Wszyscy uciekają wtedy na wybrzeże, pooddychać słonym powietrzem. Jadą setki kilometrów, by znaleźć się na mulistych, płaskich plażach.

Teraz, kiedy mam już wizję ucieczki, potrafię spojrzeć na to miejsce z pewnej perspektywy. Nie wybrałam sobie go jako miejsca do życia, nie przeniosłabym się tu, gdyby moja matka nie wyszła za męża. Teraz mogę na nie spojrzeć bez zaangażowania, niemalże z uczuciem, które tak naprawdę jest abstrakcyjnym rodzajem żalu. Nie wyjadę stąd mądrzejsza. Nie zmieniły mnie spędzone tu lata. Nie zrozumieliśmy się z tym miejscem, ale ten brak zrozumienia nie jest czymś zwyczajnym. Czuję, że w tych ostatnich miesiącach, które tu spędzę, czai się jakieś niebezpieczeństwo. Mogę dokonać wyboru, który jest zbyt subtelny dla siedemnastolatki. Mogę go przyjąć lub przed nim uciec. Wszystko zależy ode mnie.

[3] W tej pionierskiej wyprawie uczestniczyło dwóch wybitnych polskich badaczy polarnych: Henryk Arctowski i Antoni Bolesław Dobrowolski, których nazwiskami nazwano m.in. góry i lodowce na Spitsbergenie (przyp. red.).

[4] Samuel Taylor Coleridge, *Rymy o sędziwym marynarzu*, tłum. Stanisław Kryński, [w:] *Angielscy poeci jezior*, Wrocław 1963, s. 263.

8. SKUCI LODEM

FIRN

Luźne granulki lodu, forma przejściowa między śniegiem a lodem lodowcowym.

16 GRUDNIA

Sześćdziesiąt dziewięć stopni szerokości południowej. Świat zamknął się wokół nas. Musieliśmy się zatrzymać wśród kry.

Jedyne nieruchome punkty to góry lodowe, zablokowane przez lód. W oddali pulsują białe smugi – oficerowie twierdzą, że to góry na Wyspie Adelajdy. Między krami widać cienkie, błękitne żyłki. Patrzymy, jak przeciskają się przez nie foki, wychodząc z klapnięciem na lód, skąd wpatrują się mokrymi, łagodnymi oczami w naszą gigantyczną maszynę, która nagle zainstalowała się w ich świecie. Potem znikają w prowadzących do czarnego morza szczelinach.

Światło jest mizerne, ale intensywne. Nawet kiedy są chmury, nie da się patrzeć na lód gołym okiem. Tutejsze światło nie ma nic wspólnego z dodającym otuchy niebem strefy umiarkowanej. Teraz przypomina włókna żarowe, płonące słabym, niebiesko-białym płomieniem. Zdaje się wypływać z wnętrza pogrążonego w złowieszczym bezruchu lodu.

Od czasu do czasu wychodzi słońce. Stwierdzenie, że pali, jest eufemizmem. Przepala się przez nas, kauteryzuje. Jesteśmy teraz zdani na pastwę wiosennego, antarktycznego słońca. Pamiętam, że wiosną poziom ozonu nad Antarktydą spada o sześćdziesiąt procent, głównie z powodu powrotu polarnych chmur stratosferycznych, na powierzchni których zachodzą reakcje chemiczne niszczące ozon. Na mostku, pod pulpitem sterującym żyroskopu, są dwie szuflady pełne kremów z filtrem o faktorze SPF 50. Przed wyjściem na zewnątrz musimy się smarować, nawet jeśli wychodzimy tylko na pięć minut.

Na mostek wszedł Stuart, inżynier pokładowy. Miał na sobie kask, nauszники przeciwhałasowe z maszynowni i przybrudzony biały kombinezon z kamizelką odblaskową. Na nosie miał okulary.

Okazało się, że Stuart jest nie tylko inżynierem pokładowym, ale także chemikiem atmosfery.

– Porzuciłem pracę naukową, bo za bardzo kocham ocean. – Przez twarz przemknął mu grymas poczucia winy. – Kocham być w ciągłym ruchu. Wybrałem swoją pasję.

Robiliśmy sobie herbatę z tyłu mostka.

– Coś ci podpowiem – zaproponował Stuart, kiedy wyciągałam filiżanki. – Stary mówi, że nie sładzi, ale wsyp mu ćwierć łyżeczki.

– Co sądzisz? – spytałam, spoglądając przez okno.

– Wygląda na szybki.

W przypadku lodu „szybki” nie dotyczy prędkości, lecz siły, tego, jaki jest gruby.

– Widziałeś już taki?

– Kilka razy. W zeszłym roku. – W nauszniakach i kasku wygląda jak ludzik Lego, który na roześmianej buzi cherubinka ma przymocowane czerwone i czarne klocki.

– Myślisz, że uda nam się przedostać?

– Trudno powiedzieć. Zawsze jest jakaś niespodzianka. Co roku przyływamy na południe i spodziewamy się, że lodu już nie ma. Prawda jest jednak taka, że nie da się przewidzieć, co zrobi lód. Czasami przyrasta.

– A ja sądziłam, że lądolód Antarktydy Zachodniej się rozpada.

– Bo tak jest, ale przez to do morza dostaje się więcej lodu. Zmiany klimatyczne nie polegają na tym, ile jest na świecie lodu i jak jest zimno. Chodzi o system klimatyczny i klimatologię. Niewiele osób na tej planecie to rozumie, a jeszcze mniej się tym przejmuje. Bardzo możliwe, że nawet prezydenci i premierzy o to nie dbają. Szczerze mówiąc, mamy nadzieję, że ty to zmienisz.

– Nie jestem pewna, czy dam radę w pojedynkę.

– Ale po to tu jesteś, prawda?

– Taka jest wersja oficjalna.

– A jest też wersja sekretna?

– Pisanie książki to zawsze sekretna misja – powiedziałam. – Nawet dla mnie samej jest to tajemnica. Bo nie wiesz, co napiszesz, a czasem nawet nie wiesz dlaczego.

Na twarzy Stuarta pojawiła się pewna podejrzliwość. Będę ją często widziała na Antarktydzie. Ci, którzy przyjeżdżają tu rok po roku – naukowcy, marynarze, specjaliści od komunikacji, informatycy, szefowie departamentów BAS, ludzie z ministerstwa – uważają, że pisarze, artyści i dziennikarze przydają się, bo mogą przekazywać informacje. Ale my nie wytwarzamy wiedzy w dosłownym tego słowa znaczeniu, a podobnie jak każde społeczeństwo, antarktyczny świat rządzi się własną hierarchią. Dziennikarze i artyści, którzy tu trafiają, są świadkami odkryć naukowych, ale tak naprawdę nie są tutaj niezbędni.

Tak naprawdę jednak większość ludzi przyznałaby, gdyby ich przycisnąć, że nie uważają pisarzy i literatury za coś niezbędnego społeczeństwu, chociaż oczywiście mogą być pożądanym towarem. BAS dobrze zajął się mną i Suzanne, ale nie byłam pewna, czy naukowcy wiedzą, co z nami robić. Dziennikarze komunikują się w bardziej bezpośredni sposób. Ich mózgi są nawykłe do streszczania, potrafią przeanalizować skomplikowane informacje i przekształcić je w zgrabny zwrot lub aforyzm. Jako pisarka nie posiadam tej umiejętności. Widzę tylko dym i odbicie zwykłego życia, a gdzieś daleko, we mgle, zarys

prawdy, którą muszę napisać.

Stuart i ja rozmawialiśmy nad błyskawicznie stygnącą herbatą. Napoje nie były długo ciepłe na mostku. Panował tu chłód, który miał sprzyjać czujności. Poszliśmy popatrzeć przez okno. Chromowa tarcza lodu nadal tu była, wysyłając w przestrzeń białą kometę światła.

Pokrywy lodowe Arktyki i Antarktydy to gigantyczne lustra. Ilość światła, które odbijają w przestrzeń kosmiczną, nazywana jest albedo. Odbijalność światła od śniegu sięga dziewięćdziesięciu procent, więc obszary polarne mają najwyższe albedo na naszej planecie. To dlatego są systemem chłodniczym Ziemi, odsyłając ciepło słoneczne z powrotem w przestrzeń. Model komputerowy, na którym pracował Max, wyliczał dokładne albedo Ziemi w czasach historycznych, rozrysowując jego zmiany podczas przyrastania i cofania się lądolodu.

Z jednej części mostka widać było leżące na lodzie krabojady focze. Uderzały w lód i wzdychały z zadowoleniem. Ich futro lśniło w słońcu, wyglądały jak rozrzucone na lodzie sztabki złota. Wyobraziłam sobie oszalałych odkrywców, którym wydaje się, że widzą złoto. Urządzają zawody, mające na celu zebranie jak największej liczby sztabek. Ryzykują życie, ale zamiast nagrody na lodzie czekają tylko fukające na nich krabojady z wilgotnymi nosami.

Następnego dnia byliśmy nadal uwięzieni. „JCR” to statek przygotowany na zetknięcie z lodem, nie jest jednak lodołamaczem. Różnica leży w liczbie koni mechanicznych. Może płynąć przez lód, ale trzeba nim sprytnie manewrować, a jego możliwości są ograniczone. Nawet lodołamacze nie dają sobie czasem rady z antarktycznym lodem. Każdego lata przynajmniej jeden statek spędza kilka tygodni zatrzymany w lodzie. Nauczyłam się używać tego słowa: zatrzymany albo otoczony, zamiast mówić, że utknęliśmy – to słowo jest zakazane na statku.

Przez megafon ogłoszono, że dwa samoloty z Bazy R pomogą nam znaleźć drogę. Piloci lotu interkontynentalnego, latający samolotem Dash 7 z Bazy R do Stanley i z powrotem, nadłożyli drogi podczas lotu na północ, żeby nam pomóc.

Patrzyliśmy z mostka, jak zbliżają się do nas, lecąc zaledwie kilka metrów nad powierzchnią lodu i wznosząc kłęby śniegu pod kadłubem. Poza Wiernadskim, ten samolot był pierwszą od trzech tygodni obcą rzeczą, jaką zobaczyliśmy. Był jak wysłannik bardziej zaawansowanej cywilizacji.

– Baza jest czterdzieści kilometrów w linii prostej stąd – powiedział mi Martin.
– Dotarcie do nas zajmuje im około pięciu minut, a my być może nie wydostaniemy się stąd do stycznia. – Rok temu było tak samo. Statek dotarł nawet dalej. Udało im się okrążyć południowy brzeg Wyspy Adelajdy, zanim zatrzymał ich lód. – Praktycznie widać było nabrzeże – stwierdził Martin.

Lodu nie dało się jednak pokonać. „JCR” nie mógł czekać dłużej, istniało bowiem ryzyko, że kanał, który za sobą zostawił, zamarznie, a statek uwięźnie na wiele tygodni. Ostatecznie musiał wrócić na Falklandy, skąd przewieziono ładunek i załogę kolejnymi lotami. Lód zatrzymywał każdy statek średnio raz na dziesięć lat. Dwa lata z rzędu były czymś niesłychanym.

Czerwony samolot wznosił się i przelatywał tuż nad nami, nie wyżej niż sto stóp od nas. Poczułam dreszcz i zakręciło mi się w głowie. Wygięłam szyję i zobaczyłam chmury, lód i przypominający czerwonego ptaka drapieżnego samolot.

– Nie mogę uwierzyć, że latają tak nisko.

– Uwielbiają to. To ryzykanci, każdy z nich – odparł Martin. – Uważaj, jak już będziesz w bazie, bo nawet się nie obejrzysz, a sama będziesz siedziała za sterami. – Uznałam, że żartuje, i zaczęłam się śmiać.

Wszyscy na mostku słyszeli komunikaty pilotów. Mówili dziarsko i kompetentnie, trochę jak wojskowi. Powiedzieli, że na południe od nas lód wygląda na solidny przez co najmniej trzydzieści kilometrów. Była to najbardziej zniechęcająca wiadomość, jaką mogliśmy otrzymać. Nawet jeśli wiatr się zmieni, a lód zacznie się przemieszczać, trzydzieści kilometrów lodu nie przesunie się tak szybko, jak byśmy chcieli.

Samolot przeciął powietrze i odleciał. Patrzyliśmy, jak niknie w oddali, aż wreszcie stał się tylko czarną kropką na niebie. W radiu słychać było szum. Kapitan zakończył połączenie.

– Okej, Greg, dzięki. Bez odbioru.

Syk, po czym głos pilota:

– Powodzenia. Bez odbioru.

Mgła opatulila statek. Żadne szczyty nie przecinały nieba, nie było widać nic, oprócz mgły, zasłon, leniwie powiewającego muślinu. Wisiała w powietrzu, dopóki nie rozgonił jej wiatr, ponieważ światło i bilans energetyczny nie zmieniały się przez całą dobę.

Statek wydawał się nieco upiorny, kiedy się nie przemieszczał, a we mgle robił jeszcze bardziej tajemnicze wrażenie. Godzinami siedziałam w kabinie, patrząc, jak srebrne cienie, przypominające lodowe promienie słoneczne, zagarniają przestrzeń.

To była zasadzka. Oficerowie i marynarze rozmawiali na mostku ściszym głosem. Ich rozmowy dotyczyły lodu – tego, czy się wydostaniemy, czy dotrzemy do bazy, czy też będziemy musieli zawrócić na północ i spróbować jeszcze raz za jakiś czas. Okna mostka przypominały kinowy ekran. Pomyślałam, że to nie jest rzeczywiste. Wydaje mi się, że niezdolność do zaakceptowania tego, co widzę, wynikała z bezsilności. Rzadko kiedy bywamy bardziej bezradni.

Lód twardniał. Od czasu do czasu migał nam cień przelatującego wydrzyka albo nawałnika burzowego. Lód był zbity. Przecinały go zastrugi – ostre, podobne do fal bruzdy utworzone przez wiatr, które wyglądały jak zamarznęte wypustki na grzbiecie aligatora.

Kapitan wpatrywał się w powierzchnię lodu. Twarz zakrywały mu ogromne okulary z polaryzacyjnymi szklami.

– Skąd się wziął ten cały lód? – spytałam.

– Z zatoki Pine Island. Płynie tamtędy strumień lodu. Wypycha mnóstwo lodu, a lodowce cielą się szybko.

Zaprowadził mnie do mapy przedstawiającej zachodnie wybrzeże Wyspy Adelajdy. Ołówkiem zaznaczono nasz kurs. Gdybyśmy popłynęli na zachód, powiedział, na jedyne otwarte morze między nami a Australią, prawdopodobnie znowu napotkalibyśmy lód, i to dalej na południe, gdzie byłby grubszy. Płynąc na wschód, w stronę brzegów Wyspy Adelajdy, być może znaleźlibyśmy przesmyk w lodzie, ale były tam też podwodne rafy, a mapy były niedokładne. W przeciwieństwie do polarnego statku badawczego HMS „Endurance”, siostrzanego statku „JCR”, nie mieliśmy echosondy, która pomogłaby nam znaleźć drogę między podwodnymi grzbietami.

– Myślę, że będziemy musieli się wycofać – mówił dalej David. Myślałam, że źle słyszę. Jakim cudem mielibyśmy się wycofać, skoro nie jesteśmy w stanie zawrócić? Byliśmy uwięzieni. – Istnieje też inna strategia – dodał. – Poczekamy i zobaczymy, co zrobi wiatr.

Chociaż lód, który nas zatrzymał, wyglądał solidnie, przesuwiał się z wiatrem i pływem. Jeśli jeden z tych czynników, lub oba, zmieni się na naszą korzyść, lód może się rozpaść na kawałki, a my znajdziemy wyjście z tego lodowego labiryntu.

Spędzone w impasie noce wyzwoliły w nas dziecięcą energię. Tej nocy w barowym turnieju zwyciężył informatyk Bruce, pochodzący gdzieś z okolic Aberdeen. Zabawa polegała na tym, żeby zająć miejsce na krześle, a potem je zmienić szybciej niż inni. Bruce dokonał tego ubrany w kilt i bez bielizny. Wszyscy zasłanialiśmy sobie oczy.

W pewnym momencie odwrócił się do mnie facet, którego po cichu nazywałam Nieprzyjaznym Mechanikiem.

– Dlaczego uważasz, że umiesz to robić?

– Co robić?

– Pisać książki.

– A dlaczego uważasz, że nie umiem?

Zacisnął wargi i zobaczyłam samą siebie jego oczami – kogoś, kto wybrał się na wycieczkę, kto wyniesie z niej tylko kapitał symboliczny, jak określiliby to socjolodzy. Nie po raz pierwszy usłyszałam podejrzliwość podzwaniającą w określeniu, jakim czasem mnie tu przedstawiano: pisarka. Oczywiście, taką miałam rolę i zawód. Nie różniło się to niczym od słów „kapitan” albo „kierownik grupy badawczej”, ale nawet mnie samą to słowo lekko wytrącało z równowagi. Zmuszało mnie do spojrzenia na siebie oczami innych.

Czym zajmuje się pisarka? Pisze, wiadomo. Każdej nocy w kabinie tworzy poematy prozą o lodzie i pragnieniach, które nazywa „Nocnymi wiadomościami”. Tej nocy jednak bardziej niż kiedykolwiek wcześniej przeraża ją to, co się stało w nocy, kiedy przez moment chciała rzucić się do oceanu. Nie chce już czuć ekscytacji, miłości, pożądania. Próbuje je wyłączyć u źródła, ale wciąż tam są, biją pod jej sercem, szumią uporczywie jak uśpiony program komputerowy.

W międzyczasie jej mózg staje się pułapką ze słów. Przez całe życie słowa były

jej siłą. A jeszcze większą moc dało jej dobrowolne wygnanie, stając się nagrodą pocieszenia.

Była w ekstazie podczas tej podróży, zdobywała wiedzę i dokonywała odkryć. Była też nieszczęśliwa, uwięziona, oszołomiona. Nigdy wcześniej nie czuła takiego wiru emocji. Nie sądziła, że to w ogóle możliwe. Jej wcześniejsze życie wydawało się tylko cieniem, słabnącym wspomnieniem snu.

Antarktyda zawsze zmuszała ludzi do uświadomienia sobie, co ma dla nich największą wartość, co są gotowi zaryzykować i stracić. Nie wiem jednak, dlaczego wszystko wydawało się tu takie ostateczne, w tym miejscu, w trakcie tej podróży. Coś uwzięło się na mnie, próbując zmienić moje życie, zarówno przeszłe, jak i przyszłe. Czułam się jak w pułapce, miałam wrażenie, że moje przeznaczenie nie zależy od moich pragnień i przeczuć. Steruje nim coś ukrytego w obcych gwiazdozbiorach południowego nieba.

Ta morska podróż będzie wybrzmiewać przez długie lata. Nie wiedziałam jeszcze, jak długi, biały cień rzuci na moje serce.

– Stan kasy się czasem nie zgadza.

Elin zasępią się. Długie, bursztynowe cienie kładą się między łożowymi świecami, na serwetki zrobione na szydełkach przez staruszki z położonych nad rzeką osad.

Elin jest wysoka i dobrze zbudowana. Kiedyś mówiono na takie osoby, że mają „grube kości”. Ma niestaranie przycięte, jasne włosy i podłużną twarz.

– Nie wiem, dlaczego tak jest. Przepraszam. – Dorosły ton to coś nowego w moim głosie. Pojawił się niedawno. Lubię go wypróbować.

– Sprawdźmy listę.

Razem analizujemy sprzedaż kolczyków, jeżowców, pocztówek, papieru do prezentów, ozdobnych witraży, kryształków na żyłce, pluszowych homarów i fok.

Brakuje ośmiu dolarów oraz podatku. Udaję, że patrzę na rząd cyfr, a tak naprawdę wpatruję się w buty Elin. Nosi skórzane sandały, które z boku mają napis *Birkenstocks*. Nigdy takich nie widziałam. Zimą Elin nosi skórzane trzewiki, które wyglądają, jakby należały do przygarbionych średniowiecznych wieśniaków z mojego podręcznika do historii Europy. – Rzymianki – mówi Donna, kiedy opowiadam jej o ciuchach Elin. Marszczy nos, nie lubi hippisowskich rzeczy.

– Możesz wyjaśnić tę niezgodność? – Elin mówi ze skandynawskim akcentem, który nadaje jej głosowi autorytarny ton. Pochodzi z kraju, w którym sprawiedliwość społeczna jest bardzo ważna. Z Danii, a może ze Szwecji. Da mi szansę.

– Pamiętam, że wbijałam kolczyki za dziesięć dolarów, ale może kosztowały osiemnaście – mówię. – Ósemka czasem wygląda jak zero.

– Musisz być bardziej uważna, kiedy sprawdzasz ceny. Nieważne, czy gawędzisz wtedy z klientami. – To kolejny zwrot typowy dla Elin: gawędzisz,

a nie rozmawiasz.

Dociera do mnie, że o coś mnie podejrzewa, nie tylko o zmęczenie. W tym mieście ludzie nigdy nie byli ufni. To miejsce, w którym wszyscy martwią się, że nie dostają od życia najlepszej oferty, zaczynają więc zerkać na sąsiada, zastanawiając się, na kogo zrzucić winę. Morderca może być najbardziej skrajnym przykładem, niezależnie od tego, kim jest.

– Jasne – mówię. – Obiecuję.

Oprócz rzeki, lasu i biblioteki, jedyne miejsce, do którego można tu chodzić, to sklepy. Sklepy są schronieniem, a przynajmniej mogłyby być, gdyby sprzedawcy nie wbijali w ciebie wzroku, próbując cię skłonić do kupna czegoś. W sklepach są jaskrawe ubrania, pachnące mieszanki potpourri, baleriny z wężowej skóry, które wszystkie dziewczyny z liceum noszą w tym roku.

Mój ulubiony sklep to market budowlany. Wchodzę tam, żeby schować się przed zimnem albo przed upałem, w zależności od pory roku. Czuję spokój, kiedy chodzę pachnącymi gumą i stalą alejkami. To męski, użyteczny zapach, łagodzony przez chromowy wentylator zawieszony pod sufitem.

Mężczyźni w czerwonych koszulach pytają mnie, czy mogę w czymś pomóc, czy szukam czegoś konkretnego. Zmyślam coś. Mówię, że szukam korka do zlewu albo reduktora do płyty kuchenki – wiem, że takie rzeczy istnieją tylko dzięki swojej pracy w Execu i dlatego, że muszę się opiekować dziećmi mojej matki i Marka. Zatrzymuję się w części z pontonami, olśniona błękitem wody i nierealną zielenią basenów. Porównuję wagę i rozmiar, a także czas, jaki zajmuje ich nadmuchiwanie.

Dni rozciągają się, powolne, a zarazem przyjemnie męczące. Jest teraz jasno do ósmej wieczorem. Dolinę otaczają błękitne wzgórza. Na horyzoncie widać szczyty gór. Niskie i zmęczone, są ostatnim przyczółkiem Appalachów. Gdzieś obok płuc rozpycha się we mnie pusta tęsknota. To coś nowego, uczyć się nosić ją w sobie jak odciętą kończynę. Wcześniej czułam się całością.

Nie ma tu niczego, za czym będę tęsknić, oprócz przyjaciół. Znam już rytm tego miasta, wiosenne i jesienne wystawy, na których farmerzy pokazują swoje bydło, fioletowy świat karuzel i nieuczciwych automatów do gry, które słyhać kilka przecznic dalej, długie, letnie dni spędzane na plaży zalewu przy zaporze.

Nocami przynoszę jedzenie ludziom, których to miasto ukształtowało, chociaż tak naprawdę przychodzą tu ze względu na alkohol – Exec ma licencję na nocną sprzedaż trunków. Mężczyźni, którzy o trzeciej nad ranem wpadają na chińszczyznę, są do siebie podobni. Spłodziło ich to miasto i żyzne doliny, które je otaczają. Są przysadziści, noszą koszule w kratkę i kowbojki, nie wyglądają na subtelnych. Ich twarze to mieszanka wpływów szkockich, irlandzkich, angielskich i hugenockich. Od czasu do czasu pojawia się ktoś z wysoko podniesioną głową i wąskim, eleganckim nosem, który świadczy o tym, że w żyłach jego właściciela płynie tubylcza krew. Tacy

mężczyźni mi się podobają – są szczupli, delikatni jak łądygi kwiatów.

Kończę zmianę o czwartej, piątej, szóstej rano. Nie wracam pieszo, nie chcę ryzykować. Jeżdżę samochodem albo zamawiam taksówkę. Z Shades of Light wracam jednak piechotą. Do biblioteki także chodzę pieszo co wieczór.

Znajomi radzą mi, żebym tego nie robiła. Nawet matka Donny, która mnie nie akceptuje, mówi, że powinnam być ostrożniejsza i że nie chciałaby usłyszeć, że coś mi się stało.

– Co możesz na to poradzić? – Tak brzmi odpowiedź mojej matki, kiedy mówię jej o chodzeniu piechotą. Nie odrywa oczu od monitora elektronicznej niani. – Nie spędzisz życia owinięta w watę. Prędzej czy później każdemu przytrafi się coś złego.

9. GORZKOSŁODKI EROS

STAMUKHA

Pojedynczy kawałek lodu, który został na płyciźnie.

19 GRUDNIA

Stoimy już od czterech dni. Jesteśmy na mostku, mamy na sobie te specjalne gogle, które dostaliśmy z BAS-u. Wyglądamy w nich jak kosmici z filmu Stevena Spielberga. Wpatrujemy się w lód. Chcemy tylko, żeby nas wypuścił.

Wszystko, co teraz mówimy, każde przypadkowe spotkanie na korytarzu jest jak odsłonięty drut, który co chwilę kopie nas prądem. Cztery silniki statku są wyłączone. W głuchej ciszy wyobrażam sobie dźwięki – nieznane mi dzwony starego kościoła, szczęk podkuwania koni, odgłos ostrzenia noży.

Max odwiedził mnie w mojej kabine. Oczywiście same wędrowały mu do okna, do blasku lodu i niezmiennego zachwytu, jaki w nas wywoływał.

– Nie wiem, dlaczego czuję to wszystko – powiedział. – Nie mogę opanować własnych emocji. Nie lubię tracić kontroli.

– Nie da się cały czas wszystkiego kontrolować.

– Wiem, ale nie potrafię stwierdzić, czy to mnie niszczy, czy nie. Po raz pierwszy w życiu nie potrafię ocenić sytuacji.

– Wszystko, co czujemy albo widzimy, albo czego doświadczamy, odciska na nas ślad. Musisz uważać na to, co i kogo do siebie dopuszczasz. – Denerwowałam się sama na siebie. Dlaczego podawałam mu szklanę z taką ponurą radą?

– To brzmi, jakbyś nie ufała ludziom.

– Nie ufam okolicznościom. Życie jest ulotne, o wiele bardziej, niż się nam wydaje, i jest całkowicie poza twoją kontrolą. Musisz je traktować jak statek żeglujący przez pokryte lodem morze.

Uśmiechnął się wtedy, po raz pierwszy od kilku dni. Był w tym uśmiechu cień tolerancji, rodzaj cierpliwego rozbawienia, jakim możesz obdarzyć swojego rodzica.

– Czekaj, geometria zawsze poprawia mi humor. – Naszkicował kilka trójkątów równoramiennych swoją zwinną, pewną dłońią fizyka. – Zobacz, to jest współczynnik sublimacji lodu. Pamiętasz, jak ci o tym mówiłem? A to jest strefa subdukcji.

Przesłyszałam się i po raz drugi wydawało mi się, że powiedział: strefa

obdukcji. Sublimacja, subdukcja – język lodu był pełen emocji.

Otworzył laptopa. Znowu zobaczyłam strumienie cyfr i liter, oddzielone jakimiś zaszyfrowanymi informacjami. To zdumiewające, że z tych ciągów znaków potrafił przywołać do życia potężne lodowce, które nie istniały już od stu tysięcy lat.

Max wyjaśnił mi, że dokładny kształt płatków śniegu zależy od temperatury powietrza i od prężności pary wodnej. Kryształy pryzmatyczne są krótkie, lite albo puste w środku, kryształy igielkowe mają prawie cylindryczny kształt. Kryształy płytkowe są mniej więcej sześciokątne. Kryształy gwiazdziste są, jak łatwo się domyślić, w kształcie gwiazd. Są też cząsteczki lodu albo skupiska małych kryształków. Lodowce i góry lodowe zbudowane są z niezliczonej liczby kryształów o różnych kształtach, a każdy z nich jest w ciągłym ruchu.

– Ale jak w ogóle powstaje lodowiec?

– Ze śniegu, marznącego deszczu, z lodu tworzącego się bezpośrednio z pary, z zamarzającej wody śniegowej, z lawin. Śnieg, kryształy, powietrze, lód firnowy, który potem przekształca się w lód lodowcowy.

– Firn. – Brzmi jak dobra whisky albo jak zadanie do wykonania.

Nabazgrał równanie dotyczące masy i prędkości.

– Zobacz, tu jest prędkość, tu jest strata netto, a tu przyrost masy. Ablacja, topnienie, spływanie do morza. W Antarktydzie Zachodniej lądolód leży na podłożu, które jest poniżej poziomu morza, więc spływanie jest niejako wymuszone.

Przerwał, żeby dorysować kolejny hieroglif.

– Pokażę ci, jak porusza się lodowiec. Jest kilka sposobów. Na przykład za pomocą energii kinematycznej. Fale kinematyczne to coś takiego jak fala powodziowa. Takie zamrażnięte tsunami.

Pomyślałam o akwareli wielkiego japońskiego artysty Hokusaiego Katsushiki, przedstawiającej olbrzymią, wygiętą w łuk falę i niepokojącą mieszankę ruchu i klasycznego umiaru.

– Najczęściej lodowiec porusza się w dół poprzez ślizg denny. Dzieje się tak, kiedy lód topi się od spodu, w miejscu, w którym styka się ze skałą. Ciepło jest wytwarzane przez ciężar lodu, który napotyka opór skały. Lodowce mogą też płynąć do góry, przynajmniej do pewnego stopnia. Można to zaobserwować w strefie ablacji. I wreszcie lodowiec cyrkowy porusza się wkoło, co można wywnioskować z nazwy. Lodowce nie są jednak nigdy jednorodnym monolitem, zawsze składają się z różnych mniejszych mas lodowych.

Max nawijał, jakby opowiadał o wyjściu do supermarketu. Miał to przećwiczone, od trzech lat zajmował się glaciologią. Puszczalam mimo uszu treść jego wyjaśnień, jak zwykle fiksując się na słowach i ich medycznym brzmieniu. Teren, cyrkowy, jezor, ablacja – idealne połączenie anatomii i architektury.

Później opieraliśmy się o barierkę na mostku i patrzyliśmy na lód, dla niewprawnego oka wyglądający nieciekawie, ale – podobnie jak pustynia – skrzący się od szczegółów, kiedy wie się już, jak patrzeć. Choć jednak statek

wyglądał na całkowicie odprężony w lodzie, nasza sytuacja pogarszała się. Mieliśmy już tylko dwadzieścia cztery godziny. Wkrótce kapitan będzie musiał odwrócić statek i popłyniemy z powrotem na Falklandy.

Albo, jeśli uda nam się dotrzeć do bazy, znajdziemy się tam w ciągu jednego dnia. Wiele osób na pokładzie, w tym Max, miało zarezerwowane bilety na lot na Falklandy, a potem do Anglii, na 23 grudnia. Wszyscy chcieli być w domu na święta. Baza była drażniąco blisko. Pociągiem dotarlibyśmy do niej w pół godziny. Wydawała się jednak nieosiągalna.

Od dwóch dni kołyszemy się, żeby rozluźnić uchwyt lodu. Kołyszemy się celowo – statek huśta się z boku na bok, popychany parą wypuszczaną z zaworów silników. W dawnych czasach wyglądało to tak, że wszyscy, łącznie z psami, wychodzili na pokład i biegali zbiorowo od jednej burty do drugiej. Przywykliśmy już do ryków i westchnień statku, kiedy ten przechyla się o parę stopni w prawo i w lewo.

Kiedy okazało się, że kołysanie nic nie dało, kapitan David wyłączył ostatni silnik. Wszedł do jadalni z miną lekarza, który spróbował już wszystkiego – defibrylacji, zastrzyków z adrenaliny, żeby przywrócić akcję serca. Podszedł do baru i usiadł na ławie z założonymi na piersiach rękami.

– Co powiecie na święta na statku?

– To zależy – odparłam. – Mamy indyka?

Nikt się nie roześmiał. Do naszych posiłków i gier wkradła się nuta klaustrofobii. Kolejny dzień na lodzie oznaczał, że Andy, inżynier, nie pojedzie na biegun południowy, żeby naprawić magnetometrię. Kolejny dzień na lodzie mógł oznaczać, że nie zobaczę w ogóle bazy. Pisarzy nie można zaliczyć do najbardziej niezbędnych osób, organizacja mogła więc zdecydować, że nie będzie dla mnie miejsca w samolocie, jeśli będziemy musieli zawrócić i popłynąć do chilijskiej bazy na Wyspie Króla Jerzego, gdzie było lotnisko. Mogą mnie wsadzić do samolotu na Falklandy zamiast na Antarktydę. Tak blisko, a zarazem tak daleko. Nie pomyślałabym, że będziemy musieli zatrzymać się zaledwie sześćdziesiąt kilometrów od lądu.

Wysłałam na pokład, żeby przeprowadzić inspekcję naszego więzienia. Zadovolone krabojady nadal tu były, odpoczywały na lodzie zaraz obok nas, prychnając i wzdychając. To Antarktyda, powiedziałam sama do siebie. To tutaj Mawson wydostawał się z niezliczonych szczelin. To tu Shackleton przez cztery miesiące walczył o ocalenie swoich ludzi, koczujących na Elephant Island. Scott i jego ludzie zginęli z powodu osiemnastu kilometrów i złej lokalizacji depozytu. Amerykański lotnik Richard Byrd zabrał ze sobą kaftany bezpieczeństwa, na wypadek gdyby jego ludzie stracili zmysły podczas długiej zimy. Czytałam klasyków literatury polarnej, przedstawiających katalogi nieszczęść i wypadków typu „mało brakowało”, logistycznych porażek i przypadkowych ocalań. Jak mogłam więc uważać, że wszystko pójdzie gładko?

Tego dnia po południu w lodzie wreszcie utworzył się kanał, okazał się jednak ślepyim zaułkiem. Prowadził tylko do kolejnego jezora lodu. Po kilku godzinach posuwania się do przodu w ślimaczym tempie czterech węzłów musieliśmy się

zatrzymać.

Wyszło słońce i kolory się odwróciły: słońce było czarne, lód też, a woda i niebo białe. Nie mogłam sobie przypomnieć, od jak dawna nie mieliśmy nocy. Zanim wyruszyłam w tę podróż, nie spędziłam nawet jednej doby bez nocy. Czy to możliwe, że to wszystko jest tylko wytworem moich oczu, które widzą ciemność tam, gdzie jest tylko światło?

Wieczorem zorganizowaliśmy imprezę i wieszaliśmy świąteczne dekoracje. Wyładowaliśmy frustrację na choince, dławiąc ją brzydkimi girlandami, i na zapasach alkoholu za barem. Wypiliśmy wszystko, co udało nam się znaleźć, a informatyk Bruce postanowił po raz kolejny wygrać w zabawie, mając na sobie tylko kilt. Rozpierzchliśmy się na wszystkie strony.

Nie szukaliśmy z Maxem swojego towarzystwa w całym tym harmiderze. W nasze rozmowy wkradła się subtelna nuta odrzucenia. Być może zauważył, że przywiązałam się do niego, i chciał to wykorzystać, odsuwając mnie, ale się powstrzymał. Być może na tyle mi współczuł. Na statku jednak trudno było się zorientować, co właściwie dzieje się między ludźmi. Ciasnota sprawiała, że osoby o odmiennych temperamentach musiały żyć ze sobą jak rodzina, jedząc razem posiłki, wykonując codzienne obowiązki, oglądając filmy i spędzając wieczory w barze. Ci, którzy czuli do siebie sympatię, tak jak ja i Max, mogli się oddalić z powodu nudy związanej z ciągłym przebywaniem razem.

Po imprezie wróciłam do kabiny. Musiałam to robić wiele razy dziennie. Byłam przyzwyczajona do czytania i pisania i nie nawykłam do życia w hałasie, do ciągłego przekomarzania się i żartów, które są obowiązującą walutą w każdej grupie.

W kabinie otworzyłam jedną z niewielu niepolarnych książek, które ze sobą przywiozłam: eseje Anny Carson zatytułowane *Eros the Bittersweet* (Gorzkośłodki Eros). Carson to poetka i filolożka klasyczna, znana także jako tłumaczka Safony. Wyjaśnia, że w starożytnej grece błąd (*hamartia*) był czymś, przez co trzeba przejść, żeby życie mogło toczyć się dalej. Arystoteles ujął to jeszcze bardziej ponuro – błąd to fałszywy krok, który prowadzi bohatera lub bohaterkę do zguby, ale po spotkaniu tej zguby bohater staje się wolny. Błędy służą czemuś, czego nie jesteśmy w stanie określić w momencie ich popełniania.

Safona napisała, że miłość jest „słodkogorzka”. Carson wyjaśnia, że w tym słowie, *glukupikron*, słodycz jest wymieniona jako pierwsza. Brzmi to inaczej, kiedy zamienimy słodycz i gorycz miejscami. Pragnienie posługuje się językiem ognia, płynności i topnienia, zauważa Anna Carson. Sofokles porównał pragnienie czegoś do trzymania grudki lodu w ciepłej dłoni. Ból i przyjemność przenikają się, ukłucie zimna, niezbyt łagodne, będące wynikiem okrucieństwa, a potem gorący, roztopiony płyn.

Według Sofoklesa miłość kształtuje się poprzez serię kryzysów zmysłów. *Krisis* wymaga decyzji i działania. Eros ma ślepy punkt, moment, w którym nieobecność i obecność splatają się, tworząc paradoks. Wgryzasz się w jabłko, od dawna upragnione, i czekasz na tę słodkogorzka chwilę, w której twoje

pragnienie zniknie.

W centrum pragnienia jest zimna, pierwotna przyjemność, pisze Carson. Lód jest bólem, ale także przyjemną nowością. Kiedy jesteśmy dziećmi, płatek śniegu na języku lub na twarzy jest zaskoczeniem. To zaskoczenie staje się częścią naszego istnienia i psychologii pragnienia, równocześnie jednak słabnie. Jako dorośli możemy więc wytrzymać śnieżycę, nie czując niczego.

Lód to nowość, więc, podobnie jak miłość, jest nieoczekiwanym rodzajem tortury – świeżym i niewypróbowanym. Jego topnienie jest katastrofą. Im dłużej go trzymamy, tym bardziej marzną nam dłonie. Im dłużej go trzymamy, tym szybciej się topi. Za pomocą tego zestawienia ciepła i zimna, ognia i lodu, Carson próbuje wyjaśnić traumę, jaką miłość jest dla naszego serca.

Zimno potrafi parzyć. Wystarczy spojrzeć na pierwsze z brzegu zdjęcie odmrożonych palców. Są czarne jak węgiel. Wyglądają, jakby je trzymano w płomieniach.

Hamartia, krisis, glukupikron, cryos. Błąd, kryzys, gorzkosłodki, lód. Podczas tej tak zwanej nocy spędzonej wśród lodu ten chłodny język przynosił mi dziwną pociechę.

Poszłam do baru po butelkę wody. Miałam już dość płaskiego smaku jonizowanej wody, którą produkowały odsalacze naszego statku. Impreza trwała w najlepsze. Ktoś zaciągnął żaluzje, blokując blask słońca, i włączył kolędy na pełny regulator. Nas, kobiety, usadzono na stołkach i przyozdobiono. Dostałyśmy czapki mikołaja, a na szyję włożono nam łańcuchy choinkowe. Mike, główny steward i facet z kluczami do magazynu z alkoholem, przyniósł nam zapasy.

– Pijta, ile tylko chceta.

Tańczyliśmy do *Rockin' around the Christmas Tree*, kiedy podjęto ostatnią, rozpaczliwą próbę rozhuśtania statku. Gdy pokład się zakołysał, a silniki wyrzuciły parę, rzuciliśmy się całym ciężarem najpierw na prawą burtę, potem na lewą. Zaczęliśmy od szkockiej, potem przeszliśmy do rumu, następnie do piwa i wina, a skończyliśmy, pijąc angosturę ze wszystkim, co zostało.

Rano zawrócimy i popłyniemy na północ. Do bazy nie dopuści nas potężniejsza moc przyrody. Spędzę na Antarktydzie jeszcze trzy dni, tyle bowiem zabierze nam podróż do chilijskiej bazy, ale to poczucie, że coś odkrywam, że jestem w podróży, jakiej nigdy nie odbywam, zniknie.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Zaczęłam czytać kolejną książkę, *Na biegun* Fridtjofa Nansena. To relacja z jego wyprawy do Arktyki, podczas której spędził zimę wśród lodu. Podobnie jak jego bracia, Nansen był utalentowanym pisarzem. Potrafił z niezwykłą precyzją opisać budzące strach i zachwyty otoczenie.

Była piąta nad ranem, gdy jasnomandarynkowe słońce Antarktydy zalało moją kabinę światłem. Zasnęłam wreszcie nad stroną, która kończyła się takim opisem:

Nie może istnieć nic piękniejszego na tym świecie niż noc polarna. To kraina jak ze snu, odmalowana najdelikatniejszymi odcieniami, jakie jesteście sobie w stanie wyobrazić, to kolor niematerialny. Jeden odcień przechodzi w drugi, tak że nie można stwierdzić, gdzie się kończy pierwszy, a zaczyna następny, a mimo to są widoczne. Nie ma kształtów, jest tylko słaba, pełna barw muzyka... Niebo jest niczym ogromna kopuła, niebieska w zenicie, przechodząca w zieleń, następnie w róż, a na skraju w fiolet. Nad połaciami lodu unoszą się zimne, błękitno-fioletowe cienie, miejscami wpadające w jaśniejszy róż, tam gdzie krawędzie łapią ostatnie odbicie minionego dnia...

Nigdy nie byłem w stanie pojąć, że pewnego dnia ziemia będzie zużyta, opuszczona i pusta. Jaki jest więc sens tego piękna, którym nie cieszy się żadne stworzenie. Zaczynam się domyślać. To jest ziemia przyszłości – są tu piękno i śmierć. Ale czemu ma służyć? Ach, czemu mają służyć wszystkie ciała niebieskie? Jeśli umiesz, odpowiedź odczytasz w gwiazdzistym firmamencie.







CZĘŚĆ DRUGA
OKRUTNE DNI POLARNE



1. PRECESJA

LÓD STAŁY

Nieruchomy lód przytwierdzony do brzegu, ściany lub bariery lodowej.

20 GRUDNIA

Jesteśmy wszyscy na zewnątrz, na pokładzie. Zbijamy się w podekscytowane grupki, zamykając schowane za okularami przeciwsłonecznymi oczy. Mijamy wybrzeże Jenny Island. Obok widzimy ciemne grzbiety płetwali karłowatych. Próbujemy zaakceptować zmienioną rzeczywistość. Nie dalej niż kilka godzin temu tkwiliśmy w uścisku lodowej pięści, a teraz płyniemy z prędkością szesnastu węzłów, za straż przyboczną mając płetwale.

Gdzieś po drugiej stronie cypla w kształcie rogu leży baza. Z mostka wydaje się, że to tak blisko. Na monitorze widać trzy albo cztery romby – budynki w bazie – i długi, brązowy pasek przecinający półwysep – pas startowy.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo brakowało mi dźwięku silników, ich dodającego otuchy warkotu. Mam wrażenie, że to cud, że znowu płyniemy. Niezamarnięta woda staje się przyjacielska, znowu nas niesie.

Falbanki mgły wiszą nisko nad oceanem. Niebo ma głęboki, fioletowoniebieski kolor. Okrążamy cypel, słuchając oddechów wielorybów.

Wcześniej tego dnia, około szóstej, kapitan David znalazł wyłom w lodzie. Postanowił, że zaryzykuje i popłynie na wschód, w stronę Wyspy Adelajdy i jej skalistych raf, zakładając, że lód się nie zamknie i nie uwięzi nas tam. Przez cztery godziny poruszaliśmy się ostrożnie wzdłuż rafy, najwolniej jak się dało. Jeśli uderzymy w skałę, nawet przy sześciu węzłach, wzmocniony kadłub „JCR” rozerwie się jak puszka rozcięta przez otwieracz.

Obudziłam się tego ranka po trzech godzinach snu i zobaczyłam, że statek znowu płynie, po raz pierwszy od czterech dni. Skradaliśmy się wzdłuż Wyspy Adelajdy, a wznoszące się na jej zachodzie wzgórza lśniły błękitem i bielą. Znowu pojawiły się wydrzyki. Te ptaki żyją na lądzie, w przeciwieństwie do albatrosów, które potrafią spędzać w powietrzu wiele miesięcy, nie stawiając przez ten czas nóg na stałym lądzie. Wydrzyk na morzu oznacza, że ziemia jest blisko.

Cudowna, błękitna woda pobłyskiwała w słońcu. Między górami wisiały kosmyki chmur, nisko, kilka stóp nad powierzchnią morza. Przepłynęliśmy przez nie – wyszły z tego spotkania bez szwanku.

Wszyscy wylegliśmy na pokład, żeby zobaczyć, jak dopływamy. Widzieliśmy małe figurki na szczycie granitowego wzgórza, machające do nas. Przybycie statku było równie wielkim wydarzeniem dla mieszkańców bazy, jak dla nas – przywieźliśmy zapasy na lato, między innymi niezliczone skrzynki piwa.

„JCR” przycumował do nadbrzeża, a znajome buczenie silników ucichło. W jego miejsce pojawiły się nowe dźwięki – odległy szum generatora, świst wiatru między przewodami. Na tyłach bazy znajdowała się płatanina nadajników radiowych i anten satelitarnych. Nadajnik VHF był umocowany po wariacku, na jakimś częściowo okrągłym, częściowo kanciastym stelażu. Wyglądał jak skierowany w stronę Anglii łapacz snów.

Zaskoczyła mnie świadomość, że nie podoba mi się wizja wyjścia na ląd. Nie chciałam opuszczać statku. To był mój pierwszy poranek na Antarktydzie, na tym tajemniczym kontynencie, który odwiedziło niewielu szczęśliwców, ale nie miałam ochoty się rozglądać.

Patrzyłam na reakcje innych i widziałam, że czują to samo. Caroline, ta, która nurkuje, i Nieprzyjazny Mechanik patrzyli na miejsce, które będzie ich domem przez kolejne osiemnaście miesięcy, a może nawet przez dwa lata, jeśli postanowią przedłużyć umowy. Kiedy zeszliśmy do baru na odprawę, byliśmy wyjątkowo przygaszeni.

– Opuśćcie statek o dziesiątej zero zero – poinformował nas Simon, kierownik bazy. Nagle przestało mi się podobać, że ktoś mówi mi, co mam robić, chociaż nie miałam z tym problemu na morzu.

Nie mieliśmy jednak wyjścia, ponieważ statek nie chciał nas dłużej znosić. Kazano nam zdjąć pościel.

– Kto tego nie robi, nie wypije już ani pieprzonego łyka na tym statku – ostrzegł steward Mike. – I pamiętajcie, żeby wynieść pościel na korytarz.

Nagle było po wszystkim. Mike rozliczył nasze rachunki w barze i oddał nam paszporty. Max, Nils i Emilia zostaną na statku przez te trzy dni, które im zostały do wylotu. Zazdrościłam im, że nie muszą uczyć się zasad tego nowego, lądowego świata.

Jak na zawołanie rozległ się ryk i pojawił się dash 7. Jego cztery turbiny rozorały niebo, a czerwony kadłub zasłonił widok z okien baru. W ostatniej chwili ominął naszą wieżę i zniknął za chmurą kurzu unoszącą się nad lądowiskiem.

– Cwaniaki – wymamrotał steward.

Niemal natychmiast Simon zwołał wszystkich, którzy zamieszkają w bazie, na wycieczkę po naszym nowym domu. Kiedy tak staliśmy, czekając, wyglądaliśmy pośepnie. Jeszcze kilka godzin temu rozpaczliwie pragnęliśmy się tu znaleźć, ale teraz, gdy to się stało, mieliśmy opory. Zamiast gapić się z zachwytem na imponujący krajobraz, wbijaliśmy wzrok w czubki gumiaków.

Moje pierwsze wrażenie dotyczyło dźwięków. Przyzwyczaiałam się już do metalicznej ciszy uwięzionego w lodzie statku. Jedynym dźwiękiem było zgrzytanie lodu o kadłub. Baza emanowała cichym dostojeństwem, całkiem jakby zamknięto za nami drzwi skarbcza, odcinając wszystkie dźwięki. Od czasu

do czasu powietrze przecinał odgłos wystrzału, dając efekt podobny do zjawiska Dopplera. Dowiem się później, że jego źródłem były rozpadające się albo obracające góry lodowe. Kiedy kawałek lodu się odrywał i wpadał do zatoki, słychać było dźwięk przypominający odległy wodospad. Żyjące na Antarktydzie ptaki rzadko się odzywają, czasem jednak dało się usłyszeć chrapliwy głos wydrzyka, spotęgowany przez otaczającą nas pustkę.

Jednocześnie było ciepło i zimno. Powietrze było suche, jakbyśmy wdychali papier. Strumyki wody z lodowca wiły się obok ścieżki, nie miały jednak typowego dla wody, wilgotnego, jonizowanego zapachu. Nie pachniało też ziemią, drzewami, trawą i kwiatami. Poczułam zapach, który będzie mi się kojarzył z Antarktydą. Nigdzie indziej go nie spotkam, może tylko na Grenlandii, gdzie będzie znacznie słabszy. Gdybym go jednak poczuła, rozpoznałabym go od razu. O to, jak pachnie Księżyc, spytano astronautę Buzza Aldrina, drugiego człowieka, który stanął na jego powierzchni. Odpowiedział: – Jak dwa kamienie potarte o siebie. Tak właśnie pachnie Antarktyda – jak krzesiwo.

Minęliśmy mężczyzn w pomarańczowych kombinezonach jadących koparkami. W porcie panowało prawdziwe szaleństwo – rozhuśtane kontenery zwisały z dźwigów. Znowu pojawił się dash 7 – tym razem wzbił się z rykiem w powietrze. Krzepcy mężczyźni w wąskich okularach przeciwsłonecznych zmierzali w naszą stronę. Wyglądali, jakby zesli z planu filmu o Jamesie Bondzie na Antarktydzie.

Skręciliśmy za róg i zobaczyliśmy ciąg pudełek na skałach. Największe było hangarem lotniczym. Mieścił się w nim dash 7 i dwa samoloty Twin Otter, jeśli akurat były w bazie.

Rzucaliśmy sobie trudne do odczytania spojrzenia, które odbijały się w naszych okularach. Oczywiście, poinformowano nas o wszystkim. O tym, że Baza R jest ważnym lotniskiem i odgrywa kluczową rolę w działalności BAS-u. O tym, że jest największa z baz brytyjskich – w szczycie sezonu, który przypada w styczniu i w lutym, przebywa tu nawet do stu osób. Wśród nich są naukowcy i asystenci udający się do mniejszych obozów albo wracający z nich. Dzięki nim oraz dzięki wpadającym na krótki pobyt gościom (każdy, kto przyjeżdża do bazy na krócej niż trzy miesiące, jest uważany za podejrzanego), takim jak prawnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Wspólnoty, dziennikarze BBC i grube ryby z rządu, w bazie panuje kosmopolityczna, wielonarodowa atmosfera. Tak nam powiedziano. Miejsce to przypominało jednak skrzyżowanie portu z kolonią karną, czuliśmy się więc trochę wytrąceni z równowagi. Podczas rejsu przyzwyczailiśmy się już do trzydaniowych kolacji, do eleganckiego życia na zmierzającym do konkretnego celu statku.

Pokazano nam hangar dla łodzi, laboratorium, stołówkę i kompleks biurowy, w którym mieściło się też centrum komunikacji, wieża kontroli lotów i pokoje pilotów. Zwiedziliśmy budynki mieszkalne, sklepy spożywcze, „narciarnię”, czyli miejsce, w którym przechowywano i naprawiano narty i sprzęt górski. Widzieliśmy garaż dla skuterów śnieżnych, oczyszczalnię ścieków, budynek

generatora, Kontener Cudów, czyli urządzenie, do którego wrzucano śmieci, a ono przerabiało je na schludne kostki odpadów, które wywożono statkiem. Było jeszcze kilka małych magazynów i już. To tyle.

Simon zostawił nas, żebyśmy sami wszystko obejrżeli. Zagląaliśmy przez zaparowane okna. W środku widzieliśmy duże pakunki zapakowane w srebrny papier albo staroświeckie narty, oparte o ścianę jak kawałki drewna. Wszystko to wyglądało niczym gigantyczne instalacje Josepha Beuysa. W jakiś dziwny sposób ekscytowała mnie świadomość, że to zbudowane z szop miasteczko na końcu świata stanie się moim domem na następane miesiące.

Panował tu też duch oblężonego miasta. W najbliższych miesiącach będę ograniczona do budynków, które właśnie minęliśmy. Nie będzie parków, galerii i muzeów, kafejek, barów i restauracji, sal seminaryjnych i wykładowych, samolotów, pociągów, sklepów i supermarketów, salonów fryzjerskich, klubów, pubów, plaż i basenów. Nie będzie zwierząt i dzieci. I, co najważniejsze, nie będzie obcych ludzi, przynajmniej do pewnego stopnia. W każdej chwili będziemy wiedzieć, kto się gdzie znajduje. Procedury bezpieczeństwa nie pozwalają na samotne wędrówki. Ciężko będzie o prywatność. Dobrowolnie zrezygnowaliśmy ze zdobyczy cywilizacji, zamieniając je na miejsce nieróżniące się specjalnie od średniowiecznej wioski. Być może liczyliśmy na to, że czas, który tu spędzimy, nauczy nas czegoś ważnego i bezcennego o świecie, że wyposaży nas w niezwykłą wiedzę, którą nie obdarzyło nas dotychczasowe życie, spędzone pod bezustannym ostrzałem trywialnych informacji.

Simon zaprowadził nas na lunch do jadalni. Kazano nam zdjąć gumki w przedsiönku. Ławki pozajmowane już były przez zniszczone buciory w kolorze mlecznego brązu z wydrapanymi inicjałami właścicieli. Nasze, nowiutkie, połyskiwały na pomarańczowo jak świeży karmel. Na gwoździach wisiały wytłuszczone odblaskowe kurtki.

Zostawiliśmy nasze podejrzanie nowe klamoty i podreptaliśmy na górę w skarpetkach. W kolejce po jedzenie toczyliśmy rozmowy we własnym gronie. Ludzie z bazy ciągle zmieniali rozmówców, prawiąc sobie komplementy, drocząc się i poklepując po plecach. Nie odzywali się do nas i w żaden sposób nie dawali po sobie poznać, że w ogóle zauważyli naszą obecność.

Następnie ustawiono nas na tle szafki z dokumentami w gabinecie lekarskim, a Melissa, pracująca w bazie lekarka, która, jak się okaże, jest też fotografką i fryzjerką, robiła nam policyjne zdjęcia. Będą wisiały na tablicy przed biurem kierownika bazy przez cały okres naszego pobytu tutaj. Każdy z nas dostał małą, plastikową plakietkę, do której przyklejona była kartka z naszym imieniem. Plakietka miała dziurkę, za którą można ją był powiesić na gwoździu. Dowiedzieliśmy się, że to najważniejszy element naszego wyposażenia. W najbliższych miesiącach będziemy musieli informować o każdym ruchu. Wiesząc plakietkę na tablicy, będziemy oznajmiać, że jesteśmy „W bazie”, „Poza bazą”, „Na polu”, „W samolocie”, „Na pasie startowym”, „W hangarze lotniczym”, „W Laboratorium Bonnera”, „W hangarze na łodzie” „Na cyplu” albo

że odbywamy „Podróż po okolicy”.

O dwudziestej trzeciej nasza grupa postanowiła pójść na narty. Nie umiem jeździć na nartach, prowadziłam więc skuter śnieżny, wożąc wszystkich na górę. W drodze na dół, do bazy, zahamowałam nagle i zgasiłam silnik. Rob, asystent terenowy, którego poznałam tego dnia, zatrzymał się koło mnie.

– Niezły widok, co?

W milczeniu wpatrywaliśmy się w otaczający nas pierścień pokrytych białą gór. Pokrywa lodowa, która zatrzymała nas na morzu, przemieściła się do zatoki. Statek stał bezpiecznie w przystani, ponownie uwięziony w lodzie.

Cisza była wprawdzie dość cicha, czegoś jej jednak brakowało. Pomyślałam, że zaraz dobiegnie mnie dźwięk rozbijających się o skały fal. Usłyszę pisk i szum silnika łodzi albo podniesione głosy ludzi.

I wtedy zaczęłam słyszeć szczekanie psów, dźwięk muzyki i krzyki.

– Co to? – spytałam Roba.

Popatrzył na mnie, wyraźnie zdumiony.

– Co takiego?

– Zdawało mi się, że coś słyszałam.

Próbowałam wyrzucić te głosy z głowy, ale stawały się coraz bardziej uporczywe. Słyszałam turkotanie diabelskiego młyna, brzęk wpadających do automatu monet. W odpowiedzi na nadmiar ciszy karnawał duchów zainstalował się w mojej głowie.

Zadrżałam. Odziana w rękawicę dłoń Roba tkwiła obok stacyjki. Staliśmy tu już zbyt długo. Próbowałam się nie poddać temu, co Eskimosi nazywają *ilira* – mieszance lęku i podziwu, wywołanej widokiem niezwyklego krajobrazu. Pomyślałam, że nigdy nie będę umiała napisać o tym miejscu.

Zrobiło mi się zimno. Na rękach miałam czarne, wzmocnione rękawice do prowadzenia skutera. Objęłam się za ramiona. Mój wzrok znowu przyciągnęła bryła Jenny Island. Wyglądała imponująco w słabym, nocnym słońcu. Jej strome blanki wyrastały prosto z morza. Spomiędzy dwóch brązowych szczytów spływał niewielki lodowiec. Cała wyspa miała w sobie coś drapieżnego.

Siedząc tej nocy na stygnącym skuterze nie mogłam wiedzieć, że w najbliższych miesiącach będę patrzeć na tę wyspę częściej niż na jakikolwiek inny element krajobrazu. Stanie się dla mnie strażnikiem, wyrocznią, fortecą zmarłych.

21 GRUDNIA

Przesilenie letnie na półkuli południowej. Dzisiaj jest najdłuższy dzień roku. Słońce będzie wisiało wysoko nad bazą, jedynym znakiem przejścia dnia w noc będzie leniwa elipsa, jaką zatoczy na niebie.

Stoję na werandzie, patrząc na nadbrzeże. Nigdy jeszcze nie widziałam takich barw. Cienka, złota warstwa pokrywa krążki lodowe, które się uformowały w zatoce. Niebo jest oliwkowe, a słońce otacza poświata w kolorze mango, poprzecinana intensywnie białymi, fluorescencyjnymi smugami. Tak mogłoby

być na obcej planecie. Patrzyłabym na słońce, stojąc na oświetlonej stronie gwiazdy, na której nigdy nie zapada noc, gdzieś po drugiej stronie księżyca.

Następnego wieczoru na statku była impreza. Żegnaliśmy grupę, która wylatywała, a także sam statek, wypływający nazajutrz po południu.

Nie dotarło do mnie wcześniej, że oficerowie przebyli całą tę trudną drogę tylko po to, żeby po trzydziestu sześciu godzinach wyjechać. Takie jednak było życie na Antarktydzie – ludzie przyjeżdżają i odjeżdżają, a statek ma robotę do wykonania, badania do przeprowadzenia w okolicy Pine Island Bay. W następnych miesiącach przekonam się, że zasady, które rządzą życiem ludzkim, mają też zastosowanie na Antarktydzie, z tym że tutaj są zwielokrotnione i ich skutki są silniej odczuwalne. Ludzie, z którymi czujemy się dobrze, zazwyczaj znikają, zanim się zorientujesz, za to ci, z którymi nie możemy nawiązać porozumienia, zostają tak długo, że ich towarzystwo staje się przekleństwem.

Ładownia statku była pusta. Wyładowano maszyny budowlane i beczki z paliwem lotniczym, które na Antarktydzie nazywane jest avtur. Przez dwa dni podawaliśmy sobie z rąk do rąk pudła, uzupełniając zapasy żywności i alkoholu, zapełniając chłodnię i narciarnię, nosząc wosk do nart i uprząż do sań, zrobioną z jelit renifera. Nosiliśmy też mniej egzotyczne przedmioty – puszki z pieczarkami, które wystarczyłyby na sto lat, i kolejne zgrzewki guinnessa w puszkach. W języku Antarktydy rozładowywanie statku nazywane jest ulgą. Dla nas ulgi nie było. Bolały nas mięśnie ramion, a paznokcie mieliśmy połamane od zimna i dźwigania tyłu pakunków.

Wróciłam na statek na imprezę. Do niedawna tu był mój dom. Nie mogłam się powstrzymać przed chodzeniem obok kabiny, która już nie należała do mnie. Na mojej pryczy leżał kask, zaznaczając obecność nowego właściciela.

Znienacka na korytarzu pojawił się steward Mike.

– Nie mogłaś się powstrzymać, co?

Patrzyłam, jak idzie korytarzem, swoim charakterystycznym, zmęczonym krokiem, w tak dobrze mi znanych, lśniących półbutach. Mogłabym się zabrać na gapę, chowając się gdzieś pod pryczą w pustej kabinie. Nikt by nie zauważył, czyż nie? Dałabym radę wytrzymać pięć dni bez jedzenia albo zakradałabym się do stołówki marynarzy o czwartej nad ranem. Przeżyłabym na tostach z serem. Dotarlibyśmy na Falklandy, zanim ktokolwiek podniósłby alarm. Przynajmniej zrzuciłabym parę kilo, które przytyłam, jedząc codziennie ciepłe śniadania.

Nie wiedziałam, dlaczego tak szybko straciłam odwagę. Już po tym jednym dniu w bazie wiedziałam, że jesteśmy w innym wymiarze, że Antarktyda jest jak pozaziemska cywilizacja, która nic nie wie o ludzkości. Ludzie nigdy tu nie żyli, łąd nas więc nie pamięta. Przyjemne było poczuć się tak zapomnianą, ale nie byłam pewna, czy będę umiała znieść to na dłuższą metę.

Na imprezie kręcili się ludzie z bazy, wpadali i wypadali. Całą populację stanowili wysportowani młodzieńcy, którzy mogliby być członkami wiele

mówiącej drużyny antarktycznych pand – mieli spalone słońcem twarze z białymi paskami w miejscu okularów. Przy tych krzepkich osobnikach wyglądaliśmy niepozornie. Wciąż pachnieliśmy światem zewnętrznym, całkiem jakbyśmy w każdej chwili mieli wskoczyć w dżinsy rurki i kurtki ze skóry. Wszyscy ludzie z bazy nosili dokładnie takie same ubrania – polary w kolorze czerwonych pomarańczy i zielone, bawełniane spodnie w pomieszczeniach, pomarańczowe, ocieplane kombinezony na dworze. W okularach i czapkach wyglądali niemal identycznie.

– Od roku chodzimy do tego samego baru – powiedział Rob, asystent terenowy, wyjaśniając, dlaczego są w takiej euforii. Przypomniało mi się, co Elliott powiedział mi o życiu w bazie nie dalej niż dwa tygodnie temu: „To skrzyżowanie studiów i wojska”. Ci rumiani, pełni życia ludzie wyglądali, jakby niejedno razem przeszli. Emanowali głodem, niecierpliwym, niemal obsesyjnym apetytem na rozmowę. Być może byliśmy dla nich „świeżym mięsem”, jak to określił Max, widząc żarłoczne, choć niechętnie spojrzenia ludzi z Falklandów.

Mieszkańcy bazy wrócili w końcu do swoich nor i o trzeciej nad ranem zostaliśmy już tylko my, ludzie ze statku. Wypijaliśmy resztki zapasów, po raz ostatni tworząc wspólnotę.

Nie rozmawiałam z Maxem. Dobrze czułam się w towarzystwie nowych znajomych, przy mnie zaś był wyniosły i niespokojny. Czaiła się w tym ironia, której nie potrafiłam zdefiniować. Max był moim towarzyszem podczas tej podróży, ale teraz, kiedy dotarliśmy na miejsce, stał się jedyną osobą, z którą nie umiałam rozmawiać. Odpychał mnie od siebie tak wyraźnie, jakby otoczył się konwergencją antarktyczną. Łatwo jest przebywać z ludźmi, z którymi można się lubić lub nie, którzy są przyjemni i uprzejmi. O wiele trudniej jest znaleźć kogoś, kto jest inną wersją siebie, prawdziwą, a jednocześnie nieprawdopodobną, ty zaś jesteś odbiciem tej osoby. Kiedy natkniemy się na to dziwne podobieństwo, trudno oprzeć się pokusie, żeby go nie odrzucić.

Wyszłam na zewnątrz popatrzeć na światło. Słońce zawisło nad horyzontem, zalewając krę na zatoce zimnym, brzoskwiniowym blaskiem. Chmury – stratusy i altostratusy, wysokie i wąskie, świeciły na cytrynowo. Pas miedzianego światła lśnił na lodzie, który robił się różowy. Kolory zmieniały się co sekundę – teraz lawenda, za chwilę mięta.

Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek uda mi się spojrzeć na to miejsce z dystansem. Wszyscy, a zwłaszcza ja i Max, zostaliśmy rzućni ku sobie w wielkiej, ludzkiej loterii, jaką jest Antarktyda. Można się tu na moment zaprzyjaźnić z pilotem, hydraulikiem, biologiem morskim, technikiem radiowym, pisarzem, z kimś, kto jest o dziesięć lub dwadzieścia lat starszy albo młodszy. Oswobodzeni z więzów demografii, grup rówieśniczych, wspólnych zainteresowań i zajęć, możemy poznać każdego. To taki społeczny eksperyment, lodowa arka. Po opuszczeniu Antarktydy ta kapsuła przypadkowych znajomości się jednak rozpadnie.

Obiecałam Maxowi prezent, kiedy będzie wyjeżdżał z Antarktydy. Zostawiłam go na jego biurku, kiedy jeździł po raz ostatni na nartach po lodowcu. Dałam

mu kiepską parodię dzienników polarnych odkrywców z epoki edwardiańskiej:

9 września

Jeden kucyk – biedna Trixie – okulał. Obawiam się, że długo już nie wytrzyma. Nie cieszy nas wizja rosołu z kucyka.

10 września

Przez cały dzień ciągnęliśmy sanie, dwie stopy od obozu wpadliśmy do szczeliny. Psy zawisły na uprzęży na głębokości trzydziestu stóp. Sanie zahamowały upadek. Wydostaliśmy się z pomocą czekana i lin. Wszystko to jednak nieważne, skoro mamy filiżankę dobrej herbaty!

12 września

Wszyscy oprócz jednego człowieka dotknięci ślepotą śnieżną. Śmiem twierdzić, że lepiej nie widzieć, dokąd zmierzamy! Nieszczęsny Tiny spadł dzisiaj z klifu.

13 września

Zjedliśmy ostatniego psa, biednego Borysa. Trochę żylasty, ale lepszy niż noga pingwina.

15 września

Wszyscy nie żyją, ale humor nam dopisuje.

Dziesięć osób stało rano na skraju werandy, czekając na Simona, który zaprowadzi ich do hangaru, gdzie stał dash 7. Wśród wyjeżdżających byli Nils, Emilia i Max. Dostrzegłam go wśród tłumu. Śmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Miał otwarte usta i napięte mięśnie szyi. Wiedziałam, że cieszy się, jadąc na święta do domu, do matki, która czekała na niego w Zurychu. Będzie tam za dwadzieścia cztery godziny.

Zostawił mi dwa prezenty. Znalazłam je na stole w moim nowym biurze, Labie 7, kiedy samolot już odleciał. Zegar i książka, *Wstęp do geofizyki*, leżały przy moim laptopie. Na przyklejonych obok, różowych karteczkach, zostawił długą wiadomość. Napisał kilka linijek o tym, dlaczego potrzebuję tej książki i dlaczego potrzebuję zegara („żebyś pilnowała upływu czasu!”). Pod swoim imieniem narysował uśmiechniętą buźkę.

Patrzyłam z biura, jak samolot startuje. Dash 7 przejechał całą długość pasa, a jego turbiny przecinały powietrze. Na końcu pasa, w miejscu, w którym zaczyna się zatoka, wykonał zręczny, taneczny obrót, na kilka sekund się zatrzymał, drżąc od rozpędzających się turbin, po czym pomknął po pasie i wzniósł się w powietrze jak na żyłce. Zadarłam głowę i patrzyłam, jak znika na niebie.

Wylot Maxa sprawił, że Antarktyda opustoszała. Poczułam nieskończoną pustkę, ale też ulgę. Z jego odjazdem skończyło się również coś trudnego.

O północy poszłam pobiegać po zalanym słońcem pasie startowym. Bieganie w tym zimnie było dziwnym doświadczeniem. Od wewnątrz było mi gorąco, ale lodowaty wiatr o prędkości trzydziestu węzłów przebijał się przez to ciepło i schładzał je, ale nierównomiernie. Miałam wrażenie, że moje ciało pocięte jest na kilka warstw. Zrobiłam sobie potem w opustoszałej jadalni kubek gorącej czekolady i poszłam do biura poczytać.

W książce o geofizyce, którą dostałam od Maxa, był rozdział dotyczący precesji, czyli zmiany kierunku osi obrotu obracającego się ciała, na przykład planety. W przypadku Ziemi ruch obrotowy bardzo powoli zakreśla w przestrzeni kształt stożka. Wyrysowanie całego trwa aż 26 tysięcy lat. Dokładny kąt, inaczej inklinacja, orbity Ziemi porusza się w górę i w dół osi. „Precesja obracającego się ciała występuje, kiedy ciało to doświadcza momentu siły zgodnego z osią jego obrotu”. To był język Maxa – cierpki, mierzalny żargon, który stanie się moim towarzyszem na Antarktydzie.

Zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia nawet o najbardziej podstawowych zasadach rządzących naszą planetą. Łatwo jest zapomnieć, że żyjemy na poruszającej się kuli. Ziemia obraca się z prędkością 1300 km/h na równiku i prawie w ogóle nie obraca się na biegunach. Tysiące mil na południe od Bazy R, na biegunie południowym, planeta obraca się z prędkością mniej więcej 1 cm/h. Jakim cudem ludzie żyjący na równiku nie mają poziomych zawrotów głowy? A czy tu, gdzie siedzę, u stóp lodowca na antarktycznym półwyspie, świat wydaje się wolniejszy? Czy czujemy zastój, stały punkt w tym kręcącym się świecie?

Wnętrze Ziemi jest płynne niczym wewnętrzne słońce, a położenie biegunów magnetycznych nie jest stałe – zmieniają położenie, a wraz z nimi oś magnetyczna. Nie jesteśmy świadomi istnienia tych energii, podczas gdy wieloryby i mewy rejestrują jej wahania swoimi wyrafinowanymi, świetnie przystosowanymi do nawigacji mózgam. Po raz pierwszy od wielu lat, może nawet od dzieciństwa, zachwyciłam się tym, jak działa nasza planeta.

Odłożyłam *Wstęp do geofizyki*, uświadamiając sobie nagle upływ czasu. W bazie zapadła cisza. Podłoga na piętrze nie skrzypi, z baru nie dochodzą stłumione wybuchy śmiechu. Słońce świeci przez moje okno. Zegar pokazuje północ, ale według mojego zegarka jest już druga trzydzieści. Czasomierz, który dostałam od Maxa, się zatrzymał.

Trzeci atak mordercy się nie udaje. Tym razem była to samotna biegaczka trenująca nad rzeką w jeden z niewielu deszczowych wieczorów. Michael mówi o tym Donnie, która mówi mnie. Kobieta walczyła o życie. Jest bardzo wysportowana, trenowała judo i taekwondo. Michael mówi, że nie przyjrzała się napastnikowi. Przesłuchiwał ją jego partner, Paul. Mówi, że wydawała się otumaniona.

Gazety nie zamieszczają informacji o tym zdarzeniu. Wszyscy jednak o nim mówią – w szkole, w kawiarni La Vie en Rose, w kolejce do kasy w banku. Za

to gazety i radio milczą, policja też.

– Nie chcą zniszczyć reputacji miasta. Dobre miejsce do życia, dobre miejsce, żeby się zestarzeć i umrzeć. Nie szkodzi, że kilka młodych kobiet zginie, byle tylko Biuro Turystyki mogło robić swoje. – Tak mówi Elin. Elin może mówić takie rzeczy, bo pochodzi ze Skandynawii, a oni nie boją się tam wyrażać swoich opinii.

Ludzie z miasta też wyrażają swoje opinie. Na przykład o tym, czy kupić fordą fairmont czy taurusa, o nowej lodówce, o warunkach ubezpieczenia, o stanie dróg – ile dziur zostało po zimie. Albo o napaściach w rezerwacie – o tym, że biali chłopcy i chłopcy z rezerwatu potłukli sobie szyby kijami bejsbolowymi. Proszę, oto chłopcy z oczami jak muszle omułków, którzy piją alkohol i grają w bilard w zadymionych barach.

Donna i ja jesteśmy u niej. Jej rodziców nie ma. Michael zajmuje drugi kąć gigantycznego pokoju dziennego i podnosi ciężary.

– Jak sądzisz, dlaczego on to robi?

Michael ma na sobie tylko koszulkę i krótkie spodenki, chociaż wieczór jest chłodny. Ćwiczy bicepsy. Jego mięśnie ciągle zmieniają kształt, jak kit.

Zerka na mnie.

– Co to znaczy dlaczego?

– To znaczy dlaczego. Po co się tak męczy? Czemu nie upije się po prostu z kumplami, nie zagra w bilard, nie pójdzie na hokeja? Nie robi tego, co wszyscy faceci.

– Bo to świr, i tyle.

– Nie macie u siebie profilera? Widziałam kilku w telewizji.

Michael się uśmiecha. Ma już gotową ripostę.

– To nie telewizja.

Michael ma sylwetkę taką samą jak większość facetów z tego miasta. Jest dobrze zbudowany, z lekką nadwagą. Może to dlatego, że nikt tu nie chodzi pieszo. Wolą wskakiwać do swoich pick-upów. Mają takie tuningowane półciężarówki z podwójnymi oponami z tyłu i wzmocnionym zderzakiem. Wyglądają, jakby wybierali się na zawody w demolce. Jeżdżą nimi na zakupy, żeby tylko uniknąć dziesięciu minut spaceru. Jeśli decydujesz się pójść pieszo, zwłaszcza teraz, możesz natknąć się na Michaela, który podjedzie wozem policyjnym. „Tylko sprawdzam”.

Jest w nim coś nieokrzesanego. Zdejmuje koszulkę przy Donnie, nie przejmuje się siostrą i chyba nie zauważa, że ja też tu jestem. Czuję jednak, choć niejasno, że zależy mu na publiczności.

Powinien mi się podobać. Nie lubię jednak blondynów i nie lubię wąsów. To dyskwalifikuje większość tutejszych mężczyzn. Jego fizyczność przekłada się na mentalną gwałtowność. Zachowuje się prawie jak maszyna. Jest statkiem, okrętem. Michael to osoba, która może robić wszystko, nieważne co. Jego myśli są jak drzwi otwierane na oścież, a następnie zatraskiwane przez wiatr.

Mimo to czuję jego moc. Widzę, jakie potrafi wyrzeć wrażenie, kiedy tak

stoi tyłem, bez koszulki, demonstrując rowek, który kończy się między dobrze widocznymi pośladkami, to tajemnicze, ciemne V na plecach. Zaczynam rozumieć, że mężczyźni chętnie prezentują swoją męskość, ale wiesz, że będziesz musiała zapłacić, jeśli zapragniesz ich dotknąć.

Znowu ten samochód. Odwracam się na dźwięk swojego imienia.

Tym razem go widzę. Jest jak czarny gwóźdź. Chudy, o ciemnej karnacji. Jego czaszka wygląda znajomo. Widzę swoje kwadratowe czoło.

Biegnę ulicą, otwieram na oścież bramę i chowam się na ganku. Patrzę, jak przejeżdża. Kierowca wygląda na zagubionego, jakby szukał domu przyjaciół, których chce odwiedzić. Dawno niewidzianych znajomych.

Pod koniec maja zdaję egzaminy, osiem, jeden po drugim. Czuję się wykończona na samą myśl o tym, że każda z tych prób wpłynie na kształt mojej przyszłości.

Rozprasza mnie tęsknota, nie wiem za czym. Nie wciągają mnie romantyczne scenariusze, które układają Donna i jej przyjaciółki – o mnie i chłopaku, z którym biorę ślub w ustrojonym białymi liliami kościele. Ja i mój mąż na wakacjach na Florydzie, w Disneylandzie, w Orlando. Ładny dom na przedmieściach, dwie terenówki. Dziecko, które będę odwoziła do tej samej szkoły, do której chodziłam. Zamiast tego moja przyszłość jawi się jako seria obrazów, których muszę uniknąć – niezamężna młoda matka, zamężna młoda matka, praca na kasie, robotnik z przetwórni ryb.

W połowie egzaminów nadchodzą upały. Przypominam sobie, że Donna przepowiadała gorące lato. Powinnam uczyć się chemii, ale czytam *Kwartet aleksandryjski*. Znalazłam go na zakurzonej półce. Książki, które tam stoją, musiały być dla mojej matki ważne. Są zaczytane, brzegi stron są brudne. Spijam je, jedną po drugiej: *Złoty notes* Doris Lessing, powieści Leona Urisa, których tytułów już nie pamiętam, *Mag* i *Kochanica Francuza* Johna Fowlesa, coś Ursuli K. Le Guin.

Zaniedbuję naukę, bo czuję potrzebę odkrycia, kim jestem i kim mogę być, kim wszyscy jesteśmy. Szukam odpowiedzi w literaturze. Nie wiem, że będę to robić przez całe życie. W cienkich powieściach Durrella kobiety są albo oderwanymi od rzeczywistości hippiskami, albo niebezpiecznymi uwodzicielkami. Nie umiem zdecydować, czy powinnam wzorować się na wolnym duchu, jakim jest Clea, czy na usidlonej Justynie. Tak czy siak, te powieści są jak magiczna pułapka. Nie umiem ich odłożyć.

Pewnego wieczoru idę do miasta w zapadającym zmierzchu. Mijają mnie samochody, wtedy sztywnieję. Na szczęście kierowcy przestrzegają tylko ograniczenia prędkości. Kupię sobie mrożony jogurt w klimatyzowanej galerii, pooglądam kosmetyki do makijażu pod czujnym okiem sprzedawczyń o brwiach Cruelli de Mon. Przejrzę magazyn „People”, a potem pójdę do domu, mój niespieszny krok zaś przyciągnie uwagę mężczyzny siedzącego za kółkiem samochodu, którego nie zauważę, samochodu, który jedzie trochę

szybciej albo trochę wolniej niż inne. Kierowca w okularach przeciwsłonecznych minie mnie i będzie patrzył, jak robię się coraz mniejsza w tylnym lusterku.

2. ZWYKŁY ROK

ŚRYŻ

Malutkie igiełki lub blaszki lodu, unoszące się na wodzie.

23 GRUDNIA

– Dalej! Wbij czekan i się zatrzymasz!

Suzanne i ja rzucałyśmy się w dół lodowca. Zadanie polega na tym, żeby zatrzymać upadek czekanem. To straszliwe narzędzie, które zazwyczaj widuje się w horrorach albo w filmach o wypadkach w górach. Jeśli się nam nie uda, wylądujemy na hangarze lotniczym na samym dole lodowego zbocza. Rzucałyśmy się, obracamy i skrobiemy lód czekanem, aż wreszcie udaje nam się wyhamować. Kończyny mam poobijane, ramiona i nogi wymalowane w lilie Moneta.

Zimowe szkolenie trwa trzy dni. Uczymy się, jak spuścić się do szczeliny i jak się z niej wydostać, jak ocalić kogoś, kto do niej wpadł, jak rozbić i złożyć biwak (rozkłada się namioty i gotuje na prymusie), i wreszcie jak załadować sanie i przyczepić je do skutera.

Szkolenie w terenie to koszmar złożony z lin i podzwaniających, metalowych elementów – karabińczyków, jumarów i innego sprzętu wspinaczkowego. Odkrywam, że cierpię na dysleksję, jeśli chodzi o węzły – z trudnością udaje mi się zawiązać ósemkę. Jestem najwolniejsza z całej grupy. Przyzwyczajeni do spędzania czasu na powietrzu faceci stoją, wyciągając jedną nogę i utrzymując ciężar pobrzękujących elementów na biodrze, i czekają, aż załapię.

Od kilku dni codziennie chodzimy w teren. Rozbijamy spiczaste namioty na lodowcu o nazwie Vals (na cześć tych wszystkich odległych tras narciarskich jak Val d'Isère i Val Thorens), który spływa znad bazy aż do brzegów Wyspy Adelajdy. Przekopujemy śnieg, żeby zabezpieczyć namioty, topimy go, żeby ugotować obiad na palniku. Kulimy się na noc w śpiworach puchowych firmy Rab, w dwóch czapkach i z litrem wody pitnej.

We wnętrzu namiotu, który dzielę z Suzanne, świat robi się mandarynkowy z powodu koloru tkaniny. Starannie mierzymy każdy centymetr przestrzeni. Namiot jest tak precyzyjnie zagospodarowany, jak pokazowe pomieszczenie w IKEI – pudełka z „ludzkim żarciem” i sprzętem kuchennym między śpiworami, na nich kuchenka, różne drobiazgi w rogu, koło zamka, śpiwory na potrójnej warstwie polarów, głowa w taką stronę, żeby na nią nie wiało, buty w przedSIONKU, lampa parafinowa zawieszona pod sufitem.

Dzisiejsza noc jest zimna, choć nie bardzo zimna jak na Antarktydę – minus

dziesięć albo dwanaście. Budzę się z głową opartą o ścianę namiotu i muszę się tak ułożyć, żeby warstwa śpiwora chroniła ją od wiatru. Wieje przez całą noc. Nie ma w tym wyciu regularności, nie ma w nim nic znajomego. To dźwięk wiatru katabatycznego, może nawet głos samej grawitacji.

Po treningu zeszliśmy do bazy na wigilię. Święta obchodziliśmy bez pompy, ponieważ przypadają w szczycie letniego szaleństwa. Piloci byli nadal w powietrzu (mieli na sobie czapki mikołaja), zespoły przebywające w terenie siedziały w namiotach tysiąc kilometrów stąd (mają tylko cztery zapiekanki z mięsem do podziału), a naukowcy przylatywali właśnie z Falklandów.

Obiad świąteczny został jednak potraktowany z powagą. Przygotowano pięciodaniowy obiad dla dziewięćdziesięciu paru osób, używając zarówno mrożonek, jak i bezcennych, świeżych składników. Były krewetki, awokado, indyk, nadzienie, pieczone ziemniaki, brukselka, żurawina, deser z galaretką i ciasto. Zwieńczeniem tego wszystkiego była gigantyczna zapiekanka z mięsem udekorowana jeżdżącymi na łyżwach pingwinami z plastiku.

Szefowie kuchni – czterdziestoletnia kobieta i młody, dwudziestoparoletni Walińczyk – byli traktowani jak celebryci. Ich wyczyny uwieczniano na zdjęciach, które wisiały na tablicy w kuchni. Były na nich uroczyste kolacje, bale kostiumowe, ogromne torty urodzinowe w kształcie wielorybów, a nawet jeden w kształcie samolotu, czerwonego twin ottera. Półki kuchenne wypełniały książki autorstwa legendarnych kucharzy – Jamiego Olivera, Nigelli, Moro. Szefowie kuchni pracowali do późna, przygotowując wszystko i układając menu przy głośnych dźwiękach muzyki house. Od czasu do czasu słuchali też oper. Ci, którzy spędzili tu zeszłą zimę, traktowali kuchnię jako swoją prywatną przestrzeń. W zimie zostaje tu tylko jeden szef kuchni. Dowiedziałam się, że kiedy miał wolne, pozostali pracownicy musieli nauczyć się przygotowywać trzydaniowe posiłki dla dwudziestu jeden osób.

Jadalnia została skrupulatnie udekorowana świątecznymi zabawkami i chorągiewkami. Stoły przykryto cukierkowymi obrusami, które dodatkowo przyćmiły wyblakłe flagi brytyjskie wiszące na ścianach. Sala pełna była zdjęć. Widniały na nich ledwie widoczne w wodzie dwie orki, błyskający światłami dash na tle arbużowego zachodu słońca, zaprzęg psów husky na lśniącem lodowcu – pamiątka z czasów psich zaprzęgów i snów.

Pomijając zdjęcie samolotu, wszystkie te fotografie mogły pochodzić z lat pięćdziesiątych albo siedemdziesiątych. Niewiele się zmieniło na Antarktydzie, jeśli nie brać pod uwagę goreteksu. Wciąż używaliśmy mleka w proszku, które powodowało zatwardzenia, guinnessa w puszkach, suszonej kolendry, suszonej cebuli, gumowatych mrożonek z łososia, kruszącego się, mrożonego sera. Wciąż czytaliśmy wyświechtane czasopisma o wspinaczce.

Mężczyźni w szortach i sandałach tłoczyli się wokół automatu z sokiem. Nie zdążyli się jeszcze przebrać przed kolacją. Mężczyźni z bazy nosili ciuchy jak na plażę – krótkie spodenki, koszulki i sandały. Może naprawdę byli aż tak

przyzwyczajeni do panującego na zewnątrz zimna, że dusili się w pomieszczeniach. Kobiety nie miały makijażu, nie nosiły biżuterii ani perfum. Byłyśmy tak samo ubrane – w firmowe polary BAS-u, bawełniane spodnie i identyczne skarpety trekkingowe.

Na świątecznym obiedzie wszystko wyglądało inaczej. Asystenci terenowi włożyli eleganckie garnitury, kobiety były w sukienkach koktajlowych, kupionych rok temu w River Island albo w Zarze. Po obiedzie graliśmy w barze w monopol i w trivial pursuit do trzeciej nad ranem. Robiliśmy to, co typowa brytyjska rodzina po świątecznym posiłku, pomijając oglądanie telewizji. Spora część życia w bazie stanowiła odwzorowanie tego, co robiliśmy w położonej na północnej półkuli ojczyźnie – mieliśmy pub, tarczę do rzutek, stół bilardowy, niedzielną pieczeń i bale kostiumowe.

Kiedy wychodziłam z jadalni, była już druga albo trzecia nad ranem. Kiedy zeszałam na dół i otworzyłam drzwi na werandę, zastałam tam samotnego wydrzyka, który patrzył na mnie wyczekująco. Dorosły wydrzyk w locie stanowi przerażający widok i może stanowić zagrożenie dla człowieka, ale ten ptak miał w sobie coś z nierozważnego wyrostka. Przypomniałam sobie – to na wpół oswojony młodzik o imieniu Bubba. Widziałam jego zdjęcie na tablicy z podobiznami pracowników. Słyszałam, że potrafi wejść prosto przez drzwi. Prawdopodobnie ustawiłby się w kolejce do kafejki, gdyby umiał trafić na schody.

Bubba skakał dookoła. Wyglądał na zniecierpliwionego.

– Cześć. Nie spodziewałam się, że cię tu zastanę – powiedziałam niepewnie. (Nigdy nie rozmawiałam z wydrzykiem).

Bubba wskoczył na balustradę i patrzył na mnie z poziomu mojej twarzy. Odwrócił wzrok i spojrzał na południe. Wydawało mi się, że zachęca mnie do tego samego. Patrzyliśmy więc razem na zatokę. Pojedynczy snop srebrnego światła padał na flanki fortecy na Jenny Island. Bubba przekrzywił głowę i zmierzył mnie podobnym do ziarenka okiem. Po chwili rzuciłam:

– Wesołych świąt, Bubba! – i poszłam do łóżka.

28 GRUDNIA

Idę na spacer dookoła cypla – małego półwyspu, który osłania bazę przed północno-wschodnim wiatrem. Wydaje mi się, że słyszę ludzkie głosy, ale okazuje się, że to ptaki i kilka fok. Patrzę na horyzont, starając się zrozumieć jego pustkę. Coś tam musi być, ale co? Jakieś tajemnicze miasto, nieodkryty Paryż Antarktydy.

Po drugiej stronie zatoki wznoszą się szczyty wyspy Piñero. Nie jestem w stanie określić ich wysokości. Widzę tylko cztery kolory: błękit, biel, złoto i grafit. Czuję, jak siatkówka dopasowuje mi się do tej ograniczonej palety. Zaczynam dostrzegać więcej odcieni – złoto poprzecinane jest pomarańczowymi smugami, na krawędziach przechodząc w cytrynową żółć. Tęsknię za drzewami – wprowadzają urozmaicenie i dodają otuchy. Niektórzy mieszkańcy bazy od

dwóch lat nie widzieli drzewa.

Jak powstrzymać to ciągle, kłujące pragnienie, żeby znaleźć się gdzieś indziej? To złudzenie, że istnieje miejsce, w którym czulibyśmy się lepiej, byłibyśmy bardziej sobą? Przyjmuję tu postawę obronną, ale czego się obawiam? Dlaczego nie pozwalam sobie na zanurzenie się w tym doświadczeniu?

Zapomniałam o Nowym Roku. Suzanne zdradziła mi, że całkowicie straciła rachubę czasu.

– Nie wiem nawet, który mamy wiek – powiedziała. – Wszystko wygląda jak w epoce edwardiańskiej.

Miała na myśli spiczaste namioty i sanie, narty i puszki smaru, jelita renifera do wiązania sań, Kuchenki Prymus i lampy parafinowe. Antarktyda to chyba jedyne miejsce na Ziemi, w którym technologia i kapitalizm nie zmówiły się, żeby wynaleźć coś nowego na przestrzeni ostatnich stu lat.

– Używamy tego sprzętu, bo nadal jest najlepszy – powiedział jeden z czterech Marków w bazie (wszyscy są asystentami terenowymi). – Jedyne postępy w sprzęcie polarnym to odzież i śpiwory.

W trakcie wyprawy na biegun południowy w 1912 roku Scott i jego ludzie mieli wełnianą bieliznę i rękawiczki ze skóry reniferów. Ich buty zrobione były ze skóry renifera i ocieplane słomą. Ponieważ ciągnęli sanie i pocili się, mieli na sobie mniej futer niż ekipa Amundsena. Kiedy musieli się zatrzymać, na przykład z powodu złej pogody, jak podczas swoich ostatnich nocy, szybko się wyziębiali. Nawet w markowych kurtkach Rab Infinity Endurance albo Polar Alpha (nazwy mówią same za siebie) masz małe szanse na przetrwanie na dworze, zwłaszcza zimą.

Nasze namioty ważyły tyle, ile namioty Scotta – każdy miał ponad sto kilogramów. Odkryliśmy to podczas szkolenia zimowego. Umocowanie ich na saniach było sztuką. Pudełka z „ludzkim żarciem” mogły ważyć nawet po piętnaście kilogramów. Na Antarktydzie trzeba się namęczyć i nadźwigać, ale to nie dlatego kobietom nie pozwalano tu przyjeżdżać. Podczas szkolenia musiałyśmy z Suzanne rozłożyć same namioty – nie wiadomo, czy w terenie będzie ktoś, na kogo mogłybyśmy liczyć. Rozstawiłyśmy i zwinęłyśmy biwak bez niczyjej pomocy.

Czas zatrzymał się też, jeśli chodzi o stosunki społeczne – nie wiem, jak to lepiej określić. Cofnęliśmy się do epoki, w której nie było telefonów komórkowych i wi-fi. Uprawialiśmy wiktoriańskie rozrywki. W bazie graliśmy w gry planszowe, rozwiązywaliśmy krzyżówki i bawiliśmy się w zgadywanki. Potem szliśmy całą grupą na narty, jak dzieci.

– Nawet mi się to podoba – powiedziała Suzanne, kiedy piłyśmy tego wieczoru herbatę w jadalni. – Przypomina mi to dzieciństwo. Wtedy nie było jeszcze tych wszystkich urządzeń. W domu raz w tygodniu bawiliśmy się w szarady. Teraz oglądamy *Downton Abbey*.

Suzanne szybko przystosowała się do życia w bazie. W głębi serca była

człowiekiem gór. Wychowała się wśród wiatrów Kornwalii, wędrując po wzgórzach i wspinając się po skałach. Zasadniczo czuła się dobrze w grupie, odnajdowała się w typowych dla pubów przekomarzaniach i żarcikach.

Szybko utworzyły się grupki. Suzanne zaprzyjaźniła się z kilkoma Andymi (w bazie było czterech Marków i sześciu Andych) i z młodymi naukowcami. Miałam tylko kilka lat więcej od niej, ale w antarktycznej bańce ta różnica była znacząca. Ciągnęło mnie w stronę czterdziesto- i pięćdziesięciolatków – starszych naukowców i pilotów.

Ani ja, ani Suzanne nie miałyśmy zbyt dużo czasu na rozmyślanie, nie mówiąc nawet o pisaniu czy tworzeniu. Dni wypełniały spotkania (ciągłe raporty sytuacyjne, zwane tu sit repami), próbne alarmy przeciwpożarowe, obowiązkowe zajęcia grupowe, takie jak sprzątanie magazynu żywnościowego, wypływanie w RIB-ach na zatokę, żeby pobrać próbki wody, wykłady i odczyty. Zaczęłam codziennie biegać po pasie startowym. Zawsze zabierałam krótkofalówkę, na wypadek gdyby akurat miał lądować jakiś samolot. Kilka razy krótkofalówka przebudziła się z piskiem do życia i usłyszałam ponaglenia oficera łączności:

– Zbliża się samolot. Bravo Zulu Zulu. Natychmiast opuść pas. Powtarzam, natychmiast opuść...

Zatrzymywałam się na środku i patrzyłam w niebo, na którym pojawiał się czerwony punkcik. Kiedy dobiegałam do skraju, punkcik był już na ziemi.

W czasie, który spędziłam w tak zwanej antarktycznej bańce (takiej nazwy używali mieszkańcy bazy), czułam, że żyję bardziej niż kiedykolwiek. Tyle dni naszego życia ulega zapomnieniu. Ich wspomnienie zaciera się z powodu rutyny lub z braku świadomości. Musimy wierzyć, że takich dni będzie jeszcze sporo. Przeżywanie każdego dnia tak, jakby był ostatnim, byłoby wyczerpujące. Jednak na Antarktydzie taka intensywność jest czymś pożądanym, nawet koniecznym, ponieważ większość z nas dostaje tylko jedną szansę na pobyt tutaj.

– Tutaj czas płynie inaczej – powiedział mi Mark, asystent terenowy, który zatrzymał się ze mną na stoku w tę pierwszą noc.

Czas płynął bardzo nieregularnie. Czasem stawał w miejscu, a czasem gnał do przodu niczym lodowce wyprowadzające, które przecinały brzegi kontynentu antarktycznego. Być może powodem było życie w dwóch strefach czasowych. W bazie obowiązywał zarówno czas lokalny, trzy godziny wcześniejszy niż w Anglii, taki sam jak w Stanley i w Buenos Aires, oraz „czas Zulu” (odpowiednik Uniwersalnego Czasu Greenwich), według którego prowadzone były wszystkie operacje lotnicze i komunikacja. Być może wynikało to z dziwnego podziału na dzień i noc – zatrzymane zachody słońca, trzymiesięczne dni, trzymiesięczne noce.

Zdałam sobie sprawę, że życie w strefie umiarkowanej na półkuli północnej mnie zaprogramowało. Spodziewam się, że słońce wszędzie na wschodzie i zajdzie na zachodzie oraz że po dniu nastąpi noc. Wyzwolenie się spod władzy tego mechanizmu, którego istnienia nie byłam nawet świadoma, oznaczało

zarazem wyzwolenie się z jakiegoś schematu, który mnie zmęczył. Moja euforia wynikała także z tego, że było tyle światła. Była czymś chemicznym, a zarazem psychicznym.

Język także był inny. Podczas tych pierwszych wieczorów w bazie dowiedziałam się, że często używa się tu skrótów. Brytyjczycy lubią deprecjonować wagę egzotycznych nazw, skracając je. Bezlitośnie przycięto nawet najkrótsze słowa. Lamparty morskie, jedyne drapieżne foki półkuli południowej, których lepiej unikać, ponieważ potrafią zabić człowieka, nazywane są lampami. Naukowcy to beakerzy, od jednej z postaci *Muppet Show*, a mechanicy to mechsi. Amputuje się część nazw miejsc – Monty to Montevideo, Punta to Punta Arenas. Za to codzienne rozmowy najeżone są wykrzyknieniami, na przykład: „Magia!” albo „Super hiper!”.

Piloci używają własnej wersji alfabetu Morse’a. „BZZ opuszcza Miejsce 8, zero osiem zero zero Zulu” było typowym zdaniem. Moje najulubieńsze słowo to „uskrzydłony”. Używano go, kiedy pojawiał się twin otter, żeby cię wreszcie zabrać z terenu do bazy.

Tego wieczoru w barze zaroilo się od ludzi, którzy właśnie przylecieli dashem. Od razu widać było, że są nowi. Na twarzach mieli znajomą mieszankę zachwytu, zmęczenia i niedowierzania. Zaledwie czterdzieści osiem godzin temu stali w hali odlotów bazy RAF-u w Brize Norton w hrabstwie Oxford, obok kiepskich automatów z napojami i ubranego w tweedową marynarkę właściciela kiosku z gazetami. Teraz byli na Antarktydzie, przygotowując się psychicznie na prawie osiem tygodni pracy w lodowej jaskini na wietrznej Wyspie Berknera.

Wszyscy rozmawiali o ekipie badaczy rdzenia lodowego na długo przed ich przyjazdem. Ci antarktyczni archeolodzy byli gwiazdami sezonu. Tego wieczoru pojawiło się ich trzech. Szef, pięćdziesięcioletni Xavier, był legendą wśród badaczy rdzenia lodowego. Oprócz niego przyjechali też Jonah, wysoki inżynier, i Gemma, młoda glaciolożka. Widziałam zdjęcia Xaviera w siedzibie głównej w Cambridge. Wyglądał na nich jak mikołaj z salonu samochodowego. Miał pomarańczowy kombinezon, wełnianą czapkę, lodową brodę i zaczerwienioną, podrażnioną skórę na policzkach.

– Zabawne jest patrzeć, jak rosną im brody – powiedziała mi Gemma, kiedy spytałam, jakim cudem wytrzymuje tak długo w terenie z samymi mężczyznami. Kobiety nie są częstym widokiem wśród badaczy rdzenia lodowego. – Robimy zawody. Albo oni robią sobie zawody, taką mam przynajmniej nadzieję. Moją rolą jest mierzenie im bród, codziennie. Robi się różne rzeczy, żeby nie oszaleć w tej lodówce.

Badania rdzenia prowadzone są z podziemnego pomieszczenia, w którym przechowuje się wiertło i sterowany komputerowo sprzęt. Gemma powiedziała mi, że temperatura waha się tam między minus dziesięć a minus dwadzieścia pięć. Często jest tam zimniej niż na powierzchni. Gotują na dworze, a śpią w spiczastych namiotach ustawionych na smaganej wiatrem Wyspie Berknera.

Xavier cieszył się dużą popularnością. Wszyscy chcieli z nim porozmawiać. Wybrałam taki moment, w którym był sam. Kiedy spojrzał na mnie swoimi

brązowymi oczami, zauważyłam, że jest trochę zmęczony. Okazał się jednak szczerym rozmówcą. Przez prawie pół godziny wyjaśniał mi, o co chodzi w ich projekcie.

– W lodzie głębokość równa się czasowi – zaczął. – Tak naprawdę wszystko sprowadza się do czasu. Inną sprawą jest to, że podczas badań rdzenia czas płynie do tyłu, a nie do przodu. Im niżej się wwiercamy, tym bardziej się cofamy w czasie.

Prowadzone na Antarktydzie odwierty dowodzą, że było już osiem cykli ocieplenia i schładzania się klimatu. Występowały mniej więcej co sto tysięcy lat.

– Jedną z przyczyn są wpływy zewnętrzne, na przykład wariacje w ruchu obiegowym Ziemi – wyjaśnił Xavier. – Inną jest emisja dwutlenku węgla. Zanim Ziemię zasiedlili ludzie, przyczyną emisji dwutlenku węgla mogło być cofanie się pokrywy lodowej i wynikające z tego ocieplenie terenów borealnych, które mogło prowadzić do uwalniania metanu. Zawieść mogły też naturalne pochłaniacze dwutlenku węgla w oceanach, nie wiadomo dlaczego.

– I co się wtedy stało?

– Klimat ocieplał się przez pięć tysięcy lat.

– A dlaczego przestał się ocieplać?

– Nie wiemy. – Odstawił szklanę. – Poczekaj chwilę, coś ci pokażę.

Wrócił z kartką papieru milimetrowego. Naukowcy są tacy szczęśliwi, gdy ktoś ich prosi o wyjaśnienie czegoś. Wyglądają, jakby byli w siódmym niebie.

– Spójrz na to. – Xavier opowiadał, co oznaczają czerwone, zakrzywione linie na wykresach. – Z rdzenia lodowego dowiedzieliśmy się, że znaczące zmiany klimatu następowały także w wyjątkowo krótkiej skali czasu. Wcześniej sądziliśmy, że to niemożliwe.

Spojrzałam raz jeszcze. Wykres przypominał zapis EKG. Wznosząca się, czerwona linia bijącego serca to wzrost temperatury, czasem drastyczny, spadek to ochłodzenie.

– Czasami temperatura spadała aż o dziesięć stopni w ciągu piętnastu lat. – Pokazał najwyższy punkt na wykresie. – Życie w tym czasie musiało być bardzo nieprzyjemne.

– Kiedy to się stało?

– W ciągu ostatnich stu tysięcy lat. Kiedy pojawili się ludzie, wciąż jeszcze miały miejsce ostatnie skoki. Oczywiście, było to za czasów społeczeństw zbieracko-łowieckich.

Wpatrywałam się w wykres, skołowana na myśl o zmianach, które są na nim zapisane. Zazwyczaj wydaje nam się, że „normalne” zmiany klimatyczne, te potężne zlodowacenia i ocieplenia, o których rozmawiałam z Maxem, zachodzą bardzo powoli, bo Ziemia żyje powolnym rytmem.

– Co ciekawe, w ciągu ostatnich czterystu lat klimat się praktycznie nie zmienił – mówił. – Dzięki temu zaczęliśmy żyć sezonowo, siejąc, zbierając, korzystając z zasobów planety i rozbudowując naszą populację.

Konkluzja była oczywista. Żyjemy na wznoszącej się linii i nikt nie wie, do

jakiego poziomu dojdzie, kiedy temperatura osiągnie szczyt, ani czy kiedykolwiek spadnie.

Po rozmowie z Xavierem wróciłam do Labu 7, przeciskając się między srebrnymi skrzyniami z wiertłami i innymi urządzeniami. Usiadłam przy biurku i zapatrzyłam się na lodowiec.

W najbliższych miesiącach wiele razy będę czuła się delikatnie skarcona. Ogarnie mnie może nie tyle przygnębienie, ile pewne otrzeźwiające pragnienie, które czuć będę w imieniu naszej planety. Po raz pierwszy w życiu zaczęłam myśleć o Ziemi jako o organizmie, na którego stan mogę wpłynąć. Oczywiście, myślałam o tym wcześniej, ale zawsze było to dla mnie abstrakcją. Na Antarktydzie poczułam, że jestem bliżej planety niż kiedykolwiek wcześniej. Czy był to tylko wymysł? Skutek zwykłego poczucia winy?

W ciągu kilku tygodni nauczyłam się więcej niż przez całe lata. Z ulgą powitałam wyzwolenie z ciasnoty codziennych zmartwień. Nie byłam już tylko obserwatorką globalnego dramatu. Stałam się jego uczestniczką. Rozmyślałam o paradoksie naszego położenia geograficznego. Na Antarktydzie przebywaliśmy poza ludzkością, chwilowo byliśmy przed nią chronieni. Antarktyda zmienia się i będzie się zmieniać, ale zmiany społeczne, wynikające z ocieplenia klimatu, nie są tu odczuwalne, ponieważ nie żyją tu ludzie. Zamieszki i masowe samobójstwa, które pojawiają się w apokaliptycznych prognozach klimatologów, tutaj nie wystąpią. Jesteśmy w epicentrum kryzysu, a zarazem jesteśmy przed nim chronieni.

Zanim wyszłam z baru, Xavier przekazał mnie fizykowi, z którym mogłam kontynuować rozmowę. Fizyk był wysokim, sympatycznym człowiekiem z uniwersytetu w Durham. Badał neutrina. Słowo to brzmiało znajomo, ale należało do wielu dziwnych określeń naukowych, których znaczenia praktycznie nie znałam.

Fizyk opowiedział mi, jak rozpada się gwiazda. Przez dziesiątki milionów lat zachodzą w niej reakcje termojądrowe, w wyniku których powstaje hel. Kiedy jednak całe paliwo zostaje zużyte, gwiazda rozpada się w ułamku sekundy. Wysyła neutrina w przestrzeń kosmiczną, otoczone chmurami kosmicznego gruzu.

– Pamiętaj, to się stało w czasach, kiedy człowiek obgryzał kości tygrysa i rywalizował z grupami dziwnych człękokszałtnych – stwierdził. Zanim neutrina dotarły do Ziemi, zaczęliśmy wysyłać ludzi w kosmos. Przechodziły przez nasze ciała, ale nie byliśmy w stanie ich wykryć, aż wreszcie spoczęły głęboko pod ziemią, w nieczynnych kopalniach węgla albo w zamrożonych jeziorach podziemnych na Antarktydzie. – Przez cały czas przechodzą przez nas gwiazdy, a przynajmniej potomkowie gwiazd – podsumował fizyk.

W grudniu jest już za zimno, żeby uciekać przed jego gniewem i chować się w pełnej nietoperzy chatce w lesie. Między drzewami leżą zasypane śniegiem. Trudno będzie przed nim uciec. Dyszy nam po plecach, ściskając w dłoni

strzelbę. Wciąż jest w dobrej formie, ale alkohol i leki na receptę robią swoje. Opada na ziemię i chowa twarz w dłoniach, opierając strzelbę o drzewo.

Pewnej nocy, pod koniec, wraca do domu i bije ją. Grozi, że weźmie piłę mechaniczną, którą trzyma w wannie.

– Porozrywam to miejsce na strzępy – wrzeszczy.

Idę do kuchni, wyciągam z szuflady nóż, skaczę mu na plecy i z całej siły wbijam mu ostrze w ramię. Krew tryska mi na koszulę nocną.

Nie wie, co go dźgnęło. Wtedy babcia ściąga mnie, chociaż przyczepiam się do jego pleców. Trzymam mu już prawie nóż na gardle.

– Spadaj! Już! – Dłoń babci. Chwyta mnie za kark, jak zwierzę.

Dlaczego próbuje mnie powstrzymać przed zabiciem tego szaleńca?

– Piła – mówię. – Pozabija nas.

Tej nocy traci przytomność, raczej z powodu alkoholu, a nie z utraty krwi. Babcia jest jednak biegłą znachorką i przygotowuje mu kompres. Wkłada moją koszulę nocną do zlewu i podpala.

– Jutro nie będzie niczego pamiętał.

Lód otacza naszą wyspę kordonem. Przez lata jezioro i lód oznaczały śmierć. Lód się załamywał, kiedy ludzie próbowali się przedostać przez zamrożone jeziora albo morze na saniach lub pieszo. Tonęli albo byli ratowani. Wyciągano ich spod lodu po to, żeby potem umarli od hipotermii. Czasem wszystko wpadało – konie, sanie, w późniejszych czasach skuter. Jeśli wystarczająco szybko wyciągano i ogrzewano człowieka albo zwierzę, mogło im się udać przeżyć. Mężczyźni wiązali się linami, jak wspinacze, tak żeby wyciągać się nawzajem spod lodu, który pokrywał dwukilometrową przestrzeń oddzielającą naszą wysepkę od głównej wyspy.

Wróciłam tu po latach w zimie, kiedy mieszkałam już z matką w mieście drwali. Wewnętrzne morze było rozmarznione, nagie i błękitne. Jego brzegi pokrywała cienka warstewka lodu.

– W tym roku nie zamrzło, w zeszłym też nie – powiedzieli mi krewni. Kręcili głowami na wspomnienie dawnych lat, kiedy to chodzili po wodzie.

Jest minus dwadzieścia. Próbujemy przetrwać kolejne święta. Przez dwa tygodnie nie mogę z nich wydębić prostej odpowiedzi.

– Jestem głodna!

– No to zrób sobie coś do jedzenia. Bądź dobrą dziewczynką.

– Pomożesz mi włożyć kombinezon?

Podobne prośby spotykają się z głuchą ciszą. Siedzą wszyscy razem, on, ona i jej siostry, przy stole, i grają w karty. Na stole stoi ćwiartka rumu, do połowy pusta. Dym z papierosów nie jest elegancki. Nie unosi się smużkami, jak w filmach, w których oszuści karciani grają w pokera w zadymionych norach. Nie mogę oddychać w tej wywołującej raka płuc saunie. Wciskam się w kombinezon i wychodzę. Jeden krok i zimno kąsa mnie w policzki.

Biorę ze sobą psa dla towarzystwa. Idziemy przez jezioro, wśród bagnistej

tajgi poprzecinanej żyłkami dróg, przez znaczone niskimi wzgórzami równiny. Mam jedenaście lat. W podstawówce zdobyłam dość szczątkową wiedzę. Nie wiem jeszcze nic o regionach polarnych, o lodzie, który powleka szczyt i spód naszej planety. Nie wiem też, że ten rozdział mojego życia wkrótce się zakończy w dramatycznych okolicznościach.

Szukam swojego psa, Lindy, w ciemnej klatce drzew. Nigdzie jej nie widać. Boję się, że spotkał ją ten sam los, co inne nasze psy, które wpadły w sidła na niedźwiedzie i zamarły na śmierć przez noc albo zginęły zaciągnięte do lasu przez niezidentyfikowane zwierzę – może rysia albo wilka. Strach przed możliwością straty jest wprost proporcjonalny do intensywności uczucia. Już wtedy przeczuwam, że na tym właśnie polega życie. Testuje granice straty, sprawdza, ile jesteśmy w stanie znieść. Taki był plan jakiejś wyższej inteligencji. Kiedy coś tracimy, zdajemy sobie sprawę, kto ma prawo żyć, a kto jest tak słaby, że powinien zginąć.

Wołam ją i wołam, ale nie wraca. Niewykluczone, że pies jest z nas wszystkich najbardziej inteligentny. Pierwszy ucieka z tego królestwa zimna i bólu. Następnego dnia jednak powraca, z błyskiem głodu w oczach.

3. ŁATWE ŻYCIE!

BREJA ŚRYŻOWA

Skupisko gąbczastych bryłek lodu o średnicy kilku centymetrów, powstających z lępy lodowej albo śnieżnej, czasami też z wypływającego na powierzchnię wody lodu.

31 GRUDNIA

Sylwester. Płaszcz chmur wisi nad horyzontem. Chmury i ład ściskają niebo, jedyne, co z niego zostało, to cienka, błękitna linia między dwiema szarobiałymi smugami.

Niall, meteorolog z Irlandii Północnej, wyjaśnia, że to typowy dla Antarktydy efekt, który jest wywoływany przez różnicę w temperaturze pękającego lodu, który jest zimny, i cieplejszych kałuż, które tworzą się na jego powierzchni w lecie. To dlatego chmury na Antarktydzie wiszą niżej niż w jakimkolwiek innym miejscu na Ziemi.

W bazie trwają przygotowania do imprezy sylwestrowej. Będzie uroczysta kolacja na siedząco, a następnie koncert zespołu. Jego członkowie opanowali grę na instrumentach podczas zimy w bazie. Melissa, lekarka, nauczyła się grać na perkusji i robi to bardzo przekonująco, z kamienną twarzą Charliego Watta.

Impreza odbywa się w narciarni, w której przechowywane są narty, sprzęt wspinaczkowy i ubrania. Po pewnym czasie wychodzę na zewnątrz, żeby popatrzeć na kolory. Jest już wczesny ranek. Obok kontenera na śmieci stoi jakaś postać w kurtce. Stoimy i milczymy razem przez kilka minut, słuchając dudnienia muzyki dobiegającego z narciarni, której szyby oklejono workami na śmieci, żeby stworzyć wrażenie nocy.

Nie odrywamy wzroku od gór lodowych na North Cove, oszołomieni widokiem lodu i układających się na niebie barw. Przypominają warstwy sorbetu – chłodny róż, mandarynka, cytryna. Jest trzecia trzydzieści.

– Ładny widok, prawda? Nigdy nie nudzi mi się widok tutejszego nieba.

Ma spokojny, pewny siebie głos. Przyglądam się. Jego twarz wydaje mi się znajoma. Widziałam jego zdjęcie na tablicy. Na zdjęciu ma na sobie zwiewną kurtkę z materiału, który, jak wiem od niedawna, nazywa się ventile. To ulubiona tkanina pilotów. Jest podobna do materiału, z którego robi się spadochrony. Lekka, ale bardzo ciepła.

Zdjęcie na tablicy jest w tonacji sepil. W tej kurtce on sam też wygląda staroświecko, jak bohater z minionej, bardziej autentycznej, epoki.

Słyszałam już o Tomie. Kilku naukowców polecało go, mówiąc że jest bardzo przyjacielskim i pomocnym pilotem, choć jak oni wszyscy, lubi ryzyko. Nie wyglądał na wyjątkowego ryzykanta. Był szczupły, miał pięćdziesiąt parę lat i ciemne włosy przyprószone siwizną. Na nadgarstku nosił spory zegarek z wieloma pokrętłami. Zobaczył, że mu się przyglądam.

– To zegarek pilota. – Podniósł rękę, żebym mogła przyjrzeć się z bliska ruchomym częściom, których zastosowania nie rozumiałam. Powiedział, że właśnie wrócił ze stacji Amundsen-Scott, inaczej znanej jako biegun południowy, dlatego nie spotkaliśmy się wcześniej.

Oparliśmy się o skuter i rozmawialiśmy. Tom pochodził ze Szkocji, ale wiele lat spędził latając nad lasami Jukonu i Terytoriów Północno-Zachodnich, jego oryginalny akcent wymieszał się więc z typowymi dla Kanadyjczyków płaskimi samogłoskami. Był raczej małomówny, ale emanował pewnością siebie. Jego oczy miały w sobie coś drapieżnego. Cały czas się rozglądał, jakby spodziewał się, że ziemia się nagle uniesie i rzuci na niego.

Fascynowały mnie umiejętności tych pilotów. Startowali i lądowali na śniegu i lodzie w najbardziej zmiennych warunkach pogodowych na całej planecie, potrafili trafić w konkretne miejsce pośrodku pozbawionego jakichkolwiek punktów odniesienia lodu, orientując się za pomocą słońca i GPS-u. Regularnie lądowali dashem 7, który ma kółka, na oblodzonym pasie, mówiąc, że to jak „zapasy z aligatorem, który jest wysmarowany olejem, a ty jedną rękę masz przywiązaną do pleców”. Tom latał na obu typach samolotów, które stacjonowały w bazie. Spytałam, który woli.

– Twin otter to klasyczny samolot do latania nad pustkowiami. Jest dość... prymitywny. Mam nadzieję, że sama się o tym przekonasz, kiedy będziesz latać jako drugi pilot.

– Nie jestem pewna, czy będę – powiedziałam. – Nie wiem, co planuje kierownik operacji terenowych.

Kierownik operacji terenowych, przez wszystkich nazywany KOT-em, miał w bazie prawdziwą władzę. Kontrolował czynności całego personelu, zarówno naukowców, jak i osób z obsługi. Wszyscy w bazie musieli poddać się woli KOT-a.

W tym sezonie KOT-em był tyczkowaty weteran arktyczny. Miał na imię Steward, przez „d”, jak nie omieszkał nas poinformować przy pierwszym spotkaniu. Młody asystent terenowy z północy Anglii, jeden z sześciu Andych w bazie, opowiedział mi, jak to jest być poddanym kaprysom wszechmocnego KOT-a.

– Siedzisz w namiocie, na zewnątrz szaleje śnieżycyca, łączysz się przez radio i mówisz: e, Stew, kiedy po nas przyjedziecie? A on na to, że może jutro, a może nie, może za tydzień, jeśli zdarzy się to i to. A może nawet za trzy tygodnie. Łatwizna! – To był ulubiony zwrot KOT-a. Taki slogan reklamowy dotyczący życia na Antarktydzie, odziedziczony po ludziach, którzy bywali tu w czasach, kiedy nie przyjeżdżały tu jeszcze kobiety.

– I co wtedy? – spytałam.

– I wtedy Stew odkłada telefon, a ty siedzisz przez kolejne dziesięć dni w namiocie.

Przekaz był jasny: każdego ranka wbijano nam to do głów podczas odprawy – na Antarkydzie plany zapisuje się na tablicy, ale kiedy przychodzi kolejna śnieżycy albo samolot ma usterkę, zapiski z tablicy się wymazuje. W ramach praktycznej demonstracji tej zasady trzy razy zapisywano mnie na drugiego pilota i trzy razy plany te ulegały zmianie.

Powoli do mnie docierało, jak duża jest Antarktyda i ile czasu potrzeba, żeby naprawdę zobaczyć jej pokrywę lodową. Na wyjście „w teren” rezerwowało się minimum tydzień, ponieważ samo dotarcie do najbliższej stacji, Ice Blue, w której można było uzupełnić zapasy, wymagało przynajmniej dwóch noclegów. Był to wypad podobny do weekendu w Barcelonie albo w Berlinie, ale mógł przekształcić się w dwutygodniową wyprawę, jeśli zmieniłaby się pogoda albo pojawiłyby się problemy techniczne (albo jedno i drugie).

– Śnieg się zmienia. Jest w nim teraz dużo więcej wilgoci – powiedział przy śniadaniu Tom. Opowiedział mi, że kiedyś trzy razy próbował wystartować z Bazy K, która jest stacją geologiczną położoną na skraju Ziemi Grahama, w miejscu, w którym Półwysep Antarktyczny łączy się z pokrywą lodową Antarktydy Zachodniej. – Pas idzie tam lekko pod górę. – Podniósł dłoń, wyginając palce i pokazując odpowiedni kąt. – Śnieg się kleił. Asystenci terenowi, którzy lecieli ze mną, byli już trochę nerwowi po trzech nieudanych podejściach.

– I co zrobiłeś?

– Podkręcałem obroty, aż wreszcie udało nam się wystartować. – Mówił rzeczowo, wydawał się nawet nieco znudzony. Jak się sama przekonam, dla niego samolot był wyzwaniem. Celem było panowanie nad nim. Miał silny charakter, jak wszyscy piloci. Przebijał ze wszystkich jego wypowiedzi, naszpikowanych niezrównanymi anegdotami i dramatycznymi opowieściami. Łatwo je pozbierać, wykonując tę specjalistyczną pracę, w której najważniejsze było doświadczenie. „Kiedyś musieliśmy siedzieć w samolocie przez tydzień. W końcu mieliśmy już tylko puszkę fasolki do podziału. Innym razem musieliśmy ratować chilijskiego żołnierza, który zgubił się w burzy śnieżnej. A pewnego razu...”. I choć świetnie opowiadali anegdoty, miałam wrażenie, że wszyscy ci piloci są samotnikami. Być może to ciężar odpowiedzialności, jaka na nich spoczywała, czynił ich takimi. Nigdy nie latali samotnie. Według zasad BAS-u w samolocie zawsze musiała być druga osoba, tak zwany pilot towarzyszący. W bazie jednak trzymali się na uboczu i rzadko można było ich spotkać w barze. Nigdy nie wpadali na cotygodniowe pokazy filmowe, nie brali udziału w wypadach na narty.

Toma zainteresowała moja osobista misja. Dał mi newslettery, które zabrał z amerykańskiej stacji Amundsen-Scott położonej na biegunie południowym. Zawiózł tam inżyniera elektryka, z którym latał od jednej dziury do drugiej, wgrywając w GPS nieodróżnialne od innych miejsca, gdzie pod grubą warstwą śniegu leżały magnetometry małej mocy i przyrządy meteorologiczne.

– Niektóre z tych miejsc leżały na granicy zasięgu ottera – powiedział. – Dziesięć godzin bez tankowania.

– I jak to robiłeś?

– Czasami leciałem wysoko, wyżej niż powinienem, nie całkiem zgodnie z prawem, ale dzięki temu oszczędzałem paliwo. Mniejsza zawartość tlenu w powietrzu oznacza, że silnik bardziej efektywnie spala paliwo. Pułap ottera to około dwunastu tysięcy stóp. Jeśli lecisz wyżej, możesz zemdleć.

– Ale nie zemdlałeś.

– Dzięki Bogu, nie. Ale przez te wszystkie lata miałem kilka tych „momentów”.

– Co masz na myśli?

– Momenty to dla mnie takie chwile, kiedy coś mogło pójść nie tak. – Skrzywił lekko usta, jakby się zawahał. Nie był przyzwyczajony do rozmowy o niepowodzeniach ani nawet o porażkach, których cudem udało się uniknąć. Zaczęłam nalegać, żeby podał jakieś przykłady.

– Pokazywałem kiedyś pewnemu geologowi warstwy na przełęczy niedaleko Patriot Hills. I nagle okazało się, że lecimy prosto w ścianę nunataku – to szczyt góry pokrytej śniegiem. Nagle stwierdziłem, że nie mam dość mocy, żeby skręcić. Zaskoczył mnie wiatr boczny z przełęczy. Udało się, ale musiałem użyć całej mocy silnika. Nie chciałabyś tego robić zbyt często. – Zachmurzył się. Podobnie jak Max, miał bardzo żywą twarz, w której łatwo było czytać, ale która nie ujawnia prawdziwych emocji, dobrze ukrytych za zasłoną. Lepiej czytało mi się z jego oczu. Miały niezwykle kolor, szaroniebieski, jak ciepły, wełniany kocyk.

Poszliśmy potem na nocny spacer do Krzyża. O drugiej trzydzieści rano słońce świeciło znad horyzontu, otaczając krawędzie lodowca złotymi obwódkami.

– W przyszłym tygodniu słońce dotknie horyzontu, a światło zmieni się na różowe. Na początku lutego schowa się za krawędź. – Urwał na chwilę. – Była taka dziewczyna... Młoda kobieta – poprawił się. – Zmarła tu dwa lata temu.

Słyszałam o tym wypadku, zanim jeszcze dotarłam do Bazy R. Kobieta nurkowała, zaatakował ją lampart morski. Musiał ją pomylić z foką Weddella, która jest jego typową ofiarą. Wciągnął ją na głębokość sześćdziesięciu metrów, po czym wypuścił. Miała tylko dwadzieścia osiem lat.

– Zmarła tam. – Pokazał ręką na zatokę, niedaleko końca pasa startowego.

– Tak blisko bazy?

– Tak. Podobno niektórzy widzieli, że ma kłopoty i że znika pod wodą. Wsiedli do RIB-a, ale zanim ją znaleźli, było już za późno. – Patrzył pustym wzrokiem na horyzont. – Zabrałem ją do Ice Blue, jakieś sześć miesięcy wcześniej. Była taka... Taka zachwycona, sama wiesz. Na początku wydawało mi się, że trochę przesadza. Tryskała entuzjazmem, całkiem jak dziecko. Ale potem przypomniałem sobie, co sam czułem na początku, podczas moich pierwszych sezonów. Jak się wszystkim zachwycałem.

– Już ci się tu tak nie podoba?

– Podoba. Ale chyba nie ma już tego uroku nowości. Mimo to wciąż uwielbiam to miejsce. – W jego głosie pobrzmiwało zdecydowanie. Być może myślał o tym,

że niebezpieczeństwo jest nierozdzielnie związane z miłością do miejsca, które zabija twoich znajomych w trybie przyspieszonym. – Podoba mi się, że życie jest tutaj takie proste. Musisz sobie poradzić z zimnem, przetrwać, wykonać swoją pracę. – Zmierzył mnie wzrokiem. – Jak poznasz takie życie, nigdy o nim nie zapomnisz. Będzie cię w jakiś sposób trzymać. To taki horyzont, który stanie się miarą reszty twojego życia.

Zwróciliśmy wzrok w stronę lodowców na North Cove. Ich boki wydawały się teraz miętowe.

– Tak – powiedział Tom. – Przyjechałaś w odpowiednim momencie. Słońce nie zajdzie aż do lutego.

Poczułam, że horyzont mnie przyciąga, i pomyślałam: „Teraz słońce zajdzie”. Ale nadal tkwiło na niebie, zawieszone nad morzem gęstym od zakrzepłego lodu. To był nasz świat, o czwartej nad ranem: góry, lód, woda, niebo – wszystko zalane światłem, złotym, pomarańczowym, fioletowym, ciemnoróżowym jak dziaśła psa, wszystko podobne do szczap w dogasającym ognisku.

5 STYCZNIA

Meteorolog codziennie zapisuje na tablicy pogodę – prędkość i kierunek wiatru oraz temperaturę. Dzisiaj jest jeden stopień powyżej zera. Słupek rtęci trzyma się w okolicach zera albo odrobinę wyżej już od tygodnia. Nadchodzi odwilż. Nie pachnie – nie czuć nawet jonizowanego zapachu topiącej się wody. Jest tylko ten księżycowy zapach kamieni.

Biolożka (Karin? Karine?) wygłasza wykład wieczorny. Podczas prezentacji widzę jej wygaszacz ekranu – dwójkę jasnowłosych dzieci w jeziorze.

Nic nie rośnie na pokrywie lodowej, mówi Karin/Karine, oprócz mchu. Szczególnie jeden gatunek czarnego mchu rozwinął odporność na promieniowanie UVA i UVB, które otrzymuje podczas trzymiesięcznego lata pod cienką warstwą ozonu. Na końcu półwyspu są całe pola dziwnie falującej trawy, usiane doskonale zachowanymi truchłami fok, które nie żyją od dziesięciu tysięcy lat. Pokazuje nam zdjęcia tych fok. Wyglądają zaskakująco żywo. Mają ciemne płetwy, a pośmiertna maska wyszczerzona jest w uśmiechu.

Przebywanie w miejscu, w którym żyje tak niewiele organizmów lądowych, prowadzi do refleksji. Przyjmowałam życie za pewnik – nie tylko swoje życie, tę siłę życiową, którą odgórnie mnie obdarzono, ale jakiegokolwiek życie. Kiedy następnym razem zobaczę drzewo, przyjrzę mu się uważnie i podziękuję za to, że istnieje.

Lato to okres roku akademickiego na Antarktydzie.

– Uniwersytet z Dna Świata – powiedział podczas obiadu Xavier, kiedy próbowaliśmy przekroić kolejnego mrożonego indyka podanego ze szparagami z puszki. – To taka tradycja, którą zapoczątkował Scott.

Wieczorami naukowcy prowadzili nieformalne seminaria. Podczas tych zajęć siadaliśmy przy chwiejnych stolikach w kafejce w rzędach, ubrani w identyczne, pomarańczowe polary i bawełniane spodnie, jak zwolniona warunkowo z więzienia polarowa banda.

Tego wieczoru przemawiał Gavin, profesor biologii morskiej. Uważano, że dobrze wypada na dużym ekranie, dlatego regularnie zapraszano go do programów informacyjnych, żeby tłumaczył zawile zależności między obszarami polarnymi a zmianami klimatu.

– Ludzie i nauka mają tu trochę inne cele. Nauka pragnie zrozumieć, najlepiej nie kierując się przy tym żadnym interesem politycznym albo ekonomicznym – mówił. – Ludziom chodzi jednak nie tylko o samą zmianę klimatu, lecz o znalezienie rozwiązań. Zasadniczo chcemy znaleźć nowe źródła energii i ograniczyć zużycie tych, które mamy.

Po kolacji okazało się, że siedzę obok Gavina. Była dziewiąta, a polarne słońce grzało nas w ręce.

Z Gavinem łatwo się rozmawiało. Przepętniała go energia i miał zaraźliwy śmiech. Łatwo było wyobrazić go sobie w sali seminaryjnej, jak dyskutuje, rzuca wyzwania i inspiruje studentów.

– No to o czym będziesz pisać?

– Jeszcze nie wiem.

– A w jaki sposób zbierasz materiały?

– W każdy – odparłam. – Na przykład rozmawiając z tobą.

Rozmawialiśmy o niepewności i o procesie twórczym. Na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że był jednym z tych naukowców, którzy rozumieją wartość otwartych pytań i błędzenia po ciemku.

– Ale wszystkie historie z Antarktydy są takie same – powiedział.

Przyznałam, że to prawda.

– Tyle że ja nie szukam historii. Powieść może służyć abstrakcyjnym rozważaniom.

Rzucił mi zaniepokojone spojrzenie.

– Opartych na...?

– Na tym, jak dana osoba postrzega świat.

– Serio? To ma jakieś znaczenie? A co ze społeczeństwami, narodami i rodzinami?

– Nawet konsensus to wynik porozumienia dwóch indywidualnych jaźni.

– Po co w ogóle pisać powieści? Dlaczego nie napiszesz opartej na faktach książki o tym, czego się tu nauczysz?

– Bo powieść daje wolność od faktów. Wkraczasz w obszar metafor, które nadają gęstość, jaką rzadko ma prawdziwe życie. Czasami trzeba skłamać, żeby powiedzieć prawdę.

Gavin wpatrywał się we mnie z jeszcze większą intensywnością. Coś błysnęło w jego oczach, podobnie jak kiedyś w oczach Maxa.

Nauki polarne to dziedzina, w której panuje spora konkurencja, ale paradoksalnie wszyscy ze sobą współpracują. Przyciągają osoby takie jak Gavin

– ufne, pewne siebie, często odważne i potrafiące zachować zimną krew, niezbędną do wytrzymania więzienia, jakim bywa Antarktyda, i skrajnych warunków, jakie panują tu podczas prac terenowych. Gavin regularnie nurkował pod lodem, pływając z drapieżnikami, takimi jak lamparty morskie i orki. Próbowałam sobie wyobrazić przebywanie w ciemnej wodzie, pod zamarzną powierzchnią. Jak w sarkofagu.

– Badania lodu mówią nam jedno – powiedział, kiedy skończyliśmy tradycyjne ciasto i herbatę, podawane po południu podczas smoko (tak nazywano tu poranne i popołudniowe przerwy na herbatę). – Nasz klimat był kiedyś zmienny. Teraz jednak wykazuje stały, wzrostowy trend. O ile wiemy, tak stałego trendu nie było jeszcze nigdy, przynajmniej nie od karbonu. Łączy się on bezpośrednio z emisją dwutlenku węgla. Stężenie CO₂ w rdzeniu lodowym stale rośnie. Ostatnią rzeczą, którą trzeba było udowodnić, jest antropogeniczne pochodzenie CO₂. Sądzę, że zostało to już dowiedzione ponad wszelką wątpliwość.

– Teraz trzeba zbudować porozumienie, żeby jakoś temu zaradzić – dodał po chwili. – Potrzebna jest wola polityczna i zachęty ekonomiczne. Ludzie niechętnie płacą teraz za coś, co dostaną w przyszłości. Wiesz, że nie będzie cię tu, kiedy widoczne staną się dobre lub złe skutki tego, co robimy w tej chwili, w trakcie naszego życia. To naturalne, że żyjemy chwilą. Kiepsko radzimy sobie z czekaniem na nagrodę.

– Niespecjalnie nam też wychodzi obywatelstwo bez nagród.

– Zasadniczo jesteśmy egoistycznymi romantykami – powiedział Gavin, krzyżując swoje silne ramiona na piersi. – Antarktyda zawsze była magnesem dla romantyków, ale często stawała się ich grobem.

Nie ja jedna zostałam, żeby przetrwać to, co powiedział Gavin. Z tłumu wyróżniał się Ben, biolog morski z natapirowanymi włosami, który rzucał się w oczy nie tylko dlatego, że przywiózł tu brylantynę.

Ben był zimownikiem. Na Antarktydzie używało się nazw pór roku do opisanie ludzi. Byli letnicy i zimownicy. Chociaż było lato, Ben nadal był zimownikiem, ponieważ spędził tu zimę. W porównaniu z zimownikami letnicy byli przelotnymi gośćmi, polarnikami wagi lekkiej. O takich klasowych podziałach nie rozmawiało się na statku, ale już po kilku dniach w bazie dało się je zauważyć. Zimownicy byli elitą Antarktydy.

„Co słyhać w prawdziwym świecie?”. Ben powiedział mi, że tym zdaniem zaczynał swoje cotygodniowe rozmowy telefoniczne z matką. Rozmawiał z nią, choć wiedział, że to nie jest dobry pomysł.

– Czasem chyba lepiej jest po prostu żyć w bańce – oznajmił. – Czerwiec i lipiec tutaj to prawdziwe tortury. Żyjesz w całkowitej ciemności, a koledzy wysyłają ci zdjęcia grilli i parków. Wiesz, jak to jest, tęsknić za kimś tak, że skóra cię boli? Wydaje mi się, że łatwiej było wtedy, kiedy można było wysłać tylko sto słów na miesiąc.

Ben mówił o systemie komunikacji, który funkcjonował w czasach przedinternetowych. Kierownik bazy wysyłał wtedy faksem miesięczne

sprawozdanie, które mogło zawierać tylko sto słów. Oprócz zawodnej linii telefonicznej była to jedyna forma komunikacji aż do późnych lat dziewięćdziesiątych.

– Ale nie wydaje ci się, że to jest prawdziwy świat? – spytałam.

– To zależy, co rozumiesz przez słowo „prawdziwy”.

Ludzie z bazy, zwłaszcza zimownicy z poprzednich lat, często używali określenia „prawdziwy świat”, kiedy mówili o innych miejscach, zwłaszcza o Wielkiej Brytanii. Kiedy się ich jednak zaczęło wypytywać, okazywało się, że „prawdziwy świat” mógł leżeć wszędzie. Za „prawdziwe” uważali też miejsca, w których byli na wakacjach, mieszkali albo pracowali. Jak mogli funkcjonować w takiej zmiennej rzeczywistości, w której niektóre światy były bardziej „prawdziwe” niż inne?

Ben wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę nic się tu nie zmieniło. Nie potrafię tego wyjaśnić. Musisz tu pomieszkać, żeby to zrozumieć. Jest tak, że w zimie wchodzimy ze sobą w relacje. Potem zima się kończy, ale cóż z tego. Nieważne, kto przyjedzie do bazy. Chcę wrócić do prawdziwego świata, bo tam zmiany są możliwe.

– A co chciałbyś zmienić?

– Cokolwiek! – Wyglądał jednocześnie na zachwyconego i zdruzgotanego.

– Cieszysz się, że przetrwałeś tu zimę?

– Nigdy tego nie zapomnę – powiedział. – Ale nigdy więcej się na to nie zdecyduję.

– Czego cię to nauczyło?

– Że muszę na sobie polegać. Że nie da się mną zachwiać. Że mogę powiedzieć nie. – Zastanawiałam się, co miał na myśli. Co chciało nim zachwiać? W którą stronę? Nie rozwinął tego tematu. Pochylił się i ściszył głos niemal do szeptu. – Wiesz, w zimie miałem takie dziwne uczucie. Zdawało mi się, że zostałem tu umieszczony jako opiekun. Strażnik. Miałem wrażenie, że muszę się zająć jakimś dzieckiem. Jeśli nie będę uważał, ono może umrzeć.

Była druga w nocy. Znowu straciłam poczucie czasu. Zaczęłam się zbierać.

Kiedy wychodziłam z baru, Tom złapał mnie za rękę.

– Idziesz spać?

– Właściwie szłam do Krzyża, żeby popatrzeć na słońce, które nie zachodzi.

– Nie przypuszczam, żebyś miała ochotę na towarzystwo?

Instynkt przemówił za mnie.

– Wiesz, ciężko tu o chwilę samotności. Mam ochotę na to, żeby przez chwilę posłuchać własnych myśli.

Tak było, odkąd dotarłam do bazy, ciągle coś się działo. Ten wir zdarzeń mnie wykończył. Myśli opadały, jakby wyslizgując mi się z głowy. Próbowałam je złapać, ale przemykały mi przez palce jak ryby. Tom wyszedł ze mną na schody i do przedsionka, ale tu się zatrzymał.

– Jasne – powiedział. – Rozumiem.

Stałam sama na Krzyżu i patrzyłam znowu na wiszące nad horyzontem słońce, na pomarańczowe snopy światła. Wyglądało to tak, jakby tuż za

horyzontem zatopiono w lodzie wieże kościelne. Odbijało się od nich światło – promienie w kolorze indygo, purpury i szafranu. Kiedy zamykałam oczy, wszystko się zagęszczało i zaczynało przypominać eksplozję, zbyt gwałtowną, żeby była piękna.

Zadrżałam. Była trzecia trzydzieści. Przez cały ten czas byłam tu sama, jeśli nie liczyć samotnego wydrzyka, który cierpiał na bezsenność i robił małe wypadki w pobliżu, łypiąc na mnie kątem oka. Gdybym została tu jeszcze przez godzinę, zobaczyłabym, jak słońce wyrwa się z bezruchu i zaczyna wspinać po niebie. Mogłabym patrzeć, jak zimne, pastelowe barwy blakną i topnieją, ustępując miejsca złocistemu światłu dnia.

Matka podaje mi kopertę. Jest lekko wygnieciona, jakby wciśnięto ją do skrzynki w pośpiechu. Nie ma na niej adresu, tylko moje imię.

Nad rzeką. Przyjdź o ósmej wieczorem 16 czerwca.

Chce się ze mną spotkać gdzieś na dworze. W miejscu, z którego oboje będziemy mogli w każdej chwili odejść.

Idę pustymi ulicami. W mieście panuje teraz niepisana zasada, w myśl której kobiety nie chodzą samotnie. Stwierdzam, że nie czuję się specjalnie zagrożona. Nie czuję się mała, nie czuję się ofiarą ani celem, chociaż rozumiem, że powinnam się bać, że się nimi stanę. Tak naprawdę czuję nieograniczoną moc. Gdybym zebrała cały swój gniew, mogłabym pokonać każdego.

Ignoruję światła, bo nic nie jedzie. Kilku pieszych czeka jednak przy krawędzi jezdni. Myślę o tym, jak dużą część życia spędzamy w oczekiwaniu na jakiś sygnał z zewnątrz, na to, że coś nam powie: Stój. Idź.

Czuję rzekę, jest cztery przecznice stąd. Zielonoszary kolor toni wydaje się jeszcze bardziej intensywny z powodu różnicy temperatur między wodą a powoli ochładzającym się powietrzem. Idę ścieżką wzdłuż brzegu. Prowadzi mnie pod most, między potężne filary. Z góry dochodzi stłumiony hałas przejeżdżających samochodów.

Przed sobą widzę mężczyznę o ciemnych, króciutko przyciętych włosach. Żadna inna osoba nie zjawiła się w moim życiu tak zniechęcająco. Po prostu ukazał się na horyzoncie, jakby wskutek zmywy krajobrazu i nieba.

Stoi odwrócony tyłem. Patrzy na rzekę. Nie wygląda ani na wysokiego, ani na niskiego. Nawet z tej odległości wyczuwam wrodzoną uprzejmość.

Odwraca się na dźwięk moich kroków. Widzę wersję własnej twarzy, a przynajmniej jej połówki. Ma moje oczy, z pewnością, i moje czoło. Dolna połowa należy do kogoś innego. Zawsze myślałam, że mam oczy jak nikt inny – lekko asymetryczne, lewe nieco węższe i dłuższe niż prawe. Okazuje się, że mam kopię. Albo sama jestem kopią.

Ma na sobie dzinsy i krótką, skórzaną kurtkę. Nie wygląda ani młodo, ani staro. Jego oczy są ciemne niczym węgiel.

– Myślałem, że nie przyjdiesz. – Jego głos brzmi szorstko, jest w nim jakiś ostry ton, podobnie jak w moim.

– Dlaczego mnie śledziłeś?

– Nie śledziłem cię. Po prostu musiałem jakoś z tobą porozmawiać. Nie chciałem przychodzić do domu. Twoja matka niczego by mi nie powiedziała.

Od razu to słyszę – nadzieję i pobłażliwość. Niektórzy powiedzieliby, że tak brzmi głos rodzica, ale ja nie jestem do tego przyzwyczajona. Wzdragam się.

Kim jesteś? To pytanie nie wydaje się dobre, więc go nie zadaję.

– Dlaczego tu przyjechałeś?

– Żeby cię zobaczyć. Słuchaj... – Nuta niecierpliwości to pierwsza rzecz, która wydaje mi się znajoma. – Możemy gdzieś pójść i porozmawiać?

– Teraz rozmawiamy.

Usta mu drgają.

Skłaniam się ku stwierdzeniu, że jest jednak wysoki. Ma nietypowe, niebieskie oczy. Elin powiedziała, że to nocny granat. Ona ma bardzo szeroki zasób słownictwa, jeśli chodzi o kolory. To przez te wszystkie rzeczy, które sprzedaje. Z boku wygląda na zdecydowanego. Przypomina mi profil Abrahama Lincolna na dziesięciocentówkach.

– Czym się zajmowałaś?

– Kiedy?

Uśmiecha się.

– Przez te wszystkie lata.

Wzruszam ramionami.

– Szkołą. Życiem. Żyłam. Wyglądasz na młodszego, niż sądziłam.

– Wyobrażałaś sobie staruszką?

– Nie staruszką, po prostu...

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę.

– No dobrze, już mnie zobaczyłeś. Nic do ciebie nie czuję.

To nie do końca prawda, ale chcę, żeby tak myślał.

Czuję coś dziwnego, jakiś szum, gdzieś pod naczyniami krwionośnymi i pod mózgiem. Jakbym się nastroiła na niskie częstotliwości. Jego znajomy-ale-niezajomy wygląd i zapach przyprawiają mnie o mdłości. W pewnym momencie kładę sobie dłoń na ustach, żeby się powstrzymać.

Robi się coraz ciemniej. Rzeka za jego plecami jest ciemnopłatynowa. To najłatwiejsza rzecz na świecie. Odwracam się i odchodzę. Widzę, że to, co robię, potencjalna nieodwołalność tej decyzji, wiruje w jego głowie jak diament. Zostanie w niej na zawsze: „Odwróciła się na pięcie”.

Nic nie mówię. Wydaje mi się, że nigdy więcej go nie zobaczę.

Trafia na mnie, raczej nie celowo, lecz przypadkiem, w Shades of Light. Elin jest świadkiem naszego spotkania.

– Kim był ten człowiek? – pyta po jego wyjściu.

Na jej długiej, poważnej twarzy odmalowuje się coś uroczystego.

– Och, myślałam, że mieszkasz z ojcem.

Tym razem spotykam go w kawiarni La Vie en Rose. Jej ściany są krwistoczerwone. Nadąsane nastolatki, takie jak ja, przychodzą tu na kawę i ciasto.

Siedzi naprzeciwko mnie, ma to dziwne, chciwe spojrzenie. Mam wrażenie, że upaja się moim widokiem. Czuję, jak mnie przełyka.

Gapię się na niego, szukając wskazówek. Kiedy zamykam oczy, obraz jego twarzy odciska się mi na powiekach jak negatyw.

Nie masz ze mną nic wspólnego, myślę. Na końcu widelca mości sobie miejsce nowe słowo. Dostrzegam je, kiedy podnoszę kawałek ciasta, którego i tak nie będę w stanie przełknąć. „Obcy”. Obcy to ktoś nieznany, nieproszony gość, osoba, która zakrada się nocą, po czym znika.

– Dlaczego ją zostawiłeś?

– To właśnie ci powiedziała?

– Co masz na myśli? – Nie przyszło mi nigdy do głowy, że matka mogłaby mnie okłamywać.

– Nie zrobiłem tego. – Wypowiada te słowa, jakby smakowały żółcią. – Nie zostawiłem jej. – Ściąga usta. – Nie... dogadywaliśmy się.

Opiera plecy. Czekam, aż coś doda.

Ogarnia mnie nowe uczucie. Kręci mi się w głowie, mam wrażenie, że wpadłam w jakąś spiralę. Czuję też lekkość. Myliłam się co do okoliczności ich rozstania. Ten błąd mnie wyzwala.

Kiedy się rozstajemy, jest inaczej. Nie jest ode mnie taki zależny. Stoimy na chodniku i patrzymy na siebie pod właściwym kątem. Wygląda, jakby przypadkiem wpadł na mnie na ulicy, jakbym była przypadkową dziewczyną, którą zaprosił na ciasto. Rozgląda się po okolicy, szukając czegoś, co przyciągnie jego uwagę.

Nie chcę, żeby mu się wydawało, że odniósł jakieś zwycięstwo. Po drugiej stronie ulicy, poza zasięgiem naszego wzroku, noc ochładza toń rzeki.

– No cóż – mówi. – Do zobaczenia. – Tym razem to on odwraca się i zostawia mnie za sobą.

4. ICE BLUE

LÓD ŚWIEŻY

Cienka, elastyczna skorupa lodowa, z twardością uginająca się na falach i pod naciskiem. Pękając, tworzy zazębiające się warstwy.

10 STYCZNIA

Steward stanął w drzwiach mojego biura wczoraj o dziesiątej wieczorem.

– Jedziesz jutro w teren.

Magiczne słowa. Polecę dashem, z Tomem i z głównym pilotem, Lanierem, do sąsiedniej bazy. Zawieziemy paliwo i zapasy. Potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, Tom zamieni się miejscami z innym pilotem, Derekiem, i polecą twin otterem w Góry Ellswortha, żeby zebrać próbki geologiczne i wysłać dane do Cambridge. Będę mu towarzyszyć.

Tego ranka odbywamy krótką odprawę, pijąc herbatę w pokoju pilotów, osłoniętym od wiatru przez hangar. W hangarze dash i twin otter połyskują w świetle wiszących pod sufitem lamp. W pomieszczeniu samoloty wydają się większe. Przypominają odpoczywające smoki.

O ósmej rano dostajemy zielone światło od meteorologa. Leci z nami mechanik, który też ma na imię Tom. On i ja siedzimy na miejscach, które normalnie zajmują stewardesy, na tych odwróconych plecami do kierunku lotu. Przypinamy się pasami. Będziemy patrzeć na naszych pasażerów – szesnaście beczek paliwa lotniczego, ustawionych w miejscu, w którym normalnie stałyby fotele.

Myślę o K, mojej przyjaciółce, która uważa, że samoloty to „skrzydlate bomby”. Nie chodzi jej o terrorystów, ale o skrzydła pełne paliwa. Teraz mamy cały samolot pełen paliwa. Jeśli się rozbijemy, nie zapamiętamy zbyt wiele.

Wystartowaliśmy i poleciliśmy na południe. Dash szybko się wznosił, lecąc nad zatoką. Kiedy osiągnęliśmy wysokość przelotową, Lanier otworzył drzwi do kokpitu.

– Chodźcie do nas – powiedział przez interkom. – Tu jest cieplej.

Tom oddał stery Lanierowi i poszedł na tył, żeby zrobić wszystkim herbatę. Lanier pokazał, że mam usiąść na miejscu Toma. Zapadłam się w wygodny fotel pilota, wyłożony owczą skórą. Przed sobą widziałam gąszcz tarcz, za oknem dwa kliny niebieskiego nieba.

Spytałam Laniera o wysokość, kurs i działanie autopilota. Rozmawialiśmy

o trymerach, stabilizatorach, amortyzatorze odchylenia, dzięki któremu łatwiej się manewruje czterośmigłowcem.

– Wiesz co nieco o lataniu – zauważył Lanier.

– Chyba zawsze chciałam się nauczyć latać.

– No to masz teraz szansę.

– Jak to?

– Wyłączę autopilota i poprowadzisz samolot.

Lanier się uśmiechał. Sprawdzał, czy nie odmówię albo się sprzeciwię.

Położyłam ręce na sterach.

– Po prostu staraj się utrzymać samolot w poziomie i nie zbaczaj z kursu – poinstruował mnie Lanier. – Obserwuj wysokościomierz i sztuczny horyzont.

Jak tylko wyłączył autopilota, poczułam, że samolot jest w moich rękach. Zdumiewająco łatwo reagował. Nawet niewielkie ruchy powodowały natychmiastowe zmiany. Był jak delikatny, łatwy do prowadzenia koń.

Siedziałam za sterami przez godzinę. Lanier nie dotykał drążka, ale nie spuszczał mnie z oka. Byłam przekonana, że jeśli popełnię jakiś błąd, natychmiast uratuje sytuację. Kazał mi utrzymywać poziom i wysokość. Samolot miał własne plany. Po chwili zaczęłam czuć, co zamierza. Czułam, że przewiduję jego ruchy i potrafię je skorygować, nawet przepływ powietrza pod skrzydłami. Niebo było bezchmurne, nie wiało. Cztery śmigła równo miały zimne powietrze.

Tom pojawił się za mną.

– O, to ty sterujesz.

Nie odważyłam się oderwać wzroku od nieba przede mną.

– Zakładam, że chciałbyś odzyskać swoją robotę?

– Nie, nie przerywaj. Świetnie ci idzie. Właśnie zostałam pilotem dasha 7.

Tom przejął stery, a ja wróciłam do głównej części samolotu. Usiadłam na stosie beczek. Byłam w szoku, kiedy uświadomiłam sobie, że przez godzinę sterowałam maszyną. Czułam się wykończona.

Popatrzyłam na ład, nad którym lecieliśmy. Za nami przesuwał się nasz cień – idealna sylwetka samolotu, podobna do cygara z wąsami tworzonymi przez śmigła. Lecieliśmy na południe, prosto w słońce, mijając ciąg identycznych krajobrazów – nunatak, grań, płat śniegu, nunatak, grań, płat śniegu.

Zostawialiśmy za sobą półwysep i wlatywaliśmy nad główną część kontynentu. Teraz pod nami był tylko lód, lód i jeszcze więcej lodu. Przez całe życie podróżowałam przez obszary, na których prędzej czy później pojawiały się ślady działalności ludzkiej, nawet w Kanadzie. Ale to był świat iteracyjny. Lód rodził tylko lód.

Wróciłam do kokpitu, niosąc filiżanki herbaty dla Toma i Laniera. Na kolanach rozłożyli laminowaną mapę. Tom wskazał na nią. Mała, czarna kropka wśród kwadratów bieli oznaczała nasz cel.

Położone na 74°51' szerokości geograficznej południowej i 71° 34' długości geograficznej zachodniej, we wschodniej części Ziemi Ellswortha, Ice Blue brzmiało jak nazwa prawdziwego miejsca, błękitnego i lodowego. Oficjalnie była

to „baza logistyczna”. Jej najbardziej spektakularnym elementem był pas startowy. Zresztą to dzięki niemu w ogóle istniała. Był to dobrze utrzymany pas błękitnego lodu o długości kilometra, szeroki na pięćdziesiąt metrów. Jego przebieg oznaczono trójkątymi, czarnymi chorągiewkami.

Podczas lądowania siedziałam na krzeselku stewardesy. Schodziliśmy w niekończącą się połać bieli. Kiedy zniżaliśmy lot, z nicości wyłonił się cienki pasek błękitu. Robił się coraz większy i większy. Kiedy się do niego zbliżaliśmy, padł na niego promień słońca.

Koła uderzyły o lód. Przez kilka sekund wydawało się, że lądujemy na normalnym podłożu, takim jak żwir albo asfalt. Tom i Lanier włączyli odwracacz ciągu. Czarny trójkąt nunataka rósł w oczach. A potem po prostu stanęliśmy.

Byłam pod wrażeniem ich umiejętności. Samolot zatrzymał się spokojnie i delikatnie, jakbyśmy lądowali na Heathrow. Tom wyjaśnił mi potem, jak się ląduje na lodzie. Nie można używać hamulców, żeby nie wpaść w poślizg, dlatego piloci uruchamiali odwracacz ciągu, który zmienia kąt nachylenia łopat śmigła, a tym samym kierunek ciągu.

Otworzyłam na oścież drzwi i rozwinęłam krótkie schodki. Do samolotu wdarło się inne powietrze – zimne i ostre, choć złagodzone przez świecące bez ustanku słońce.

Wychodząc na zewnątrz, osłoniłam oczy ręką. Wszystko zalewał piekący blask, który pozornie odwracał kolory i stwarzał iluzję gorącej, niebieskawej nocy, takiej jak w *La nuit américaine*, czyli *Nocy amerykańskiej*. To także nazwa techniki filmowej, która polega na kręceniu filmu w dzień i celowym niedoświetlaniu kliszy, żeby wydawało się, iż panuje ciemność.

Wiatr zaszeleścił nad lodowym pasem startowym. Musieliśmy szurać nogami, żeby się nie przewrócić, ponieważ nie założyliśmy raków. Ślizgałam się, zmierzając w stronę pomarańczowego budynku i dwóch kopczyków śniegu. Przed chatą stało plastikowe krzesło, z którego można było obserwować pogodę. Obok stały dwie postacie.

Biorąc pod uwagę, że właśnie wylądowaliśmy na lodzie – nawet jeśli nie przyczyniłam się do tego w najmniejszym stopniu – oczekiwałam, że zostaniemy powitani jak bohaterowie, a przynajmniej jak przybywający z wizytą dygnitarze. Tymczasem powitano nas z lekką niechęcią, jakbyśmy wprosiли się na prywatną imprezę. Olbrzymi Jack, inżynier mechanik, przyjechał tu na kilka tygodni, żeby uzupełnić zapasy i przeprowadzić prace konserwacyjne. Miał na sobie koszulkę z krótkim rękawem, krótkie spodenki i buty z foczej skóry. Było minus dziesięć.

Popatrzyłam na dasha, który stał na przejrzystej, lodowej tafli, przymocowanego linami odciągowymi, żeby wiatr katabatyczny nie cisnął nim o lód. Za nim zerkał na nas nunatak. Wyglądał jak pan i władca.

Ekipa z Ice Blue poszła za mną do samolotu, gdzie Tom i Lanier ustawili już rampę, żeby wytoczyć beczki z paliwem. Zaczęliśmy rozładowywać samolot, tocząc po lodzie beczki, z których każda ważyła ponad siedemdziesiąt

kilogramów.

Po kilku godzinach pracy w radiu rozległ się głos Stewarda.

– Łatwizna, koledzy!

Pozwolił mi i Tomowi na nocleg w domku typu „melon”, powszechnie nazywanym melonową chatką, i na dalszy lot w Góry Ellswortha, kiedy przyleci twin otter.

O północy słońce nadal świeciło w okna melonowego domku. Okrągłe okienka i gładkie, zaokrąglone ściany upodabniały chatkę do kapsuły kosmicznej. Do kolacji podano wódkę i czekoladę, które przywieźliśmy. Wetknęliśmy butelkę i szklanki w zaspę. Siedzieliśmy w środku w kole na ławkach przykrytych skórą, zawinięci w śpiwory. Na środku pomieszczenia syczały i szumiały dwa prymusy i lampa naftowa.

Oprócz ekipy lotniska w Ice Blue mieszkali teraz Oddvar, geolog z Norwegii, i Eric, jego obdarzony anielską cierpliwością asystent terenowy (czasem używali tu nazwy asystent ogólny). Oddvar i Eric właśnie wrócili po czterech tygodniach spędzonych na Lodowcu Rutforda, który się cały czas przemieszcza. Według wskazań ich GPS-u oddalali się powoli od Gór Ellswortha w stronę Lodowca Szelfowego Ronne.

– Przez osiem tygodni widzieliśmy jednego ptaka. – Eric potrząsał głową, kiedy wchodziłam do chatki. – Oczywiście był to wydrzyk.

Oddvar miał bardzo jasną karnację, wyglądał niemal jak albinos. Włosy też miał prawie białe. Jego jasnoniebieskie oczy zdawały się kruszyć, całkiem jak kawałek lodu, który oderwał się od kontynentu.

Wbił we mnie swoje zimne spojrzenie.

– A ty kim jesteś. – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Jestem pisarką.

Zaczęliśmy sprawdzać, kto dłużej będzie się wpatrywał w drugą osobę. Trzech siedzących obok asystentów przesunęło wzrokiem ode mnie do niego, jakby śledzili mecz tenisa.

– Trudno być kobietą w Bazie R – powiedział wreszcie Oddvar.

– Na razie sobie radzę.

– Nikt cię nie napastuje?

– Niestety, jak dotąd właściwie nie.

Sprowokowałam tym jeszcze bardziej intensywne spojrzenie. Odwrócił się do Erica.

– Tak jak mówiłem, asystentki płci żeńskiej są takie niekobiece. Lubię kobiety z odrobiną... – Zacmokał, trochę tak, jakby ssał lizaka albo cukierka, i posłał w przestrzeń całusa. Uśmiechnął się. Miał charakterystyczny, kwadratowy uśmiech – otwierał usta w górę i w dół, ale nie na boki. Jego zęby były małe i spiczaste.

Eric przewrócił oczami. Odwrócił się do nas.

– Oddvar zna tylko dwa tematy rozmów: wódka i kobiety. A nie, zapomniałem, jeszcze Amundsen.

Tom się roześmiał.

– Tylko nie to.

– Dlaczego Lodowiec Rutforda zaczyna się poruszać szybciej?

Oddvar skierował na mnie wzrok, ale Eric spojrział w drugą stronę. Zorientowałam się poniewczasie, że to nie był dobry moment na rozmowę o pracy. Za bardzo się rozproszyłam i przestałam zwracać uwagę na innych. Nie mogłam ich winić. Dopiero co wyrwali się z lodowego więzienia, ostatnią rzeczą, o jakiej chcieli rozmawiać, była praca.

Ale jak wszyscy znani mi glaciolodzy, Oddvar uwielbiał swój zawód. Kochał nierealny, duchowy wręcz aspekt charakterystycznego dla glaciologii połączenia metafizyki i matematyki, dlatego ustąpił.

– Właśnie tego próbuję się dowiedzieć. Zbieram dane i przekazuję je swoim doktorantom, którzy tworzą modele zachowań pokrywy lodowej. Wgrają dane do komputera i w zależności od parametrów i ustawień dopracujemy równania, które wyliczą prędkość ruchu lodowca i jej wzrost.

– Ale czy to ocieplające się morze przyspiesza jego ruch?

– Częściowo tak, ale nie tylko. Tempo przemieszczania się lodowca zależy od tego, co dzieje się na jego dnie. Wyższa temperatura przyspiesza topnienie, poprawiając nawilżenie, które ułatwia przesuw.

Max powiedział mi, że nie rozumiemy jeszcze wielu zachowań lodowców. Patrząc na mapę Lodowca Rutforda, trudno było sobie wyobrazić, że tak szeroki jezioro lodu może leżeć na śliskiej brei, podgrzewanej przez energię wytwarzaną w wyniku tarcia lodu grubego na dwa kilometry o znajdującą się pod nim skałę.

– Łądogód cały czas się przemieszcza – mówił dalej Oddvar. – Tak samo jak kontynenty i jak cała planeta. Staram się zawsze pamiętać, że nie stoję na solidnym gruncie.

Wyszłam z melonowej chatki i udałam się do łazienki. W Ice Blue toaleta mieściła się w spiczastym namiocie, rozbitym nad dziurą pełną zamrożonych odchodów i moczu. Mówiono na nią kiblarium. Nie śmierdziało, ale lepiej było się za długo nie wpatrywać w stalaktyty i stalagmity, które porastały lodową pieczarę pode mną. Na Antarktydzie stałam się boleśnie świadoma swoich czynności życiowych. Zastanawiałam się, jak sobie poradzę następnego dnia w górach, sama w obozie z Tomem i czterema mężczyznami. Nie będzie tam zasp, skał czy drzew, za którymi mogłabym się schować. Nie będzie też kiblarium.

W chatce toczyła się ożywiona dyskusja.

– Scott był gejem! – krzyczał Oddvar. – To znaczy, nie mam nic przeciwko gejom...

– Amundsen był alkoholikiem – odparował Eric.

– Scott był gejem i alkoholikiem! – zawołał Oddvar.

Była to tak zwana debata Romantyzmu z Praktycznością, bardzo popularna na Antarktydzie, a mimo to tak wciągająca, że trudno się było nie przyłączyć. Wygląda to mniej więcej tak: praktyczny Amundsen, mechanicznie zabijający i zjadający swoje psy podczas swojego wyścigu Formuły 1 na biegun, przeciwko Scottowi, miłośnikowi zwierząt, który nie chciał ich traktować z okrucieństwem

(pomimo że niechcący zamordował parę kucyków syberyjskich, które przywiózł na Antarktydę, nie wiedząc, że nie są w stanie wytrzymać takiego mrozu), i który uparł się, że jego ludzie będą sami ciągnęli ekwipunek.

– Wyścig wygrały kalorie – powiedziałam, wywołując pełne aprobaty pomruki.

– Dlaczego Anglicy zawsze gloryfikują tych, którym się nie udało? – wykrzyknął w odpowiedzi Oddvar. – Dlaczego upierają się przy tym cholernym romantyzmie? Amundsen popełnił tylko jeden błąd – nie zginął!

Ułożyłam się do snu w lekkim namiocie rozbitym obok melonowej chatki, zakładając maskę blokującą światło. Długo nie mogłam zasnąć. Byłam bezpieczna, wokół mnie byli inni ludzie, było lato. To nie była ta śmiertelnie groźna Antarktyda, do której trafili Scott i jego towarzysze. Mimo to leżałam, słuchając wycia wiatru i rozmyślając o straszliwych, ostatnich dniach jego wyprawy.

Czytałam dzienniki Scotta. Były pożyteczną lekturą, niemalże obowiązkową dla każdego, kto wyruszał na Antarktydę. Historia rywalizacji między kapitanem Robertem Falconem Scottem, dowódcą wyprawy brytyjskiej z lat 1910–1913, a norweskim odkrywcą Roaldem Amundsenem to prawdopodobnie najlepiej znana opowieść polarna. Obaj chcieli być pierwszymi ludźmi na geograficznym biegunie południowym. Amundsen wygrał o pięć tygodni. Scott wraz z czterema towarzyszami: Lawrence’em Oatesem, Edwardem Wilsonem, Henrym Bowersem i Edgarem Evansem dotarli do bieguna, ale zmarli z głodu i wycieńczenia podczas powrotu do obozu, który rozbili na Półwyspie Evansa na Wyspie Rossa.

Z dziennika Scotta wynika, że prawdopodobnie żył dzień lub dwa dłużej niż jego ostatni towarzysz, Wilson i Bowers, którzy zmarli z wyziębienia w śpiworach. Scott był już wtedy tak słaby, że zapewne nie mógł stać, nie mówiąc o chodzeniu. Być może leżał tam, z odmrożonymi, odpadającymi po kawałku stopami.

Jak wiadomo, tragizm tej historii polega częściowo na tym, że niewiele brakowało, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Tylko osiemnaście kilometrów dzieliło Scotta i jego ludzi od przeżycia – w takiej odległości znajdował się One Ton Depot – magazyn z zamrożonymi zapasami jedzenia i paliwa, który odnaleziono rok później. Gdyby zostawił zapasy nieco dalej albo dał radę do nich dotrzeć, przeżyłoby przynajmniej trzech z pięciu mężczyzn.

Ta noc w namiocie była jedyną, którą spędziłam samotnie na Antarktydzie. Na zewnątrz było jasno, temperatura wynosiła minus piętnaście stopni. Obok mnie stała melonowa chatka, w której spało czterech mężczyzn. Dwóch mężczyzn tankujących samoloty przeniosło się do rozstawionego za chatką, spiczastego namiotu, żeby zrobić miejsce gościom. Nie byłam więc tak naprawdę sama. Mimo to wpatrywałam się w trzepoczące na wietrze, jasne płótno namiotu i w ciemny zamek błyskawiczny, który odgradzał mnie od powietrza na zewnątrz.

Zastanawiałam się, jak wygląda w takim miejscu śmierć. Jak to jest wiedzieć,

że pomoc nie nadejdzie, że być może zniknie nawet moje ciało, że pochłonie je lód? Jak by to było, a właściwie jak to będzie, poczuć, że za chwilę wkroczę w wymiar, którego nie da się objąć doświadczeniem? Śmierć tak daleko od ludzi, od cywilizacji, wydawałaby mi się znacząca. Miałam wrażenie, że opuszczenie przez jaźń, które jest nieodłączną częścią śmierci, tutaj niosłoby ze sobą mniej goryczy. Może Scott czuł, że jest to jego obowiązek, jego odpowiedzialność, trzymać się blisko śmierci, nie pozwolić, żeby o nim zapomniano. Tak jakby to on, a nie Śmierć, zdecydował o swoim umieraniu.

Następnego ranka Tom i ja się spakowaliśmy. Otter wyposażony jest tylko w bardzo podstawowy system nawigacji, będziemy więc lecieć według mapy, na której zaznaczone są współrzędne GPS leżącego głęboko w cieniu Gór Ellswortha obozu, gdzie dwóch geologów zbiera próbki skał.

Wystartowaliśmy i skierowaliśmy się na północny wschód. Po dwóch godzinach lotu w oknie ottera pojawiły się czarne kryształki. Kiedy się zbliżyliśmy, kryształki okazały się trójkątami gór. Góry Ellswortha są jak falbanka na płaskim materiale lądolodu. Leżą na północ od Lodowca Szelfowego Ronne i należą do lądolodu Antarktydy Zachodniej, który tworzy szyję i ogon całego kontynentu.

Dostrzeżliśmy obóz, osłonięty przez Masyw Vinsona, najwyższy szczyt Gór Ellswortha. Wyglądał jak trzy czarne plamki na lśniącej tafli lodu. Przechyliliśmy się i wylądowaliśmy w tumanie płatków śniegu. Nagle ścisnęłam dwa pomarańczowe kombinezony, których nigdy wcześniej nie widziałam. Kombinezony ładowały swoje próbki, a Tom zabrał mnie w tym czasie na spacer. Czarne chorągiewki na bambusowych tyczkach pokazywały, gdzie nie ma szczelin.

Wznoszące się nad nami czarne wieże Gór Ellswortha odcinały się od dostojnego, błękitnego nieba. Widziałam szczeliny na ich obrzeżach. Powiedziano mi, że oprócz geologów przylatywali tu bogaci amatorzy wspinaczki – kardiochirurdzy albo inwestorzy, przywożeni przez wyspecjalizowane biura turystyczne po to, żeby zmierzyć się ze słabo zbadanym pasmem górskim.

Straciłam rachubę czasu. Przylecieliśmy o jedenastej rano, wydawało mi się, że zbliża się już północ. A może było południe? Czy to możliwe, że byliśmy tu dopiero od godziny? Spytałam Toma, który spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Jesteśmy tu od sześciu godzin, może nawet dłużej. Nie nosisz zegarka?

Targałam właśnie pudło z próbkami, kiedy Tom kazał mi spojrzeć w stronę namiotów.

– Zobacz – pokazał na niebo. Nad nami zrobiło się czarno. Dwa srebrne halo unosiły się wokół namiotów i słońca. Nie tworzyły okręgu, raczej niepełną parabolę, tak jak tęcza.

– To parhelion – powiedział Tom. – Słońce poboczne.

Spojrzeliliśmy pod nogi. Wokół naszych butów fruwały małe płatki śniegu, lekkie jak wiórki kokosowe. W bazie mieliśmy zaraz morze, rozpoznawalny element przestrzeni. Wygląd lodowej czapy pasował do jej nazwy. Miałam

wrażenie, że jestem na pomponie.

Skończyliśmy załadunek i wgramoliliśmy się z powrotem do kokpitu. Śnieg był ubity i twardy, niepodobny do brei w Bazie K. Szybko wzbiliśmy się w powietrze. Podtrzymywało nas ubogie w tlen powietrze wyżyny. Zerknęłam na zegarek Toma. Była druga nad ranem. Nie dało się określić godziny na podstawie pozycji słońca, które przesunęło się tylko po niebie, zataczając elipsę.

Okrążyliśmy obóz, przechylając się gwałtownie. Ramię wbijało mi się w szybę kokpitu. Geologowie stali między namiotami i szaleńczo machali. Wzbiliśmy się dopiero na trzysta metrów, ale już zniknęły prawie wszystkie ślady działalności ludzkiej – namioty, anteny radiowe, skutery i sanie zmieniły się w zlepek cząsteczek na powierzchni lodu.

– Piękne, prawda? – Tom miał okulary przeciwsłoneczne, nie widziałam więc jego oczu, ale usłyszałam nutę porozumienia.

Przytaknęłam, chociaż nie byłam pewna, jak to nazwać.

– Pora zarobić na swoje utrzymanie – powiedział Tom.

– Co?

– Przejmiesz stery. Mam papierkową robotę.

Położyłam dłonie na drążkach. Łatwiej się leciało otterem niż dashem. Ten staroświecki, dwusilnikowy samolot doskonale się sprawdza na obszarach polarnych i w buszu. To jeden z najmocniejszych i najbardziej niezawodnych modeli na świecie. Utkwiłam wzrok w sztucznym horyzoncie i w wysokościomierzu, ale od czasu do czasu udawało mi się zerknąć dokoła.

Pod nami słońce oświetlało bruzdy zastrug, zamieniając je w migotliwe, lodowe węże. Lodowce kuliły się, wypiętrzając się i przesuwając w stronę morza. Zerkając przez ramię, na północny zachód, widziałam otwartą wodę – dwa wąskie, błękitne kanały, wypełnione tą głęboką, lśniąca jak drogocenny kamień wodą Antarktydy. Ale to tylko złudzenie, byliśmy daleko od morza. Patrzyłam, jak goni nas nasz własny cień. Na jego krawędzi rozszczepiało się światło, tworząc ruchomą tęczę.

Leciliśmy przez wiele godzin. Płaski ląd pod nami stał się pofałdowany jak zgnieciona kartka papieru. Pojawił się półwysep i znajome góry.

Lot przebiegał gładko. Coraz lepiej szło mi utrzymywanie wysokości. Rozluźniłam się na tyle, że popatrzyłam do tyłu, tam, skąd przylecieliśmy. Wyobrażałam sobie kształt kontynentu, jego brzegi otoczone przez pokryte lodem morze.

Tom szturchnął mnie w ramię. Myślałam, że chce mnie skarcić za to, że nie patrzę przed siebie. Skierowałam wzrok do przodu. Odezwał się przez interkom.

– Nigdy nie patrz do tyłu – powiedział. – To przynosi pecha.

Potrząsał głową. Nie widziałam jego oczu. Zamiast nich w okularach widać było moje odbicie, skompresowaną wersję mnie, z rękami na sterach, w słuchawkach i z mikrofonem.

– Ale dlaczego?

– Przesąd pilotów. Trzeba skupiać się na tym, co się ma przed sobą. Nigdy nie

wiadomo, co się wydarzy.

Dotarliśmy do Bazy R o siódmej rano. Byliśmy wykończeni. Tom posadził samolot i przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Niebo rozwarstwiło się na pomarańczowe, niebieskie i złote pasy.

– No dobrze – odezwał się Tom. – Chodźmy do domu po herbatę i medale.

W domu Mark ogląda Wimbledon. Zrobił doktorat w Anglii, mieszkał tam przez cztery lata. Opowiadał o punkowcach, strajkach, narodzie, który patrzył na swój własny rozpad. Mówił o tych latach, kiedy tylko mógł, wciskając te opowieści do każdej rozmowy. Płonął wtedy wewnętrznym światłem. Jakby tylko tam żył naprawdę.

Nigdy nie byłam w Anglii. Obraz, który poskładałam z tego, co widziałam w telewizji, w serialach, co słyszałam w piosenkach, był niedopasowaną układanką sprzecznych obrazów. Przedstawiał kraj bardziej brutalny, biedniejszy i targany konfliktami, a jednocześnie utrzymujący monarchię i rozpadające się pałace. Jeszcze tego nie wiem, ale za cztery lata się tam przeprowadzę, najpierw na dwa lata, a potem na zawsze.

Matka wchodzi do pokoju i gapi się na zielony prostokąt w telewizji i dwie hasające po ekranie postacie w bieli.

– Te kobiety nie powinny same chodzić po nocy.

– Mężczyźni chodzą – mówię. – Dlaczego kobiety nie mogą?

– Mężczyźni też są atakowani.

– Ale nie tak, jak kobiety.

– Oczywiście, że są – mówi matka. – Wierz mi. Po prostu się o tym nie mówi.

Matka rzuca mi nieprzeniknione spojrzenie. Mam wrażenie, że próbuje okazać troskę, ale nie umie wejść w nastrój i dobrać odpowiedniego tonu głosu. Sądzę, że nie byłaby zadowolona, gdyby coś mi się stało, ale że utwierdziłoby ją to w przekonaniu, że miała rację co do świata. Wystąpiłaby symetria, byłoby sprawiedliwie.

Znowu się spotykamy, tym razem w Executive, gdzie pracuję. Nie wolno mi pić w pracy, odrzucam więc propozycję wypicia razem piwa.

– Co tu robisz?

– Zbieram brudne naczynia. Nalewam alkohol, oczywiście nielegalnie.

– Ale przecież pracujesz w sklepie.

– Właściwie mam trzy prace. – Nie mówię mu o stajni, w której też pracuję, i o koniu, którego tam trzymam już od kilku lat za własne pieniądze.

– Jak to wszystko ogarniasz? – Zerka na mnie. – Szkołę i tak dalej.

– Nie wiem – odpowiadam. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Wiem tylko, że nikt nie zapłaci za moje studia. Odkąd matka wyszła za Marka, wszystkie pieniądze wydaje na dzieci, a ponieważ władze uczelni wliczają też jego pensję do dochodów rodziny, nie spełniam warunków, żeby dostać kredyt.

Rzuca mi spojrzenie, jakiego dotąd nie widziałam. Karcąco, ale gdzieś głęboko widać też iskierkę dobroci.

– Nie spytasz, ile mam lat i jakie mam plany na przyszłość? – Próbuję mówić ostro, żeby nie poddać się dziwnemu, grząskiemu uczuciu, które pojawiło się gdzieś w głębi.

– Nie, chyba że chcesz. A brzmi to tak, jakbyś nie chciała.

– No więc czym się zajmowałaś? – Nie dodaję: przez te wszystkie lata.

– Cóż, przez jakieś pięć lat pracowałem na Terytorium Północno-Zachodnim jako pilot w dziczy. Potem latałem na zachodzie, w Kolumbii Brytyjskiej. Pracowałem dla Air Canada.

To mogło wyjaśniać drogi zegarek. Nie znałam się na zegarkach, ale ten wyglądał na zagraniczny. Był ze szcztokowanego metalu, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Nie przypominał kolczyków z pewteru, które sprzedawaliśmy w Shades of Light.

– Gdzie mieszkałeś na północy?

– W Resolute Bay. Latem latałem na Grenlandii, bo w Air Greenland brakowało pilotów. To było ciekawe. To kraj pokryty lodem.

– Wiem. To właśnie zatopiło „Titanica”, góra lodowa z Grenlandii.

Uśmiecha się. Jest w tym uśmiechu jakieś wahanie i delikatność, coś, czego nie widziałam u innych mężczyzn. Nuta niedowierzania.

Opiera się wygodnie. Prawie nie tknął kawy.

– Masz dzieci? – Chcę powiedzieć: „inne dzieci”, ale coś mnie powstrzymuje.

– Tak, chłopca i dziewczynkę. Mieszkają z matką na Zachodzie.

– Dlaczego nie jesteś teraz z nimi?

– Chciałem przyjechać do domu. Muszę niedługo wracać. Nie mogę tu zostać.

Łapię się na wpatrywaniu się w jego usta. Głodne, odrobinę bardziej okrutne niż moje.

Zaczyna mówić. Sporo czasu minie, zanim zrobi przerwę. Nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby dorośli wygłaszali takie monologi. Mrużę oczy i słucham.

Opowiada mi o Afryce, o pustyni Namib i dziwnym, niemieckim mieście, w którym stacjonował, kiedy tam latał. O słońcach pustynnych, które przemierzają pustkowia w poszukiwaniu wody, o roślinach, które nigdy nie zaznały deszczu, a wodę czerpią z płynącej znan zimnego oceanu mgły.

– Kolory są tam niesamowite. Słońce rzuca na wydmy niezwykle światło. Wyglądają, jakby płonęły. Rozciągają się po horyzont, aż do Angoli. Wybrzeże w ogniu.

Mój umysł wraca do życia, jakby dotąd był uśpiony. Widzę pustynię, która spływa do oceanu. Widzę siebie w tym krajobrazie – gęste lasy sękatych sosen i kriogeniczny sen wiecznej zimy mnie nie poruszają.

– Ocean jest zimny, bo płynie tamtędy prąd z Antarktydy. Kiedy dociera do wybrzeży Namibii, tworzy gęstą mgłę.

Przez chwilę czuję się zagubiona, myśląc o miejscu, w którym ścierają się ciepło i zimno. Antarktyda, Namibia. Ich nazwy niosą w sobie ulotne echo odległych królestw nawiedzanych przez ogry i smoki.

Zauważam, że mówi zupełnie inaczej. Z emfazą, opisowo, jak bohaterowie powieści. Moja matka porozumiewa się za pomocą tajemniczych skrawków poleceń, zamiarów i instrukcji. Po raz pierwszy oceniam siedzącego przede mną mężczyznę jako kogoś oddzielnego, niebędącego częścią mnie. Uwalniam go spod ciężaru tego słowa. Ojciec.

Idziemy na spacer nad rzekę. Porusza się szybko i niecierpliwie. Zastanawiam się, czy tak właśnie chodzą piloci. Lubię patrzeć na jego profil na tle nieba i ostrych wierzchołków drzew. Wiem już, co mi się w nim podoba. Ma pewne ruchy, nie waha się. Nie widać w nim poczucia winy, nie robi uników.

– Myślałam, że jesteś jakimś prześladowcą, może nawet tym facetem, który... – Urywam, nie jestem w stanie tego wypowiedzieć. – Kiedy jechałeś za mną.

– Nie chciałem, żebyś tak myślała.

– Pamiętasz mnie jako dziecko?

– Widziałem cię tylko dwa razy, zaraz po twoich narodzinach.

– Jak wyglądałam?

– Jak niemowlę.

Śmieję się.

– Pokażę ci, gdzie się zatrzymałem. – Powiedział mi, że wynajął od znajomego mieszkanie nad rzeką. Niedaleko stąd, w jednym z eleganckich bungalowów, przy których są oddzielne mieszkania.

Przedstawia mnie swojemu znajomemu, panu MacKenzie. Nie mówi: „moja córka”. Prowadzi mnie do banalnego salonu. Jest w nim fotel na biegunach, kanapa w kratkę i staroświecki telewizor.

– Jak długo tu zostaniesz?

– Może tydzień.

Może co? To kolejna rzecz, której nie mówię. Spotkanie z nim pozwala mi udoskonalać dwoistość, której się uczę i która jest chyba częścią bycia dorosłym. Polega to na decydowaniu, co powiem na głos, a co tylko pomyślę.

Mierzy mnie chłodnym wzrokiem.

– Wiesz, nie wyglądasz na osiemnastolatkę. Chociaż nie znam zbyt wielu osiemnastolatek.

– Nie mam jeszcze osiemnastu lat. Mam siedemnaście.

Kiwa głową.

– Aha. Przepraszam

– Nie pamiętasz, kiedy mam urodziny?

– Pamiętam – mówi, ale nie jestem przekonana.

– To dziwny wiek. Nie czuję się młodo.

– Czujesz się staro?

– Tak.

Jest bardzo blisko, dzieli nas tylko stół. Myślę, że nie byłam bliżej mojego rodziciela od momentu poczęcia.

Widzę, że denerwuje się tak jak ja, chociaż tego nie okazuje. Skóra. Wydaje się niewystarczającą osłoną dla mięśni i kości. Chcę ją z niego zerwać, wcisnąć ręce do środka, w tkankę tłuszczową – uczyłam się o niej na lekcjach anatomii. Tłusta i żółta, zalana krwią. Chcę zbadać sieć jego żył, podobnych do wąskich dróg wijących się przez lasy prowincji. Będąc w środku, poszukam kodu. Ma go w środku. Nie wiem, czy należy do niego, czy mogę go sobie wziąć.

Nie chce puścić mnie samej do domu, ale nalegam. Jest jeszcze jasno. Jest lato, słońce zachodzi dopiero po dwudziestej.

Niebo na zachodzie jest złote. Mijam zapyziałą galerię handlową i market budowlany i wchodzę w obsadzone wiązami uliczki. Ciemnookie domki z drewna rosną w kępkach w cieniu drzew.

5. USKRZYDLONA

SZKŁO LODOWE

Krucha, błyszcząca skorupa lodu tworząca się na spokojnej powierzchni wody w wyniku bezpośredniego zamarzania wody albo powstająca z lepy lodowej, zazwyczaj w wodzie o małym zasoleniu. Łatwo się łamie pod działaniem wiatru lub fal, zazwyczaj rozpadając się na prostokątne kawałki.

17 STYCZNIA

Środek antarktycznego lata. W bazie rozluźnienie. Słysząc teraz więcej dźwięków – szum wody w strumieniach i wezbranych potokach, kolejne fale wody spływają z bazy do zatoki.

Na cyplu aż się roi. Słonie morskie wzdychają i przewracają się z głuchym dźwiękiem na bok. Nigdy jeszcze nie widziałam tyle tłuszczu. Marszczy się. Ich skóra ma kolor tytoniu, złuszcza się wielkimi płatami.

Na północnym końcu pasa startowego w gniazdach wydrzyków pojawiły się pisklęta. Ich matki dziobią mnie po głowie, kiedy biegam. Wkrótce pojawią się uchatki. Populacja pingwinów Adeli od grudnia codziennie się potraja – wtedy zaczęliśmy nieformalne liczenie. Codziennie kilka pingwinów drepcze w naszą stronę w swoich smokingach, niczym delegacja miniaturowych dyplomatów.

Dash lata do Stanley i przywozi naukowców. Kocham dźwięk śmigieł, ten świst, szum i warkot, kiedy samolot siada na pasie.

Dziś rano do mojego pokoju przydzielono nową, tymczasową koleżankę – Helen, chemiczkę atmosfery. Sądzę, że jest po trzydziestce. Mówi, że ma męża i dwójkę dzieci. Dziećmi zajmuje się mąż i jej siostra. Ma krótkie, jasnorude włosy i ciemnozielone oczy. Wydaje się dużo bardziej zżyta ze światem niż ja.

Od razu ją polubiłam. Jej biurko jest zarzucone drogimi kremami z filtrem i kremami nawilżającymi Clarins. Mówi:

– Słońce jest tu zabójcze, naprawdę. Nawet na moment nie wystawiaj twarzy, jeśli nie posmarowałaś się filtrem 50. Mówili ci, że musisz go nakładać też pod brodą?

Owszem. W zeszłym roku jakaś świeżo przybyła dorobiła się poparzeń trzeciego stopnia, bo była na śniegu przez sześć godzin, a nie posmarowała sobie wcześniej podbródka.

Helen chce jechać w teren, zrobić swoje i wracać do domu. Tak mi powiedziała. Jej mąż nie jest zbyt szczęśliwy z powodu jej pięcioletniego pobytu na Antarktydzie.

– Chyba mu się wydaje, że dam się uwieść jakiemuś przystojnemu pilotowi i nie wrócę do domu.

- Zdarzyło się kiedyś coś takiego?
- Chyba raz, jakieś dziesięć lat temu.
- I jak to się skończyło?
- Wysłałam za niego.

Pokazuje mi zdjęcia swojego męża, który kiedyś był pilotem na Antarktydzie, a teraz pracuje dla British Airways i lata boeingami 737.

Przyjazd Helen uświadomił mi, że nie spędziłam tu zbyt wiele czasu z kobietami, pomijając Suzanne, która właśnie wróciła do Wielkiej Brytanii. Nie dlatego, że ich tu nie ma – w tym roku trzydzieści procent mieszkańców bazy to kobiety. Być może to nie płęć, a różnica wieku sprawiła, że rzadziej zawierałam przyjaźnie z kobietami – wszyscy, którzy przyjeżdżają tu w celach naukowych, są bardzo młodzi. Nawet Melissa, lekarka, jest ode mnie o pięć lub sześć lat młodsza.

Kobiety przyjeżdżają do bazy od niezbyt dawna. Na konferencji dowiedziałam się, że program BAS-u nie obejmował kobiet aż do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Zakaz ten zasadniczo wiązał się z zachodzeniem w ciążę i z potencjalnym ryzykiem zdrowotnym oraz trudnościami z wywiezieniem ciężarnej zimą z Antarktydy. (Chociaż sporo dzieci przyszło cało i zdrowo na świat w położonych na Półwyspie Antarktycznym bazach chilijskich i argentyńskich).

BAS stopniowo dopuszczał kobiety do swojego programu. W 1986 roku w bazie na wyspie Signy spędziły lato pierwsze kobiety. Były naukowcami. W 1993 roku pierwsza kobieta została tam na zimę, a w 1997 pierwsza kobieta spędziła zimę w Bazie R. Od tego czasu liczba kobiet w bazach brytyjskich stale rośnie.

- Nie jest to już żadna atrakcja – powiedziała Melissa, lekarka. – W tym roku wszyscy lekarze to kobiety. Mieliśmy tu już hydrauliczkę, a nawet pilotkę. Nie chodzi o płęć. – Spojrzała na mnie podejrzliwie, jakbym była orędowniczką takiego złudzenia. – Zimą ogarnia cię poczucie odpowiedzialności za zdrowie i dobre samopoczucie, swoje i innych. Wszyscy są wtedy jednością.

- Jak rodzina?

- Bardziej jak rodzeństwo. Tak właśnie myślę o facetach, z którymi spędziłam tu zimę. Są moimi braćmi.

Przypomniałam sobie radę, której udzielono mi na konferencji. Właściwie było to ostrzeżenie. To nie jest miejsce dla skrytych osób. Ludzie chcą, żebyś był prawdziwy, żebyś dał się poznać. Trzeba być szczerym i prostolinijnym. Przekaz był taki, że będąc kobietą, musisz być dobrym kompanem. Masz być wesoła i zabawna. Uwodzicielki są tu przekleństwem. Dziela mężczyzn, kobiety zresztą też. Tutaj wszyscy tworzymy nieszkodliwą armię, funkcjonujemy tylko jako całość.

Siedziałyśmy w gabinecie Melissy. Wyglądał jak każdy inny gabinet lekarski. Na tablicy przyklejone były żółte karteczki, lekarstwa leżały w zamkniętej,

szklanej szafce, a na ścianach wisiały plakaty firm farmaceutycznych. W kącie leżała jednak para raków, a obok nich gogle narciarskie i polarowo-puchowe rękawice.

Melissa emanowała powagą. Lekarze z konieczności pełnili tu podwójną funkcję. Z jednej strony byli członkami ekipy, jeździli na nartach i pili alkohol jak cała reszta. Z drugiej, znali najgłębiej skrywane tajemnice ludzkich ciał i psychiki, i w każdej chwili mogli zostać wezwani do ratowania ci życia. Byli przy tym zdani tylko na siebie.

Podczas rozmowy z Melissą zaczęłam układać sobie taki scenariusz – zakochujesz się w kimś w bazie, zostajecie tu na zimę, ale coś idzie nie tak. Próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było dobrowolnie zostać tu odcięty od świata z kimś, w kim się jest zakochanym. Działyby ulotność tego miejsca. Byłyby zadziwiające spektakle świetlne i złudzenia optyczne występujące na niebie polarnym w zimie. Ale co, jeśli w ten obraz wkradłyby się brak wzajemności, zazdrość albo zdrada? Nikt nie mógłby po prostu odejść.

Poruszyłam to w rozmowie z Melissą. Przez chwilę wyglądała na śmiertelnie poważną.

– Tak, to byłby koszmar. Tu każdy wie wszystko o wszystkich. Nie możesz usiąść z kimś przy stole przez trzy wieczory z rzędu, żeby nie wywołać plotek. Dlatego wszyscy są tu tacy nieufni, przynajmniej dopóki lato jest na horyzoncie.

– Najbardziej się bałam, że wzbudzę coś w rodzaju... – Wciągnęła głośno oddech. – Pasji, która doprowadzi do zazdrości. Byłam jedyną kobietą, taka ewentualność istniała. W zimie byłoby to fatalne.

Zamyśliłam się nad tym słowem. Pasja. Jego prawdziwe znaczenie ukryte jest w łacińskim rzeczowniku *passio*, czyli cierpienie. Nawet kiedy oznacza wzajemne, rozgrzane do białości uczucie, wciąż ciągnie za sobą cierpienie, ponieważ nie da się jej w pełni zaspokoić.

6 LUTEGO

Światło się zmieniło. Kiedy to się stało? Jednego dnia świat jest zalany ostrym słońcem, a następnego światło zaczyna się wahać.

Letni sezon kończy się powoli dla naukowców. Ekipy prowadzące odwierty rdzenia lodowego i zespoły z radarami wracają z terenu, nikt nowy nie wyrusza. Populacja bazy stabilizuje się na poziomie od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu osób. Robi się spokojniej. Zaczynamy znowu przeciągać posiłki.

Podczas obiadu rozmawiam z Russellem, biologiem morskim. Jest wysoki i tyczkowaty, nie tyje i trzyma formę, biegając maratony po płycie lotniska.

– Jak sądzisz, dlaczego ludziom z bazy nie podoba się to, że przyjeżdżają tu pisarze i artyści?

– Nie chodzi tylko o pisarzy i artystów – mówi Russell. – Chodzi o wszystkich,

którzy nie są naukowcami. Jako naukowiec musiałeś naprawdę ostro walczyć, żeby się tu dostać. Przyjazd każdej osoby oznacza, że ktoś inny wypadł z gry. Antarktyda to jedyne miejsce na Ziemi, które jest w całości zarezerwowane dla naukowców, ale jej zasoby są ograniczone. Poza tym... – Urywa, jakby nie był pewien, czy wpadło mu do głowy coś sensownego. – Myślę, że chodzi o to, że tutaj nikt nie jest wyjątkowy. Jak tylko komuś uderzy woda sodowa do głowy, bo na przykład jest jakimś VIP-em albo po prostu jest arogancki, od razu spadnie na niego gniew całej reszty. Pisarze i artyści potrafią wyolbrzymiać różne sprawy, więc ludziom może się wydawać, że nie będą tu pasować. Oczywiście, może to też być kwestia zazdrości.

– O co?

– O uwagę mediów. Naukowcy pracują za kulisami, są skrupulatni, nie szukają poklasku. Próbuje zrozumieć.

– Wydaje mi się, że żyjemy w czasach, w których naukowcy docierają do prawdy.

– Być może, ale nie mają pieniędzy ani sławy.

Coś w tym jest. Dowiedziałam się, że naukowcy nie zarabiają zbyt dobrze, chyba że są profesorami. Dociera do mnie, że ludzie w bazie mogą sądzić, że skoro jestem pisarką, to dobrze zarabiam, albo że zarobię dzięki temu, że tu przyjechałam. Komiczna wizja.

W oknie za plecami Russella widać górę lodową wielkości lotniska Heathrow. Wiatr z południa przygnał ją tu dziś rano. Zaparkowała na końcu pasa startowego. Dla samolotów to kłopot – dzisiaj wieje z północy, więc piloci muszą podchodzić do lądowania od południa. A tam stoi góra lodowa.

– Będą lądować z wiatrem z tyłu, o ile główny pilot uzna, że to bezpieczne – powiedział Russell. – A jeśli nie, to poczekają w terenie.

– Kiedy góra się przesunie?

– Któż to wie? Może dzisiaj, kiedy zacznie się odpływ. A może w przyszłym tygodniu. Albo nigdy. Na tym polega urok Antarktydy. Nikt nie wie, co się stanie w następnej minucie.

Tego wieczoru w drzwiach mojego pokoju stanął Xavier z dwiema książkami w rękach.

Poprzedniego dnia wrócił z Wyspy Berknera, gdzie spędził prawie miesiąc. Wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciach, które widziałam w kwaterze głównej w Cambridge – jego różana cera poszarzała. Na podbródku widać było cień niedawno zgolonej brody.

– Pomyślałem, że zainteresują cię te lektury. – Pokazał mi okładki. *Historia glacjiologii* i *Duchowa historia lodu*.

Podziękowałam, dodając:

– Próbowałam czytać „Roczniki glaciologiczne”, ale pełno w nich artykułów typu... – Wzięłam do ręki kilka czasopism, które leżały na biurku, i otworzyłam na spisach treści – „Korelacja między horyzontami zawierającymi izotop morski stadium 4 kryptotefry w rdzeniach lodowych NGRIP i GRIP” i „Modele bilansu

masy lodowców Wyżyny Tybetańskiej – kwestia siatek obliczeniowych”.

Roześmiał się.

– Te książki powinny być bardziej przystępne. Pierwszy rozdział jest świetny. Opisuje okres, w którym rosły tu lasy tropikalne zamieszkiwane przez dinozaury.

Jeszcze jakieś 180 milionów lat temu Antarktyda była częścią superkontynentu Gondwany. Panował tu wtedy tropikalny klimat, ziemię porastały charakterystyczne dla kambru gigantyczne widłaki i paprocie. Pod względem geologicznym Antarktyda jest podobna do południowej Afryki. Xavier mówi, że dowodzą tego skamieliny i minerały – pod dwukilometrową warstwą lodu są tu bogate, żyzne gleby, które mogą kryć w sobie złoża węgla, diamentów, może nawet złota.

– Za jakieś 150 milionów lat – mówił – Europa i Afryka się wypiętrzą. Ich kamieniste brzegi skruszą się, aż wreszcie połączą w jeden kontynent, wchłaniając przy tym Morze Śródziemne. Ameryka Północna, Australazja i Indie połączą się, tworząc nowy superkontynent, a Ameryka Południowa zatonie w rowie na środkowym Atlantyku.

– A Antarktyda? – spytałam. – Co się z nią stanie?

– Zostanie tam, gdzie była. Będzie coraz bardziej odizolowana, bo pozostałe kontynenty będą się odsuwały.

– W takim razie dostanie to, czego chciała – odparłam. – Będzie sama.

Xavier wrócił do swojego komputera. Lodowce lśniły za oknem. Dwa skutery wspinały się po ich zboczach, przewożąc amatorów nocnego narciarstwa. Umościłam się wygodnie w biurze, oparłam stopy na grzejniku i zaczęłam czytać książki, które Xavier mi pożyczył.

Lektura *Duchowej historii lodu*, błyskotliwej analizy związku twórców romantycznych z lodem, napisanej przez amerykańskiego naukowca Erica Wilsona, przypomniała mi, że w wierszach Shelleya sporo jest podejrzliwości względem lodu: był zimny, wyniosły, trzymał dystans, niósł ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo. Lodowce w ogóle postrzegano jako zło. Wraz z nadejściem Oświecenia te mroczne wizje zaczęły się rozwiewać. Lodowce stały się „skarbnicami magii”, jak ujął to Wilson. Sztuka i nauka zwały szyki, żeby opisać i uchwycić tajemnicę przyciągania lodu i jego zmienną naturę.

Za to Goethe wierzył, że nauka i sztuka są swoimi odbiciami. Wilson pisze: „Tak jak sztuka, natura rządzi się pewnymi prawami, zewnętrznym rytmem wewnętrznej, niesfornej energii. Jest zdyscyplinowana i ekstrawagancka, ma sens i jest go pozbawiona [...]. W średniowieczu i w renesansie lód jęczał, bo nawiedzały go demony, ale w osiemnastym wieku lód jest czymś strasznym, ale pięknym, a duchy, które go nawiedzają, są łącznikiem między ludzkimi duszami a kosmiczną mocą”. Lodowce, które według Wilsona były „bezkresną prawością, przedziwną i obdarzoną wieloma znaczeniami, koniecznością i pogwałceniem”, zostały potem przekształcone w duchy nazywane *daimonami* – „znanymi pocie duchami, które wiążą go z życiem”. Te duchy były przewodnikami poetów podczas ich poszukiwania prawdy o naturze i dążenia

do oddania tej prawdy w sztuce. W ten sposób, zdaniem Wilsona, narodziło się pojęcie nowoczesnej wzniosłości.

Kiedy odkładałam książki, była już trzecia nad ranem. Za oknem wznosiły się czarne wierzchołki Gadzich Gór (Reptile Ridge), nazywanych tak, ponieważ ich spiczasta grań przypomina grzbiet iguany. Ich czubki lśniły płomiennym blaskiem wiecznie zachodzącego słońca. Nie było śladu po narciarzach, prawdopodobnie już dawno wrócili, zjeżdżając na skuterach w błękitnym świetle świtu.

Szłam przez pogrążone w ciszy korytarze Bransfield House. W każdym z laboratoriów stały stosy srebrnych skrzyń, dopiero co przywiezione z terenu. W środku były wiertła do lodu, części radarów, echosondy – przyrządy do poszukiwania zamrzniętych jezior, które są uwięzione pod kilometrami lodu, coraz szybciej się przesuujących strumieni lodowych i łamiących się od wewnątrz lodowców na Pine Island.

Panowała cisza, dobiegał do mnie jedynie szum generatora. Byłam jedyną niepogrążoną we śnie istotą, jeśli nie liczyć wydrzyka Bubby, który, jak dobrze wiedziałam, czekał na mnie po drugiej stronie drzwi. Najbardziej lubiłam bazę właśnie o tej porze. Była opustoszała, sprawiała wrażenie miejsca z innej planety, uziemiony statek kosmiczny, zatrzymany przez lód.

Otworzyłam drzwi, żeby powiedzieć Bubbie dobranoc, i cofnęłam się w szoku. Wystawiłam rękę na nocne powietrze i poczułam gęstą i ciemną substancję, podobną do zwierzęcej skóry.

To była noc, a przynajmniej jakaś jej wersja. Niebo zmieniało się w szybkim tempie. Doświadczane na początku stycznia dni palącego słońca i zatrzymanego w zachodzie słońca, które zmieniało krajobraz w pole lawy, już minęły. Na kremowym niebie pojawiła się połówka słońca. Zawahało się nad horyzontem, jakby nie było przekonane do tego, żeby wzejść. Jego światło było niebieskawe i ciągnęło się jak białko jaja.

Za dwa tygodnie zaczną odlatywać samoloty. Najpierw ottery, a potem dash, kiedy już odbędzie ostatni lot na Falklandy. Populacja bazy ograniczy się do osób czekających na ostatni w tym sezonie statek, „Ernesta Shackletona”, który ma przypłynąć pod koniec marca.

Sięgam po plastikową plakietkę z moim imieniem i przewieszam ją z sekcji „W bazie” do sekcji „Nory”. Jak co noc mówię Bubbie dobranoc i idę spać.

7 LUTEGO

Dzisiaj przypadła kolej Toma na wygłoszenie wykładu w ramach Uniwersytetu z Dna Świata. Opowiadał o swojej ostatniej podróży na biegun, pokazując przy tym zdjęcia.

Mówi, że tak naprawdę są cztery bieguny południowe: południowy biegun geograficzny, położony na południowym końcu osi obrotowej Ziemi, do którego Roald Amundsen dotarł jako pierwszy w 1911 roku, oraz południowy biegun magnetyczny, w którym skupiają się linie pola magnetycznego Ziemi. Biegun

magnetyczny co roku się przemieszcza, albo „węduje”, obecnie jest gdzieś na Oceanie Południowym. Jest jeszcze południowy biegun geomagnetyczny, czyli teoretyczny punkt, który zaznacza południowy kraniec pola geomagnetycznego Ziemi. On również się porusza i w tej chwili jest gdzieś obok rosyjskiej stacji Wostok na południowym wschodzie Antarktydy. I wreszcie jest mój ulubieniec, południowy biegun niedostępności, czyli miejsce położone najdalej od wszystkich brzegów oceanu.

Widzimy zdjęcia Amerykanów na Antarktydzie. Tom był świadkiem dokonanego przez nich letniego trawersu z położonej na wybrzeżu stacji McMurdo do leżącej na biegunie stacji Amundsen-Scott. Przerzuca zdjęcia niezdatnych pojazdów księżycowych, hybryd traktorów z kombajnem, z łańcuchami pozapychanymi śniegiem, ciągnących kontenery ze statku na ogromnych saniach.

– Tu jest trochę inaczej – mówi. Jak łatwo przewidzieć, amerykańska baza jest duża i atrakcyjna. O wiele bardziej przypomina siedzibę dużej korporacji niż nasze skromne, edwardiańskie przedsięwzięcie. Mają nawet bankomat łączący się z bankiem przez satelitę. Ich budynki mieszkalne wyglądają jak duży akademik uniwersytetu w, dajmy na to, Wisconsin. Mają kręgielnię i boisko do koszykówki.

Patrzemy z zachwytem na brzuchatego C-130 lądującego na oblodzonym pasie, na odśnieżarki będące połączeniem traktora i kombajnu, które przypominają stalowe, skrzydlate smoki, na księżycowe, trzypiętrowe bloki mieszkalne, na ogromny teleskop do przeszukiwania nieba, na rozległą, lodową płytę lotniska, na skrzynki amerykańskiego piwa, przywożone prosto z Kalifornii, podczas gdy my musimy zadowolić się urugwajskim piwem warzonym w Stanley. Nie możemy się powstrzymać i zaczynamy się rozglądać po ścianach, które nas otaczają. Modułowa zabudowa jadalni, zdjęcia psich zaprzęgów, wystrzępione flagi, tarcza do rzutek i stół do bilardu. Amerykanie żyją w teraźniejszości, może nawet w przyszłości, podczas gdy w Bazie R wciąż jeszcze tkwimy w edwardiańskiej bajce Antarktydy Scotta.

Po wykładzie Toma poszłam z nim na spacer na cypel. Na North Cove minęliśmy plamy jakiejś brązowej brei i krwi, które odcinały się szokująco od śniegu. Foki Weddella rodziły niedawno młode. Zatrzymałam się. Na Antarktydzie tak bardzo brakowało barw, że każdy kolor, nawet brąz foczych odchodów, był balsamem dla spragnionych oczu.

– Sekret Antarktydy polega na tym, że trzeba wiedzieć, kiedy wyjechać – powiedział Tom. – Powinno się wyjeżdżać w zachwycie. – On sam miał wyjechać, a właściwie odlecieć dashem, za miesiąc. W miejscu, w którym ludzie zazwyczaj dobrowolnie skazują się na dwuipółroczne więzienie, miesiąc wydawał się krótkim okresem.

– Wiem – odparłam. – Mam nadzieję, że nie zostanę za długo.

– Zobaczysz coś, co widziało bardzo niewiele osób na świecie. Początek

antarktycznej zimy. – Słowa może brzmiały zachęcająco, ale ich ton niekoniecznie. Nie powinno mnie to dziwić, początek zimy na Antarktydzie musiał być otrzeźwiającym doświadczeniem. Ta siła natury. Przypuszczam, że przypomina to przyglądanie się temu, jak ktoś umiera.

Patrzyłam, jak Tom szuka ścieżki między kamieniami. Zmienił się, wydawał się bardziej zamyślony. Nie znałam go na tyle, żeby zapytać, co się stało. Mogło się wydawać, że na Antarktydzie szybko zaczynamy się przed sobą otwierać. W Górach Ellswortha byłam jedyną osobą na świecie (nie licząc Oddvara, Erica i pozostałych mężczyzn w kombinezonach). Czułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej, a Tom był moim jedynym towarzyszem. Mimo to coś powstrzymywało mnie przed zadawaniem mu osobistych pytań.

Spacerowaliśmy, obserwując foki Weddella. Tak jak przypuszczaliśmy, wiele samic rodziło właśnie młode. Małe foczki leżały przy bokach matek, wilgotne wałeczki futra i tłuszczu.

Nagle niebo pociemniało. Noc zaczynała zabierać coraz większą część dnia. W zadziwiającym tempie powracała z wygnania. Słońce zniżyło się prawie do horyzontu. Kiedy siłowało się z lądem, jego światło rozszczepiło się na dwa snopy, ustawione do siebie pod kątem prostym, przypominające dwie wskazówki kompasu. Jedna wskazywała na północny wschód, a druga na południowy zachód.

Wspięliśmy się pod pomnik upamiętniający zmarłych na Krzyżu i zastaliśmy tam Gavina i Bena. Oglądali zachód słońca. Staliśmy w ciszy. Nie mieliśmy rękawiczek, chowaliśmy więc ręce do kieszeni.

Nie może być lepiej. Ta myśl pojawiła się znienacka. Co masz na myśli?, spytałam głoś, który ją wypowiedział. Czułam, jak coś zaczyna mnie naciskać, z daleka, ale wyraźnie. Barometryczny smutek.


Czy pamięć powinna być ołtarzykiem chwil? Niektóre wspomnienia z Antarktydy stały się już dla mnie święte. Są tam, nieruchome, nietknięte, możliwe do odtworzenia, obracające się jak góry lodowe.

Oto jeden z nich: sympatyczna, kwadratowa twarz Toma oświetlona chłodnym blaskiem, niespokojne oczy Gavina wypatrujące czegoś na lodzie. Wyspa Aleksandra, Wyspa Jenny, Ryder Bay, góry lodowe uwięzione w zeszlórocznym lodzie na North Cove, Gadzie Góry, trzymające wartość, podobne do Walkirii szczyty za wyspą Piñero. Gdzieś w oddali Ziemia Grahama – długi grzbiet pokrytych lodem gór, wyciągający macki na północ, w stronę Ziemi Ognistej. Słońce, które nie zachodzi, ale go nie widać. Nigdy nie będę umiała opisać tego, co widziałam w tym momencie. Będę zapisywać takie słowa, jak „sińce”, „lawa”, „spalanie”. I jeszcze „morelowy”, „mandarynkowy”, „karminowy”.

Zamykam w tej chwili oczy i nadal nas widzę, cztery osoby na końcu świata, skąpane w blasku wiecznego zachodu słońca. Gavin ze swoją wybuchową, pełną ciekawości inteligencją, Ben z burzą włosów stężących od mrozu, Tom, zręczny, obdarzony niesamowitą intuicją pilot. I ja, pisarka – szpieg, która pewnego dnia wyolbrzymi tę chwilę w próbie uchwycenia tego, co ulotne, co nie chce dać się złapać ani poznać. Słońce, które nigdy nie śpi, i my, stojący na

Krzyżu, zastygnięci w zimnym zachwycie.



A black and white photograph of a massive iceberg floating in the ocean. The iceberg has a flat top and steep, craggy sides. The water is dark and choppy. The sky is a uniform, light gray.

CZĘŚĆ TRZECIA
ZIMA



1. JEŚLI NIE, ZIMA

LÓD NIERÓWNY

Jednoroczny lód, który we wczesnym stadium był poddawany rozwieraniu się i piętrzeniu. Powstał w wyniku przymarzania do siebie krążków lodowych i fragmentów świeżych wałów lodowych.

16 LUTEGO

Piloci zaczną wyjeżdżać za dwa dni. W parach, etapami będą odstawiać samoloty na północ Kanady. Dash 7 będzie ostatni. Wyleci na początku marca, zabierając ze sobą główną część letniego personelu bazy. Reszta z nas będzie czekać na statek, „Ernesta Shackletona”, który ma przyplłynąć pod koniec marca.

Do końca marca zostało sześć tygodni, ale Simon i Steward zachowują się, jakby to było już jutro. Musimy zabrać się za jesienne porządki. Trzeba przywieźć sprzęt z Bazy K i z Ice Blue. Niektóre z zostających na zimę osób zaczęły się już pakować. Przyszłość spieszy w ich stronę, wracając z miejsca, w którym czekała w oddali. Antarktyda to jedno z niewielu miejsc na Ziemi, gdzie można przełączyć życie w tryb wstrzymania, w pogoni za wiedzą albo pieniędzmi, albo po prostu po to, żeby się oderwać od reszty świata. Dopiero teraz, kiedy ustalono datę wyjazdu, poczuliśmy presję przyszłości. Właściwie dopiero teraz uwierzyliśmy w jej istnienie. Wróciła, tak jak noc. Stało się i teraz czuję jej nieustępliwość. Przyszłość się buduje, chwila po chwili. Zbliża się.

Atmosfera letniego obozu została zastąpiona przez nastrój typowy dla końca semestru. Wszystkie zespoły terenowe już wróciły i poleciały do Anglii. W najbliższy weekend Steward i asystenci terenowi polecą zamknąć Bazę K i Ice Blue. Dash lata do Stanley z kompletem pasażerów.

Podczas jednego z tych pustych popołudni Gavin zaprosił mnie do laboratorium morskiego. Zaglądałam tam już wcześniej i wiedziałam, czego się spodziewać – chłodni wypełnionej dużymi, płaskimi akwariami. Żyły w nich dziwne i fascynujące gatunki zamieszkujące morza szelfowe i dno oceanu.

Laboratorium mieściło się w nowym, specjalnie zaprojektowanym budynku. Postawiono go w pośpiechu kilka lat temu w miejsce starego laboratorium, które się spaliło. Pachniało jak wszystkie budynki w bazie – jak dormitorium albo kontener. Latami będę rozpoznawać ten zapach w salach uniwersyteckich i tymczasowych biurach.

Gavin pokazał mi płytkie akwaria. Zaglądałam do nefrytowej wody. Wśród

podopiecznych Gavina były ogromne gąbki, niektóre o długości dwóch metrów. W ich wnętrzu mógłby schować się człowiek. Patrzyłam na wielkie rozgwiezdy i gigantyczne kikutnice.

Gavin włożył rękę do jednego ze zbiorników i wyjął stworzenie wyglądające jak czarny dysk wielkości mojej dłoni. Wzięłam je. Było zaskakująco ciężkie. Patrzyłam, jak owija czułki wokół mojego nadgarstka.

– To kikutnica.

– Dlaczego są takie wielkie?

– To prawdziwy paradoks, prawda? Wydawałoby się, że w takiej zimnej wodzie ledwie da się przetrwać, a tymczasem znajdujemy tu takie olbrzymy. Te wody należą do najżyźniejszych na ziemi, chociaż są takie zimne. Jest tu mnóstwo krylu, a brak drapieżników. Świetnie radzą sobie tutaj gąbki, żachwy, rozgwiezdy, kikutnice – wszystko. Ludziom wydaje się, że jeśli te wody się ocieplą, to nie będzie to duża strata, bo i tak nic w nich nie żyje. Ale są istoty, które świetnie czują się w chłodzie, a nie poradzą sobie w cieple.

„Istoty, które świetnie czują się w chłodzie, a nie poradzą sobie w cieple”. Kolejne zdanie, które zostało wygłoszone od niechcenia, a które utkwi mi w głowie na długo.

– Co tu badasz?

W ułamku sekundy poprzedzającym odpowiedź postawa Gavina się zmieniła. Wyprostował się, a miał co najmniej metr osiemdziesiąt. Nagle zrobił się też szerszy. Być może tak właśnie wyglądała jego poza wykładowcy, ta wersja Gavina, którą można było zobaczyć w telewizji, kiedy „wyjaśniał”, co to jest globalne ocieplenie.

– Wody otaczające półwysep ogrzewają się szybciej niż jakiegokolwiek inne morze na Ziemi. Ocieplenie wpływa na układy nerwowe tych zwierząt, w rezultacie czego masowo giną. To z kolei zakłóca łańcuch pokarmowy. Wszystko, co tu żyje, przystosowało się do skrajnie niskich temperatur. Podniesienie temperatury o jeden stopień może doprowadzić do spadku ilości krylu, a nawet do jego całkowitego zniknięcia. Jeśli tak się stanie, będzie to koniec wszystkich żyjących tu zwierząt. Nawet pingwinów.

Antarktyka to jednocześnie twarde i kruche środowisko, i te pozornie odmienne cechy są ze sobą nierozłącznie związane. Kiedy badane przez Gavina zwierzęta przystosowały się do stosunkowo wąskiego zakresu temperatur, które dla innych stworzeń są śmiertelne, stały się całkowicie nieodporne na najmniejsze nawet zmiany środowiskowe. Ocieplenie, w normalnych warunkach ułatwiające życie, dla nich jest śmiertelnym zagrożeniem.

Przeszył mnie dreszcz. Miałam na sobie trzy polary, ale było tu tak zimno, że trzy warstwy nie wystarczały.

– Chodźmy do biura, napijemy się herbaty – zaproponował Gavin. Z jego okien roztaczał się widok na pas startowy. Nic się na nim w tej chwili nie działo. Twin ottery stały przez większość czasu w hangarze, przechodząc przegląd przed długim lotem na północ. Niebo było typowe dla Antarktydy – blade i zaciągnięte chmurami. Mimo to czuło się jego obecność, wydawało się czymś namacalnym.

Niebo nie było tu tylko odległą dioramą, tak jak w Londynie. Kiedy wróciłam z Antarktydy, niebo w strefie umiarkowanej zawsze wydawało mi się strasznie zadowolone z siebie.

Na stole przed nami rozrzucone były egzemplarze „New Scientist”. Na okładkach reklamowano artykuły o awariach prądu, cyberterroryzmie, starzeniu się populacji, psychologii zamachowców samobójców i zagrożeniach wynikających z materializmu.

Gavin zauważył, że na nie patrzę.

– Tutaj nas nie dotyka to, co dzieje się na świecie. Między innymi dlatego ludzie chcą tu przyjeżdżać. To jak wakacje od prawdziwego świata. Od niebezpieczeństw. Nie wydaje ci się to trochę ironiczne, zważywszy, ile osób tu zginęło?

Odparłam, że widzę jeszcze inny paradoks – przyjeżdżamy do miejsca, w którym codziennie coś ulega zniszczeniu, a my ciągle musimy zastanawiać się nad naszym udziałem w tych zniszczeniach, jednocześnie zaś jesteśmy tu całkowicie odizolowani od negatywnych wpływów cywilizacji, od jej pazerności, od błahostek i działania w złej wierze.

– Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej Antarktyda jawi mi się jak lustro, w którym odbija się przyszłość – powiedziałam. – W innych miejscach musimy mierzyć się z konkretnymi zagrożeniami. Ale tutaj stoimy na kontynencie, którego zagłada może zagrozić istnieniu wszystkiego, co postrzegamy jako naszą cywilizację: położonym nad brzegami mórz miastom, infrastrukturze, rolnictwu. Jesteśmy więc tak naprawdę w epicentrum zagrożeń, ale należą one do przyszłości.

Gavin wpatrywał się we mnie przenikliwym wzrokiem. Być może zastanawiał się, czy powinien przystać na tę mętną, panoramiczną wizję, będącą wynikiem przypadkowych rozmyślań i poszukiwań pisarki, niepopartą faktami i wyliczeniami komputerowymi.

– Można się tu poczuć naprawdę samotnym, kiedy odlecą już wszystkie samoloty – powiedział.

– To ostrzeżenie?

– Tylko przyjacielska rada.

W jego głosie pobrzmiwało coś dziwnego, jakiś pusty pogłos. Próbowałam zrozumieć jego postawę, przyjacielską, niemalże opiekuńczą, która mnie jednocześnie irytowała i podnosiła na duchu. Mówiłam sobie, że on wie więcej niż ja. Gavin zarabiał na życie, nurkując pod lodem. Był ode mnie o dziesięć lat starszy i co dwa miesiące występował w telewizji. Ja byłam nieopierzoną debiutantką. Dla pisarza to konieczne, ale rzadko kiedy komfortowe. Zazwyczaj nie znoszę być tą osobą, która w danym towarzystwie wie najmniej, ale tak właśnie było na Antarktydzie, za każdym razem. Brakowało mi wiedzy w miejscu, w którym nic innego się nie liczy.

– Będzie się wydawało, że to strasznie długo, a jednocześnie bardzo krótko – powiedział, odnosząc się do sześciu tygodni, które mi zostały do odjazdu. Znowu ta sama nuta w jego głosie, daleki, szorstki dźwięk, jak krzyk

nieznanego mi ptaka.

Na korytarzu między laboratoriami wpadłam na Xaviera. Zaskoczył mnie jego widok, sądziłam, że pojechał na północ. Prawie wszyscy naukowcy wylecieli już na Falklandy. Baza była mała, ale zaskakująco trudno było się zorientować, kto gdzie jest. Niekiedy wylatujący naukowcy mieli tyle roboty z pakowaniem sprzętu, że nie mieli czasu się pożegnać. Szukaliśmy ich po całej bazie, żeby obejrzeć z nimi film albo pojeździć na nartach, po czym okazywało się, że wylecieli już trzy dni temu.

Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy z tego, że samoloty będą odlatywać tak wcześnie. Wydawało mi się, że będą w bazie, kiedy przyplynie po nas „Ernest Shackleton”. Tom jednak powiedział mi, że warunki pogodowe praktycznie uniemożliwiają loty nad Antarktydą na początku zimy.

– Nie, lecę dopiero ostatnim kursem – powiedział Xavier. – Perspektywa spisywania danych w ciszy i spokoju jest bardzo kusząca. Jak wrócę do Cambridge, od razu coś mnie zacznie rozpraszać. Zarządzam zespołem piętnastu osób i tak dalej.

– Lubisz życie w bazie?

– To taki mikrokosmos brytyjskiego społeczeństwa.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – zaryzykowałam.

– Hmm, uważam, że ciekawie się tu żyje. Zawsze dzieje się coś niezwykłego. – Potarł palce, jakby przesiewał między nimi piasek. – Można tu zdobyć ziarenko doświadczenia. Wszystko się przykleja, jak piasek. Każda rozmowa, każda czynność. Jest bardzo... intensywnie. – Rozjaśnił się. – Łatwiej mi jest przez to, że nie do końca jestem Anglikiem. Tutaj mogę być obserwatorem.

– Spędziłeś tu zimę?

– Nawet kilka, ale dawno temu.

– I jak było?

– Było... – Spojrzał za okno. Znowu się zachmurzyło. W ciągu ostatnich dni światło nabrało stalowego odcienia. – Długo.

– Nie dałabym rady.

– Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała.

Zima jest prawdziwa – to była antarktyczna mantra. Chodziło oczywiście o aurę tajemniczości: ciemność, gwiazdy, samotność, niesamowitą zorzę. Mróz. Z drugiej strony przez lata wytworzył się tu swoisty system klasowy. Ci, którzy wytrzymali maraton samotności, są uważani za elitę. Było w tym ziarenko prawdy. To dobrowolne więzienie było trudne do zniesienia, choć korzystne finansowo, dzięki nieopodatkowanej pensji i dodatkom za pobyt w zimie. W zimie można tu zobaczyć niezwykle zjawiska, biwakowanie w terenie jest wyjątkowo wymagające, a wiedza, którą się wtedy zdobywa, jest niedostępna dla większości ludzi.

Wraz ze zbliżaniem się zimy, zaczęłam rozumieć, że lato było jak sen, jak chwila wytchnienia. Do niedawna bazę zalewało bezwzględne słońce. Teraz światło zaczęło znikać. 23 lutego powrócił mój cień. Poszłam na cypel

i zauważyłam, że mam towarzysza. Podskoczyłam i rozejrzałam się. Ostatnio widziałam tego czarnego naśladowcę gdzieś na Falklandach.

Przechodziłam później obok biura Xaviera i zobaczyłam, że siedzi przed komputerem, z tymi siwiejącymi włosami, w białym, wełnianym swetrze, obłożony wydrukami wykresów. Na monitorze wyświetlały się różne kody.

Przyszło mi znowu na myśl, że glacialodzy to inna rasa. Znajomość fizyki i matematyki oznaczała, że muszą być inteligentni, mieli też w sobie coś z samców alfa. Byli ludźmi sukcesu. Być może napędzała ich świadomość nadchodzących zmian klimatycznych, nadająca ich dziedzinie zdolność przewidywania przyszłości. Byli też interesujący jako ludzie. Mieli pasje, nieograniczające się tylko do pływania kajakami po zimnych wodach i kręcenia filmów przyrodniczych. Ich precyzyjne zainteresowania kulturalne pasowałyby do filozofów – lubili tango, operę i jazz.

Xavier dał mi jeden ze swoich artykułów o cofaniu się lądolodu fennoskandzkiego. Rozumiałam mniej więcej dwadzieścia pięć procent, dopóki nie doszłam do wyliczeń.

Patrząc na lądolód, ma się wrażenie, że spogląda się na coś całkowicie statycznego. Wały, przypory i fundamenty podtrzymują powietrze. Lodowy krajobraz wydaje się wieczny. A przecież jest w bezustannym ruchu. Dowiedziałam się, że w dolnej części lądolodu powstaje potężne ciśnienie, a tarcie lodu o skałę generuje ciepło, chociaż powierzchnia wydaje się nieruchoma.

Xavier podniósł wzrok znad monitora.

– Chodź, napijemy się razem paskudnej kawy.

– Nie, nie chcę ci przeszkadzać – odparłam. – Zresztą wypiałam już dzisiaj trzy.

– W bazie coraz mniej się działo. Nie mieliśmy już wieczornych wykładów i grupowych seansów filmowych. Naszą jedyną rozrywką było przesiadywanie w jadalni, rozmowy i gra w karty oraz przeglądanie czasopism górskich i starych numerów „National Geographic”, które czytaliśmy już trzydzieści razy.

Ostatecznie poszliśmy jednak na kawę. Usiedliśmy w pustej jadalni. Nasza kawa wyglądała blado, bo dodaliśmy do niej powodujące zatwardzenie mleko w proszku.

– I co, znalazłaś inspirację, po którą tu przyjechałaś? – spytał Xavier. Wszystkie rozmowy były teraz utrzymane w podobnym tonie, całkiem jakby nasz czas w bazie dobiegł końca, choć przecież zostało nam jeszcze pięć tygodni.

– Nie wiem. Przekonam się, kiedy zacznę pisać.

– Zawsze tak jest?

– Zawsze. To jak błędzenie po omacku.

Przez chwilę milczał.

– Nie jestem pewien, czy pisarze, czy też ogólnie artyści, zdają sobie sprawę z tego, że przyroda nie ma celu. To tylko krnąbrna energia, działająca według pewnego wzoru. Ty ją próbujesz uczłowieczyć.

– Pisarze chyba zdają sobie z tego sprawę. Dlatego piszą książki. To nas łączy

z naukowcami. My też badamy te wzory.

– Jakie wzory?

– Estetyka, styl i tak dalej tak naprawdę służą do poszukiwania tego, co leży pod powierzchnią tak zwanej rzeczywistości. Powierzchnia jest tylko przynętą. Żeby odkryć, co jest pod spodem, trzeba zastosować metafory i inne środki stylistyczne.

– Czyli nie szukasz informacji?

– Szukam – przyznałam. – Ale w kwestiach abstrakcyjnych. Tak naprawdę praca pisarza polega na tym, żeby nadać jakiś porządek doświadczeniu. Humanizować życie.

Zachmurzył się.

– Humanizować życie?

– Życie jest tak naprawdę dość nieludzkie. To taki osobny stan, który może podtrzymać twoje istnienie lub nie.

– Na czym więc polega twoje zadanie tutaj?

– Nie można napisać książki, nie mając bohaterów. Literatura nie opiera się na informacjach albo miejscach. Jej sednem jest społeczeństwo, konflikty międzyludzkie, wybory, których dokonujemy. Żeby historia wybrzmiała, musi być w niej jakiś dylemat moralny – powiedziałam. – Na tym polega trudność. Klasyczne historie wypraw są zawsze takie same, opowiadają o walce ze śmiercią. Przez to bardziej delikatne dylematy się gubią. Większość książek o Antarktydzie to monologi, proste opowieści o ludziach, którzy walczą o przetrwanie. Mamy szeroki wybór, jeśli chodzi o relacje naocznych świadków, ale cała reszta to głównie fantasy i science fiction.

– Ale to wszystko to science fiction. To wszystko tu jest. – Xavier zatoczył szeroko ręką, pokazując na jadalnię, choroągiewki, zdjęcia bohaterów, tablicę, na której zapisano nasz los, pogodę i plany podróży. – Po prostu. Jedyna prawda to prawda chwili, którą się przeżywa. Nie istnieje żadna interpretacja. Są tylko informacje.

– Więc dla ciebie wszystko po prostu istnieje? Nie ma w sobie żadnej dodatkowej wartości?

Xavier spojrzał na mnie tak samo, jak kiedyś Oddvar w melonowej chatce w Ice Blue. Jego spojrzenie zawierało w sobie chłodny, przenikliwy sceptycyzm.

– Chciałbym w to wierzyć. Ale tak, sędzę, że musi istnieć coś więcej, coś poza faktami. Jako naukowiec bywam czasem nieszczęśliwy. Czysty racjonalizm nie wystarcza, brakuje jakiegoś elementu.

Miał indyjski akcent, robił krótkie, regularne przerwy, dzięki czemu w tym, co mówił, pobrzmiwało dodatkowe przekonanie. Gavin potrafił tak samo czarować rozmówcę, ale jego autorytet opierał się na przejrzystości i pozornej wybuchowości. Inteligencja Xaviera buzowała pod powierzchnią, głęboko, niosąc ze sobą delikatne zagrożenie, jak wulkan pod śniegiem.

– Dopóki cię nie poznałam, nie zdawałam sobie sprawy, że glaciologia jest tak zdominowana przez białych – powiedziałam.

– Cóż, to prawda. W Indiach jest sporo lodowców i gór, w północnej części

kraju, więc jest nas tam trochę. Ale lód to ekscentryczny wybór. Przynajmniej w moim kraju.

– Co twoja rodzina sądzi o tym, że jesteś glaciologiem?

– W mojej rodzinie możesz być lekarzem, adwokatem i politykiem. I to by było na tyle, jeśli chodzi o przyzwolenie na ekscentryczność. Ale glaciolog... – Potrząsnął głową. – Dopóki odnoszę sukcesy i dobrze zarabiam, tolerują to. Sądzą jednak, że są pewni, iż pewnego dnia stracą mnie w jakiejś szczelinie.

Xavier i ja wyszliśmy z jadalni jako ostatni. Nikt już nie siedział długo po posiłkach. W bazie zostało pięćdziesiąt sześć osób, mniej więcej o połowę mniej niż w tych ekscytujących dniach na początku stycznia. W powietrzu czuć było aurę wyczekiwania. Czekaliśmy albo na wyjazd, albo na to, żeby zostać.

Miałam teraz inny pokój. Lab 7 oddano mechanikowi, który musiał rozmawiać z rodziną na Skypie. Moja nowa pracownia, Lab 5, była obwieszona zdjęciami Walii, gór Cairngorm i poszarpanych wybrzeży Wielkiej Brytanii. Starłam się omijać je wzrokiem. Rozbudzały we mnie lekką tęsknotę, a także delikatną nutę paniki. W ostatnich latach rzadko bywałam w sytuacjach, z których nie mogłam uciec. Sam fakt uwięzienia w tak odizolowanym i oddalonym od świata miejscu powinien nadać odpowiednią perspektywę sprawom, które uważałam za ważne, powinien sprowokować wyznania dotyczące rzeczy, których już nigdy nie chciałabym się dobrowolnie zrzec. Zaczęłam tworzyć listę: gazety, espresso, dostęp do internetu. Spróbuj być poważna, powiedziałam sobie.

Nie potrafiłam stawić czoła możliwości, która dopiero niedawno w ogóle pojawiała się w moim polu widzenia: że może zdarzyć się coś nieprzewidzianego i że nasz wyjazd może się nie różnić od przyjazdu, którego o mały włos by nie było, że coś może opóźnić, a nawet uniemożliwić nasz wyjazd z Antarktydy.

Spojrzałam przez okno mojego nowego biura na malutką zatokę, którą upodobały sobie słońce morskie. Z tego, co widziałam, słońce morskie spędzały dzień kołyszając się, próbując się przekręcać, przekręcając się, wzdychając, podejmując bez przekonania próby walki (samce) i wydając z siebie dziwne, miauczące dźwięki (samice). Obserwowałam je, dopóki słońce nie zeszło nad horyzont i nie zniknęło za morzem.

25 LUTEGO

Idę z Tomem na spacer na cypel. Jest bezchmurny dzień, słońce jest tak ostre, że piecze nas skóra na rękach. Wszędzie wokół nas lód poddaje się jego mocy, chociaż Tom mówi, że to już ostatnia duża odwilż w tym sezonie.

Siadamy na skałach. Zatoka migocze. Wokół nas słychać syki i trzaski.

– Kiedy zacząłem latać nad Arktyką, dwadzieścia pięć lat temu, nie sądziłem, że patrzę na miejsce, które się zmieni. Wydawało się takie... monumentalne – wspomina Tom. – Mało kto mówił wtedy o globalnym ociepleniu. Mówiono o ochronie zasobów, o ekologii. Głównie jednak zajmowano się glaciologią, taką tradycyjną. Sądzono, że lód się nigdzie w najbliższym czasie nie wybiera.

Słucham i czuję dla niego taki podziw! Podziwiam to, co robi, jego sposób

mówienia, jego nastawienie. To uwielbienie przychodzi gwałtownie. Czuję, jak ogarnia mnie mgliste ciepło, przewiązane jednak niteczką chłodu. Zderzenie zimna i gorąca nie różni się za bardzo od pragnienia. Łatwo je ze sobą pomylić.

– Jak sądzisz, długo jeszcze będziesz to robić?

– Nie wiem. Czasem myślę, że to mój ostatni sezon, że więcej nie zniosę. A czasem wydaje mi się, że mógłbym to robić wiecznie. Co roku zastanawiam się, czy nie kuszę losu, decydując się na kolejny sezon. Może po jakimś czasie coś musi nawalić.

– Co masz na myśli? Co miałyby nawalić?

– Chyba szczęście. Albo mój osąd sytuacji. Albo jedno i drugie.

Stężałe powietrze rozdziera echo eksplozji. Nie dalej, jak piętnaście metrów od nas odrywa się średniej wielkości góra lodowa i wpada do wody. Z jej krawędzi osypują się kawałki lodu i śnieg. Niebieskooki kormoran, który siedział na łodzi, zrywa się do lotu. Patrzymy, jak przecina powietrze, a jego długa, wygięta szyja napręża się, jakby czegoś szukał.

– Uwielbiam patrzeć na kormorany w locie – mówi Tom. – Są takie zaangażowane. Próbuję tak latać, jak strzała wypuszczona w powietrze.

Nagle wszystko zdaje się toczyć w zwolnionym tempie – pęknięcie góry lodowej, lot ptaka. Wszystko się zatrzymało i trwało w zawieszeniu, także słowa Toma. „Uwielbiam patrzeć na kormorany w locie. Są takie zaangażowane”. W głowie mi szumi, całkiem jakbym złapała sygnał radiowy z któregoś nadajnika.

Pamiętam, że myślałam, to nie jest przypadek. Nic z tego nie jest losowe – błękit nieba, pękająca góra, a przede wszystkim słowa Toma. Nie bez powodu trafiłam tutaj, dokładnie w to miejsce. Zdawało mi się, że coś jest między nami, tą górą, zboczem i kormoranem. Łączy nas, choć luźno, jakaś niewidzialna, cienka jak pajęczyna nić. Zamiast jednak spoglądać na to jak na jakieś zadanie matematyczne, zorientowałam się, że patrzę w głąb. I nagle poczułam, jakie to wszystko jest rozległe. Wzbiłam się w powietrze, do najwyższej warstwy atmosfery, i dalej, w przestrzeń pozaziemską, ponad bezgwiezdne, antarktyczne niebo. Były tam dziwne istoty, olbrzymie i przezroczyste. Wiedziały, co się już zdarzyło, co powinno się stać i co się wydarzy. Wiedziały wszystko.

Ta podróż trwała tylko chwilę. Mój mózg nie zdążył jej nawet zarejestrować. Wiedziałam tylko, że prąd wiedzy przeszył mój umysł. A potem zniknął.

– Myślałem, że cię tu nie ma.

Przez moment zastanawiałam się, czy nie opowiedzieć Tomowi o beczelnej ekstazie, przez którą przeszłam albo która przeszła przeze mnie.

– Zamyśliłam się – powiedziałam.

Skinął głową. Zgadywałam, że też oddawał się rozmyślaniom.

Nigdy wcześniej nie pochłonęła mnie żadna wizja. Nie byłam przekonana co do istnienia Boga. Było jeszcze za wcześnie, żeby podzielić się przeżyciem, które mogło być tylko nagłym zwarciem synaps, momentem zadumy.

Chociaż możliwe, że Tom by zrozumiał. Nie można przebywać tak długo na

Antarktydzie, nie będąc zmuszonym do przeprogramowania swojego wewnętrznego horyzontu, tej miary naszego związku z ziemią i tym, co może znajdować się gdzieś poza nią. Nie różni się to zresztą zbyt od sztucznego horyzontu, który miałam uważnie obserwować, kiedy Tom i Lanier uczyli mnie latać.

Nadeszły pierwsze śnieżyce. Pod koniec lutego moje ciało spodziewało się, że dostanie więcej światła. Dostawało jednak coraz mniej. Codziennie ubywało pół godziny dnia. Stwierdziłam, że w tym tempie w kwietniu zrobi się już prawie całkiem ciemno.

Włosy mi oklapły, paznokcie przestały rosnąć. Gdzieś wewnątrz mnie zaczynał dźwięczeń sygnał ostrzegawczy. Patrzyłam na słońce z gwałtownym, cielesnym strachem. Według kalendarza była wiosna, a mimo to słońce znikало. Rozpoznałam atawistyczny lęk, który mówił, że słońce się wypaliło, żniw nie będzie, wszyscy umrzemy.

Zastanawiałam się, czy nie obrócić tego w żart, opowiadając w barze o swoim dziwnym przerażeniu spowodowanym skracającym się dniem. Zauważyłam jednak, że nie ja jedna miałam lęk na twarzy.

Pewnego wieczoru patrzyłam, jak Xavier pakuje swoje skrzynie. Zanim się zorientowałam, zaczęłam mu się zwierzać z tego, czego doświadczyłam na cyplu.

Przerwał pakowanie i usiadł na jednej ze skrzyń.

– Myślę, że takie rzeczy zdarzają się na Antarktydzie. Dziwne sny, halucynacje, nazwij to, jak chcesz – powiedział. – Nie jesteśmy tu zbyt dobrze osłonięci od energii, która przyływa z kosmosu. Właściwie wcale nie jesteśmy chronieni.

– Naprawdę w to wierzysz, chociaż jesteś naukowcem?

– W pewnym stopniu to jest naukowo potwierdzone. Jest tu mniej ozonu, warstwa atmosfery jest cieńsza, pole magnetyczne Ziemi ciągnie w dół. Sądzę, że odbieramy to na jakimś podświadomym poziomie.

Mówił bardziej formalnie niż zazwyczaj, i z silniejszym akcentem. Miałam wrażenie, że waży każde słowo. Nie ze względu na mnie, raczej z powodu czegoś, co dobrze zna, i to od zawsze.

– A może był to autentyczny moment oświecenia – dodał.

– Przeżyłeś kiedyś coś takiego?

Milczał przez chwilę. Urządzenia laboratoryjne głośno szumiały. To kolejny skutek zimy – cisza stała się jeszcze cichsza.

– Po raz pierwszy zobaczyłem śnieg, kiedy miałem piętnaście lat i przyjechałem do Anglii. Oczywiście, mogłem pojechać w Himalaje. Mogłem pojechać do Hindukuszu. Ale nie pojechałem. Zacząłem interesować się śniegiem, górami i lodem na północy. Nie byłem zbyt dobry z chemii i z matematyki, ale wiedziałem, że muszę je przyswoić.

W międzyczasie powołano go do wojska, gdzie został saperem. W sumie zdobył sześć dyplomów uniwersyteckich, „choć dwa są tylko honorowe”. Jego ojciec

pracował w postkolonialnej administracji. Matka była gospodynią domową o niestosownych ciągach okultystycznych. – Wracalem do domu, a w salonie bylo pełno szamanów – opowiadał.

– Co sądziłeś o tych zainteresowaniach matki?

– Nie mogłem ich znieść. Wszystko to było takie mroczne. Ten świat jest denerwujący, bo nigdy nie wiadomo, co jest prawdziwe. Jest równie niezdrowy, jak nieprawdziwy. Zglądasz za kulisy życia i widzisz, że manipuluje nami gigantyczny lalkarz. Okazuje się, że u podstaw życia leży jakaś mroczna energia. I że w przyszłości czają się same nieszczęścia. W czym ma ci to pomóc? Moja matka cały czas była niespokojna, bo wiedziała, co przyniesie przyszłość, a przynajmniej tak jej się zdawało. Nauka i racjonalizm były moją ucieczką. Wciąż wierzę, że emocje to siły zła, które można pokonać za pomocą intelektu. Wydaje mi się, że to relikwiny mojej przeszłości.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Rozmawiając z Xavierem, mogłam używać swojej własnej mowy, wieloznacznej i abstrakcyjnej. Od miesiąca rozmawiałam w obcym języku, opartym na faktach i entuzjazmie. Nie udało mi się go w pełni opanować.

– Widzę, że zaprzyjaźniłaś się z Tomem – powiedział po chwili.

– Jest dobrym rozmówcą. Jak na pilota.

– Jest też świetnym pilotem – powiedział Xavier. – Ma to we krwi. Tutaj trzeba mieć kogoś, z kim można naprawdę porozmawiać. W przeciwnym razie trudno tu wytrzymać.

28 LUTEGO

Jeśli nie, Zima

Bez bólu.

Chcę

Pragnę i szukam

Spalasz mnie.

– „Jeśli nie, Zima” Safona^[5]

Zachowały się tylko drobne fragmenty wierszy Safony. Myślę o szwedzkim poszukiwaczu przygód Andrée, który w 1897 roku wyruszył z towarzyszami w podróż balonem, próbując przelecieć ze Svalbardu do Kanady, i dwa dni później rozbił się na lodowcu. W latach trzydziestych XX wieku odnaleziono ich obóz na oddalonej od reszty archipelagu wyspie, a wraz z nim zniszczone fragmenty jego dziennika. Ostatnie wpisy są czymś w rodzaju polarnych wierszy Safony. Części zdań znikły. Być może atrament zamarznął albo zmyła je woda. Nikt nie wie, co doprowadziło do śmierci Andrée i jego dwóch towarzyszy, ale najprawdopodobniej zmarli w kilka dni po zostawieniu ostatnich zapisków w dzienniku.

Nie zetknęłam się z innymi przykładami dzienników polarnych, oprócz

zapisków Andrée i Scotta, które przetrwały w miejscach, w których ich autorzy stoczyli przegraną walkę o życie. Być może jest ich więcej. Dzienniki mają w sobie wyjątkową siłę oddziaływania i bezpośredniość, zwłaszcza kiedy wiemy, że nie zostały dobrowolnie porzucone, lecz ich powstawanie zostało gwałtownie i wbrew woli autora przerwane. Puste strony, które następując po ostatnich zapiskach, rozbrzmiewają echem. Być może tak właśnie wygląda przyszłość – jak kolejne, białe strony.

Kiedy zima zaczęła zaznaczać swoją obecność, otrzymaliśmy nowe instrukcje od Simona, kierownika bazy. Musimy go zawiadomować o tym, że chcemy pójść na cypel. Lód morski robił się coraz twardszy przy brzegu i po świeżych opadach śniegu trudno było się zorientować, gdzie kończy się ląd, a zaczyna morze. Istniało ryzyko, że wpadniemy do wody.

Bezpieczeństwo było traktowane bardzo poważnie, i faktycznie przez cały czas mojej przygody z BAS-em czułam się bezpieczniej niż kiedykolwiek. Na statku regularnie ćwiczyliśmy ewakuację i postępowanie w razie różnych wypadków. W bazie raz w tygodniu odzywał się alarm przeciwpożarowy i musieliśmy się zbierać na werandzie. Spędziliśmy niekończące się godziny, ćwicząc procedury bezpieczeństwa na pasie startowym i w samolocie (które sprowadzały się do jednego: nie wejdź w śmigło). Zaraz po przyjeździe do bazy przeszliśmy też solidne szkolenie górskie. Podczas wszystkich tych ćwiczeń wpajano nam, że tragedie, które rozegrały się na Antarktydzie, miały więcej niż jedną przyczynę. Prawie zawsze były serią pomyłek lub błędnych osądów, które przypieczętowały czyjś los.

Jak myśleć o bezpieczeństwie w miejscu, w którym nikt nie może przyjechać na ratunek? W miastach żyjemy w uregulowanym, zdyscyplinowanym środowisku. Zarządzamy naszym otoczeniem, opatulamy się procedurami BHP. Rodzi to niebezpieczne złudzenie, że mamy życie pod kontrolą. Mam taką naturę, że wpadam ze skrajności w skrajność – raz jestem przesadnie ostrożna, innym razem niefrasobliwa. Pod tym względem pasowałam do Antarktydy.

Było to także miejsce szalonych dowcipów i niewinnego ryzyka. Jak na przykład wtedy, kiedy dla zabawy, a także w ramach ćwiczeń bezpieczeństwa, zanurzyliśmy się w wodzie o temperaturze zero stopni, żeby przetestować nowe kombinezony (sprawdziły się). Albo kiedy spędziliśmy dzień na wyspie Léonie, tocząc przyjacielską pogawędkę z kilkoma wielkimi samcami uchatek (które potrafią paskudnie ugryźć i do których mieliśmy się nie zbliżać), a które postanowiły usiąść zaraz obok nas i niemalże piły z naszych kubków. Nieważne, co robiliśmy podczas lotów w teren, kiedy to schodziliśmy tak nisko, żeby mieć lepszy widok, że ryzykowaliśmy utratę podwozia z powodu zahaczenia o zastrugi.

Coraz mniej przejmowałam się swoim bezpieczeństwem. W końcu organizacja monitorowała każdy nasz ruch, a gdyby nam się coś stało, dołożyłaby wszelkich starań, żeby nas uratować. Pomijając to, nie potrafię jednak wytłumaczyć czystego spokoju, który mnie ogarnął.

Tom czuł to samo. Rozmawialiśmy o tym podczas jednej z naszych wycieczek. Siedzieliśmy w kokpicie i lecieliśmy do bazy. Przelatywaliśmy właśnie nad Wyspą Aleksandra.

– Wiesz, nigdy nie myślę o tym, że mógłbym się rozbić – powiedział. – Oczywiście, możemy spaść, to jasne. Ale jestem przekonany, że dałbym radę posadzić samolot. Że nie rozpadłby się na kawałki.

– Rozumiem – odpowiedziałam. – Też to czuję. – Że w jakiś sposób jesteśmy chronieni.

Wieczorem poprosiłam Simona o pozwolenie na samotny spacer po cyplu. Zastałam go w biurze, siedział przed komputerem. Obok leżała otwarta książka. *Hrabia Monte Christo* w miękkiej okładce. Wiele osób w bazie podejmuje różne wyzwania czytelnicze, mierząc się z opasłymi klasykami dziewiętnastowiecznymi – *Wojną i pokojem* czy *Opowieścią o dwóch miastach*.

– Tylko pamiętaj, co mówiłem, i nie podchodź za blisko brzegu. Jeśli wpadniesz, wracaj do bazy najszybciej, jak będziesz mogła. Masz, weź to. – Podał mi radio.

Spacery były zadziwiające. Zawsze czułam ulgę, kiedy oddalałam się od bazy, co oznaczało oddalanie się od ludzi. Ale czterdzieści minut później okrążałam cypel i cieszyłam się, że znowu widzę oliwkowe budynki.

Zatrzymałam się w pół drogi, próbując wypatrzeć starą ścieżkę. Była teraz pod śniegiem. Powinnam już dobrze znać drogę. Spojrzałam na wschód, na zatokę. Obmyła mnie cisza. W styczniu wydawała mi się kojąca, teraz kryło się w niej coś złowieszczego. Coś mnie szturchnęło. Szturchnięcie zdawało się pochodzić z zewnątrz, nie była to intuicja ani instynkt. Nie słyszałam słów. Być może brzmiały: Wracaj do domu. Wracaj do świata. Miałam ostatnią szansę na wyjazd z załogą, między innymi z Xavierem. Wiedziałam, że jest wolne miejsce na ostatni lot dasha. Jeśli z niego nie skorzystam, będę musiała czekać do początku kwietnia na statek.

Spojrzałam na Ryder Bay. Wszystko wyglądało już znajomo – różowo-żółte chmury, wzgórze na horyzoncie, góry lodowe wielkości biurowców.

Tylko co miałabym robić w domu w Londynie, 14 500 kilometrów stąd w linii prostej? Próbowałam sobie wyobrazić, że idę do kina, robię zakupy w H&M, jadę rowerem do biura. Poczułam, jak nieobecność przyjaciół uderza we mnie jak obuchem. Przez tyle miesięcy byłam zbyt zajęta, żeby za nimi tęsknić. W międzyczasie oni żyli swoim życiem.

Z moich ust nie wydobywała się para. W powietrzu było za mało wilgoci. Patrzyłam na nagie brzegi wyspy Piñero. Na północy niebo robiło się grafitowe. Zbliżała się burza.

Czekam na niego w La Vie en Rose. Jest początek czerwca i trzydzieści pięć stopni. Mam ochotę odsunąć oblepiający upał tak, jak odsuwa się zasłonę, żeby wejść do krainy przejrzystości i poczucia celu.

Jestem już po egzaminach, skończyłam szkołę. W wyniku opóźnionej

i kompletnie bezużytecznej reakcji emocjonalnej czuję przerażenie. Jeśli nie poszło mi dobrze, nigdy się stąd nie wyrwę. Cała moja przyszłość, a nawet całe moje życie zależy od tego, czy uda mi się stąd uciec. Wiem to od zawsze, ale czy wystarczająco ciężko pracowałam? Czy zasłużyłam na oswobodzenie z tej pułapki?

Sześć lat, które tu spędziłam, odcisnęło na mnie swoje piętno. Przejęłam coś z tutejszego podejścia. Czy naprawdę takim koszmarem byłoby jeżdżenie chevroletem chevette po zaśnieżonych uliczkach do pracy na kasie w banku albo uczenie w szkole średniej, którą właśnie skończyłam? Albo praca w sekretariacie anglistyki na jednej z dwóch uczelni, które mieszczą się na zboczach wzgórza?

W Ameryce Północnej są tysiące takich miast. W innych rejonach świata zapewne też. Dziwnie ponure miasta, które mają jeden klub nocny, nieoficjalny bar ze striptizem na obrzeżach miasta, ciąg galerii handlowych – delikatesy, skład budowlany, supermarket. Sklepiki wielobranżowe, optycy i żałosne domki z sidingiem.

W szkole przekaz był prosty: nie wyróżniaj się, nie bądź za bystra, nie bądź inna. Nie bądź dziwadłem. Osobami, które miasto uważa za godne uwagi, są prawnicy i gracze hokeja. Oczywiście, mowa o mężczyznach, kobiety mają tylko ładnie wyglądać. Oczywiście, są tu lokalne osobowości: poeci, kosmopolityczni dziennikarze radiowi, ekscentryczni profesorowie filozofii i przedsiębiorczy hippisi, tacy jak Elin. Przyciągnęła ich dzika przyroda, która otacza miasto kordonem, jesienne zbiory jabłek, wiosenne pokazy konnej jazdy i zimowe kuligi.

Pod ściśle kontrolowaną powierzchnią miasta pełza rebelia. Brutalne zajścia w pobliskiej bazie wojskowej, zebrania loży masońskiej nad sklepem kuśnierskim, dokładnie tam, gdzie nasza nieoficjalna grupa artystyczna spotyka się co tydzień na pokazach awangardowych filmów francuskich i, rzecz jasna, napaści na kobiety.

Chcę uniknąć skażenia przez to miejsce, ale jak? Nie chodzi tylko o złudzenie, którym się tu wszyscy karmią, że żyjemy tu po królewsku. „W Toronto i Montrealu życie jest takie stresujące. Czy widziałeś te korki? W innych krajach ludzie mordują się ot tak sobie!”. Nie, większym zagrożeniem jest lepka energia, która zawzięła się, żeby wyssać z ciebie wszystkie siły życiowe. Jeździ lśniącymi autami po alejkach w zwolnionym tempie. Mam wrażenie, że wpadłam w żelatynę. Nawet powietrze się poddało, wybierając bezład.

– Podać ci jeszcze jedną kawę? – Kelnerka patrzy na mnie z lekkim współczuciem. Myśli, że zostałam wystawiona. Odmawiam. Nie otrząsnęłam się jeszcze z wczorajszego snu o rzece i o mężczyźnie.

We śnie widziałam mężczyznę, który był moim ojcem albo ojczymem. Nie był to ani człowiek, na którego teraz czekam, ani Mark, ani mój dziadek. Nie znam go. Miał czarne jak węgiel oczy i ciemne włosy. Był szczupły i pełen życia. Mógł mieć czterdzieści pięć lat.

We śnie był moim ojcem, ale nasza relacja wydawała się zwichrowana. Nie był to zwykły związek ojca i córki. Wściekał się na mnie, miałam wrażenie, że go zdradziłam. Coś poszło nie tak. Ale mnie kochał. Czułam to. We śnie zabiłam się z tego powodu, a może pozwolił mi utopić się w rzece. W każdym razie byliśmy w wodzie. Wyglądała jak gigantyczna rzeka, zbyt duża jak na ten kraj. Może była to Amazonka. Trzymał mnie w ramionach.

Namiętność. Czułam ją w jego rękach, w jego sposobie bycia. Była jak pole siłowe, jak fanatyczna energia. W prawdziwym życiu nigdy nie doświadczyłam ani nie wzbudziłam w nikim takiego uczucia. We śnie zdałam sobie sprawę, że jest to jak prąd, który wyznacza kierunek życia. Takie życie byłoby jak przedłużenie snu. Jak obsesja.

Spóźnia się. Zaczynam czuć niepokój pod skórą. Przeczuwam coś.

Jestem przekonana, że wczorajszy sen jest ważny. Nie mogę o nim nikomu opowiedzieć, jest zbyt straszny.

Przeczuwam, że spotkam jeszcze kiedyś ojca. Będę już wtedy kimś innym, być może on też. Może będę od niego starsza. Mimo to rozpoznamy się, a serca będą nam waliły boleśnie w piersiach w skurczu rozpoznania. Pomylimy to, co czujemy, ze strachem, i będziemy się chcieli zranić. Nie będziemy umieli zrozumieć, skąd się bierze ta potrzeba ani kim dla siebie kiedyś byliśmy. Czytałam o reinkarnacji. Czuję jej moc, możliwości, które daje. Za każdym razem, gdy wracamy na ten padół, zapominamy, co było przedtem i zaczynamy od nowa, z niewinną wiarą, niezbędną, żeby stawić czoła życiu, niebezpieczeństwom i bólowi, które ze sobą niesie. Zaczynamy wszystko od nowa, jako ktoś inny.

– Nigdy nie mówisz do mnie po imieniu – mówi. W końcu się pojawił. Jego usta wyginają się lekko, przez co wygląda na rozczarowanego. Wiele lat później zobaczę taki sam grymas na twarzy mężczyzny, którego będę nazywać Lokim.

– Nie lubię imion – odpowiadam.

Jemy lody. Zamówił karmelowe z ciasteczkami. Po kilku łyżeczkach odsuwam pucharek.

– Coś ci w nich nie pasuje?

– Są za słodkie. Ty też nie mówisz do mnie po imieniu.

– Imiona bywają tabu – mówi. – W niektórych kulturach nie wolno mówić po imieniu na przykład do szwagierki.

– Dlaczego?

– Ponieważ... Zwykle chodzi o... – Zacina się.

Bez wysiłku zmienia temat. Bez wahania przeskakuje do kolejnej chwili, jakby przechodził przez rzekę po rozrzuconych kamieniach.

Wiele lat później będę studiowała antropologię i zrozumiałam, że zapuścił się na niebezpieczne wody. Imiona członków rodziny męża lub żony często bywają tabu. Nie wolno mówić do szwagierki po imieniu, bo używając go, można wzbudzić w sobie pożądanie. Budzi się instynkt, który popycha nas

ku temu, co zakazane. Chodzi o kontrolowanie pożądania. To taki wał obronny przeciw kazirodztwu.

Spotykamy się wieczorami, po czym wracam okrężną drogą do domu. Często idę i idę, spoglądając czujnie w niewidoczne, ale dobrze ustawione wewnętrzne lustro.

Mijają mnie inne dziewczyny. Chodzą parami albo grupkami, dla bezpieczeństwa. Jakim cudem zabójca opiera się pokusie, jaką stanowią te długonogie nastolatki w jaskrawozielonych koszulkach z odkrytymi plecami? Mają trwałą albo karbowane włosy. Próbują wyglądać jak Pat Benatar albo Paula Abdul. Oglądają program telewizyjny z odległego Toronto, MuchMusic, żeby się zorientować, co tam jest teraz modne. Fioletowy lakier do paznokci wygląda jak siniaki na palcach u nóg. Zapach młodych ciał.

Jestem tu wciąż na tyle krótko, że próbuję odseparować to, co się jeszcze dzieje, od tego, co się już skończyło. Szkoła się już skończyła. Moje życie w tym mieście prawie, chociaż muszę wytrzymać jeszcze dwa miesiące. Potem będę wolna. Letnie dni zlewają się ze sobą. Zauważam, że mijają, bo rzucają kobaltowe cienie na moją przyszłość, które najpierw wydłużają się, tak jak wieczory, a potem skracają.

[5] Tłumaczenie na podstawie angielskiego przekładu Anne Carson.

2. NOCNY LOT

TOROS

Spiętrzenie w postaci kopca połamanego lodu, utworzonego w wyniku nacisku w miejscu, w którym róg kawałka kry styka się z inną krą.

5 MARCA

Dzisiaj jest minus dziesięć. W powietrzu czuć nowy rodzaj zimna. Ostry jak igły, ale w przeciwieństwie do mrozu w Ice Blue czuć w nim wilgoć, która sprawia, że przenika aż do kości. Czuję, że coś we mnie, jakaś głęboka ukryta zdolność, odpowiada na ten nowy kaliber mrozu. Jakieś dawne zeszywnienie.

Zimno przenika przez trzy warstwy polaru. Czuję lekki ból w płucach. Uderza we mnie nowy, boczny wiatr, nadciągający od strony Wyspy Jenny, kiedy biegam tam i z powrotem po pasie lotniska. Zaczęła mnie przytłaczać majestatyczna pustka tej wyspy. Nie wiem, kiedy zaszła ta zmiana ani co oznacza.

Bazę spowiła śnieżycą. Odzwyczaiałam się od zimna, od tylu lat go nie zaznałam. Oczywiście, kryje się w nim siła. Jego ulotna, negatywna energia rozbudza. Na zimnie łatwiej się myśli. Z drugiej strony śnieżycę powodują, że chowamy się w sobie.

Obserwowałam, jak mróz maluje świąteczne wzory na moim oknie. Chodziłam tam i z powrotem, od parku narodowego Brecon Beacons (kalendarz *Piękna Walia*, maj) do płaskich, rozgrzanych piasków półwyspu Gower (sierpień).

Głęboka zima, taka, jak co roku w Kanadzie, zawsze mnie usypiała pod względem emocjonalnym. Trudno się z tego stanu wyrwać. Głód, smak, pragnienie, wszystkie te uczucia zapadają się w sobie, wystraszone wrogością zewnętrznego świata. Między innymi dlatego nie tęskniłam za naprawdę mroźnymi zimami, kiedy zamieszkałam w Anglii. Skoro żyję, chcę czuć się żywa.

Wczoraj Tom i Lanier polecili do Stanley po zapasy na następny miesiąc. Musieli wrócić tego samego dnia, bo zmieniała się pogoda.

– Często musicie latać tam i z powrotem w ciągu jednego dnia? – spytałam Toma przed wylotem. Wiedziałam, że dla niego oznacza to dziesięć godzin w powietrzu. W bazie dzień trwał już niewiele dłużej.

– To wykańczające – przytaknął. – Ale nie ma wyjścia. – Mieli dwudziestoczworgodzinne okno pogodowe, żeby przewieźć na północ ostatnie osoby z personelu bazy, które nie zostają tu na zimę, załadować zapasy

i wrócić. Następnego dnia sami opuszczali bazę na dobre, zabierając ze sobą Stewarda, czyli KOT-a, i ostatnich dwóch mechaników lotniczych.

Byłam jeszcze w łóżku, kiedy usłyszałam, że samolot startuje. Około piątej po południu zawyła syrena, ogłaszająca ostatni punkt krytyczny sezonu.

Punkt krytyczny zasięgu samolotu to kolejny charakterystyczny dla Antarktydy zwrot, którego nikt mi nie wyjaśnił. Podobnie było z bing-bongiem, czyli wewnętrznym systemem nagłośnieniowym. Wszyscy chyba sądzili, że nazwy mówią same za siebie. Punkt krytyczny zasięgu samolotu oznacza miejsce, po przekroczeniu którego samolot nie będzie miał dość paliwa, żeby wrócić do miejsca startu, na przykład na Falklandy. Choćby nie wiem co się działo, musi wylądować. Jeśli więc pogoda się pogorszy, pas zostanie zasypany albo chmury nagle podniosą się na 12 000 stóp, a na takiej wysokości zaczynają się tworzyć kryształki lodu, piloci i tak będą musieli kontynuować lot do bazy, nawet jeśli istnieje niebezpieczeństwo, że samolot ulegnie oblodzeniu. Baza musi być przygotowana na awaryjne lądowanie, więc syrena ostrzega wszystkich w bazie i na pasie swoim ostrym, płaczącym zawodzeniem.

Tom opowiadał mi, że kilka lat temu pogoda „dała całkowicie ciała” (tak piloci określają zerową widoczność). On i Lanier musieli posadzić dasha przy braku widoczności i w krajobrazie całkowicie pozbawionym punktów orientacyjnych, opierając się tylko na odczytach instrumentów, ale bez systemu naprowadzania, którego używa się na innych lotniskach.

Wszyscy w bazie zostali wezwani. Musieli założyć kombinezony ochronne i dostali przeterminowane race. Ustawili się w rzędzie na końcu pasa, a w chwili, w której dash miał się pojawić, zapalili flary i trzymali je nad głowami, tworząc żywe światła ostrzegawcze.

Syrena zawyła, kiedy siedzieliśmy w jadalni.

– No, to już, ludziska – oznajmił Steward. – Ostatni punkt krytyczny sezonu. – Spora część życia w bazie toczyła się teraz wokół rytuałów końca i nadchodzących zmian: ostatni banan, ostatni ogórek. Nawet my, którzy nie zostawialiśmy na zimę, mieliśmy wrażenie, że zaraz zostaniemy skazani na śmierć.

Jakieś pół godziny przed spodziewanym powrotem dasha poszłam z Darrenem, sprzątaczem pochodzącym z Wyspy Świętej Heleny, na werandę, żeby popatrzeć na lądowanie samolotu.

Darren był jednym z trzech młodych mężczyzn z wyspy, którzy co roku pracowali w bazie. Święci, jak na nich mówiono, byli ze sobą spokrewnieni. Mieli łagodne usposobienie, nigdy nie widziałam ich niezadowolonych. Odbywali pełne błogości konferencje przy automacie do soku, tocząc rozmowy w swojej zabawnej gwarze. Nie przychodzili na bale przebierańców i na wieczory zagadek, ale co wieczór grali w swojej kwaterze w karty.

Darren zgasił papierosa.

– Przepraszam – powiedział. – Tak już tęsknię za domem, że muszę palić. – Nie cieszył się na podróż na „Shacku”, jak wszyscy nazywali „Ernesta Shackletona”, na którym podobno nieprzyjemnie się płynęło. – Jestem takim facetem, który

dostaje choroby morskiej w wannie.

Obserwowaliśmy niebo, wypatrując czterech światełek, które powinny pojawić się gdzieś nad Wyspą Jenny. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby dash lądował w zapadającym zmierzchu.

– Gdzie oni są?

Po raz ostatni w tym sezonie pas był oświetlony. Za dwa dni zostanie przykryty starymi beczkami po paliwie. Wokół nich będą się usypywały zaspy, tworząc obeliski, wiatrochrony i nawisy.

– Oto i oni.

Na czarnym niebie pojawiły się cztery światełka. Za nimi wznosiły się ośnieżone szczyty Wyspy Jenny. Z chmur wynurzył się dash, lecący wolno nad pokrytą lodem zatoką. Patrzyliśmy, jak schodzi coraz niżej, oświetlony srebrzystym blaskiem zachodzącego słońca. Poczułam dreszcz na plecach. Chociaż wiele razy widziałam, co potrafią piloci, nadal nie mogłam uwierzyć, że im się udaje. Antarktyda nadawała ich wyczynom posmak heroizmu. W tym wypadku polegał on na locie tam i z powrotem do świata na skraju cywilizacji w ciągu jednego dnia i powrocie w zapadającym zmierzchu do naszej sennej kolonii.

Tej nocy Tom przyszedł do mojego biura. Zmęczony, przycupnął na brzegu krzesła. Nie siedziałam za sterami dasha zbyt długo, ale nawet te krótkie chwile mnie wykończyły, a Tom i Lanier lecieli dzisiaj przez długie godziny.

Powiedział, że wszystko poszło zgodnie z planem.

– To tylko rutynowy maraton.

Kolor odpląnął mu z twarzy. Wkrótce go nie będzie. Był chyba ostatnim przyjacielem, jaki mi został w bazie. Jego nadchodzący wyjazd zmienił go we własnego sobowtóra. To coś wyglądało dokładnie tak, jak Tom, ale nim nie było.

Przeprosił mnie i wstał.

– Cóż – powiedział. – Dobranoc.

8 MARCA

Nadeszła śnieżycy. Twin ottery są rozedrgane. Nie mogą odlecieć, choć chcą.

– Typowe – mówi Tom.

Cały dzień sypie tak, że nic nie widać. Nie wolno nam wychodzić na zewnątrz, chyba że chcemy wrócić do swoich pokoi albo pójść do laboratorium. Trafimy do nich nawet w śnieżycy, znamy drogę na pamięć. W przeciwnym razie moglibyśmy stracić orientację i zabłądzić.

Podczas odprawy przychodzą wiadomości. Jutro pojawi się okno pogodowe. Tom i Lanier polecą dashem na północ, zabierając ze sobą meteorologa, Xaviera, Stewarda, mechaników i dziesięciu innych mężczyzn.

Nie mogłam wczoraj zasnąć. Przez całą noc leżałam na mojej pryczy, wpatrując się w różowe i szare zawijasy na materacu nade mną. Baza jest całkiem inna. Kormorany, nawałniki i słonie morskie przeniosły się gdzie indziej. Atmosfera w bazie gęstnieje. Płyną między nami jakieś cierpkie prądy,

jak mleko zaprawione sokiem z cytryny, które może się zwarzyć.

Przez cały dzień i całą noc przed odlotem dasha walczyłam z instynktem, który nakazywał mi wsiąść do samolotu. Jakiś głos, którego wcześniej nie słyszałam, ale który żył gdzieś we mnie, zaczął szeptać, mówiąc potem coraz głośniej i coraz bardziej natarczywie, aż wreszcie przechodząc do krzyku: Jedź!

Poprosiłam o pozwolenie na powrót ostatnim statkiem, bo chciałam być świadkiem końca lata. Byłam przekonana, że taki scenariusz odegra swoją rolę w powieści, którą napiszę na podstawie swoich doświadczeń. Ale czy istniał jeszcze inny powód? Czy grałam ze sobą w kotka i myszkę, chcąc sprawdzić swoją determinację albo wręcz przetestować los? Czy chciałam znaleźć się w sytuacji bez wyjścia i zobaczyć, jak na nią zareaguję?

Zdarzało się, choć nie w ostatnich latach, że ktoś musiał zostać na Antarktydzie na zimę, choć tego nie planował. Nie wiedziałam, co stałoby się ze mną i pozostałymi dwudziestoma osobami, które liczyły, że wkrótce zobaczą angielską wiosnę i wrócą do swojego dawnego życia, gdyby coś poszło nie tak ze statkiem. Pewne było to, że samoloty by po nas nie wróciły. Byłyby już wtedy w Kanadzie i przechodziły coroczny przegląd. Wiedziałam, że nasz wyjazd zaplanowano wyjątkowo późno i że żadna inna organizacja nie wywozi swoich pracowników z tak dalekiego południa o tak późnej porze roku, kiedy pokrywa lodowa na morzu robi się coraz grubsza. Prawdopodobnie nie byłoby żadnego statku, który mógłby nas stąd zabrać.

W ostatnim dniu pobytu Toma w bazie pokazałam mu swoje dwie ostatnie książki. Mówił, że chciałby je zobaczyć.

Przejrzał je, strona po wypełnionej słowami stronie.

– Nie mam pojęcia, jak możesz po prostu wsiąść i to wszystko napisać – powiedział wreszcie. – Wymyślić to. Przepraszam, ale po prostu tego nie ogarniam.

– Ja też nie – przyznałam.

– Dlaczego to robisz?

– Chyba dlatego, że mogę. A dlaczego ty latasz?

– Bo to kocham. Daje mi to moc. Nie sądzę, że mógłbym być zwyczajnym człowiekiem.

– Ludzie, którzy nie latają, są zwyczajni?

– Nie, niezupełnie. Chodzi o to, że nie chcę mieć zwykłego życia. Chcę oglądać rzeczy, które mało kto widział. Chcę żyć dzięki swojemu rozumowi i umiejętnościom.

– Ze mną jest tak samo.

Jak tylko to powiedziałam, zaczęłam się zastanawiać. Bycie pisarką na Antarktydzie było jeszcze bardziej absurdalne niż zwykle. Każdy, kto tu przyjeżdżał, umiał coś pożytecznego – pływać RIB-em między krą, zaplanować kurs statku, nurkować pod lodem, zidentyfikować dwadzieścia gatunków strzykw, naprawić generator prądu, kontrolować ruch lotniczy, naprawić

samolot albo badać mech odporny na promieniowanie UVB.

Społeczność bazy musiała zostać oblana szczególnym eliksirem. Tytu jej członków roztaczało wokół siebie prawdziwe pole siłowe, wynikające, tak jak w przypadku Toma, z lat nauki, praktyki i doświadczenia. Wcześniej pracowali jako spece od logistyki w wojsku albo jako piloci RAF-u. Potrafili całymi dniami ciągnąć sanie po lodowcu, miesiącami mieszkali w igloo, próbując skłonić lód do wyjawienia przyszłości planety. Baza chciała korzystać z twoich umiejętności, a jeśli to nie wchodziło w grę, to z siły twojego charakteru. Z drugiej strony, pisarze są często introwertykami. Swoją osobowość przelewają na papier, jak sądzę, częściowo także dlatego, że chcą się rozgrzeszyć z konieczności przelewania jakiejś wersji siebie na umysły innych ludzi. Pisarzy czasem nie da się poznać inaczej niż przez lekturę ich książek. Poruszają się po świecie jak duchy.

– Ja też nie wiem, jak robisz to, co robisz – przyznałam. – Kiedy myślę o tym, co może pójść nie tak...

– Ja o tym nigdy nie myślę. – Głos Toma zabrzmiał niezwykle surowo. – Pamiętaj. Nie wolno myśleć o tym, co może pójść nie tak.

Żałowałam, że nie byłam mniej konfliktową osobą. Zaczęłam pisać, żeby odpokutować za tę konfliktowość, która się tylko potęgowała.

– Czasami żałuję, że muszę być tym, kim jestem. – Jak tylko to powiedziałam, usłyszałam w swoim głosie nastolatkę. Wiedziałam, że mu się to nie spodoba.

I rzeczywiście, przez twarz przemknął mu wyraz zniecierpliwienia. Zawsze wiedziałam, że potrafi zachować się lekceważąco i nie interesują go sprzeczne uczucia. Nigdy jednak nie było to wymierzone we mnie.

– Cóż, w takim razie nie bądź – powiedział.

Chciał już wyjechać, widziałam to. Myślał był już gdzie indziej, w przestrzeni błękitnego nieba, które musiał pokonać.

Dostałam zaszczytu bycia członkiem oficjalnej delegacji pożegnalnej, razem z Simonem i Melissą. Odprowadziliśmy wyjeżdżających na pas. Zmienili się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, wszyscy, nawet Xavier. Wydawali się lekko oderwani, gotowi na powrót do prawdziwego świata.

Tom i Lanier wyszli kilka godzin wcześniej, żeby przygotować dasha. Przez internet przysłano im najświeższe informacje o wiatrach, twarze mieli skupione i poważne. Warunki były w porządku, chociaż mogłyby być lepsze, powiedział mi Tom.

– Tylko raz będziemy musieli polecieć okrężną trasą, przez Puntę – poinformował mnie. – Marsh jest zamknięte. Z powodów wojskowych, Chilijczycy nie powiedzieli nam nic więcej.

Pasażerowie wchodzili do samolotu, a my czekaliśmy na płycie lotniska. Widziałam sylwetki Toma i Laniera w kokpicie. Kręcili się, wyciągali listy kontrolne, ustawiali instrumenty. W końcu Tom wyszedł. Miał na sobie tę charakterystyczną, brzoskwiniową kurtkę z bawełny Ventile, genialny wynalazek z czasów II wojny światowej.

– Uważaj na siebie. Korzystaj, ile się da i o nic się nie martw. Jeśli cię to wszystko przerośnie, wrócę po ciebie.

Roześmialiśmy się. Oboje wiedzieliśmy, że to niemożliwe.

– Nie będę się żegnał – dodał. – Taki przesąd pilota.

– Jak to, żeby się nie oglądać – zauważyłam.

– Właśnie. Nie patrz do tyłu, nie żegnaj się. – Spojrzał na swoje stopy i uderzył jedną o drugą, prawdopodobnie dla rozgrzewki. – No nic. Napiszę z drogi.

Wrócił do kokpitu. Pasażerowie byli już na swoich miejscach. W drzwiach pojawił się Steward i wciągnął schodki, machając nam krótko na pożegnanie.

Pas był przyprószony śniegiem. Tom i Lanier uruchomili silniki. Łopaty zaczęły mieć powietrze, jedna po drugiej, wzbijając wiry żwiru i śniegu. Wiedziałam, że trzymali teraz zalaminowaną listę kontrolną i metodycznie sprawdzali kolejne punkty: hamulce – zwolnione, awionika – włączona, trymer steru wysokości – do startu.

Samolot drgał od połączonej mocy czterech silników. Jak na tak dużą maszynę, zawrócił z gracją i pojechał na koniec pasa. Drganie zmieniło się w dygot. Start był nagły i doskonały – w zależności od ładunku i od wiatru dash mógł się wzbić w powietrze po przejechaniu sześciuset metrów pasa, którego całkowita długość to dziewięćset metrów. Staliśmy przed hangarem. Kiedy nas mijał, był już ponad ziemią.

Tom i Lanier skręcili nad półwysep. Zawrócą i przelecą nad bazą w tradycyjnym pożegnaniu, którym kończą każdy sezon. Na chwilę straciliśmy ich z oczu. Kiedy się pojawili, lecieli tak nisko nad ziemią, że wzbijali tumany żwiru.

Im bliżej byli, tym bardziej ogłuszający był ryk silników. Samolot zaczął nabierać wysokości, przelatując nad naszymi głowami. Widzieliśmy jego blade podbrzusze. Następnie Tom i Lanier skierowali maszynę w górę, żeby uniknąć gór lodowych pływających zaraz za pasem startowym, i po chwili samolot był już tylko plamką wśród srebrzystego kłębowiska chmur.

Wróciliśmy do ciepłej jadalni, ciężko stąpając po pasie, na którym nagle nie było już samolotów. Nie będziemy już słuchać syren, które będą ostrzegały przed wchodzeniem na płytę. Z południa zerwał się silny wiatr i zaczął padać śnieg, ale zostałam na zewnątrz, wpatrując się w puste miejsce na niebie.

12 MARCA

Myśli zaczęły mi się rozmywać. Nie potrafię napisać więcej niż kilka linijek na raz. Biorę do ręki książki, które ze sobą przywiozłam, na przykład *Mountains of the Mind* Roberta Macfarlane'a, ale daję radę przeczytać najwyżej jeden akapit.

Udaje mi się za to przeczytać maila. Tom pisze do mnie z „powietrznego promu”, tak bowiem piloci nazywają długą podróż do Kanady. Muszą lecieć taką trasą, która pozwoli na tankowanie otterów co osiem godzin. Dash może lecieć dłużej, oba samoloty mają zresztą powiększony zasięg dzięki dodatkowym zbiornikom paliwa.

Przed ich wylotem zrobiłam sobie kopie stron z atlasu i cienką, czerwoną linią połączyłam ich przystanki: Stanley, Montevideo, Florianópolis, Rio de Janeiro, Recife. Potem długi skok do Caracas, następnie Curaçao, Brytyjskie Wyspy Dziewicze, dalej Texas i Montana. Ostatni odcinek prowadzi do Calgary, gdzie samoloty przejdą przegląd podczas trwającego na półkuli północnej lata.

Tom zobaczył spory kawałek świata ze swojego kokpitu, i to nie tylko świata polarnego. Zazdrościłam mu cudów, które widział i o których pisał krótko w swoich mailach – potężnych burz z piorunami nad Rio Grande do Sul, pełnych przepychu zachodów słońca nad Amazonką. „Jestem tylko obserwatorem – powiedział mi kiedyś w bazie. – Naukowcy starają się coś zmienić. Ja tylko patrzę”.

Zawsze musi być ktoś, kto patrzy. Wydaje mi się, że jest do tego stworzony i że między innymi dlatego został pilotem. Gavin stwierdził, że piloci są samotnikami. Miał rację. Tom był samowystarczalny. Potrzebował tylko samego siebie i swojego samolotu, żeby unieść się w powietrze i czuć moc w dłoniach. Wszystko inne było tylko dodatkiem. Miałam wrażenie, że dotyczy to też kobiet – że są dla niego odpowiednikiem nowego mieszkania, nowego motocyklu, nowego samochodu. Przykuwają jego uwagę na chwilę, dopóki nie splamią się jakimś przewinieniem. Przez chwilę lśnią tak samo jak ląd, nad którym leci – morza, lodowce, góry, szerokie i leniwe zakola rzek.

Przez kilka dni po odlocie samolotu czułam spokój, mimo że myśli ulatywały mi z głowy w chwilę po tym, jak je zauważyłam. Próbowałam pracować, robiłam notatki, sprawdzałam fakty w bibliotece.

Po raz pierwszy stało się to podczas obiadu. Jadłam zupę szparagową z puszki. Niepokój nie narastał stopniowo. Tak jak dash na pasie startowym, rozpedził się od zera do sześćdziesięciu. Poczułam, jak noże przeszywają całe moje ciało – płuca, umysł.

Jakieś stworzenie, odważne, lecz nikczemne, zaszło mnie od tyłu. Przerazona gwałtownością tego dziwnego ataku, uciekłam do Labu 5 i do zdjęć zieleni, plaż i zachodów słońca. Ogarnęła mnie samotność. Poczułam się obnażona bez Toma i Xaviera, bez parasola bezpieczeństwa, jaki dawało ich towarzystwo.

Popełniłaś błąd, powiedział mi wewnętrzny głos. Powinnaś była wsiąść do tego samolotu.

Kim jesteś? – spytałam.

Stwierdziłam, że powinnam znaleźć sobie dużo zajęć. Najpierw poszłam do narciarni i nauczyłam się woskować narty. W warsztacie trzymałam brudny od smaru łańcuch skutera, podczas gdy jeden z mechaników wymieniał bęben hamulcowy. W składzie alkoholu układałam i przekładałam skrzynki. Kierownik administracyjny pokazał mi, jak działa Kontener Cudów, czyli urządzenie do recyklingu. Piątki były dniem „generalnych porządków”. Sprzątaliśmy wszystko z mesjańskim zapałem, zbierając niezakurzone korki od wina i niepokryte kłaczkami śmieci z kątów.

Ogarnął nas zimowy nastrój, będący połączeniem pracowitości i kontemplacji. Zima to martwy sezon. Gdyby miała zniknąć wskutek ocieplenia, stracilibyśmy ten senny czas na refleksję i wsłuchiwanie się w siebie. Przepadłby surowy majestat śniegu i lodu, a także dar w postaci wytrzymałości, którą zima obdziela ludzi żyjących w jej uścisku.

Charakter najlepiej kształtuje się w czasach, w których brak nadziei. Czy jeśli zabraknie zimy, staniemy się zwiotczalnymi sybarytami? Czy też będziemy jak wiecznie kwitnące heliotropy, które zawsze odwracają się do słońca?

14 MARCA

Niedziele ciągną się najbardziej. W bazie zostały czterdzieści dwie osoby – dwadzieścia jeden spędzi tu zimę, reszta wyjedzie na „Shacku”. Wszyscy spóźniają się na śniadanie albo wręcz nie przychodzą. Czasem zjawiają się w piżamach, jak dzieci, które spędzają noc u kolegów. Próbują poczuć się jak w domu w niedzielny poranek, rozsiadają się więc z dwukolorowym wydrukiem internetowej wersji „Observera”, którym musimy się wszyscy dzielić. Wymieniamy się stronami, które już przejrzelismy.

Później będzie niedzielny obiad. Co będziesz dzisiaj robić? – pytamy jeden drugiego. Możemy iść na narty albo oglądać filmy w łóżku. Będziemy potem grać w tryktraka albo w bilard. Wieczorem filmy i kufel guinnessa.

Jest dziś ciemno. To przedsmak prawdziwej zimy. Wiatromierz pokazuje trzydzieści pięć węzłów, w porywach do czterdziestu. Wieje nietypowo, z północnego wschodu. Jeśli wiatr się uspokoi, pójde później na spacer. Silny wiatr może sprawić, że temperatura odczuwalna spadnie tak dramatycznie, że zacznie nam zamarzać twarz, nawet jeśli włożymy kominiarkę.

Zaciągam rolety, żeby odgrodzić się od szalejącej za oknem śnieżycy, i próbuję skupić się na miniaturze radosnego świata, w którą próbowałam zamienić swoje biuro i jego okolice, obwieszając wszystko zdjęciami podwodnego świata, zrobionymi w pobliżu wyspy Lille. Są na nich rozgwiazdy, zachwy, gąbki – rozbłyśki koloru w głębinie.

Po południu policzyłam, kto został jeszcze w bazie. Byliśmy parami, jak w arce Noego: dwaj sternicy, dwaj kucharze, dwaj mechanicy, dwaj kierownicy bazy, dwaj meteorolodzy, dwaj inżynierowie (zajmowali się przede wszystkim meteorologią, jeden wyjeżdżał, drugi zostawał), dwaj hydraulicy, dwaj lekarze (jeden zostawał, drugi wyjeżdżał), dwaj biolodzy lądowi, dwaj biolodzy morscy, dwaj asystenci biologów morskich, dwaj elektrycy i dwaj faceci, o których nie wiem, czym się zajmowali. Były też niepokojące liczby nieparzyste – jedynki i trójki: jeden kierownik administracyjny, jeden inżynier, jeden kierownik do spraw wsparcia technicznego, jeden asystent operacyjny, pięciu asystentów terenowych, jeden asystent ogólny („laminat”, który nie potrafi żyć z dala od Antarktydy), trzech Świętych i jedna pisarka.

Teraz, kiedy zostało nas już tak mało, wzrosła podejrzliwość i nieufność względem pisarki. Kiedy w bazie było więcej egzotycznych osób: dziennikarzy, ministrów, ludzi z Ministerstwa Wspólnoty, kadetów Królewskiej Marynarki Wojennej, nie rzucałam się tak bardzo w oczy. Czułam się coraz bardziej wyobcowana. Próbowałam z tym walczyć, gawędząc godzinami z ludźmi, z którymi nie zamieniłam ani słowa, kiedy w bazie było sto osób. Nie podziałało. Wiedziałam, że większość uważa mnie za kogoś w rodzaju szpiega. Niepotrzebnie się martwili. Nie miałam zamiaru o nich pisać, przynajmniej nie w sposób, który pozwoliłby ich zidentyfikować. Żeby napisać prawdę o tym, co tu przeżyłam i czego doświadczyłam, będę musiała stworzyć całkiem innych bohaterów. Tylko dwie istoty nie potrzebowały takiej ochrony – Antarktyda i ja.

15 MARCA

Naszą telewizją jest niebo. Światło jest niskie i ulotne, zmienia się co sekundę. Widzimy podobne do bez ze śmietanką chmury, w które jakiś olbrzym wbił widelec, żłobiąc w nich pięć idealnych bruzd. Chmury pojawiają się jak grzyby po deszczu, aż wreszcie pochłaniają całe niebo. Są też chmury soczewkowate, tworzące się nad górami. Często bywają mylone z UFO. Wywierają dobre wrażenie. Przypominają cienkie spodki zawieszane na szczycie. Zaczynają się też pojawiać obłoki perłowe. Drżą jak cienkie prześcieradła z macicy perłowej. Mają kolor zielonych melonów i zgaszonego blasku księżyca.

Mój niepokój się pogłębił. Przestałam go traktować jak chwilowy objaw, byłam przerażona. Chodziłam do rzadko używanej łazienki przy gabinecie lekarskim, żeby wymiotować.

Na ścianie naprzeciwko łazienki przyklejono stare mapy topograficzne półwyspu. Miały małą skalę i pokazywały nasze najbliższe otoczenie na Ziemi Grahama: Wybrzeże Oscara II, Wybrzeże Foyna, Wybrzeże Loubeta, Wybrzeże Bowmana, Wybrzeże Fallières'a, Eternity Range, Trinity Peninsula. Przeszywał mnie dreszcz na widok nazw rodem z science fiction oraz nazwisk martwych ludzi.

W ustach czułam smak żółci i plwociny. Z całą siłą dotarła do mnie świadomość, że naprawdę nie mam się stąd jak wydostać, dopóki nie przyplynie statek. Ta wiedza była jak złogi tłuszczu w żołądku, w ustach, w głowie. W drodze do biura zatrzymałam się przy tablicy i patrzyłam na plakietkę z imieniem Toma. Wisiała w sekcji „Wyleciał z bazy” i czekała, aż wróci i ją stamtąd zabierze na początku następnego lata, za siedem miesięcy.

W następnych dniach mój niepokój i bezsenność się pogłębiły. Nie byłam w stanie spać dłużej niż kilka godzin. Czułam się, jakbym wypita cysternę kawy. Miałam zaciśnięte wszystkie mięśnie. Panika była prefabrykatem. Wytworzono ją w jakimś innym momencie mojego życia i nadano do mnie przesyłką ekspresową. Miałam świadomość, że to abstrakcyjny lęk, że boję się

samotności i porzucenia, ale nie potrafiłam nad nim zapanować.

Udawało mi się zasnąć około drugiej, ale wkrótce budził mnie uderzający o szybę śnieg. Codziennie ubywała prawie godzina dnia. Siedziałam w Labie 5 i próbowałam pisać, patrząc na zegarek. Ciemności zapadły o 19.30, następnego dnia o 19.10, kolejnego o 18.40...

Zaczęłam łykać tabletki nasenne, ale i tak budziłam się dwa albo trzy razy, całkowicie otumaniona. Kiedy zamykałam oczy, widziałam migotliwe, białe postacie o pociągłych twarzach i szparkach zamiast oczu, przypominające kosmitów z filmów Spielberga, i ludzi, których mogę przyrównać tylko do wikingów w hełmach i z włosami zaplecionymi w warkocze. Wszystkie te istoty patrzyły na mnie z dezaprobatą, jakbym nie radziła sobie z tajemniczym zadaniem, które mi zleciły. Być może miały rację. Nie mogłam jeść, nie mogłam spać, nie mogłam znieść oczekiwania, więc czas wziął na mnie odwet – zwolnił, potem stanął w miejscu, aż wreszcie wrzucił wsteczny bieg. Niemal słyszałam zgrzyt przesuwanego drażka.

Mówiłam sobie, że widzę te rzeczy, bo tak zastraszająco szybko ubywa światła. Przypomniały mi się słowa Xaviera, który opowiadał, że na Antarktydzie dziwne wizje nie są niczym niezwykłym. Przytrafiały się do przesady racjonalnym fizykom, miewali je operatorzy koparek. Dlaczego nie miałyby przytrafić się mnie?

Kiedy się nad tym zastanowiłam, stwierdziłam, że nawet atmosfera wydawała się teraz inna. Tak jakby energia całej planety opadła i zaczęła pokrywać się chłodną warstwą myśli. Istnieją na to naukowe dowody. Ciężar Antarktydy powoduje, że pole magnetyczne Ziemi jest ściągane w dół, a następnie ulega odkształceniu. Pod względem magnetycznym planeta nie jest więc kulą. Przypomina raczej gruszkę.

Zaczęłam wyobrażać sobie nowe zagrożenia. Kiedy udało mi się przestać myśleć o jednym, inne zajmowało jego miejsce. Wyobrażałam sobie wojny, epidemię, ogólnoswiatową zapaść ekonomiczną, fale tsunami. Inne zagrożenia wydawały się nieco bliższe. Był tylko jeden statek, który mógł nas stąd zabrać, a o tej porze roku wody Cieśniny Drake'a były wyjątkowo wzburzone. Zrozumiałam poniewczasie, że zostając w bazie, pozbawiłam się jakichkolwiek gwarancji.

Pewnego ranka Simon poinformował nas podczas porannego spotkania, że o dwudziestej zostanie odcięty prąd. Wyłączą go, żeby upozorować awarię głównego generatora, która może zdarzyć się w zimie. Trzeba przetestować zapasowy generator i sprawdzić, czy da radę wytworzyć prąd, który wystarczy na podstawowe potrzeby bazy.

Siedziałam w biurze, czekając na zapadnięcie ciemności i opróżniając ostatnią butelkę sangre de toro, którą dał mi Tom.

Wyłączono generator. Nagle zgasło światło. W bazie obowiązywał zakaz używania świeczek. Drzewo i powietrze były tak suche, że łatwo można by zaproszyć ogień. Włożyłam puchową kurtkę i wyszłam na dwór. To mogła być jedyna okazja, żeby zobaczyć pogrążoną w ciemnościach bazę.

Na niebie było pełno gwiazd. Lśniły chłodnym światłem, bardziej platynowym niż srebrnym. Obrazu dopełniały srebrzysto-kobaltowe chmury.

Inni zaczęli się przyłączać. Wpatrywaliśmy się w mało znany kawałek kosmosu. Niebo było haftowane w gwiazdozbiory, które zaczynałam już rozpoznawać. Nad horyzontem przechylał się Krzyż Południa, który stanowi punkt orientacyjny. Wkrótce schowa się za horyzontem. Niebo pulsowało i połykiwało. Gwiazdy były bardziej intensywne, ale wydawały się bardziej ulotne. Zapalały się i gasły jak zamrożone mgławice albo jak umierające pulsary. Kręciło mi się w głowie na myśl, że patrzyliśmy w dół kosmosu. Niewielu ludzi widziało niebo nad Antarktydą. Skierowano na nie teleskopy, zaprogramowane do szukania śladów Wielkiego Wybuchu, przemierzały je satelity i stacje kosmiczne.

Świat wokół nas twardniał. W zatoce zapanował impas. Za dnia powierzchnię pokryły lodowe kwiaty – małe, przezroczyste kształty zbudowane z kryształków. Podczas mroźnej nocy woda morska zalała ten kwiecisty dywan, przekształcając go w szary kleik. Kiedy temperatura spadła jeszcze bardziej, kleik zmienił się w owsiankę. W ciągu kilku dni utworzyły się krążki lodowe. Kiedy się zlepiły, wydawały z siebie metaliczny dźwięk, podobny do szlifowania stali.

Obok mnie stanął Simon. W coraz gęstszych ciemnościach patrzyliśmy na pokrywający morze lód.

– To już – powiedział, wpatrując się w ciemność. – Morze pokryło się lodem. To początek zimy.

Dom Donny stoi obok cementowni, która należy do jej ojca. On sam go zbudował. Dom ma kremowe ściany i kolumny przed wejściem. Na podłogach leżą grube dywany, wszędzie oprócz kuchni. Na kuchennej ścianie wisi zegar w kształcie motyla. Obie wskazówki pokazują północ.

Jest gorąco, nadal ponad dwadzieścia stopni. Jutro będzie upał.

Siedzę z Donną przy stole. Zostaję u niej dzisiaj na noc.

– Nie umiem sobie wyobrazić, jak by to było poznać ojca dopiero teraz – mówi.

Jest wiele rzeczy, których nie umiem sobie wyobrazić. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że mogłabym się z kimś kochać, chociaż wiem o dziewczynach w moim wieku, które z całą pewnością to robią z jakimś chłopakiem albo mężczyzną. Nawet kiedy próbuję o tym myśleć, słowo rozpada się w mojej głowie albo zmienia w swoich kuzynów. Kochać, kopać, konać – różnią się tylko jedną głoską.

Moja przyjaciółka chyba uważa, że kochanie się z kimś jest tylko kwestią czasu, że to wybór, którego dokonujemy sami albo ktoś dokonuje go za nas. Nie jestem tego taka pewna. Zawsze mi się wydawało, że jestem bardziej minerałem niż człowiekiem. Wyobrażam sobie las z epoki karbonu i leżący w nim węgiel. Przez wieki rozkładająca się materia wywiera nacisk, aż

wreszcie jestem gładka jak foczki z ceramiki, które sprzedajemy w Shades of Light. Czy ktokolwiek chciałby robić ze mną coś tak cielesnego i rozedrganego?

Wchodzi Michael. Zewnętrzne drzwi zamykają się za nim ze skrzypnięciem. Ma zaczerwienione oczy. Kiedy robi sobie kubek rozpuszczalnej kawy, widzę, że ręce mu się lekko trzęsą.

– Co robiłeś? – pyta Donna. – Nie byłeś dzisiaj na patrolu.

Siada koło nas.

– A co wy robiłyście?

Zerkamy na siebie. Nie, żebyśmy robiły coś wyjątkowo zakazanego. Szczotkowałyśmy konia Donny, wypróbowałyśmy nowe cienie do powiek, oglądałyśmy telewizję.

– Rozmawialiśmy – mówię.

– O czym?

Donna wzdycha.

– O szkole, facetach, o mordercy na wolności. A o czym miałybyśmy rozmawiać?

Rozsiada się wygodniej i zdejmuje czapeczkę. Włosy przykleiły mu się do czoła. Przeczesuje je ręką.

– Jeździłeś i go szukałeś, prawda? – pyta Donna.

Michael wbija wzrok w dal.

– Pomyślałem, że pokażę mu, że patrzymy.

– Którędy jeździłeś?

– Wzdłuż rzeki. Po lesie. Tam, gdzie zawsze.

– Widziałeś coś? – pytam.

– Parę pijaczków w parku, tam, gdzie zawsze.

Otwiera usta, po czym je zamyka.

– Rozmawiałem dzisiaj z komisarzem. Powiedział, że powinniśmy zastawić pułapkę. Zaaranżować taką sytuację, jaką lubi najbardziej i czekać. Samotna kobieta albo dziewczyna. Zepsuł jej się samochód i musi dojść do telefonu. Albo... Nie wiem. Trzeba wymyślić jakąś sytuację, w której ona będzie sama. I poczekać na niego.

– Jakaś policjantka może to zrobić – powiedziała Donna. – Przebierze się za kogoś.

– Nie mamy nikogo w odpowiednim wieku. Ofiary były albo nastolatkami albo miały dwadzieścia parę lat. Najmłodsza kobieta u nas ma trzydziestkę. I jest gruba.

Orientuję się, że to powiedziałam, zanim zdążyłam pomyśleć.

– Ja to zrobię.

– Nie ma mowy.

– Dlaczego nie? Zresztą, jeśli coś się stanie, to mnie uratujesz. Prawda?

Patrzy na mnie. Usłyszał, że rzucam mu wyzwanie. Tym razem widzę coś w jego oczach. Jakiś błysk.

W tym mieście ciemność nie rozkłada się równo, zbija się w kępki, jak krzaczki jagód. W lasach pełno jest jagód i borówek, rośnie gąszcz fioletoworóżowych krwinek. Nauczyłam się tego słowa na lekcjach biologii. Oglądaliśmy krwinki na slajdach. Przypominały zakurzone, czerwone winogrona przywożone z Ontario albo z Florydy.

Droga prowadzi przez las. Zaczyna się przy starym moście z zielonymi łukami, które trzeszczą w nocy. Jeżdżą po nim ciężarówki z drewnem. Ich niestabilny ładunek klekocze. Właśnie taka ciężarówka zabiła tę dziewczynę ze szkoły.

Uderzam ręką o udo. Dłoń mam całą we krwi. Komary i meszki zjedzą mnie żywcem, zanim zdąży mnie dopaść zabójca.

„Nie mów o tym nikomu”. W głowie dźwięczą mi słowa Michaela.

Michael i jego partner Dave są gdzieś tam, w swoim wozie.

Czuję chłód krótkofalówki na skórze. Schowałam ją w džinsach, nad pośladkami. Jestem idiotycznie ubrana – mam na sobie dzinsy, czółenka i turkusową koszulkę na ramiączkach. Normalnie nigdy bym czegoś takiego nie włożyła. Jestem umalowana i mam pokarbowane włosy – to robota Donny.

Idę po poboczu. Mijają mnie samochody, słyszę dźwięk klaksonu. Unosi się w powietrzu długo po tym, jak samochód odjechał, niczym poszarpana wstążka, która powiewa z tyłu. Dwóch chłopców wychyla się z okna, ich twarze wydają się żółte. – Juhuu! – krzyczą.

Obserwuję samochody, czekając na czerwony blask światła stop. Na auto, które zwolni, żebym mogła je dogonić, a może nawet zatrzyma się lub wrzuci wsteczny bieg. „Co się stało, mała? Podwieźć cię?”

Idę dalej. Robi się coraz zimniej, żwir chrzęści mi pod nogami. Co jakiś czas mijają mnie rozpędzona ciężarówka, a podmuch powietrza prawie zwała mnie z nóg. Zostaje po niej zapach żywicy. Małe kawałki kory spadają i wplątują mi się we włosy.

Idę już od godziny, ale nikt nie próbował mnie zabić. W końcu ktoś się zatrzymuje, sypiąc żwir spod kół. Odwracam się.

– Hej – mówi Michael. – Starczy tego. Wsiadaj.

Powtarzamy to cztery, a może pięć razy, na różnych drogach w okolicy rzeki. Michael i jego partner nie powiedzieli o tym swoim przełożonym. Wydaje mi się, że chciałby dostać awans, chciałby zostać miejscowym bohaterem. Jeśli o mnie chodzi, przyzwyczajona jestem do pieszych wędrówek. W zeszłym roku w zimie kilka razy wracałam pieszo ze stajni, pokonując po ciemku trzysta kilometrów.

W tym miesiącu nie ma kolejnych ataków. Całkiem jakby zabójca wiedział, że jestem przynętą, i postanowił zrobić sobie chwilowy urlop, podczas gdy my odgrywamy dla niego te leśne scenki. Jestem pewna, że istnieje związek między naszymi próbami zwabienia go a jego ociąganiem. Rozumiemy się, zawarliśmy rozejm.

Następnego ranka matka wchodzi do mojego pokoju. Martwię się, że zauważy, że na podłodze leżą nie moje ubrania, ale nie zwraca na nie uwagi.

– I jak ci się układa? – pyta.

– Co masz na myśli?

– Z nim.

„Nim” – mówi o nim tak jak ja, unikając imienia i roli, której żadna z nas nie chce głośno nazwać.

– Dlaczego pytasz?

– Ponieważ. – Na twarzy matki odmalowuje się coś dziwnego, po czym zaraz znika.

– O co chodzi? – naciskam.

– Nie możesz wierzyć we wszystko, co mówi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– On kłamie – wyrzuca z siebie.

Śmieję się.

– Co w tym jest śmiesznego?

– Myślałam, że powiesz coś dużo poważniejszego.

– Uważasz, że kłamstwo nie jest poważne?

– To dlaczego chciałaś, żebym się z nim spotkała?

– Żeby dał mi spokój. Poza tym, może się zmienił. Może chodził na jakąś terapię.

Zaczynam mieć wątpliwości.

– O jakich kłamstwach mówisz?

– O różnych. – Matka potrząsa głową. – Potrafi kłamać na każdy temat. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie było za późno.

Siedzę z Michaelem na posterunku, w jego pokoju. Jesteśmy sami, jego koledzy są na patrolu. Wróciliśmy z kolejnej nieudanej zasadzki. Siadam. Wyglądam nedorzecznie w obcisłych džinsach i neonowozielonej koszulce z odkrytymi plecami.

– Jesteś inna.

Patrzę na niego zwężonymi oczami.

– Jak to, inna?

– Ciężko się do ciebie dostać.

– Chcesz powiedzieć, że ciężko się do mnie dobrać.

– Dogadać. – Michael się wycofuje, jakby chciał powiedzieć: zadowolona? Tak samo jest z matką. Naszą podstawową walutą jest frustracja. – Tak jakbyś uważała, że każdy chce ci dokopać.

– Każdy chce mi dokopać. – Na dowód pokazuję na swoje ubranie i miejsce, w którym jesteśmy. – Dlaczego chciałbyś się ze mną dogadać?

– Chyba powinniśmy się dogadywać, nie wydaje ci się?

– Dlaczego? Bo przyjaźnię się z twoją siostrą?

– Czego chcesz? – pyta.

– Chcę mieć więcej kontroli.

– Nad czym?

– Nad tym, co się dzieje. – Żeby podkreślić, o co mi chodzi, uściślam: – Co się dzieje ze mną. Chcę mieć coś do powiedzenia w sprawie swojego życia. To wszystko.

Przez chwilę zastanawia się nad tym, co powiedziałam. Wygląda jednocześnie na speszonego i posępnego, tak jakbym żądała czegoś kosmicznego. Po chwili wyciąga swoją atutową kartę.

– Widziałem cię w Dairy Queen. Z facetem. Starszym.

Nie chcę mu mówić, ale muszę się bronić.

– To mój ojciec.

Michael podnosi jedną brew. Skóra mu się marszczy na czole. Ma dopiero dwadzieścia trzy lata, niedawno nie miał takich zmarszczek. To zapewne przez pracę.

– Próbujemy się poznać. Przyjechał z zachodu.

– To chyba dobrze. – Wydaje się teraz starszy, jakby wiedział więcej.

Przyglądam się jego twarzy – twarzy, którą znam od gimnazjum, a może nawet dłużej. Nie pamiętam, kiedy poznałam Donnę i zaczęłam do niej przychodzić, chowając głęboko wszystkie „o mój Boże” i „na litość boską”, kiedy tylko przekraczałam próg jej domu, przez wzgląd na jej religię. Jej rodzina to zielonoświątkowcy, przybierałam więc pozę przyjaciółki-która-chodzi-do-kościółka, całkiem jakbym zakładała sukienkę. Michael był zawsze w pobliżu. Siedem lat starszy, zawsze mnie obserwował, nawet wtedy, kiedy udawał, że mnie ignoruje, grając w kosza, siadając za kółkiem swojego pierwszego samochodu, posyłając siostrze całusy. Nie zdziwiłam się, kiedy wstąpił do policji. Miał oczy dookoła głowy.

– Spróbujemy jeszcze raz w czwartek.

– Będę – odpowiadam.

W te letnie wieczory, kiedy w zapadającym zmroku szłam sama przez las, czekając na dłonie, które zacisną się na mojej szyi, paznokcie, które przebijają skórę, na cios w głowę – morderca używał tych wszystkich sposobów – recytuję nazwy miejscowych drzew, żeby nie czuć się tak samotnie. Na egzaminie wstępnym na uniwersytet napisałam o nich esej, podając nazwy rodzajów i gatunków, ich cechy charakterystyczne i wrażliwość na szkodniki, które występują na wybrzeżu.

Wirują mi w głowie, jak werbalny kompas, podobne do psalmów, które moja matka śpiewa podczas mszy: cedr, sosna, jodła balsamiczna, topola balsamiczna, dąb, klon, orzech, wiąz syberyjski i szypułkowy, modrzew, głóg, wawrzyn, olcha, wierzba, sumak, platan, świerk biały, świerk czarny, jodła balsamiczna, sosna Banksa, brzoza, osika, modrzew amerykański, buk, klon, orzech czarny, orzesznik, dąb.

Matka składa pranie. Twarz jej się rozjaśnia na widok malutkiego, białego sweterka, z którego wyrosło już jej najmłodsze dziecko.

– Wydaje mi się, że on naprawdę nie widzi różnicy – mówi. – Myśli, że

stwarza swoją własną rzeczywistość, więc nie kłamie. Myśli, że jeśli powie, że jest pilotem, to staje się pilotem.

– Jesteś pewna, że kłamie w tej kwestii?

Matka zagryza wargi.

– Któż to wie. Może rzeczywiście jest pilotem. – Znowu się śmieje, dźwięcznym śmiechem, jakby ktoś wysypywał kamyki na kamienny stół. Nieraz usłyszę ten ton głosu, może nawet sama tak kiedyś zabrzmieć – to głos kobiety, która sparzyła się z powodu swojej łatwowierności.

Tak, udało jej się uniknąć tego losu – życia z mężczyzną, który być może zmyśla, a być może nie. Jego historie zawierały mnóstwo szczegółów. Mówił o typie samolotu, o jego pojemności, o rozpiętości skrzydeł, mocy silnika, długości pasa startowego, pojemności zbiornika na paliwo, pogodzie. O podobnych szczegółach będzie mi później opowiadał Tom.

– Wiesz, byłby dobrym pisarzem – mówi matka. – Tym właśnie powinien się zająć. Mógłby wymyślać dowolne historie.

Zastanawiam się, jaki jest mój stosunek do prawdy. Nie kłamie, ale fantazuję. Czy to jedno i to samo? Chciałabym, żeby wszystko wyglądało inaczej, przyznaję. Chciałabym mieszkać gdzie indziej, mieć inną rodzinę, wyglądać inaczej, bardziej egzotycznie. Wymyślanie historii byłoby tylko sposobem na to, żeby prawda, o której marzę, nadeszła szybciej, a nie jej zniekształceniem.

Nie wiedziałam wtedy, że prawda jest żywa, można ją tylko przeżyć. Istnieje w przeżywanym momencie. Każda próba odarcia jej ze skóry i rozłożenia na części pierwsze, takie jak wyobraźnia, pragnienie, fakt i wiara, doprowadzi do tego, że zostanie nam tylko zakrwawione ciało.

Niemówienie prawdy to nie kłamstwo, nie całkiem. Kłamstwa nabierają rozpędu, mają nawet swoją własną prawdę. Kiedy się powie jedno kłamstwo, bez wysiłku wygłasza się kolejne. W końcu z odwróconej prawdy utkana zostaje cała tkanina, równie przekonująca jak jej odbicie.

Nigdy nie kończy się na jednym kłamstwie, zawsze występuje cała kawalkada. To kolejne słowo, które poznałam dzięki lekturze *Kwartetu aleksandryjskiego*. Tratujące się konie, galopujące tak blisko siebie i tak szybko, że niektóre przewracają się i giną pod kopytami tych, które biegły za nimi. W składających się na *Kwartet* powieściach aż roi się od kłamców, ale ma to swój cel. Była wojna, trzeba było kłamać, żeby kogoś ocalić. Wyobrażam sobie, że jest to jakieś usprawiedliwienie, niemniej nie chroni kłamcy od tego podstawowego równania – każde kłamstwo prowadzi do następnego, i do następnego.

W nocy temperatura utrzymuje się na poziomie dwudziestu dwóch, może dwudziestu trzech stopni. Znam dobrze to miejsce, mieszkam tu od sześciu lat. Wydaje mi się, że te lata trwały dwa razy dłużej niż całe moje wcześniejsze życie, tak jakby czas brał udział w jakimś tajemniczym maratonie. Wiem, że pod koniec sierpnia pewnego dnia w powietrzu pojawi

się chłód. Meszki będą się rozmnażały jak szalone, przeczuwając, że koniec ich dni jest już blisko. Nad rzeką będą szumiały trzciny. Drobne ptaki będą w nich wychowywały młode, schowane przed cudzym wzrokiem.

3. WSPINACZKA

CYRK

Duże, koliste lub półkoliste zagłębienie otoczone stromymi stokami, które zazwyczaj powstaje w wyniku działalności erozyjnej lodowca.

18 MARCA

Od wielu dni pada śnieg. Antena satelitarna jest nim oblepiona. Kierownik łączności mówi, że to „zły rodzaj śniegu”. Jest mokry i uniemożliwia nam komunikację ze światem. Zmiotamy go, wchodząc na drabinę, choć wieje prawdziwy huragan. Wychodzenie na dwór przypomina teraz wkraczanie do zrujnowanej katedry. Wiatr wygrywa na organach jakieś anonimowe requiem. Simon próbuje nas podnieść na duchu. – Też coś – mówi. – Jest tylko minus dziesięć. Zimą temperatura spada do minus trzydziestu.

Razem z George'em, operatorem radia, postanawiamy wybrać się na wspinaczkę. Może wyleczy nas to z klaustrofobii. Oboje czujemy się niespokojni. Przez kilka dni czekamy na okno pogodowe. Wreszcie nadchodzi. Na tablicy pojawia się prognoza pogody – niedziela będzie „boska”!

Był piękny, pogodny dzień. Wybieraliśmy się na Stork Peak, niewidoczny z bazy szczyt położony po przeciwnej stronie lodowca. To jedna z najwyższych gór na Wyspie Adelajdy. Widać z niej lodowiec Wormald Ice Piedmont i Fjord Laubeufa na wschodzie. Na zachodzie rozciąga się otwarte morze, sięgające stąd aż do Australii.

Założyliśmy narty crossowe i zaczęliśmy się wspinać. Znad bazy mieliśmy jeszcze godzinę jazdy po płaskim lodowcu. Obciążały nas śruby lodowe, czekany, liny i karabińczyki.

Oprócz skrzypienia śniegu słychać było jedynie nasze oddechy, wiatr i szum wzbijanego przez wiatr w powietrze śniegu. Trochę przypominał odległy syk węża.

Kiedy Stork pojawił się w polu widzenia, zdjęliśmy narty i zwiąaliśmy się liną, żeby przekroczyć usiane rozpadlinami pole lodowe, które leżało na dnie szczeliny brzeżnej. Lepiej jest przekraczać takie miejsca na nartach, ponieważ waga się równo rozkłada, tym samym obniżając ryzyko zarwania mostu śnieżnego, który może mieć mniej niż pół metra grubości.

Słońce świeciło nieubłaganie. Duże kontrasty przydają się podczas wypatrywania szczelin, które potrafią być niemal niewidoczne. Kiedy uda się je

wypatrzyć, wyglądają jak cienkie kreseczki, nieco jaśniejsze od otaczającego je lodowca.

George poszedł pierwszy, sprawdzając grunt kijkiem. Między nami rozciągała się naprężona lina. Po kilku krokach kijek nie napotkał oporu i wszedł bez problemu w śnieg. George obejrzał się i wskazał na lód.

Kiedy dotarłam do tego miejsca, instynkt podpowiadał mi, że powinnam przejść tędy na paluszkach. Pokonując szczelinę, nie mogłam przestać wyobrażać sobie zarywającej się pode mną ziemi, twardych jak szkło brzegów pęknięcia i upadku do kryształowej komnaty.

Na Antarktydzie znajdują się najgłębsze i najdłuższe szczeliny na Ziemi. Tworzą swoiste wzory. Układają się w jodełkę, krzyżują albo leżą równolegle do siebie. Czasem widać je z powierzchni, ale równie często są niewidoczne. Dowiadujesz się, gdzie są, kiedy do nich wpadasz. Na Antarktydzie przechodzenie przez szczelinę jest tym samym, co przechodzenie przez ulicę w Londynie. Robisz to często, czasem nieświadomie. Przeważnie brzegi szczeliny oblepione są śniegiem, tworzącym most, który może utrzymać czterdzieści pięć do pięćdziesięciu pięciu kilogramów. Jednakże nigdy nie można być pewnym.

Kiedy przekroczyliśmy już pole szczelin, przełożyliśmy liny, przygotowując je do wspinaczki. Wyjęliśmy z plecaków raki, czekany i śruby, co w połączeniu z ciężarem liny, którą miałam zawieszoną na szyi, i pobrzękujących przy pasie karabińczyków oznaczało, że wnosiłam na górę ciężar ważący tyle, co pół mnie. Krzyknęłam do George'a, który wspinał się zrećźnie nade mną. Zrobiliśmy sobie przerwę, chociaż widziałam, że miał ochotę przeć dalej. Dojście na szczyt zajęło nam godzinę.

Po dotarciu na górę miałam problem z wyprostowaniem się. Uda mi drżały po godzinnej wspinaczce.

W milczeniu podziwialiśmy widok – góra, pole lodowe, góra, pole lodowe. Aż po horyzont ciągnęły się fale błękitu i fosforyzującej bieli. Widziałam siostrzany szczyt Stork Peak, górę Orka, nazwaną tak, ponieważ przypomina czarną płetwę grzbietową orki. Widziałam Trident. Za nimi leżały brzegi Wyspy Adelajdy i ocean.

Wciągałmy powietrze, a oddech skraplał się i zamarzał nam na brwiach i rękach. George już tu był, ale ja nigdy nie stałam na żadnym szczycie, co dopiero na szczycie antarktycznej góry. Wreszcie zrozumiałam, na czym polega urok alpinizmu. Jego celem nie jest miejsce, tylko wymiar.

W *Duchowej historii lodu* Eric Wilson cytuje Wordswortha, który twierdzi, że nie musimy się wspinać, żeby przeżyć coś, co sam nazwał doświadczeniami kosmologicznymi. Jego zdaniem możliwe jest „osiągnięcie takich wyżyn poprzez psychikę”. W szóstej księdze *Preludium*, wydanej w 1850 roku, pielgrzymowi Wordswortha nie udaje się wejść na alpejski szczyt, ale mimo to „pojmuje transcendentną moc swojej wyobraźni”, jak pisze Wilson. „Zaczyna rozumieć istnienie niewidzialnej, nieskończonej mocy, uniwersalnego umysłu, który ożywia i organizuje” cały świat, zarówno napawające lękiem szczyty, jak i łagodne doliny. Zdaje sobie sprawę, że jego domem nie jest zmysłowe

przywiązanie do materii, ale „nieskończoność”.

Wilson twierdzi, cytując Wordswortha, że jego bohater staje się „czymś więcej, co dopiero będzie” – „teologiem gór, który jest jak *limen* między niebem a ziemią, między nieograniczoną przestrzenią a surowymi kształtami”. *Limen* oznacza próg, na przykład próg reakcji fizycznej lub psychologicznej, albo miejsce między przestrzenią a kształtem, między duchem a materią. To wzór w niewidocznym bezmiarze. Wordsworth sugeruje, że znajdujemy się w kręgu, „którego środek może być wszędzie, a obwód nigdzie”. Wspinaczka jest metaforą zbliżania się do Boga i do nieskończoności. Tutaj, w rzadkim, przepełnionym lękiem i wysiłkiem powietrzu, jesteśmy bliżej boskości.

W oddali rozciągał się lodowiec Wormald Piedmont, którego pola lodowe zderzały się z potrzaskaną ścianą lodowca Shambles, którego fale śnieżne zamarły w momencie wypiętrzania się, jak zamrożone tsunami z opowieści Maxa.

Było tak zimno, że mój pot błyskawicznie wysechł, a raczej wymarzył, ale ogrzewało nas słońce. Usiedliśmy na śniegu, żeby zjeść tabliczkę dziesięcioletniej czekolady.

– Jak na Antarktydę jest całkiem nowa – powiedział George.

Podczas jedzenia rozmawialiśmy o Latach Dobrego Lodu i Latach Złego Lodu. Rok Dobrego Lodu to taki, podczas którego można pokonywać duże odległości po lodzie. Przez lornetkę widzieliśmy odległe części zatoki, blisko wysp Piñero i Pourquoi Pas. Trzydzieści lat temu postawiono tam prowizoryczne schrony, na wypadek gdyby zaprzęg utknął na lodzie.

– Są w nich zapasy jedzenia sprzed trzydziestu lat – poinformował mnie George. – Ta świadomość sprawia, że dziesięcioletnia czekolada wydaje się całkiem zachęcająca.

Od schronów dzieliło nas pięćdziesiąt kilometrów szczelin, kapryśnego lodu morskiego i szybko się zmieniających kanałów. Gdybyśmy chcieli się do nich stąd przedostać, musielibyśmy zmierzyć się z klifami i znaczną liczbą rozpadlin. Znajdowaliśmy się we wschodniej części Wyspy Adelajdy, na Półwyspie Wrighta. W porównaniu z odległościami, które pokonali Scott, Shackleton i Amundsen, od schronów dzielił nas tylko maleńki kawałeczek Antarktydy, a i tak podróż ta wydawała się niemożliwa.

Wtedy George opowiedział, że w 1981 roku dwóch mieszkańców Bazy R zginęło na lodowcu Shambles, niedaleko od miejsca, w którym staliśmy, i tylko kilka godzin na nartach z bazy.

– Jak to się stało?

– Wybrali się na wycieczkę. Chcieli się powspinać, dokładnie tak, jak my teraz – odpowiedział. – W drodze powrotnej wpadli do szczeliny.

Przypomniała mi się historia, którą opowiadał mi Elliott, ta o francuskim żeglarzu, który poszedł na krótki spacer i zginął. Albo o twin otterze należącym do kanadyjskiej linii czarterowej, który rozbił się o górę po wystartowaniu z Bazy R dziesięć lat temu. Pasażer przeżył wypadek, ale miał złamaną nogę, a ekipa ratunkowa z bazy nie mogła bezpiecznie przedostać się przez skutą

lodem zatokę. Zanim zdołali do niego dotrzeć, umarł z wychłodzenia.

Wokół nas na wietrze wirowały drobne płatki śniegu. Ich słaby szelest był jedynym dobiegającym nas dźwiękiem. Wtedy usłyszałam cichy warkot, tak jakby zbliżał się samolot. Słyszałam to już wcześniej, w Górach Ellswortha, podczas naszej ekscytującej wyprawy na początku stycznia. To był dźwięk mnie samej, wilgotny szum przepływającej krwi, pole elektryczne emitowane przez ciało, w normalnych warunkach zagłuszone przez dźwięk codziennego życia.

Słońce było już wysoko, wkrótce zacznie się zniżać. Czas wracać. Podnieśliśmy plecaki, a ja rozejrzałam się po raz ostatni.

Chociaż już od miesięcy byłam na Antarktydzie, wciąż zadziwiła mnie gwałtowność krajobrazu. Czarne nunataki i wszechobecne szczeliny zlewały się z powtarzalnymi wzorami tworzonymi przez surowe, wznoszące się pionowo góry, które fałdowały horyzont, grubo lukrowane, lodowe ciasteczka niestabilnego lodu, w każdej chwili gotowego, żeby wywołać lawinę, i bladoniebieskie kreski szczelin, które je przecinały, jak paski na białym cukierku. Krajobraz odnosił się do naszych spojrzeń i naszego dotyku z taką obojętnością, że można się było poczuć urażonym.

To kolejna chwila, którą próbowałam zatrzymać na zawsze – George i ja siedzimy na śniegu na szczycie Stork Peak. Patrzymy na wczesnozimowy, zamarznęty krajobraz Wyspy Adelajdy, jemy tabliczkę zakrzywiającej czasoprzestrzeń czekolady, która wygląda dokładnie tak, jak w dniu wyprodukowania. Wszystko migocze. Łód zdaje się wibrować, nie wygląda na płaski i nieubłągany. A może to tylko słychać bicie naszych serc.

Dni robiły się coraz ciemniejsze. Niebo było rozświetlone łagodnym blaskiem, wyglądało niewiarygodnie. W zatoce pojawiły się nowe góry lodowe – wysłannicy zimy. Simon powiedział mi, że oderwały się od lodowca na Pine Island. Ogromna, jakby przepasana wstęgą lodu góra przypląnęła z Morza Bellingshausena i zatrzymała się w ujściu zatoki. Na wodzie utworzyła się lepa lodowa. Jej powierzchnia była matowoszara, nie pochłaniała ani nie odbijała resztki światła, które docierało z wypłowiałego nieba.

Pas startowy pokrył się lodem. Bieganie było wyczerpujące, ponieważ z każdym krokiem przebijałam się przez zmrożoną wierzchnią warstwę podłoża, a następnie musiałam wyciągać stopę, która zapadała głęboko w miękki śnieg. Wiatr sprawiał, że temperatura spadła do minus trzydziestu pięciu. Nie musiałam nawet patrzeć na termometr. Wiedziałam, kiedy temperatura spada poniżej tego progu, czułam odrętwienie i pieczenie zamarzającej skóry. Tarłam policzki i nie przestawałam ruszać palcami dłoni. Niewiele mogłam za to zrobić z palcami stóp, bieganie w butach z focznej skóry byłoby jeszcze trudniejsze. Nie pociłam się. Chciałabym, ale każda kropla wilgoci natychmiast zniknęła na mrozie, nawet pod trzema warstwami polaru. Na brwiach tworzyły mi się sople, aż w końcu biegłam z miniaturowym nawisem z lodu nad oczami.

Jeden koniec pasa skolonizowały uchatki. Turlały się, szczekały i spółkowały. Samce przejawiały zachowania terytorialne. Jeden z nich, wraz ze swoimi

dziewczynami, schował się za śnieżną fosą. Ostrożnie omijałam ten harem, zataczając szeroki łuk, ale i tak samce powarkiwały na mnie i próbowały mnie odganiać, sunąc za mną i szcękając, jak jakaś animowana hybryda psów i fok. Północny koniec pasa za to zajęły oburzone samice wydrzyka, które atakowały mnie od góry. Nad głową kłębiły mi się cienie tych miniaturowych pterodaktyli, a ja biegłam, machając rękami, jakbym grała w polarnej wersji *Ptaków*.

Ludzie obserwujący mnie z kafejki mieli panoramiczny widok na oblepionego śniegiem, ciężko dyszącego bałwanka, zakutanego w polary i kilka czapek, najpierw uciekającego przed strażą złożoną z foko-psów, a następnie atakowanego przez pterodaktyle. Asystenci terenowi powiedzieli mi, że obserwowanie moich codziennych zmagania sportowych to jedyna rozrywka, jaka im pozostała.

Nie mogli za to wiedzieć, że tylko te codzienne wysiłki pozwalały mi na zachowanie równowagi. Bieganie było moim ratunkiem, bardziej nawet niż tabletki uspokajające, które zaczęłam łykać. Kursując między uchatkami i pterodaktylami, starałam się rozproszyć swój niepokój i zrzucić z siebie pozbawiony uroku, perwersyjny płaszcz, jakim był lokalny czas.

Tydzień wcześniej podjęłam wreszcie decyzję, że muszę coś zrobić. Przeraziły mnie napady paniki, o ile to w ogóle była panika. Do tabletek na uspokojenie dorzuciłam antydepresanty – niezły wyczyn jak na kogoś, kto nie cierpi leków i z niechęcią sięga nawet po aspirynę. Antydepresanty sprawiły, że wszystko zaczęło się rozmywać. Efekty fizjologiczne były oczywiste – czułam dziwny chłód w głowie i zaczęłam cierpieć na bezsenność. Skutki emocjonalne były trudniejsze do zauważenia. Ludzie łykający antydepresanty często mają wrażenie, że ich zamknięto, tak jakby ich emocje zostały poddane kwarantannie. Dzięki tabletkom przestajesz się obawiać, że stracisz panowanie nad sobą. W zamian przytępiają rysy naszej osobowości, zostawiając nam tylko spokojną, lecz obco wyglądającą łupinę.

Od dwudziestu lat nie miałam napadu paniki. Obecne epizody były inne niż te, które pamiętałam z pierwszych miesięcy życia w Wielkiej Brytanii. Na Antarktydzie strach rodził się w ciele, a nie w psychice. Być może cierpiałam na klaustrofobię lub czułam się porzucona, ale te uczucia nie były tak silne, żeby powodować wymioty i bezsenność, kołatanie serca i oślepiający strach. Pytałam siebie, a raczej swoje ciało: – Co się dzieje? Odpowiedź brzmiała: – Nie wiem. Po prostu zabierz mnie stąd.

W centrali telefonicznej nie było żadnych dekoracji, oprócz wiszącego na ścianie czekana. Nie mogłam oprzeć się myśli, że to całkiem wygodne rozwiązanie i może się przydać, kiedy ktoś odbierze telefon od dziewczyny, która poinformuje go, że z nim zrywa, albo dowie się, że jego ojciec zmarł niespodziewanie, a on nie będzie mógł pojechać na pogrzeb. Wpatrywałam się podejrzliwie w czekana, dzwoniąc do przyjaciół w Rio de Janeiro, w Sussex, w Londynie i w Toronto. Po kilku minutach każdej rozmowy zalewałam się łzami. Nie rozumiałam tego. Dzwoniłam, żeby porozmawiać, ale dźwięk ich głosów, dobiegający z tak daleka, z innego świata, podkreślał moją panikę

o kilka stopni.

Z nastaniem zimy krajobraz pociemniał i opustoszał. Nie budziłam się już z nadzieją na słońce i niebieskie niebo. Kontynent zamykał się w sobie. Każdej zimy na Antarktydzie podwaja się grubość pokrywy lodowej na morzu, odcinając ląd od świata na siedem miesięcy, podczas których planeta odwraca się od słońca.

Moje przekonanie, że coś pójdzie nie tak, zaczęło się nasilać. Byłam przekonana, że statek, który jeszcze nie wypłynął nawet z Falklandów, zatonię i będę musiała tu zostać na zimę, albo nawet na zawsze, wśród ludzi, których nie rozumiałam i którzy nie rozumieli mnie. W jednym z cotygodniowych wydruków „Observera” zauważyłam niewielką notatkę w dziale wiadomości ze świata: „Buenos Aires próbuje zademonstrować siłę w kwestii wysp”. Argentyna zaostrzyła nagle przepisy dotyczące okrętów, zakazując statkom pływającym pod banderą Falklandów, a taka powiewała na „JCR”, wpływania na wody terytorialne Argentyny pod groźbą przejęcia.

Inne lęki były dla mnie czymś nowym. Nie wiedziałam, skąd się biorą. Zalewały mnie mętne wspomnienia wygnania, oddzielenia od rodziny w czasach, w których nie było listów. Jakakolwiek komunikacja była niemożliwa i umarłam, nie mogąc ich już nigdy zobaczyć. Ale kiedy? Czyje to były wspomnienia, skoro nic takiego mnie nigdy nie spotkało? To nie były moje lęki, skąd więc się brały? Z jakiego życia?

Być może ta paranoja stanowiła wynik chemicznych procesów wywołanych przez tabletki na uspokojenie. Miałam wrażenie, że moje komórki mózgowie darły się na strzępy. Ból powstawał na poziomie neuronów. Zgrzytałam zębami, serce mi kołatało, widziałam błyski przed oczami – wielokolorowe i krzykliwe, jak w wesołym miasteczku, purpurowe i pomarańczowe.

Czytałam o arktycznej hysterii, po grenlandzku mówi się na nią *perleroneq*. Wywołują ją zapadające nagle ciemności. W Arktyce cierpią na nią nie tylko ludzie, ale też psy. Pocieszała mnie świadomość, że nie tylko ludzka psychika jest tak krucha, że się jej poddaje. Ci, których dotyka, zarówno ludzie, jak i psy, bywają agresywni, często wybuchają. Czasami próbują kogoś zabić.

Moja rozpacz była duchowa, mentalna i emocjonalna. Coś było ze mną nie tak. Czułam, że to choroba, która jest częścią mnie, powstała we mnie, ale jednocześnie jest gdzieś poza mną.

Nigdy jeszcze nie musiałam się mierzyć z przeciwnikiem, który żył wewnątrz mnie. Wyglądało na to, że doszło do bezpośredniej konfrontacji z ciemnymi energiami, które krążą gdzieś pod powierzchnią naszego istnienia, ukryte i nieuchwytnie jak nocne zwierzęta. Kiedy chcesz je zobaczyć, świecąc latarką po kątach, uciekają przerażone.

23 MARCA

Nasze dni wypełnia rutyna. Śniadanie, smoko, grupowe krzyżówki na czas, obiad, smoko, kolacja, potem filmy w barze. Czuć zmęczenie. Podczas

wieczorów w barze mało kto rozmawia z ożywieniem. Większość wpatruje się tylko w swoje puszki guinnessa. Kończy się nam piwo, będziemy musieli zacząć pić cydr – ponura perspektywa.

Próbuję czytać. Nie jestem jednak w stanie czytać o Antarktydzie, a wszystkie moje książki dotyczą Antarktydy. Próbuję pisać. Jest jeszcze gorzej. Zalewa mnie zimny pot.

Każę sobie usiąść. Mówię sobie: Przyjechałaś tu, żeby napisać powieść. Nigdy więcej tu nie przyjedziesz. Musisz to przeżyć, zanim będziesz mogła o tym napisać. Ale musisz się zabrać do roboty. Powieści nie piszą się same.

Koniec lekcji. Chodzę i próbuję rozluźnić zacisk, myśląc. Nowy pomysł zaczyna nabierać kształtu. Zaczynam pisać książkę, dla której tu przyjechałam.

Żeby pisać powieści, należy przestawić się w tryb wątpienia, rozważać, co by się stało, gdyby coś okazało się prawdą, jak by się wtedy wszystko potoczyło. To podejście w stylu, „co by było, gdyby”. Na przykład, co by było, gdyby w latach osiemdziesiątych w alternatywnej Wielkiej Brytanii postęp naukowy umożliwił klonowanie ludzi, a społeczeństwo składałoby się z „prawdziwych” obywateli i ich klonów, produkowanych po to, żeby oddawali organy swoim prawowitym braciom? Tak wygląda scenariusz wspaniałej powieści Kazuo Ishiguro *Nie opuszczaj mnie*.

Co by było, gdyby, które przyszło mi do głowy, nie było aż tak złowieszcze, choć również miało zabarwienie dystopijne. Co by było, gdyby w najbliższej przyszłości wybuchła pandemia, która zdestabilizowałaby cały świat. W chaosie zapomniano by o pisarce, która została na Antarktydzie na zimę. Albo co by było, gdyby kilka lat temu w bazie zmarła młoda kobieta, a okoliczności jej śmierci wskazywałyby na samobójstwo?

Zanim tu przyjechałam, zakładałam, że niezależnie od tego, o czym będę pisać, nikt w mojej powieści nie umrze. Miałam po dziurki w nosie przedstawiania Antarktydy jako niebytu. Teraz jednak, spędziwszy trochę czasu na siódmym kontynencie, zrozumiałam, że śmierć jest tu na wyciągnięcie ręki, a umieranie na Antarktydzie byłoby czymś niezwykłym. Z definicji byłoby to duchowe doświadczenie. W tej stanowiącej negację ludzkiej cywilizacji bieli nie można po prostu umrzeć. Śmierć byłaby rozplynięciem się w pozbawionym historii wymiarze, rozpadem na cząsteczki światła.

Układając sobie w głowie konspekt powieści, patrzyłam przez okno na pas startowy. Ponieważ otaczające bazę góry całkowicie pokrywał śnieg, gdyby jakimś cudem chciał tu teraz wylądować awaryjnie jakiś samolot, piloci nie mogliby orientować się według szczytów i zboczy. Wszystko było pokryte bielą. Gdyby załamała się pogoda, piloci musieliby zmierzyć się z czymś, co sami nazywają efektem piłeczki pingpongowej – białym niebem, białą ziemią i gęstą mgłą. Tom powiedział, że w takich warunkach nawiguje się tylko dzięki wskazaniom instrumentów, które pokazują, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Wielu pilotów traci wiarę w instrumenty, kiedy znajdują się w takiej piłeczce

pingpongowej. Wolą opierać się na swoim zmyśle równowagi albo mają halucynacje i wydaje im się, że widzą horyzont. Samolot zaczyna się przechylać, najpierw niezauważalnie, a potem coraz bardziej i bardziej, aż w końcu lecą w dół, wpadając w straszliwą spiralę śmierci.

Zastanawiałam się, czy pod względem emocjonalnym znajduję się właśnie w takim stanie. Po odlocie samolotów zdałam sobie sprawę, że nasza izolacja nie jest tylko formalna, związana z brakiem samolotów, które mogłyby nas stąd zabrać, ale także symboliczna. Latanie daje moc i wiedzę. Kiedy nie możemy latać nad Antarktydą, staje się ona podobna do swoich własnych opisów – jest zagrożeniem, lodowym więzieniem, obcą planetą.

Tej nocy na niebie pojawił się czerwony księżyc w pełni, taki, jaki pojawia się w okolicach równonocy jesiennej. Stałam i patrzyłam na niego z podwiniętymi rękawami. Mark, asystent terenowy z Irlandii Północnej, pojawił się obok mnie i szturchnął mnie w ramię.

Rozmawiałam z nim już kilka razy. Miał szczupłą twarz i wodniste, zielone oczy. Był przyjaźnie nastawiony, nieco starszy od innych asystentów, może też ode mnie. Dobrze czuł się we własnej skórze.

– Nie jest ci zimno?

– Nie wiem.

– Chodź, pokażę ci zdjęcia z wycieczki na Wyspę Berknera w styczniu. Słyszałem, że chciałaś tam polecieć z Tomem.

– To z nim tam byłeś?

– Tak. Jest świetny. Lubi pokazywać różne miejsca. Zachowuje się, jakby Antarktyda była jego domem, i z dumą cię po nim oprowadza.

Zdjęcia Marka pojawiły się na ekranie jego laptopa. Patrzyliśmy na część Lodowca Szelfowego Ronne, nazywaną Polami Błękitu, na mirażę tworzące się na okalającym je morzu, które dymiło, ponieważ wody otwartego oceanu zderzały się z białymi klifami lodowca. Mark opowiedział mi o swoich trzech wypadach do Bazy Z – raz po to, żeby wziąć prysznic i zrobić pranie. Te wypadki były tak krótkie, że nie poznał nawet nikogo stamtąd.

Baza Z mieści się na skraju gigantycznego lodowca szelfowego, tysiąc sześćset kilometrów na wschód od Bazy R. W lecie może pomieścić siedemdziesiąt osób, ale zimowa załoga jest tylko szesnastoosobowa. Do Bazy Z dużo trudniej się dostać niż do Bazy R. Nowa zmiana przypląwa na statku, zazwyczaj na „Shackletonie”, pod koniec grudnia. Nie licząc przelotnych odwiedzin twin otterów, na tym kończy się interakcja Bazy Z ze światem zewnętrznym. W zimie słońce nie wynurza się zza horyzontu przez sto pięć dni. I choć latem temperatura potrafi podnieść się do zera stopni w słoneczny dzień, zimą zazwyczaj jest minus dwadzieścia pięć, a czasami nawet minus pięćdziesiąt pięć stopni.

Mark wyjedzie z nami na statku. Spytałam go:

– Jak byś się czuł, gdybyś miał tu spędzić jeszcze jedną zimę?

– Nie byłby to koniec świata. Jest tu tyle jedzenia, że wystarczyłoby na dwa lata, może nawet na dłużej.

– Brakuje ci czegoś, czego tu doświadczyłeś zimą?

– Nieba – odpowiedział bez wahania. – Zorzy. Tego, co tu widać na niebie, nie da się zobaczyć nigdzie indziej na tej planecie. Myślę, że widziałem takie niebo, jakiego nie widział żaden inny człowiek, nigdy. – Szczególny nacisk położył na słowo „nigdy”, które wypowiedział z uszczypliwym przekonaniem.

– Podoba mi się też to, że przez półtora roku nie musiałem niczego zamykać na klucz ani za nic płacić. Zastanawiam się, czy będę jedną z tych osób, które po spędzeniu zimy na Antarktydzie jadą na Falklandy, idą do sklepu i wychodzą z tabliczką czekolady w rękę, zapomniawszy zapłacić.

Mark nachylił się nad stołem, rozejrzał, jakby sprawdzał, czy nikt nas nie podsłuchuje, i powiedział:

– Cudownie jest zapomnieć, że żyjemy w tym męczącym świecie, w którym wszystko jest na sprzedaż. – Wyprostował się. – Jest za to coś, za czym tęsknię. Za obcymi ludźmi. Takimi, których nie znam. Za twarzami. Ludźmi, z którymi nigdy nie zamienię słowa. Nie przypuszczałem, że to może być takie istotne.

– Ale przecież ludzie, którzy przyjeżdżają tu latem, są obcy. Trochę czasu mija, zanim ich poznasz.

– Tak, ale kiedyś to następuje – odparł. – Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, wydawało mi się że ograniczeniem tego miejsca jest mały wybór. Że jest tylko jeden zestaw dań albo możliwości w danym dniu. Okazało się, że tak naprawdę to nie ogranicza, tylko umożliwia.

– Co umożliwia?

– Wszystko. Możesz kogoś poznać, możesz zrobić coś nieoczekiwanego. Nieważne, czy to się stanie, czy nie. Trzeba mieć taką możliwość.

Mark dał mi właśnie klucz do wyjaśnienia sytuacji krytycznej, w której się znalazłam. Nie chodziło o fizyczne odosobnienie ani o to, że nie można się stąd było wydostać, ale o to, że każdy dzień był zaplanowany, zanim się jeszcze zaczął. Liczba ludzi była ograniczona, a z niektórymi nigdy nawet nie rozmawiałam i nie porozmawiam, ponieważ zachowują się wrogo, tworzą klikę albo na nich nigdy nie wpadnę. Możliwości spędzania czasu były równie niewielkie. Mogłam pójść pobiegać na zewnątrz albo na bieżni, wybrać się na spacer na cypel, czytać leżące na biurku książki, sporządzać odręczne notatki i pracować nad książką.

Ale czy moje londyńskie życie będzie się aż tak różnić? W danym dniu możliwości będą również ograniczone. Będę mogła pójść do pracy albo zostać w domu i pisać, wybrać się na zakupy, zadzwonić do znajomych. Przeniesienie się w inne miejsce nie sprawi, że spotkam kogoś, kto zmieni moje życie.

W Londynie jednak będzie istniała przynajmniej potencjalna, choć mało prawdopodobna możliwość, że coś się wydarzy – przypadkiem kogoś spotkam, dostanę jakieś zaproszenie. Przemieszczanie się w przestrzeni wypełnionej budynkami, ulicami, ludźmi, parkami, galeriami, restauracjami, autobusami i pociągami może do czegoś takiego doprowadzić. Mogę spotkać kogoś, kogo nie

zobaczę już nigdy więcej, o kim nie będę nic wiedziała, ale będzie to niespodziewane. Będzie niespodzianką.

Tutaj te same czterdzieści dwie osoby zjedzą w milczeniu śniadanie, pochylając głowy nad miskami z owsianką i przerzucając przypadkowo strony czytanego już wiele razy numeru „National Geographic”. Potem zjemy razem obiad, a następnie kolację.

Zdjęcia Marka wyrwały mnie z tego dziwnego przerażenia, przynajmniej chwilowo. Wróciłam do biura. Szyby znowu pokrywały wymalowane przez mróz kształty. Przy oknie leżały moje książki, ułożone w kolejności alfabetycznej. Próbując zdławić panikę, stałam się nadzwyczaj zorganizowaną osobą. Układałam książki, wciąż na nowo porządkowałam notatki i zdjęcia. Pliki, które miałam w komputerze, nosiły teraz takie nazwy, jak: *Albedo, Coleridge, Edgar Allan Poe, Faust, Fridtjof Nansen, Kapitalizm, Katastrofizm, Kosmici, Kosmologia lodu, Krytalografia, Magia, Maksimum ostatniego zlodowacenia, Mała epoka lodowa (Europa, średniowiecze), Przepowiadanie przyszłości, Tomasz Mann, Wspinaczka*.

Wyszłam na zewnątrz. Srebrzyste, niebieskie światło księżyca w pełni spowijało bazę niczym folia. Odbijało się w otaczających nas górach i w śniegu. Panowała taka jasność, że nie było w ogóle widać gwiazd. Przypadkiem znalazłam się wśród scenografii do chłodnej opery Wagnera, a oświetlone księżycowym blaskiem góry wyglądały jak dekoracja do sztuki o olbrzymach. Mogły się w każdej chwili pokazać, odziane w taftę, wielkodusznie zapraszające nas do swojego świata, w którym panuje złociste lato i rosną sielsko wyglądające drzewa.

Przeszył mnie dreszcz, prawdopodobnie w wyniku zażytych antydepresantów, a nie z powodu dramatyzmu tego widoku. Czułam, jak na mojej głowie zaciska się stalowa obręcz, jakby włożono ją w imadło.

Stałam tam w rześkiej ciszy, przyglądając się potężde gór, dopóki chłód nie przeniknął przez moje ciało aż do kości.

27 MARCA

Statek przyplynie za osiem dni. Według planu miał tu być już jutro, ale musiał zostać dłużej na Falklandach z powodu problemów z silnikiem.

Moje oczy ulegają presji czasu. Nie mogę ich rano otworzyć, a w ciągu dnia same mi się zamykają. Mam teraz nowe omamy. Widzę kwiaty, czarne baldachimy, podobne do miniaturowych parasolek, które kwitną na polach nawożonych ciałami. Kwitnące grzyby karmiące się zjełczałym truchłem nadziei. Mrugam, chcę, żeby zniknęły.

Po południu przez trzy godziny światło jest liliworóżowe. Nad zachodnim horyzontem świecą Wenus i Mars. Śnieg na pasie startowym jest już za głęboki, muszę przenieść swoją lojalność na ustawioną w magazynie żywnościowym bieżnię. Biegam przez godzinę, wpatrując się w puszki z pieczarkami i kalaflorem. Widok jest tak nudny, że tęsknię za uchatkami.

Wracam do biura i wpatruję się w pas. Rząd czarnych i czerwonych choraągiewek prowadzi do miejsca, które było skrzyżowaniem, następnie w poprzek skrętu. Beczki po paliwie stoją na reflektorach, śnieg usypuje się wokół nich w zaspę.

Spowija mnie metaliczny dźwięk – tak brzmi brak dźwięków. Wiem z fizyki, że wartości ujemne też istnieją. Mogą się zrównać z dodatnimi, a nawet je przewyższyć. Siły mogą rosnać w nieskończoność, aż wybuchają, tworząc przy tym czarną pustkę antymaterii. W taki sposób narodził się nasz wszechświat – jako ujemny blask wiecznej ciemności.

Mam wrażenie, że pożera mnie stado gepardów. Obgryzają mnie i przeżuwiają, jest ich coraz więcej, są coraz zwinniejsze. Zasadniczo mają więcej szczęścia niż ja. Zostawią mnie na pewną śmierć i pójdą dalej. Czas pachnie jak jakieś ziemnowodne stworzenie. Ten zapach przytłacza, chce cię wyrwać z ziemi. Jest dużo, dużo większy niż ja. Martwię się.

Kiedy po raz ostatni biegałam po pasie, zobaczyłam, że północny koniec zasłany jest zwłokami piskląt wydryka. Przypomniałam sobie, co Xavier mówił mi o bratobójstwie wśród ptaków. Kiedy wykluwają się dwa pisklęta, jedno może zabić drugie, tak jak embrion rekina potrafi zjeść swoje rodzeństwo.

– Miłość braterska jest fikcją – powiedział. – Tylko pomyśl, ile dzieci próbuje zrobić krzywdę swojemu młodszemu rodzeństwu. Doskonale wiedzą, że narodziny brata lub siostry stanowią dla nich zagrożenie. Pomyśl o *Królu Lirze*.

– Tak właśnie było w twojej rodzinie? Chcieliście się nawzajem pozabijać?

– Nie. – Widzę, że zaszokowało go moje pytanie. – Moi bracia i ja się kochamy.
– Znowu wbił we mnie to swoje spojrzenie, zawierające w sobie zarówno podejrzliwość, jak i zaciekawienie. – O tym właśnie będzie twoja książka? O przetrwaniu?

– Nie sądzę.

– Wszystkie historie z Antarktydy opowiadają o przetrwaniu.

– Cóż, może najwyższy czas to zmienić.

W biurze otaczały mnie takie właśnie książki: *W sercu Antarktydy*, *Południe, Na krańcu świata*, dzienniki Scotta. Doszłam do wniosku, że są bardzo kuszące w swojej prostocie. Jest element zagrożenia, ale bardzo oczywisty i zewnętrzny – zimno, głód, wyczerpanie, szczelina, zamieć śnieżna. Jest podróż i dotarcie do celu, przelotne, rozczarowujące, niepełne. Kiedy się patrzy na zdjęcie Scotta i jego ludzi na biegunie, nie widać ani odrobiny triumfu. Patrzą w aparat, nieodpowiednio ubrani, z twarzami poczerniałymi od mrozu i wycieńczenia, brudnymi i zamarznętymi, wyglądającymi jak straszliwe maski przerażenia i porażki. Sprawiają wrażenie, jakby myśleli: niech to się już skończy.

Zastanawiałam się, czy przyjazd tutaj był mi naprawdę przeznaczony. Dziwna wizja Denise, która ujrzała mnie stojącą na śniegu, ubraną jak Eskimoska, mogła wynikać z paranormalnego błędzenia po omacku, które potraktowałam zbyt poważnie.

Jednak nie tylko zwariowane wróżki wierzą w kryształowe kule, dzięki którym można zajrzeć do rzeki przeznaczenia, zobaczyć zdarzenia i ich konsekwencje. Shelley i inni myśliciele epoki Romantyzmu byli przekonani, że w kryształach można zobaczyć przyszłość. W epoce wiktoriańskiej wróżenie z kuli było ezoterycznym krzykiem mody.

W kryształach czas płynie jak rzeka, ale inne kształty zlewają się ze sobą. Wiedząc, jak je odczytać, można przewidzieć zarys przyszłych zdarzeń. Istoty czujące, takie jak ludzie, „pewnie, że wolą żyć w umiarkowanej niepewności”, pisze Eric Wilson w *Duchowej historii lodu*. „Niektóre z nich potrafią spojrzeć na los z większym dystansem. Dzięki temu cieszą się większą wolnością i mają więcej możliwości wpływania na jego bieg”. Tak więc, pisze dalej, człowiek jest w stanie obmyślić „złożone plany nawigacji”.

Może to oznaczać, że kierunek naszego życia zależy od naszej energii psychicznej, czyli od elastyczności naszej psychiki, a nie od czegoś ezoterycznego, nie od przeznaczenia. Można wpływać na swój los, ale prezentując postawę „co ma być, to będzie”, nie możemy być pewni tego, co się stanie.

Wilson pisze:

Tęsknota za wszechogarniającą mocą, wykraczającą poza ramy czasu i przestrzeni, wynika być może z przechowywanego w ludzkim umyśle wspomnienia o początkach wewnątrz wiecznej świadomości. (...) Jeśli ramy czasu i przestrzeni są iluzją, opartą na naszych arbitralnych nawykach mentalnych, może to oznaczać, że życie jest wynikiem jakiejś psychicznej siły, wykraczającej poza czas i przestrzeń. (...) Jeśli „bycie oznacza bycie postrzeganym”, to intuicyjne przekonanie, że wszechświat narodził się w jakimś wyższym umyśle, jest równie słuszne jak empiryczne podejście do tego mechanizmu.

Być może w tym właśnie leży sedno związku między kosmiczną siłą a poezją, zwłaszcza poezją tych poetów romantycznych, którzy pisali o śniegu i lodzie: Coleridge’a, Shelleya i Byrona. Wilson uważa, że umysł poety jest jak lodowiec, stwarza i niszczy, płynąc z całym wszechświatem w „odwiecznym rytmie trwogi i spokoju”. Czy lód może być pomostem między umysłem a materią? Ten lód, który nie jest już posłańcem śmierci, przejawem zbliżającej się apokalipsy, lecz stanowi źródło oświecenia.

Chcemy mieć nadzieję. Wierzyłam, że wszystko będzie dobrze. Wierzyłam w siebie, w swoją przyszłość i szczęście. Ale na Antarktydzie po raz pierwszy w życiu dopuściłam do siebie myśl, że być może istnieje jakaś wyższa istota, wyższy umysł. Tutaj czuję jej istnienie. Nie jest ani dobrotliwa, ani też niezyczliwie nastawiona, raczej zachowuje królewską obojętność.

Kapitan Scott, bohater najbardziej tragicznej historii, wierzył w swoich ludzi. Wierzył w szczęście. Opisując śmierć Scotta w książce *I may be some time*, Francis Spufford używa technik charakterystycznych dla powieści i pisze

z punktu widzenia podróżnika:

Czasami budzisz się ze snu przepętnionego poczuciem winy albo strachem, który wypełnił twój uśpiony umysł, ze snu, który zdaje się ostateczny, jakby mówił prawdę o tobie, prawdę, przed którą nie uda ci się uciec, ale dobry dzień odsuwa ją, kawałek po kawałku, podsuwając ci rozwiązania tam, gdzie już ich nie dostrzegałeś, przypominając, że istnieje świat, w którym wciąż masz wybór. Dzień zawsze tak działał. To nie w porządku, że akurat dzisiaj tak nie jest.

„Scott nie mógł nic zrobić, żeby zmienić los” – pisze Spufford. Antarktyda nie daje drugiej szansy. Może w ogóle nie daje szans. Jak wiadomo, Scott podszedł zbyt niedbale do planowania. Wierzył, że przyzwoici ludzie zasługują na szansę. Lekcja wydawała się oczywista – nie należy zdawać się na coś tak niestabilnego i kapryśnego jak szczęście.

„Dobry Boże! – powiedział Scott, kiedy dotarł do bieguna południowego. – Cóż to za okropne miejsce!”. Amundsen, zwycięzca, powiedział: „Żegnaj, Biegunie. Obawiam się, że już się nie spotkamy”. Obaj spędzili na biegunie tylko kilka minut. Odwrócili się i zaczęli powrotny marsz. Tyle walki o przetrwanie, a tak mało przeżywania.

Jestem w Shades of Light i wpatruję się w cyfry, które zapisałam w kolumnie „Sprzedaż”. Oczy mi łzawią. Jestem zmęczona, od wielu dni jestem bez przerwy w pracy. Czuję presję przyszłości, która z każdym kolejnym dniem staje się coraz bardziej realna. Za sześć tygodni będę w drodze do odległego miasta, na uniwersytet.

Kątem oka widzę jakiś błysk. To kryształ w kształcie słońca. Padł na niego promień słońca, rozszczepiając się na cztery lub pięć snopów światła.

Nagle stoi przede mną. Nie słyszałam, kiedy wszedł.

W jego oczach jest jakaś rozpacz. Potrafię zajrzeć w głąb jego duszy.

– Nie przychodź tutaj.

– Dlaczego?

– Ponieważ. Pracuję.

Rozglądam się bezradnie. Kryształowe słońce ma też księżyc, który je okrąża, zawieszony w odpowiedniej odległości na cienkim druciku z pewteru.

– W takim razie spotkajmy się później, kiedy skończysz.

Idziemy potem nad rzekę. Każdy, kto nas mija, myśli zapewne: „Ojciec z córką – oczywiście, są do siebie podobni – na wieczornej przechadzce”.

Zatrzymujemy się na skraju ścieżki. Bierze moją twarz w dłonie. Zamieram. Jego oczy zdają się nie mieć żadnej głębi. Są płaskie jak pestki.

– Tracę cię.

– Nigdy mnie nie miałeś – mówię.

– Można stracić coś, czego się nie miało – odpowiada. – Pewnego dnia to

zrozumiesz.

Mają markę samochodu. Michael mówi nam, że zauważono samochód, który jechał podejrzenie wolno obok starego mostu. Kiedy patrol włączył koguta, kierowca odjechał z piskiem opon. Udało mu się uciec.

– Gdybym to ja prowadził, już byśmy go mieli. – Michael kręci głową. – To było dokładnie tam, gdzie próbowaliśmy go złowić – mówi. Złowić. To słowo jest jak cios w brzuch. Ale w końcu tym właśnie jestem – przynętą.

Co to mógł być za samochód? Jeep wrangler, jakiś japończyk, chevrolet corvette, honda civic, audi 9000, ford taurus, volkswagen cabriolet, mazda RX-7. Nazwy te brzmią znajomo, są częścią mojego życia, ale zapomnę je. Staną się równie obce jak sygnały docierające z odległych planet, które astronomowie odkrywają niemal co tydzień. Jeszcze nie wiem, że zapomnę prawie wszystko, nie tylko to, co zdarzyło się tego lata, ale wszystko, co działo się przez sześć lat, które spędziłam w tym mieście.

– Mazda RX-7, czarna. Przyciemnione szyby – relacjonuje Michael.

Donna śmieje się, a ja razem z nią.

– Samochód épuna. Zbyt oczywiste. To na pewno nie on. – Uważamy, że jeździ rodzinnym samochodem, na przykład fordem fairmontem.

Przypomniał mi się poprzedni wieczór. Szłam poboczem, żwir chrząścił mi pod stopami, samochody trąbiły i mijały mnie w pędzie, znikając w ciemnościach.

Tydzień później idę do mieszkania, w którym się zatrzymał, i czuję, jak rozbudzają się we mnie podejrzenia. Zaczynam mieć wrażenie, że wszystko się wyostriżyło. Świat stracił swój swobodny styl. Widzę zwieszające się wiązy, dwóch nastolatków ubranych jak fani muzyki gotyckiej, jedzących wściekle czerwone lody. Mijają mnie samochody, zawsze, ale to zawsze przestrzegające ograniczeń prędkości. Gruba kobieta wyprowadza małego, białego psa.

Wszędzie dostrzegam celowość, która nie wróży niczego dobrego. Nie umiem jej wytłumaczyć, więc ją odrzucam. Nie różni się to zbyt od tego, co wydarzy się wiele lat później na statku w Kapsztadzie, kiedy będę wyruszać w swoją drugą podróż na Antarktydę.

Pojawia się lęk, gotowy do użytku. „Mogę nie dożyć końca lata”.

Zatrzymuję się i próbuję złapać oddech. Serce mi wali, mam wrażenie, że głowa mi paruje. Siadam na krawężniku. Boję się, że zemdleję. Podnoszę głowę i widzę unoszące się nad asfaltem fale ciepła.

Na to czekałam, na znak od samej siebie, że jestem w niebezpieczeństwie. Muszę przestać jeździć na połów z Michaeliem. Jeśli zrobię to jeszcze raz, coś się wydarzy.

Tego wieczoru mam zmianę w barze Executive. Założę białą spódnicę, żółtą podkoszulkę, białe tenisówki i te niskie skarpetki, które dopiero co wymyślono, specjalnie dla tenisistek. Będę obsługiwać mężczyzn, dentystów

i agentów ubezpieczeń, z martwymi, niebieskimi oczami. Będę im podawać plastikowe kieliszki koktajlowe, podczas gdy ich dzieci będą na nas chlapać wodą z basenu, a leniwe, cenzurujące oko słońca będzie nas obserwować z góry.

Jak różnią się oczy mojego ojca od niebieskich oczu tych mężczyzn! Są ciemne i niespokojne. Wyobrażam sobie, że jego wzrok jest ostrzejszy, bo wie więcej i widział z góry niezwykle rzeczy – słonie migrujące po zalanych równinach, karibu wędrujące przez łąki pełne pastelowych kwiatów, musztardową tundrę. Nie kłamie. Widzę, jak to wszystko odbija się w jego oczach.

4. ZIMA

LÓD ZMURZAŁY

Stary lód, który wskutek topnienia zaczął wyglądać jak plaster miodu i jest w zaawansowanym stadium rozpadu.

28 MARCA

Statek wypłynął z Falklandów. Simon oznajmił to przy śniadaniu, kiedy burza zasypywała pas startowy kolejną warstwą śniegu. Statek miał opóźnienie z powodu problemów technicznych, teraz płynie, żeby nas stąd wyciągnąć, ale sprawny ma tylko jeden z dwóch silników. Pogoda jest kiepska – prędkość wiatru to pięćdziesiąt węzłów, dokładnie tyle, ile wynosi górny pułap dla tego statku. W normalnych okolicznościach przy takich warunkach w ogóle nie wyszedłby w morze, ale nie ma innego sposobu, żeby nas stąd zabrać, i kończy im się czas.

Ta wiadomość utwierdza mnie w przekonaniu, że coś pójdzie nie tak. Statek może nie dać rady przepłynąć przez Cieśninę Drake'a na jednym silniku i będziemy tu musieli zostać.

Po południu przejaśniło się, a niebo zrobiło się ostrygowe. Do zatoki zostały wepchnięte nowe zwały kry, po czym porozbijały się o kawałki metalowego złomu. Na skraju pasa zobaczyliśmy samotną uchatkę. Wyginała grzbiet, jakby o coś prosiła, wpatrując się w odcinające się od brązowego światła chmury.

Wieczorem pokazały się obłoki perłowe, inaczej zwane polarnymi chmurami stratosferycznymi, które są częstym zjawiskiem na Antarktydzie zimą. Kształtem przypominają fale albo leje kondensacyjne i lśnią jak macica perłowa. Mienia się tęczowo i są piękne, ale tworzą się z powodu niskiego lub zerowego poziomu ozonu.

Nasz świat się opróżniał, tak jak bar przed zamknięciem. Zwierzęta znikwały, jedno po drugim. Żyjące tu w lecie albatrosy, wydrzyki, petrele i kormorany, krabojady, lamparty morskie, foczki małe, foki Weddella, słonie morskie i uchatki przeniosły się w cieplejsze miejsca.

Usłyszałam dźwięk gongu, po czym rozległ się komunikat. „Orki!”. Zerwaliśmy się na równe nogi. Stado wielorybów przypląnęło pod sam koniec pasa, wystawiając swoje śliskie, czarne głowy z wody i patrząc nam prosto w oczy, jakby chciały się pożegnać, zanim popłyną do Afryki Południowej albo do Kalifornii.

– Wyglądają, jakby chciały nam coś powiedzieć – zauważył Mark.

– Bo chcą – odparł Simon. – Mówią: Spadajcie stąd, póki możecie.

Ci, którzy zostawali w bazie na całą zimę, też chcieli, żebyśmy już wyjechali. Potwierdził to stolarz Gavin.

– Jak tylko wyjedziecie, urządzą się tu bardziej po domowemu. Wyczyszczą wszystko, poustawiają tak, jak lubią. Wyniosą stoły i wstawią do jadalni fotele.

– A potem?

– A potem zasiądą i będą oglądać Coś. To taki rytuał. Jak tylko statek odpłynie, włączą film. To historia inwazji kosmitów na bazę antarktyczną. Akcja toczy się w zimie i nikt nie może ich ocalić. Jest naprawdę niezły. Kosmici najpierw zjadają psy, a potem wszystkich ludzi w bazie.

Osoby zostające tu na zimę marzyły o tym, żeby się już odciąć od świata. Wyjaśnił mi to Rob, asystent terenowy:

– Niewielu ludzi na Ziemi może spędzić zimę na Antarktydzie. To jak podróż na obcą planetę. Chcą, żeby ich wyjątkowe przeżycie już się zaczęło.

Po południu, kiedy zapadł kolejny mokry i nieprzyjemny wieczór, poczułam nieodpartą potrzebę ponownej lektury *Rymów o starym marynarzu*. Nie czytałam ich, odkąd razem z Caroline wygłosiliśmy naszą nieszczęsną deklamację na statku.

Poszłam do biblioteki, ale nie udało mi się ich znaleźć. W końcu wyszukałam wiersz w internecie.

Czytałam go nie po raz pierwszy, ale uderzyło mnie, jak żywo poeta przedstawił samotność, wyrzuty sumienia, zgrozę, lęk, tęsknotę, niepokój i zmieszanie. Jak gwałtowne były sny marynarza, jak przerażający lód i dziwne wizje otchłani pełnej życia, nieujętej na żadnych mapach i nieznannej nauce. Marynarz jest przekonany, że lodowa kraina, w której się znalazł, jest czymś więcej, niż się wydaje – to brama do zimnych i strasznych tajemnic życia. Lód wznosi się i wypełnia horyzont wiersza, lśniąc od grozy, dokładnie tak, jak w słowach Stephena Pyne'a, który opisuje przesuwanie się Antarktydy w książce *The Ice*: „Pole lodowe unosi się i rozbija, tworząc mozaikę gór i lodowców. Przypomina unoszące się między gwiazdami planety, zbudowane ze skał i lodu”.

I tam, w tej mroźnej dioramie, obok martwych ciał towarzyszy marynarza unosi się biały omam Coleridge'a – równie biały, jak dziwne wizje, które miałam i których pojawienie się łączyłam z nadejściem zimy. Jest lśniący i budzi przerażenie. Anioł.

Tej nocy w bazie wyprawiono nam na pożegnanie Imprezę na Końcu Świata. Trzy osoby przebrały się za śmierć z *Siódmej pieczęci* Bergmana, a jeden z Marków przyszedł jako pieczęć – ubrał się jak foka Weddella, a kostium z pianki przyozdobił dużą siódemką.

Jonah, inżynier o posturze olbrzyma, przebrał się za Nostradamusa. Próbował zafarbować białe prześcieradło na brązowo, zanurzając je w słoju z cynamonem. Pachniał jak chodząca bułeczka. Ja byłam astrolożką Majów, w białej tunice

z prześcieradła, wszyscy jednak myśleli, że jestem pacjentką ze szpitala dla psychicznie chorych.

Teraz, kiedy statek nadpływał, byliśmy dla siebie miłsi. Ryzyko, że będziemy musieli spędzić razem kolejne siedem miesięcy, zdecydowanie zmałało. Rozmawialiśmy o nadchodzącym rozstaniu. Na Antarktydzie odpłynięcie ostatniego statku sezonu ma w sobie pewną ostateczność, w której pobrzmiewa echo podobnych zdarzeń, mających miejsce w innych, mniej skomunikowanych epokach – statku pełnego imigrantów, wypływającego ze Szkocji do Nowej Zelandii, w roku, powiedzmy, 1790. Albo nawet polarnych odkrywców, żegnanych w Porstmouth albo Southampton fanfarami, niepewnych kiedy i czy w ogóle powrócą do domu.

Obecnie niewiele jest miejsc na świecie, gdzie nie można po prostu kupić biletu powrotnego lub z których nie da się wydostać w inny sposób. Nawet te części Arktyki, które poznam w najbliższych latach, są całkiem dostępne. Na północ Grenlandii latają w zimie helikoptery Air Greenland, Svalbard jest zaś obsługiwany przez SAS – samoloty prawie codziennie latają tam i z powrotem do Tromsø.

Podczas jednej z ostatnich nocy w bazie przyśniło mi się, że wyjeżdżamy. Był wczesny, ciemny poranek. Wszystkich, którzy mieli wsiąść na statek, ustawiono w szeregu na pokładzie, a ci, którzy zostają, stali na nadbrzeżu. Nie mogłam się zorientować, gdzie jestem – na statku czy na nadbrzeżu. Może byłam w obu miejscach, z rozdwojoną świadomością.

Zbliżał się moment rozstania. Zdałam sobie sprawę, że jestem na lądzie. Mogłam tylko patrzeć, jak statek zwija liny, wciąga trap, włącza silniki. Tak jak zwykle w koszmarach, nie mogłam się poruszyć, nie mogłam krzyczeć ani mówić. „Ernest Shackleton” zniknął w ciemności. Patrzyłam, jak mija pływającą po zatoce potężną, ośmiokątną górę lodową, którą nazywaliśmy Pentagonem. Opłynął koniec półwyspu i zniknął mi z oczu. Nasze ścieżki – tych, którzy zostali na nadbrzeżu i tych, którzy wsiedli na statek – się rozeszły.

Wieczorem poszliśmy całą grupą na cypel, żeby popatrzeć na zderzające się góry lodowe. To ulubiona rozrywka wieczorna w przededniu zimy, rodzaj antarktycznych zawodów w demolce. Kiedy potężny wir Ryder Bay wpychał jedną górę na drugą, słyszeliśmy ogłuszający zgrzyt, a następnie nagły trzask, kiedy słabsza z nich się poddawała. Portyki i łuki upadały, wzbijając w powietrze chmury kryształków lodu i śniegu.

Pojedyncza góra w kształcie łuku leżała w zatoce. Jej fundament się połamał, znieruchomiała więc w majestatycznym rozpadzie. Zachodzące słońce świeciło przez gigantyczną dziurę, którą miała w środku. Staliśmy, pogrążeni w cichej zadumie: Simon, Jonah, czwórka pingwinów Adeli w smokingach i ja.

Zima pędziła ku nam jak zaokrąglony kamień czasu. Antydepresanty przestały działać, byłam ciągle spięta i nie mogłam spać. Zażywanie ich sprawiało, że czułam się jeszcze gorzej, jakbym straciła już wiarę w doświadczenie i w życie. W siebie. Nie byłam tak nieustępliwa i wytrzymała

jak mężczyźni, którzy dali tej ziemi swoje nazwiska, a czasem też życie. Nie należałam do tego miejsca. Ale przez to, że nie należałam do Antarktydy, miałam wrażenie, że nie należę nigdzie.

Czytając *Południe* Ernesta Shackletona, natrafiłam na wstrząsający fragment. Aż do tego miejsca książka ta była kroniką wspaniałej wyprawy, która poszła nie tak, zmieniając się w walkę o przetrwanie. Ale jest też rozdział poświęcony podjętej przez Shackletona ryzykownej próbie wezwania pomocy, kiedy wraz z dwoma towarzyszami pokonał w przeciekającej łodzi tysiąc kilometrów po najbardziej zdradliwych wodach świata. Po dotarciu do Georgii Południowej napisał o swoim przekonaniu, że coś – jakiś byt, szczęście, los albo przeznaczenie – towarzyszyło im w tych strasznych chwilach.

Kiedy patrzę wstecz na te dni, nie mam najmniejszych wątpliwości, że prowadziła nas Opatrzność, nie tylko przez niekończące się połacie lodu, ale także przez wzburzony ocean, oddzielający Wyspę Słoniową od miejsca naszego lądowania na Georgii Południowej. Wiem, że podczas tego długiego, trwającego trzydzieści sześć godzin marszu przez bezludne góry i lodowce Georgii Południowej często odnosiłem wrażenie, że była nas czwórka, nie trójka. Co więcej, Crean i Worsley mieli podobne myśli. Próba opisanie tych zjawisk jawi się „pustką ludzkich słów, szorstkością mowy doczesnej”, lecz zapis naszych podróży byłby niekompletny bez odniesienia się do spraw bliskich naszym sercom^[6].

Jeśli ci mężczyźni, tacy racjonalni, tak twardzi pod względem moralnym i fizycznym, wierzyli w istnienie losu albo Boga, albo jakiegoś duchowego opiekuna, dlaczego mi przychodziło to z takim trudem?

Zainteresowanie przepowiadaniem przyszłości to jedna z ostatnich rzeczy zakazanych w naszej kulturze. To zajęcie dla szarlatanów, pochłaniające i niezdrowe. Wróżenie z kryształowej kuli i wyprawy polarne mają jednak coś wspólnego. Łączącym je ogniwem może być nauka o naturze kryształów. Wróżbici patrzą w kryształowe kule, żeby zobaczyć związki między porządkiem a chaosem, między mikro a makro, między „siatką a rozkładem siły”. Jak pisze Eric Wilson:

Kryształy, lodowce i bieguny stanowią zaproszenie do tajemnicy, preludium gnozy. Patrzący w kryształ przekształca szron na szybie w rzecz dziwnie atrakcyjną. Odkrywca zmienia niezbadany biegun w swoją intymną przestrzeń. Wspinacz przeobraża księżycowy lód w objawienie dotyczące życiowego gruntu. W każdym z tych przypadków część tłumionej wcześniej energii wraca do obserwatora, zmuszając go tym samym do ponownego zdefiniowania tego, co znane i nieznanne.

Każdy ma jakąś *terra incognita* w umyśle. Carl Jung sugerował, że w tych niezbadanych obszarach może być zapisana nasza przyszłość lub wiedza o niej.

Możemy intuicyjnie przeczuć, co się wydarzy, ponieważ na jakimś poziomie już się tego dowiedzieliśmy.

Bałam się przyszłości. Zrozumiałam, że wierzę w szczęście. Podejrzywałam, że moje życie może być tak naprawdę zlokalizowane gdzieś poza mną, zaprogramowane w jakiejś gigantycznej bazie danych, że składa się raczej z ciągu skutków niż ze zdobytych doświadczeń. Nie miałam dość odwagi na to, żeby podejść do sprawy w pełni racjonalnie. Z pewnością brakowało mi także tej zwyczajnej odwagi, która pomaga przetrwać zimę na Antarktydzie.

W książce *I may be some time* Francis Spufford pisze: „Czyż nie zastanawiamy się wszyscy, czy bylibyśmy wystarczająco odważni, żeby zrobić to, co zrobili ci mężczyźni?”. Pisze o „świadomej decyzji” kapitana Scotta, który wolał „zaakceptować straszliwą sytuację na własnych zasadach, zamiast bezskutecznie z nią walczyć”. Czy nie jest to definicja odwagi, a nawet heroizmu? Choć przyznać należy, że jest w niej jakaś donkiszoteria.

Trudno nie zauważyć, jak centralną rolę w historii Antarktydy odegrały tragedie. Ale teraz należały do przeszłości i zastanawiałam się, jak mam to obejść jako pisarka. Francuski powieściopisarz i teoretyk literatury Alain Robbe-Grillet w *Drodze przyszłej powieści* pisze o tragedii. Wpływ cywilizacji na nowoczesną świadomość nakazuje nam zaakceptować tragedię, a nawet się jej spodziewać. „Tragedię można zdefiniować jako próbę przywrócenia dystansu, który istnieje między człowiekiem a innymi rzeczami, i nadania mu nowej wartości, tak że w rezultacie zwycięstwem staje się bycie pokonanym”.

Robbe-Grillet miał też rewolucyjne pomysły dotyczące estetyki tragedii. „Tam, gdzie istnieje dystans, separacja, dychotomia i podział, istnieje też możliwość odczuwania ich w formie cierpienia, a następnie wynoszenia tego cierpienia do poziomu wzniosłej konieczności”. Nie podoba mu się wizja świata przesiąkniętego tragizmem, która narodziła się w Oświeceniu i osiągnęła swoje apogeum w XXI wieku. Pyta, czy nie czas już odrzucić własną tragedię, traktując ją jako ponurą i bezsensowną.

31 MARCA

Ostatni dzień w bazie, po południu wybraliśmy się RIB-em na ostatni objazd zatoki. Płyniemy do laguny, a potem na wyspę Léonie. Jesteśmy w szampańskim nastroju, teraz, kiedy wiemy, że wkrótce stąd wyjedziemy. Andy i ja robimy dla wszystkich kawę w jabłkowej chatce. Potem siadamy i obserwujemy goniące się uchatki. Dwie z nich podczołgują się do nas i tęsknie wbijają swoje ocienione długimi rzęsami oczy w nasze herbatniki.

Kiedy wracamy, w wodzie gęsto jest od przezroczystych, kręcących się odłamków gór lodowych. Kluczemy ostrożnie między nimi. Na większych relaksuje się kilka fok Weddella, które jeszcze nie odpłynęły na północ. Rzucają nam ujmująco wilgotne spojrzenia, kiedy mijamy je w naszych ocieplanych, pomarańczowo-niebieskich kombinezonach z poliuretanu, w których wyglądamy jak strażacy z filmu „Fahrenheit 451”.

Skrećamy i widzimy, że drogę powrotną do bazy zagradza nam góra lodowa. Ma łuk, pod którym widać dziurę. Lód podtrzymujący obie strony łuku jest już niemal skruszony. Wygląda jak kamienie starego zamku, który popada w ruinę.

Andy gasi silnik. Powoli dryfujemy w stronę góry. Widzę kątem oka, jak przygląda się łukowi i nagle wiem, co ma zamiar zrobić.

Zawraca, podkręca silnik i płynie prosto w dziurę w łuku. W każdej chwili tony lodu mogą spaść i nas zabić. Kiedy z pełną prędkością przepływamy pod lodem, podnoszę wzrok, niemalże oczekując, że spotkam Stwórcę w postaci lodu w kolorze niebieskiej pasty do zębów. Nagle jednak jesteśmy już po drugiej stronie, śmiejąc się i trzymając się nawzajem dla równowagi. Kolejna nierozważna wyprawa, kolejny raz oszukaliśmy śmierć. Przepuszczono nas przez portal. Jedziemy do domu.

1 KWIETNIA

Prima aprilis. Obudziłam się o wpół do piątej z walącym sercem i jedną myślą w głowie: Co, jeśli statek nie przyplynie? Nie mogę zapomnieć wczorajszej rozmowy z Benem. Powiedział, że jedną z rzeczy, których uczy nas Antarktyda, jest akceptowanie tego, na co nie mamy wpływu. „Jeśli musisz siedzieć w namiocie, czekając na poprawę pogody, to siedzisz w namiocie. Jeśli statek nie przyplynie, to nie przyplynie”.

Nie mogę przekonać serca, żeby się uspokoiło. Uznaję swoją porażkę i łykam pół tabletki temazepamu, ale wystarcza tylko do ósmej. Leżę w łóżku do dziewiątej, tylko po to, żeby dzień wydawał się krótszy. Robiłam tak już dwa razy w życiu, w czasie napadów poważnej depresji.

Światło nie wygląda zachęcająco. Słońce przypomina czarny dysk. Tak jak podczas zaćmienia, otacza je tyle promieni, że trudno nazwać to, co wytwarza, ciemnością. Horyzont jest oświetlony słabym, czerwonym blaskiem. Nie jest to ani dzień, ani noc.

Po południu zebraliśmy się przy komputerach przed laboratoriami, otworzyliśmy stronę sailwx.info, na której można śledzić ruch statków, i wpatrywaliśmy się w czerwoną kropkę, która zbliżała się do Wyspy Jenny. Musieliśmy wiedzieć, kiedy mamy ją powitać. Jeśli wyjdziemy za wcześnie, zamarzniemy. Jeśli za późno, spóźnimy się.

Rozległ się dźwięk gongu i komunikat: „Ernest Shackleton« jest już w Ryder Bay”. Podreptaliśmy wszyscy na Krzyż. Niebo miało kolor błyskawic. Góra lodowa Pentagon była wciąż na tym samym miejscu, zasłaniając większą część wejścia do zatoki. Gdyby była trochę większa, uniemożliwiłaby zabranie nas stąd.

Ktoś krzyknął:

– Patrzcie, jest nasza duża, czerwona taksówka!

Statek zmaterializował się z błękitu nocy, płynąc między katedrami z lodu.

Milczeliśmy, patrząc, jak się zbliża. Andy, jeden z wyjeżdżających asystentów, położył się na plecach na śniegu. Był w kombinezonie, ramiona skrzyżował na piersi i patrzył w niebo.

Statek mijał Pentagon. Zalewały mnie fale uczuć: zachwytu, wdzięczności i ulgi. A potem poczułam podenerwowanie. Tak jakby to była tylko sztuczka albo żart, jakby statek miał się zdematerializować równie nagle, jak się pojawił.

Przycumowali, wyciągnęli trap i nagle byliśmy na pokładzie, w świecie wody gazowanej i coca-coli, awokado i sałaty – w języku Antarktydy bąbelków i świeżynek, nowych ludzi – obcych. Powrócą karty kontrolne, czerwone, skórzane kanapy w barze, oprawione w ramki zdjęcia: „Shackleton” zbliża się do platformy wiertniczej na Morzu Północnym, „Shackleton” przedziera się przez lód.

Na pokładzie był Elliott, poganiacz psów. On i jego koledzy zostali zabrani z Lockroy w drodze do nas. Nie widziałam ich od początku grudnia, od dnia, w którym wysadziliśmy ich na brzeg i odpłynęliśmy na „JCR”. Uściskaliśmy się, twarze rozjaśniała nam antarktyczna euforia. Daliśmy radę!

W barze było ciepło. Po raz pierwszy od dawna zdjęłam swoje trzy polary. Nienazwany lęk zniknął. Mój koszmar się skończył.

Idę przez miasto. Jest wczesny wieczór. Powiedziałam matce, że idę do Donny. Moje koleżanki zawsze muszą przygotowywać wyszukane historie, kiedy chcą pić alkohol w lesie albo spędzić wieczór z chłopakiem w zaparkowanej ciężarówce. Moja matka nigdy nie pyta, dokąd się wybieram.

Pukam do jego drzwi. Nie odpowiada. Postanawiam nacisnąć klamkę. Są otwarte. Kuchenny blat jest czysty. Noże są powkładane do stojaka. Zegar wskazuje wpół do czwartej. Jest siódma. Prawdopodobnie zatrzymał się po jego wyjeździe.

Siadam na krześle i opieram głowę na rękach. Otula mnie ciemność.

Nie mówię matce, a raczej mówię jej, że wreszcie wyjechał i że się pożegnaliśmy.

– Dobrze – odpowiada, twardo i szybko, jak książka, którą ktoś nagle zatrzasnął.

Zostały mi cztery tygodnie do wyjazdu. Na początku września będę siedziała w pociągu, zmierzając do odległego o szesnaście godzin miasta. Będę tam studiować na uniwersytecie i zacznę prawdziwe życie. Przyszłość się zbliża, a w międzyczasie dla rozrywki piję z Donną i jej znajomymi. Wypijamy butelkę jacka danielsa i wsiadamy do samochodu. Ja prowadzę, obok mnie siedzi chłopak, którego prawie nie znam. Tracę panowanie nad pojazdem i oboje wypadamy i uderzamy w drzewo.

– Powinnaś być martwa – dyplomatycznie mówią mi w szpitalu pielęgniarki. Mają już dość, to zrozumiały, pobitych kobiet, zamordowanych

kobiet, pijanych nastolatków przekonanych o własnej nieśmiertelności.

Chociaż nie miałam zapiętych pasów i jestem niezłe posiniaczona, nie złamałam ani jednej kości. Mój towarzysz również wyszedł z tego bez szwanku, jeśli nie liczyć siniaka i skaleczenia. Uderzyłam twarzą o deskę rozdzielczą, tak mocno, że w samochodzie został ślad – wgłębienie wielkości głowy.

– To niemożliwe – mówią na złomowisku, kiedy jadę zidentyfikować samochód.

– To nienaturalne – mówią policjanci. Są tak zdumieni moim wyczynem, że dzwonią do lokalnej gazety. Za tydzień ukaże się artykuł o moim ocaleniu, które nazwą „cudem”. Mimo to wyglądam jak szara wiewiórka. Mam spuchnięte policzki i podbite oczy.

Kiedy mówię matce, słyszę jej poufały, srebrzysty śmiech.

– Jaki dziadek, taka wnuczka – mówi, a śpiewny ton jej głosu przywodzi na myśl dzwoneczki, które Elin sprzedaje w Shades of Light.

Przecucie, że umrę tego lata, które mnie tknęło kilka dni temu, kiedy okazało się, że mój ojciec wyjechał bez słowa wyjaśnienia, okazało się nie całkiem chybione. „Powinnaś już nie żyć” – tak brzmiała mantra policjantów, lekarzy i moich znajomych. Wydają się zachwyceni tą możliwością.

Wtedy właśnie po raz pierwszy przekonuję się, że powinnam słuchać dzwoneczków alarmowych we własnej głowie, zwracać uwagę na szturchnięcia niewidzialnej ręki, na komunikaty z odległego, lodowatego wymiaru. Nie usłyszę nic podobnego przez wiele lat.

Jeśli zaś chodzi o mordercę napadającego na kobiety w tym mieście przedsiębiorców drzewnych i znawców historii lojalizmu, to nigdy go nie złapano. Po czerwcowym ataku na adeptkę taekwondo nie było już kolejnych. Michael i Paul patrolują leśne drogi, szukając samochodu z przyciemnionymi szybami. Albo dziewczyny w dżinsach i zielonej, odblaskowej koszulce, która szuka poziomek na poboczu.

Zanim jednak wyjadę, mam pierwszy atak paniki – tak będę je potem nazywać – od dzieciństwa. Poprzedni miał miejsce, kiedy spędzałam ostatni rok z dziadkami. Zaczynam wierzyć – nie obawiać się, chcieć lub wyobrażać sobie, ale naprawdę wierzyć, że opowiadam o swoim życiu z zaświatów. Wierzę, że żyję, ale nowym życiem. To życie jest tylko snem, a historia o ojcu i rzece, która mi się przyśniła, jest prawdziwa.

Ojciec mnie zawiódł, albo utopił, ze wstydu. Wstydził się, bo chciał czegoś ode mnie. Nie zabił mnie, ale pozwolił mi żyć. To co innego.

We śnie ktoś znajduje moje ciało, tak samo, jak znaleziono ciała tamtych kobiet, ale nie od razu. Płynę w dół rzeki, pod most. Włosy wplątują mi się w przęsła, zaczepiają się tak jak długie, pachnące źdźbła trzciny, w których kaczki chowają swoje pisklęta.

Czasami pod koniec zmiany, o piątej nad ranem, uzupełniam zapasy lodu w barze, przynosząc go z maszyny do lodu, takiej, jaka stoi na każdym

piętrze motelu Executive. Zostawiam wózek i wychodzę przez tylne drzwi. Idę nad rzekę. Patrzę, jak świt wycieka nad horyzont, obserwuję poranne loty mew i zimorodków.

Rzeka jest nieruchoma. Będę musiała się nauczyć, jak przejść ten bezruch. Tego właśnie mężczyźni oczekują od kobiet – że będą statycznym obrazem. Wydaje mi się, że mężczyznom nie robi różnicy, czy to jest ta kobieta, czy inna. Wszystkie są tą samą, płynną substancją. Mężczyźni chcą nas wypić, chcą przez nas przejść, ale sami zmierzają w inną stronę.

Czapla stoi w mulistej wodzie, chowa w trzcinie patykowate nogi. Myślę o wyspie, o tych latach, które spędziłam z dziadkami w lesie, o małych zwierzętach, wiewiórkach, skunksach, szopach, które wpatrywały się we mnie w nocy wilgotnymi oczami. Także o groźniejszych i mniej uchwytnych zwierzętach, żyjących na skraju lasu, w którym chowam się z Donną, o ich oczach wypalających czerwoną dziurę w naszych plecach, kiedy idziemy do naszego ulubionego miejsca. Tak, bez wątpienia są tam i patrzą.

[6] Tłum. Grzegorz Górnicki.

5. SYMPOZJUM

POŁYNIA

Obszar niezamarzniętej wody w lodzie lub na granicy stałego lodu.

Listopad, półtora roku po moim wyjeździe z Antarktydy. Ziemia ociepla się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. W lecie zasięg arktycznej pokrywy lodowej dramatycznie spadł, osiągając poziom prawie o połowę niższy niż średni zasięg w latach sześćdziesiątych XX wieku i o dwadzieścia pięć procent niższy niż poprzednie minimum, osiągnięte w roku 2005. Topniejący lód odsłonił kanał, po którym można było nawigować statkami, tym samym umożliwiając po raz pierwszy w historii ludzkości szybkie pokonanie Przejścia Północno-Zachodniego – drogi morskiej umożliwiającej opłynięcie składającej się z 36 000 wysp kanadyjskiej Arktyki.

W tym roku jeździłam na wiele konferencji, wygłaszałam odczyty i prowadziłam seminaria o zmianach klimatycznych i o obszarach polarnych. Między innymi uczestniczyłam w zorganizowanym przez British Library symposium na temat lodu. Miało ono pokazać związki między kulturowymi i naukowymi aspektami Antarktydy. Jednym z tematów przewodnich było przedstawienie rdzeni lodowych, lodowców i stacji badawczych jako archiwów i obszarów poświęconych wiedzy, które pomagają nam spojrzeć na to, w jaki sposób przedstawiamy i kształtujemy naszą przyszłość jako zbiorowość.

Inny panel poświęcony był prawom człowieka i ich związkom z ociepleniem klimatu. Eskimoscy aktywiści stwierdzili, że prawo do zimna jest jednym z podstawowych praw człowieka, które jest zagrożone przez globalne ocieplenie, wywołane przez zanieczyszczenie powietrza w innych częściach świata. Uczestnicy podnosili również temat wysp na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim. W jaki sposób, pod względem moralnym i prawnym, odpowiadamy przed ludźmi, których życie zostało na zawsze zmienione wskutek naszych działań?

Eric Wolff jest glaciologiem i klimatologiem. Nie poznałam go, ponieważ nie pracuje w Bazie R, lecz wykonuje odwierty w lodzie w położonej we wschodniej części Antarktydy Dome C^[7].

Wolff bierze udział w panelu, którego celem jest wytłumaczenie zmian klimatycznych laikom.

– Mówimy o zmianach klimatu, skąd jednak mamy wiedzieć, jaki jest optymalny klimat? – spytał publiczność, złożoną głównie z artystów, geografów, historyków i dziennikarzy. – Myślimy, że ten, który panuje teraz. A może optymalny klimat panował pięć lat temu albo pięćdziesiąt? A może dwa tysiące

lat temu? Chodzi o to, że klimat jest względny i się zmienia. Chodzi nam o klimat, który jest optymalny dla naszego stylu życia. Może się jednak okazać, że naszego stylu życia nie da się dłużej utrzymać. Że trzeba go będzie zmienić.

Antropogeniczny, czynniki kształtujące, parametry – braliśmy zimny prysznic z tych oczyszczających, wyjaśniających słów, będących częścią języka modeli klimatycznych.

– Nie wiemy, jaki będzie efekt – powiedział Wolff z mównicy. – Ale już jesteśmy na tej drodze, stężenie dwutlenku węgla w atmosferze wynosi już czterysta cząstek na milion. Nawet gdybyśmy jutro całkowicie wstrzymali emisję CO₂, średnia temperatura będzie się nadal podnosić i wzrośnie co najmniej o półtora stopnia.

Potem zaczął zadawać trudne pytania, takie, które wykraczały poza obszar glaciologii. Czy jesteśmy urodzonymi fatalistami? Dlaczego tkwimy w mentalności Oświecenia i Romantyzmu, bardziej przejmując się estetyką niż nauką, rozkoszujemy się różnymi wybiegami taktycznymi i snuciem apokaliptycznych wizji, zamiast zabrać się do pracy i zabiegać o to, by politycy zaczęli zajmować się kwestią klimatu? Zauważył też, że kurczowo trzymamy się różnych punktów podparcia, takich jak punkt zwrotny, punkt krytyczny, punkt zbiegu, a przecież można je zauważyć dopiero długo po ich wystąpieniu. Żeby zobaczyć, co było wcześniej i później, trzeba odsunąć się zarówno w czasie, jak i w przestrzeni.

Po tym wystąpieniu publiczność, licząca mniej więcej trzysta osób, przeniosła się do olbrzymiego holu na kawę i herbatę. Zauważyłam sporo znajomych z Antarktydy. Spotkałam artystę malarza, który był na Antarktydzie w zeszłym roku. Porównaliśmy wrażenia. Okazało się, że jego emocje, tak samo jak moje, wahały się między euforią a przytłaczającą depresją. Jego przygnębienie nie miało osobistego podłoża, a przynajmniej nie było aż tak osobiste, jak napady melancholii, które miewał w innych okresach życia. Powiedział mi:

– To zmiany klimatyczne doprowadziły mnie do takiego stanu. Nie mogę myśleć o niczym innym.

Zamilkliśmy potem, malarz i ja, ściskając filiżanki z herbatą.

Właśnie usłyszeliśmy, że za jakieś dwieście lat, może kilka dekad szybciej lub później, Ziemia nie będzie się prawie nadawała do zamieszkania. Zostanie tylko kilka obszarów, na których będą mogli żyć ludzie. Rozpoczęła się powolna apokalipsa, która będzie czymś w rodzaju stopniowej wojny atomowej. Nawet gorzej, bo materiały radioaktywne przestają być szkodliwe po okresie połowicznego rozpadu, czyli po jakichś czterystu dziewięćdziesięciu tysiącach lat. My zaś zbliżamy się do momentu, w którym nie będziemy już w stanie zapanować nad ociepleniem. Zanim temperatura planety zacznie spadać, dawno już nie będzie ani ludzi, ani innych gatunków, które żyją obecnie. Nie będzie żadnego połowicznego okresu, momentu, w którym sytuacja zacznie się odwracać. Nigdy już nie uda nam się wrócić do równowagi między klimatem i cywilizacją, którą cieszyliśmy się przez ostatnie dwa tysiąclecia. Ale pomimo to nasze zbiorowe działania wciąż pogarszają sytuację, choć czeka nas

najtrudniejszy wyścig, w jakim nasza rasa kiedykolwiek brała udział. Wiemy, że to robimy, ale nie potrafimy przestać. Wiemy, że nie będzie nas tu, kiedy trzeba będzie ponieść konsekwencje.

Kiedy stałam w przepastnym holu British Library wtedy, w listopadzie, przyszło mi do głowy, że wiąże się to z innym problemem, a mianowicie wyobraźnią.

Nie do końca wierzymy w przyszłość. Przeszłość i terażniejszość są bardziej przekonujące, ponieważ doświadczyliśmy ich lub doświadczamy teraz. Popęlamy jednak pewien błąd poznawczy i nie jesteśmy przekonani, że przyszłość naprawdę nadejdzie, zwłaszcza jeśli chodzi o bardziej odległą przyszłość, której nie dożyjemy. Mamy jeszcze jeden słaby punkt – lubimy mieć nadzieję. Snucie przerażających wizji przyszłości, które powinny nas skłonić do działania, odnosi całkiem przeciwny skutek. Buntujemy się przeciwko pesymizmowi i brakowi nadziei, odrzucenie potrzeby zmian nas pociesza.

Powściągliwe, lecz drobiazgowo podejście, które zaprezentował Eric Wolff, przypomniało mi, dlaczego w ostatnich latach zaczęłam podziwiać naukowców. Jedynym ich dążeniem, jedynym celem ich gruntownych starań jest poszukiwanie prawdy, a żeby do niej dotrzeć, toczą spory i nie zgadzają się ze sobą.

Kolejną rzeczą, o której rozmawialiśmy w tym dostojnym otoczeniu – na obitych pluszem fotelach, w zaciemnionej sali – była zemsta natury, coś w rodzaju boskiej sprawiedliwości. Nasz strach przed lodem się zmienił. Romantyzmowi towarzyszyły apokaliptyczne wizje świata skutego lodem, teraz boimy się jego topnienia. Lód obwieści, że popadliśmy w niełaskę, ponieważ celowo zignorowaliśmy rytm natury i naszą od niej zależność. Jak bohaterowie greckiej tragedii, zarówno bogowie, jak i ludzie, padniemy ofiarą własnej arogancji.

– Mamy też zdolności adaptacyjne – powiedział Wolff. – Żyjemy w epoce, w której liczy się znalezienie rozwiązania, a nie we wczesnym średniowieczu, przesiąkniętym przesadami i fatalizmem. Jesteśmy twardzi.

Optymizm na pewno nie przyszedł mu z łatwością i wydawał się bardzo stonowany. Odniosłam wrażenie, że podjął decyzję, że będzie patrzył w przyszłość z nadzieją, bo inaczej nie mógłby tego znieść.

Klaskaliśmy z podziwem, czując, że właśnie udzielono nam ostrej reprimendy. Wolff zszedł z mównicy, zabierając ze sobą surowy, metaliczny język lodu: kar, firn, kra. Te słowa były dla mnie czymś więcej niż tylko terminami. Niosły w sobie całą płataninę zasad – faktów matematycznych, równie niewzruszonych jak życie i śmierć, ale też możliwość zmiany, a przynajmniej ruchu.

Wystąpienie Wolffa przypomniało mi o tajemnicach, które skrywa rdzeń lodowy. W jaki sposób cząsteczki uwalniają się podczas procesu topnienia? Co się dzieje z wiązaniami między wodorem a tlenem, kiedy lód się łamie? Dlaczego kryształki lodu mają wokół siebie pustą przestrzeń, przypominającą fosę wokół zamku? Dlaczego nie ma dwóch identycznych płatków śniegu? Czy naprawdę tak jest? Dlaczego wydaje nam się, że lód parzy?

– Zależymy od tego, co stanie się z lodem – pisze Anne Carson, poetka i badaczka, ta, którą czytałam na statku i która porównała miłość do topiącej się w dłoniach bryłki lodu. Według Sofoklesa, miłość kształtuje się, kiedy zmysły przechodzą kolejne kryzysy, kryzysy zaś wymagają podjęcia jakiegoś działania. Niechcący wkroczyliśmy w epokę „nieokiełznanego topnienia wywołanego chciwością i marnotrawstwem”, pisze Eric Wilson w *Duchowej historii lodu*. Witamy w świecie tragicznej ekologii. Nie wiemy jeszcze, jaką skalę będzie miała ta katastrofa. Może w skali kosmosu będzie tylko wpadką ewolucji, kolejnym wymieraniem, które jest konieczne do tego, żeby narodziło się nowe życie.

Kiedy wyszliśmy z audytorium, zapadł już wieczór. Skończył się pierwszy dzień konferencji. Było na tyle ciepło, że kręciliśmy się jeszcze przez chwilę po dziedzińcu British Library, nie chcąc się rozejść. Dobrze było znowu przebywać wśród ludzi zajmujących się rejonami polarnymi – antropologów, historyków kultury, artystów, glaciologów i geochemików. Byliśmy jak rodzina. Nikt nie był sobie całkiem obcy, ponieważ wszyscy byliśmy albo w Arktyce, albo na Antarktydzie. Czułam, że znowu skłaniam się w stronę euforii, jak statek, który za bardzo się przechylił po nieoczekiwanym spotkaniu z falą.

Ale British Library zamykano już na noc, a że byliśmy w Londynie, każdy miał dokąd pójść, każdy był gdzieś umówiony. Kiedy szłam po rower, ze zdziwieniem zdałam sobie sprawę, że dokładnie dwa lata temu wsiadałam do samolotu do Madrytu, skąd następnie poleciałam do Santiago i wreszcie na Falklandy. Coś się zaczynało. Zmierzałam w stronę światła.

Dwa lata przed wyjazdem na Antarktydę poznałam mężczyznę, którego nazywałam Lokim. Spotkaliśmy się na konferencji poświęconej problemowi głodu. Pracowałam w wydawnictwie akademickim i jeździłam na konferencje polityczne, ekonomiczne i socjologiczne. Loki był profesorem nauk politycznych. Pochodził z Anglii, ale przez kilka lat wykładał na uniwersytecie na wschodnim wybrzeżu Stanów. Mieszkał tam z żoną i córką w małym, zamożnym miasteczku.

Prowadziliśmy przyjazną, choć nieco sztywną rozmowę, jak dwoje ludzi, którzy zostali posadzeni obok siebie przy stole. Zajmował się upadłymi państwami. Większość jego badań dotyczyła Afryki – Demokratycznej Republiki Konga, Somalii i innych upadłych państw naszych czasów. Był wysoki i chudy. Była w nim jakaś surowość i brawura, wyglądał na człowieka, który przyzwyczał się do niebezpieczeństw.

Miał jedną z najbardziej poruszających twarzy, jakie kiedykolwiek widziałam. Jego rysy świadczyły o sile, ale pozbawionej okrucieństwa. Nie wyglądał delikatnie, ale nie był też grubo ciosany. Kiedy mówił, na jego twarzy odgrywał się fascynujący spektakl. Uśmiech pojawiał się na niej znienacka, niczym kwazar.

Walczyłam ze stołówkową pierśią z kurczaka i podniosłam wzrok, żeby

odpowiedzieć na coś, co powiedział, kiedy zobaczyłam, że na mnie patrzy, miękko i całkowicie czytelnie. Wzrok powędrował mi do obrączki na jego palcu, jakby sprawdzając, czy nadal tam jest.

Obserwowałam go przez resztę konferencji. Czarne oczy, około czterdziestu pięciu lat. Było w nim coś statycznego, jakby był figurą woskową przedstawiającą przystojnego mężczyznę. Zachowywał się nieco sztucznie, jakby właśnie wszedł na scenę. Był przystojnym mężczyzną, który zdawał sobie sprawę, że ktoś na niego patrzy. Miał napięte, oszczędne ruchy, jakby chował coś pod ubraniem.

Wiedziałam, że go znam, że znam jego twarz, i czułam szmer zadowolenia. Nie chodziło o pociąg fizyczny. Miałam wrażenie, że emanuje energią, z jaką się jeszcze nie zetknęłam. Nastroiłam się na zapomnianą częstotliwość.

Czułam ulgę, kiedy był blisko, jakbym wróciła z wygnania, z jakiejś odległej krainy. Porzuciwszy nadzieję na to, że zobaczę jeszcze kiedyś rodzinę, odnalazłam ją w nim. Nie zdawałam sobie sprawy, że do tej pory żyłam w próżni. Przy nim poczułam się nagle pełna.

Gdzieś z głębi mnie pojawiła się myśl: kim jesteś?

Po konferencji próbowałam wrócić do normalnego życia. Każda chwila była jednak przesiąknięta zagrożeniem, żądzą krwi i mroczną miłością. Żyłam w uniesieniu, które mogło być też strachem. Wiedziałam, że potrzebuję tego mężczyzny, żeby istnieć. Do tej pory żyłam w półśnie. Teraz się obudziłam.

Noce przynosiły białe, nieuniknione męczarnie. Budziłam się zaplątana w przepecone prześcieradło. Zimny ogień, który trawił moje wnętrze, teraz zapłonął także w głowie. Byłam kompletnie zamoczona, by chwilę później myśleć jaśniej, niż kiedykolwiek przedtem.

Jednocześnie czułam się, jakby przeszywał mnie prąd o napięciu miliona woltów. Zmieniała się każda komórka mojego ciała. Przez osiem miesięcy nie przespałam nocy. Budziłam się w panice o czwartej nad ranem, czując jednocześnie przerażenie i euforię. Poczuję coś podobnego podczas ostatnich dni na Antarktydzie.

Widywałam go od czasu do czasu. Każde spotkanie rozpalało we mnie fizyczny głód, mroczny i gwałtowny. Nigdy dotąd nie czułam takiego pożądania i początkowo nie potrafiłam go rozpoznać. Miałam wrażenie, że umieram. Nie potrafiłam nic utrzymać w żołądku, poza napojami. Zaczęłam mniej jeść, a więcej pić, próbując zaspokoić niszczącą symfonię pragnienia i niepokoju. W pracy przeglądałam internet, szukając jego zdjęć, a kiedy jakieś znalazłam, czułam mdłości. Kilka razy zwymiotowałam.

Zaczęłam chorować. Dowiedziałam się później, że przyczyną choroby było to, że czułam się nieszczęśliwa. Czasem tak się dzieje, kiedy jesteśmy przygnębieni. Łaknęłam jego obecności. Mój niepokój wiązał się ze świadomością, że moja egzystencja jest z nim nierozłącznie związana, a zostaliśmy rozdzieleni. Odnalazłam go przypadkiem, a moje przetrwanie znowu zależało od niego. Byłam pewna, że umrę, jeśli nie będę go mogła mieć.

Był to oczywiście rodzaj hysterii, zdawałam sobie z tego sprawę. Podobnie jednak jak w przypadku ataków paniki, które miewałam na Antarktydzie, nie mogłam zrobić nic, żeby sobie pomóc.

Spotykaliśmy się tylko na konferencjach i zebraniach. Zachowywaliśmy się przyjacielsko i poprawnie. W sytuacjach zawodowych zachowywał się zasadniczo, był bystry i szybko myślał. Nigdy nie planowaliśmy spotkań, chociaż od czasu do czasu wysyłał nam maile. Spotkaliśmy się wiele razy w ciągu tych dwóch lat, i podczas każdego z tych spotkań czułam się przyparta do muru. Drżałam na samą myśl o nim albo o spotkaniu kogoś, kto go zna.

Nie doszło między nami do niczego oprócz pocałunków. Nikt jednak nie całował mnie w taki sposób, z mocą, apodyktycznie i czule. Podstępnie i szczerze. To było coś więcej niż tylko pocałunki. Były tak gęste jak seks.

Co Loki czuł do mnie? Był zdolny tylko do chłodnej adoracji. Zajmowałam miejsce na peryferiach jego uwagi. Mieszkałam daleko. On miał żonę i dziecko. Wiedziałam, jak to działa – małżeństwa i rodziny trwały, nawet kiedy po miłości wiele już nie zostało, kiedy w związek wkradały się inercja i lęk, presja codziennych kąpieli, posiłków, samochodów i opieki nad dziećmi.

Ja nie miałam takiego spoiwa, które wiązałoby mnie z moim życiem. Rzuciłam partnera, z którym spędziłam sześć lat, a raczej to on rzucił mnie. Nie byłam pewna, co się dzieje i za bardzo się nie przejęłam. Chciałam tylko czuć ten gorączkowy blask miłości.

Stan mojego zdrowia się pogarszał. Na początku nie wiedziałam, co mi jest. Zdawało mi się, że fermentuję od zaniedbania. To niszczące pożądanie, które czułam, nie miało nic wspólnego z moją świadomością lub inteligencją. Działo się coś głębszego, coś, co sięgało pod powierzchnię codziennego życia. Było większe niż ja i niż to, co czułam. Nie pozwalało się objąć rozumem.

W *Duchowej historii lodu* Eric Wilson pisze o różnicy pomiędzy białą magią (kosmologiczną) i czarną (demoniczną). „Czarny« mag jest największym egoistą. Jest zdecydowany, żeby zmieniać świat w sobowtóra swoich pragnień, żeby kontrolować siły zagrażające wytrzymałości i sile jego ego. Choć ma w sobie *hubris*, ulega niszczycielskiemu wpływowi strachu i pragnienia. Przerazają go siły, które narażają na szwank jego ego, i pragnie je zniszczyć”.

Nie będę tu przytaczać szczegółów, ale odkrywję, że Loki był kimś w rodzaju przynęty, kuszącym, ale lekko nadgniętym owocem, zagadkowym sobowtorem, wyjawiającym nam sekrety naszej podświadomości, mrocznym tłumaczem, o którym marzyli Shelley, Goethe i Wordsworth. Istniał tylko po to, żeby pokazać mi moje możliwości w negatywnym świetle. Negatywnym nie w zwykłym tego słowa znaczeniu, ale tak jak w czarnym lustrze, inaczej zwanym szkiełkiem Claude'a, którego używali dziewiętnastowieczni pejzażyści, żeby inaczej patrzeć na krajobraz. Dlaczego mnie prześladujesz? Odpowiedział: Dlaczego mi na to pozwalasz? Zaprotestowałam. Potrzebował mnie, żebym wymusiła na nim to, co sam chciał zrobić, a potem pozwalał, żebym to ja to robiła.

W mitologii nordyckiej Loki jest dwuznaczną postacią, o skomplikowanym

i zmiennym charakterze. Z jednej strony jest Oszustem. Nabiera cię i zmusza do zmierzenia się z twoimi słabościami. Doskonale je wyczuwa, interesują go, budzą w nim instynkt drapieżnika. W tym wcieleniu nie jest szczególnie niebezpieczny, jest raczej szelmą, który działa instynktownie. Jego misją jest wyrwanie ludzi z marazmu, wstrząsanie nimi, chodzenie im po piętach i dostarczanie skomplikowanych kolei losu ich właścicielom.

Loki ma jednak drugą twarz, twarz Diabła. To on oszukał Baldura, ulubionego syna Odyna. Bogowie zgodzili się, że Baldura nie zabije nic oprócz jemioly, uważanej za tak nieszkodliwą, że można ją było pominąć. Loki podstępem nakłonił niewidomego boga ciemności Hodura do dotknięcia piersi swojego brata Baldura gałązką jemioly, a tym samym do zabicia go.

To dzięki Lokiemu, zarówno rzeczywistemu, jak i mitycznemu, zrozumiałam, że istnieje mroczna energia i w nas, i we wszechświecie. Siły światła i ciemności toczą ze sobą niekończącą się walkę. Jako dorośli nie możemy przemykać oczu na manichejski dualizm. Zadanie polegało na tym, żeby wierzyć w to, że biała magia, magia kosmologiczna, której częścią stanie się dla mnie lód, jest silniejsza.

W ciągu tego ostatniego roku przed wyjazdem na Antarktydę moje życie było jak spisek, na który natrafiłam przypadkiem. Być może nie miałam nawet żadnej roli do odegrania w tej dziwnej sztuce, która, podobnie jak tragedie Szekspira, zawierała przypadkowe zrządzania losu, zimowe zawieruchy i zamki w ruinie.

Zaczęłam podejrzewać, że na Antarktydę zwabiło mnie przecucie, którego znaczenie skrywał mityczny dramat rozgrywający się w moim wnętrzu. Musiałam go zrozumieć. Stephen Traynor, jungowski psychoanalityk, pisze: „Podświadomość będzie szukała sposobów ujawnienia się, zwłaszcza kiedy obiekt nie potrafi się z nią pogodzić na poziome świata wewnętrznego”. Zaczynałam rozumieć, jak marny jest świadomy umysł, jak niewielkie znaczenie dla naszego istnienia mają jego plany. Podświadomość jest napędzana przez mroczną energię. Karmi się motywami, tropami i mitami – sojuszem symboli i opowieści, które znane są ludziom żyjącym w różnych miejscach i o różnym czasie. Zyskują formę w naszym świadomym życiu, ale nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, czego potrzebują.

Pod pewnymi względami ta wizja przeraża. Jednocześnie jednak pomysł, że istnieje w nas odrębna jaźń, brzmi kusząco. Jung nazwał to cieniem duszy. U niektórych ludzi cień tak rośnie w siłę, że może zagrozić świadomej jaźni.

Przyjmując tę wizję, zgadzamy się co do tego, że żyjemy w mrocznej bajce. W dowolnym momencie niebezpieczne dążenia niewyrażonej części naszej jaźni mogą przejąć nasze życie. Pomysł ten, najlepiej ujęty właśnie w psychologii jungowskiej, polega na tym, że niektóre nasze działania i ludzie, których przyjmujemy do swojego życia, są wynikiem podjętej przez nieświadomą część naszej duszy próby poradzenia sobie z napięciem, które tak urosło, że musi zostać wyrażone w sposób jawny. Są uzewnętrznieniem wewnętrznej narracji.

Podczas tego roku jeżdżenia po sympozjach zrozumiałam, że w tym właśnie

kryło się źródło lęku, który ogarnął mnie na Antarktydzie. Czułam się schwytna w pułapkę, tak jak podczas tych wszystkich zim w czasach dzieciństwa i wczesnej młodości. Nie z braku odwagi albo niechęci do mrozu przez dwadzieścia lat unikałam jeżdżenia do Kanady w zimie, lecz z powodu tego, co przeżyłam jako dziecko i nastolatka.

Mój lęk nasilił się, kiedy wyjechali Tom i Xavier, odleciały samoloty i nadeszła zima, a ja zostałam tylko z jedną drogą ucieczki. W normalnych warunkach dobrze sobie radzę z samotnością, ale na Antarktydzie wszyscy się nawzajem oceniamy i to w sposób, do jakiego nie jesteśmy przyzwyczajeni, zwłaszcza jeśli mieszkamy w mieście. Nie było dokąd pójść, nie było żadnej drogi ucieczki i żadnego innego zajęcia. Co gorsza, nie było między nami braterstwa, takiego jak w społeczeństwie średniowiecznym. Nie chroniliśmy się nawzajem. Jakaś część mnie poczuła się tym przytłoczona i żądała, żeby ją stamtąd zabrać, zanim stanie się coś gorszego, zanim odsłonią się wspomnienia.

Wyjazd na Antarktydę był próbą poradzenia sobie z wewnętrznymi konfliktami. Nie mogłam wrócić do Kanady, żeby się z nimi zmierzyć. Bezpieczniej było zrobić to gdzieś daleko, pod odwróconym do góry nogami niebem, w tej skutej lodem, obcej kolonii. Wyjazd na ten leżący na dnie planety kontynent wydawał się całkiem stosowny, skoro kierujemy na niego zarówno swoje mroczne fantazje, jak i utopijne marzenia.

Symposium zakończyło się w niedzielę w ciszy. Rachel Weiss, amerykańska historyczka i teoretyczka kultury, pokazała serię zdjęć. Na panoramicznych obrazach, intensywnych w swojej posępności, widać było niekończące się pola lodowe i śnieg, który ciągnął się aż po zakrzywiony horyzont.

Kiedy wracaliśmy z Tomem z Gór Ellswortha i zostało nam mniej więcej sto kilometrów do bazy, Tom przejął ode mnie stery, żebym mogła popatrzeć za okno. Zszedł niżej, lecieliśmy na wysokości zaledwie dwustu metrów nad ziemią. Okrążaliśmy Wyspę Alexandra od zachodu, mijaliśmy wijące się starorzecza i turkusowe jeziora polodowcowe. Niektóre miały nieregularne, amebowate kształty, inne zaś wyglądały jak starannie wykaligrafowane litery.

Potem mknęliśmy nad zimną, białą rzeką lodu. W międzyczasie lecieliśmy nad niekończącymi się, pustymi polami lodowymi, do tego stopnia pozbawionymi jakichkolwiek cech charakterystycznych, że zaczęłam widzieć prerię. Może miałam halucynacje, a może byłam po prostu zmęczona. Widziałam pola pszenicy, drzewa i kwietne dywany, delikatne kształty, które po chwili rozplywały się z powrotem w bieli. Wydawało mi się, że widzę wilki sadzące susy po lodzie, ale to była tylko gra światła, szarego i dzikiego, i cień oświetlonego od tyłu twin ottera.

Chcę to zapamiętać. Połacie lodu, zimny, złocisty blask wieczornego słońca na śniegu, mojego przyjaciela siedzącego obok mnie za sterami, jego zmęczone, choć czujne oczy. Ale obrazy pojawiły się przed moimi oczami zniemacka i równie szybko zaczęły się wyslizgiwać temu, co je wytworzyło – neuronom i synapsom. Nie udało mi się ich złapać.

Po chwili byliśmy już na ziemi, hamując wśród lecącego spod kół żwiru. Nic

się jednak nie kończyło podczas tego antarktycznego lata, ponieważ nie było nocy. Wszystko było dniem, emocjami i obietnicą.

Wybrałam się na sympozjum do British Library także dlatego, że przygotowywałam się do kolejnej wyprawy. Dwa lata zajęło mi zorganizowanie jej, ale wreszcie, na początku lutego wracałam na Antarktydę.

W międzyczasie byłam w Arktyce, na Spitsbergenie, gdzie spędziłam miesiąc jako pisarka-rezydentka w galerii sztuki w Longyearbyen. Ileż było życia w Arktyce, w porównaniu z Antarktydą! Nie mogłam powstrzymać się przed chodzeniem po mieście i robieniem notatek, co chwilę też pochylałam się i robiłam zdjęcia malutkich przebiśniegów i płynącej ulicą wodzie z lodowca.

Na 79° szerokości geograficznej północnej występowały kwiaty, renifery, lisy polarne, zające polarne, bieżąca woda, ptaki i niedźwiedzie polarne. Powietrze było mroźne i kłujące, tak jak wszędzie w rejonach polarnych, ale słońce paliło i było cieplej niż na podobnej szerokości geograficznej na Antarktydzie. Opowiadałam mojej norweskiej przyjaciółce Silje, że na 79° szerokości geograficznej południowej, na której leży Ice Blue, nic nie rośnie. Nie ma zwierząt, nie ma nawet ptaków. Wszystko jest w stanie śmierci klinicznej.

Stałyśmy z Silje na środku głównej ulicy Longyearbyen o drugiej w nocy. Większość ludzi spała, izolując się od świata dzięki folii naklejonej na okna i blokującej światło. Słońce zalewało strome, czarne wzgórza otaczające osadę. Wreszcie stałam znowu pod niezachodzącym słońcem.

W dzień rozmawiałam o zmianach klimatu i turystyce. Coraz więcej ludzi przyjeżdżało do Arktyki, „żeby ją zobaczyć, zanim się stopi”, a na Spitsbergen najłatwiej się dostać dzięki codziennym lotom do Tromsø i do Oslo.

Podczas niekończących się wieczorów wspinałyśmy się z Silje do opuszczonej kopalni węgla albo robiłyśmy grilla o północy w prymitywnej chacie za miastem. Musiałyśmy zawsze nosić ze sobą strzelbę o kalibrze .308 – na archipelagu Svalbard mieszka tysiąc pięciuset ludzi i pięć tysięcy niedźwiedzi polarnych. Zanim pozwolono nam na pobyt tutaj, musiałyśmy spędzić sporo czasu na strzelnicy i udowodnić, że umiemy celnie strzelać.

W lecie na archipelagu prawie nie ma lodu, zwłaszcza w okolicy cieplejszego, zachodniego wybrzeża, a wygłodniałe niedźwiedzie przychodzą do miasta w poszukiwaniu śmieci, reniferów, a nawet ludzi. Dwa lata przed moim pobylem tam dwie nastolatki poszły pojeździć na skuterach śnieżnych po wzgórzach okalających miasteczko od zachodu. Jedną zabiła młoda niedźwiedzica, druga skoczyła z klifu, żeby się ocalić. Połamała sobie prawie wszystkie kości, ale przeżyła.

Tego lata zasięg arktycznej pokrywy lodowej był najniższy w historii. Skończyłam pisać powieść, dla której wysłano mnie na Antarktydę. Ukaże się w przyszłym roku. Tego lata na Spitsbergenie zaczęłam pisać kolejną książkę o lodzie, tym razem nie powieść. Miała opowiadać o metaforycznym znaczeniu lodu, a jednocześnie stanowić kronikę moich podróży polarnych. Zdałam sobie wtedy sprawę, że muszę spędzić więcej czasu na Antarktydzie. Zaczęłam

odczuwać potrzebę powrotu, chociaż nie byłam pewna, czy tęsknię za prawdziwą Antarktydą, czy też za jej wyobrażeniem.

Kiedy wróciłam do Londynu, pewnego sierpniowego popołudnia zaczęłam przygotowywać się do kolejnego projektu. Kraj był zalany wodą. Kilka dni wcześniej Londyn dotknęła prawdziwie tropikalna powódź. Podczas imprezy rozmawiałam z koleżanką o imieniu Maxine o książce, którą planowałam napisać. Roboczo nazwałam ją *Dziennikami lodu*.

Maxine знаła wspomnienia Jenny Diski *Skating to Antarctica*.

– Uderzyło mnie, że ta książka w znacznym stopniu dotyczy śmierci. Diski pisze o miejscach, które są śmiertelnie niebezpieczne, o swoich próbach samobójczych, o tym, że chciałyby umrzeć – powiedziała. – Twoja książka będzie inna?

– Będzie o tym, że nie chciałabym umrzeć. Albo że chciałabym nie umrzeć.

Próbowałam wytłumaczyć Maxine, że potrzebowałam przez jakiś czas żyć wygodnie. Że tylko w taki sposób mogłam się pozbierać. Teraz, po upływie dwóch lat, zaczęło mi się wydawać, że niewygody, nuda, panika i klaustrofobia były sprawdzianem, przez który musiałam przejść. Wiedziałam, że następnym razem będzie inaczej. Byłam gotowa do powrotu.

Kiedy wyszłam z imprezy, było już późno, a ulice lśniły od deszczu. To będzie bardzo deszczowe lato. W telewizji co wieczór mówiono o El Niño, o Oscylacji Północnoatlantyckiej, o nietypowym zachowaniu prądu strumieniowego. Prezenterzy pogody uśmiechali się dzielnie na tle pokrytej małymi chmurkami mapy Wielkiej Brytanii, próbując to wszystko wyjaśnić.

Dziadek jedzie do domu. Jest czwarta nad ranem. Przez wiele godzin, a może dni, grał w mieście w karty i pił. Świetnie prowadzi po pijanemu, może się więc sam odwieźć do domu. Mieszka teraz w małej przyczepie, na ziemi kobiety, która była kiedyś żoną jego przyjaciela, a teraz jest wdową. To właśnie ją terroryzuje.

Szosa transkanadyjska skręca i biegnie pod górę, po wzgórzu, które jest kręgosłupem wyspy. Po obu stronach drogi rosną ciemne kępki świerków. Nikt tu już nie mieszka. Las powoli wchłania opuszczony dom stojący po lewej stronie.

Nie ma księżycy, nie zauważa więc, że na drodze utworzył się lód. Rozpędza się, jadąc w dół i trzymając kierownicę jedną ręką. W drugiej ma papierosa, mimo że choruje na raka płuc z przerzutami do tchawicy, nerek i trzustki, który jak dotąd nie zdołał go zabić.

Czarna łata lodu jest niewidoczna, kiedy nie pada na nią światło. Samochód wypada z szosy. Jest późno, nikt nie zauważa, co się stało. Samochodu nie widać z drogi, zaczęną go szukać dopiero następnego ranka, kiedy wdowa podniesie alarm. Mimo to nie uda im się go znaleźć. Policja sugeruje, że może przespał się u znajomego, ale wdowa tego nie kupuje.

Następnego dnia rolnik zauważa przysypane śniegiem auto. Tym razem

miał zapięty pas. Złamał jednak kark. To go zabiło, a może wyziębienie. Może jedno i drugie, koroner nie jest w stanie stwierdzić. Podczas czuwania przy zwłokach prawie go nie poznaję. Wygląda, jakby spuszczone z niego powietrze, ciało ma dziwnie wykręcone. Skurczył się prawie o połowę.

Po pogrzebie jedziemy z matką na przejażdżkę. Wyspa płonie kolorami jesieni – karminem i złotem. Drzewa nie są czerwone, lśnią purpurą.

– W środku nocy wyciągał ją z łóżka za włosy. – Matka pokazuje mi to, chwytając w garść moje kosmyki. – Kazał jej gotować kolację dla niego i jego pijanych kumpli. Pamiętaj, że była trzecia nad ranem, a ona miała małe dziecko i była w ciąży.

Matka patrzy w dal, na ten charakterystyczny, dzinsowy błękit naszego morza.

– Był zły, zły, zły.

Ona sama wyjechała do szkoły w mieście, kiedy miała piętnaście lat.

– Nie chciałam go już nigdy widzieć na oczy – mówi. – Ale przez cały czas się o nią martwiłam. Co się z nią teraz stanie, kiedy została z nim sama, kiedy mnie już tam nie ma.

Zaiste, co? Kiedy z nimi zamieszkałam, mając zaledwie pięć dni, sytuacja wyglądała tak samo – wódka, przemoc, broń i zabijanie, prawdziwe zabijanie zwierząt i udawane egzekucje w salonie, z odciągniętym kurkiem.

– Nigdy, przenigdy nie chciałabym kazać komuś przechodzić przez to, przez co sama przesłam – mówi moja matka.

– Jak to?

– Przez to... szaleństwo. Przemoc.

– Dlaczego więc skazałaś na to swoje dziecko?

Patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– Kogo?

Naprawdę nie wie, o czym mówię.

Przypomniało mi się, co powiedziała Denise, wróżka, która przepowiedziała, że pojedę na Antarktydę, kiedy do niej zadzwoniłam, żeby powiedzieć, że jej przepowiednia się sprawdziła.

– To ty sama sobie to wyobraziłaś – powiedziała. – Tylko dlatego mogłam to zobaczyć. Wszystko jest zbudowane z myśli. Nawet po śmierci. To podstawa istnienia.

Ale jeśli wszystko jest zbudowane z myśli, to ja nie istnieję, bo moja matka nie wie, o kim mówię. „Kogo?”. W jej oczach nie jestem nawet wyobrażeniem.

Kiedy wyjaśniam, że mówię o sobie, wskazując na swoją pierś, jakby to miało pomóc, w jej oczach zapala się jakieś światełko. Wzrusza ramionami.

– Nie miałam wyjścia. Nie było nikogo innego, kogo mogłabym o to prosić.

Jestem pewna, że to prawda. Dociera do mnie, że nie znam swojej matki. Nigdy nie rozmawialiśmy o jej wypełnionym przemocą i nieprzewidywalnym dzieciństwie, spędzonym z naszym wspólnym ojcem, moim dziadkiem. Ona poradziła sobie inaczej. Być może z natury pozbawiona była sentymentalizmu, podczas gdy ja miałam romantyczną skłonność do

idealizowania innych ludzi i wierzyłam, że miłość jest najważniejsza.

Wyjechałam z miasteczka w dniu swoich osiemnastych urodzin. Nie wyprawiałam imprezy, nie potrzebowałam tego. Miałam wrażenie, że zaczynam nowe życie.

Mój ojciec nigdy już się ze mną nie skontaktował, tak jak Max i Tom przestali się odzywać jakiś czas po moim powrocie z Antarktydy.

W wieku dwudziestu jeden lat przeniosłam się do Wielkiej Brytanii. W ciągu następnych dwudziestu pięciu lat byłam kilka razy w Kanadzie, ale tylko raz pojechałam tam zimą. W międzyczasie mieszkałam i pracowałam w Brazylii, w Ameryce Środkowej, w RPA, Kenii i Namibii – w krajach tropikalnych i subtropikalnych, całkiem innych niż wschodnia Kanada i jej pokryte lodowcami obrzeża. W tym okresie życia zimy doświadczyłam tylko na Antarktydzie. Nawet cztery wyjazdy do Arktyki przypadły w lecie, kiedy słońce świeci przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a o trzeciej w nocy po ulicach chodzą renifery i niedźwiedzie polarne.

„Wszystko jest zbudowane z myśli”. Denise powiedziała mi to jeszcze raz, kiedy rozmawiałam z nią po raz ostatni. Wzięłam kiedyś telefon, żeby do niej zadzwonić, ale w chwili, w której dotknęłam słuchawki, w głowie zatrzepotała mi myśl: Denise nie żyje. Powiedziałam jej: Nie, ona ma dopiero pięćdziesiąt parę lat, dlaczego miałyby umrzeć. W słuchawce odezwał się męski głos, informując mnie, że zmarła miesiąc temu i że jeśli chcę, mogę coś wpłacić na cel dobroczynny dla uczczenia jej pamięci.

Znalazłam w necie nekrolog i dwa krótkie artykuły. Zmarła w wyniku choroby. Nie wiedziałam, że chorowała.

Wciąż słyszę jej głos. To głos wykształconej osoby, zjadliwy, ale nie niemiły, współczujący, lecz trochę zniecierpliwiony. Była praktyczna i zrównoważona, trudno było uwierzyć, że rozmawiała z istotami, których zazwyczaj nie chcemy nazywać duchami. Mimo to wiedziała rzeczy, które były czymś więcej, niż tylko intuicją.

„Wszystko jest zbudowane z myśli”. Nie mogąc kontrolować swoich myśli na Antarktydzie, bałam się bardziej niż kiedykolwiek przedtem, nawet podczas tych nocy ze strzelbą w przyczepie. Zdałam sobie sprawę, że moja dawna fascynacja lodem wróciła nie z powodu samej Antarktydy, ale dlatego, że odnalazłam tam przyjemność płynącą ze zbiorowego wysiłku i ciepło promieniujące od innych ludzi. Kiedy zniknęło, odkryłam, że wróciłam do miejsca, w którym się urodziłam.

Zmieniałam miejsce zamieszkania, przenosząc się z zimnego klimatu do gorącego i niechętnie zatrzymując się w strefie umiarkowanej. Doświadczyłam gorąca i zimna, ale czasami mało było wokół mnie ciepła. W skrajnych warunkach klimatycznych stajemy się bardziej wrażliwi. Możemy umrzeć od zimna, możemy umrzeć z pragnienia. W rzeczywistości większość ludzi umiera wskutek zaniedbania.

Powieściopisarz z łatwością uwierzy w to, że myśli kreują rzeczywistość.

Wymyślamy przecież całe książki, spisujemy je, stają się projekcją naszych myśli. Niewykluczone, że wszyscy pisarze wyolbrzymiają rzeczywistość, patrząc na życie jako na metaforę, którą można wykorzystać w prozie, zamiast je przeżywać. Padamy ofiarą dziwacznych wymysłów, na przykład takich, że Antarktyda nie jest częścią tego świata, że życie tam przypomina życie na dnie oceanu albo na księżycu.

Ale ja wiem, że to prawda. Antarktyda nie przypomina reszty świata. Porzucając cywilizację i dobrowolnie poddając się wpływowi Antarktydy, wystawiając się na niebezpieczeństwo, możemy dowiedzieć się prawdy o tym, kim jesteśmy. Co to znaczy być człowiekiem. Czy możemy przeżyć na planecie, którą niszczy. Co niszczy.

Antarktyda to też krajobraz, obszar fizyczny. Powinam chyba przestać nadawać mu własne znaczenia. Widzę Antarktydę taką, jaka jest – nie jako część mojej podświadomości i mojego dzieciństwa. Jako miejsce, w którym jest zimno.

[7] Dome C, albo Dome Charlie, to kopuła lodowa w lądolodzie antarktycznym. Na jej terenie znajduje się stacja badawcza.

6. RACE

KRAŻKI LODOWE

Świeży lód, który tworzy się w pęknięciach i dziurach starego lodu.

Kapsztad w lutym. Dwa lata po wyjeździe z Bazy R dotarłam do najbardziej wysuniętego na południe punktu Afryki, żeby przyłączyć się do kolejnej wyprawy na Antarktydę. Przez rok wysyłałam podania i prezentacje, starając się o pozwolenie na wzięcie udziału w międzynarodowej morskiej wyprawie badawczej. Tym razem chciałam napisać książkę o lodzie, której pomysł powstał na Spitsbergenie.

Weszliśmy na pokład „Southern Cross” we wtorek, wieczorem mieliśmy wyruszyć. Statek nie mógł jednak wypłynąć z powodu silnego wiatru. Latem w Kapsztadzie wieje Cape Doctor – taką nazwę nosi potężny wiatr z południa. W dniu naszego planowego wyjazdu w porywach osiągał czterdzieści pięć węzłów, a okręt załadowany po brzegi sprzętem nie mógł zostać rozładowany. Przy takich podmuchach ostatnią rzeczą, o jakiej się marzy, jest przenoszenie dźwigiem skrzyń huśtających się dziko na wietrze.

Szef ekipy badawczej powiedział mi, że „Southern Cross” rzadko ma opóźnienie. Każdy dzień w porcie oznacza dzień mniej na badania.

– Sama sobie wyobraź. Jedyne, co mam teraz w głowie, to czerwone krzyżyki – stacje, które będziemy musieli pominąć, i miejsca, w których nie zacumujemy.

Kiedy wypłyniemy, nie będziemy mogli zejść ze statku przez następne dziesięć tygodni. „Southern Cross” ma długą drogę do przepłynięcia, ponieważ odległość między Kapsztadem a bazą na lodowcu szelfowym jest spora (dziesięć dni statkiem) i dlatego, że na pokładzie prowadzone są badania z wielu dziedzin. W drodze powrotnej zawiniemy na Wyspę Księcia Jerzego na Półwyspie Antarktycznym, a następnie przepłyniemy przez Cieśninę Drake’a mniej więcej tą samą trasą, którą pokonałam na „JCR”. Podróż zakończy się w połowie kwietnia w Punta Arenas. Stamtąd niedaleko już na Falklandy, gdzie spędzę sześć tygodni na stypendium.

Kiedy czekaliśmy w porcie na zmianę pogody, rozmawiałam z jednym z pilotów helikoptera, Marcusem, i z Pieterem, inżynierem z Holandii. Poznałam Anneliese, młodą Francuzkę, z którą będę dzieliła kabinę, i innych młodych badaczy. Wszyscy byli przyjaźnie nastawieni i bardzo podekscytowani rejssem. „Southern Cross” to jeden z czołowych statków badawczych, pływających po wodach polarnych. Jest doskonale przystosowany do celów naukowych, wydajny i bezpieczny. Podróż na jego pokładzie jest gratką dla oceanografów

polarnych, wszyscy byli więc podekscytowani i pełni zapału.

Poszłam z Marcusem na zakupy. W wieku trzydziestu siedmiu lat był już jednym z najbardziej doświadczonych pilotów na Antarktydzie. Wrócił właśnie z Arabii Saudyjskiej, gdzie dostał posadę pilota w firmie paliwowej. Był elokwentny, uprzejmy, ale zachowywał się trochę jak wojskowy. Nosił ciemne okulary, a twarz miał ogorzałą, tak jak każdy biały, który spędził sporo czasu pod słońcem pustyni.

Rozmawialiśmy o Bazie R, którą dobrze znał.

– To takie piękne miejsce – mówił. – Kiedy tam byłem, poszedłem się przejść na półwysep. Jak go nazywacie? Cypel? Nie mogłem uwierzyć, jakie tam wszystko jest wygodne. Jest o wiele lepiej niż na statku.

– Dlaczego?

– Lubię statki, ale tylko kiedy pracuję. Ciągłe są jakieś przestoje. A w Bazie R tyle się dzieje! Można iść na narty albo na spacer. Tutaj jesteśmy uwięzieni.

Cape Doctor wiał i wiał. Meteorolog powiedział, że nie uspokoi się do soboty.

Po raz pierwszy poczułam ją w czwartek. Tak jak w Bazie R, nie narastała, tylko uderzała z przerwami. Odkąd dwa lata temu wyjechałam z Bazy R, nie miałam ani jednego napadu paniki. Spędzałam czas na cichej produktywności – napisałam większą część powieści o Antarktydzie.

Ale w czwartek i w piątek zdałam sobie sprawę, że to, co czułam, nie było paniką, a w każdym razie nie dokładnie. Ataki były tak samo nagłe, pojawiały się z prędkością, z jaką startował dash 7, ale miały inny charakter. Odnosiłam wrażenie, że mnie oblepiają. Zrozumiałam, że to inny rodzaj strachu niż lęk, który czułam wcześniej. Był to strach przed czymś konkretnym, co ma dopiero nadejść. Wydawał się cięższy i bardziej metaliczny. Nie wiem skąd wiedziałam, że ma związek z jakimś konkretnym wydarzeniem, a nie tylko z czymś, co istnieje w mojej wyobraźni. Coś czekało poza moim polem widzenia, coś konkretnego, jak dom lub inny budynek.

Układałam sobie w głowie listę możliwych katastrof. Statek był większy nawet niż „JCR” i wytrzymał już wiele sztormów. To nie mogło być nic związanego z nim. Jak tylko próbowałam przestać się bać, strach powracał, za każdym razem silniejszy. Było w nim coś, czego do tej pory nie doświadczyłam – jakiś głos lub siła. Przychodziła z oddali i napierała na mnie jak deska. Mówiła: Uciekaj z tego statku.

Próbowałam przeczekać. Mówiłam sobie, że to minie. Tak bardzo chciałam zostać. Racjonalna strona mojego mózgu wysuwała argumenty dotyczące profesjonalizmu i odpowiedzialności. Mimo to na statku czułam się nieszczęśliwa, a nawet w rozpaczy, i nic nie mogłam na to poradzić. Oczyma wyobraźni widziałam, jak siedzę w kabinie, którą dzieliłam z Anneliese, niespokojna i przerażona.

Przyszły wieści, że wiatr wkrótce ucichnie i że wypłyniemy w niedzielę rano.

W piątek nie mogłam zasnąć. Serce mi waliło, a w głowie rozlegał się krzyk strachu. Nigdy jeszcze nie przeżyłam tak koszmarnej nocy, nawet w Bazie R.

Rano wstałam i nie zastanawiając się, poszłam prosto na mostek. Zastałam

tam kapitana i szefa ekipy badawczej i zmyśliłam coś na temat sytuacji rodzinnej. Opuściłam statek w przededniu jego wyjścia z portu. Zrobiło się okropne zamieszanie. Musiałam rozwiązać kwestie imigracyjne, wymyślać dobre wymówki, tłumaczyć się przed ludźmi, którzy mogli zostać moimi przyjaciółmi.

Pod koniec dnia stałam samotnie na parkingu przed izbą celną w Kapsztadzie, w otoczeniu imigrantów z Zimbabwe i Malawi, próbujących wyjaśnić swój status.

Przez dwa miesiące siedziałam w Kapsztadzie. Paraliżowało mnie poczucie winy, nie chciałam wracać do domu. Ci ludzie dali mi upragnione miejsce na swoim statku, a ja ich zawiodłam. Zawiodłam samą siebie.

Nie mogłam nikomu wyjawiać prawdziwych przyczyn mojej decyzji, nie mogłam powiedzieć o swoich przecuciach, że coś się stanie ze statkiem albo z wyprawą. Nie miałam dowodów i byłoby to dla wszystkich krępujące. Pomyśleliby, że zwariowałam, i nie mogłabym ich za to winić. Sama sądziłam, że tracę zmysły.

Kiedy rozmawiałam z szefem ekipy badawczej podczas tego ostatniego ranka na statku, zmęczenie i frustracja wzięły górę. Zaczęłam płakać. Wyjaśniłam, że będę musiała wyjechać, ale że czułam się z tego powodu nieszczęśliwa.

– Szkoda – powiedział – ale nie martw się. Co możesz na to poradzić? Wszyscy musimy radzić sobie z własnym życiem.

Wróciłam do Londynu, ponieważ w marcu miałam polecieć z bazy RAF-u w Brize Norton na Falklandy. Zgodnie z pierwotnym planem miałam lecieć na wyspy z Punta Arenas, gdzie dopłynęłabym statkiem. Byłam jednak w złym miejscu i jedyne, co mogłam zrobić, to polecieć na wyspy przez Wielką Brytanię, choć tak okrężna podróż znacząco przyczyni się do emisji dwutlenku węgla do atmosfery. Wczesnym rankiem w drugiej połowie marca znalazłam się znowu na Ascension, rozprostowując nogi w Klatce w oczekiwaniu na lot na Falklandy.

Dostałam maila od znajomego z Antarktydy, który jako jedna z niewielu osób wiedział, że zesłam ze statku. Zaczynał się od: „Słyszałaś?”.

Niecałe trzy tygodnie po tym, jak „Southern Cross” wypłynął z Kapsztadu, rozbił się helikopter pilotowany przez Marcusa. Na pokładzie była między innymi moja współlokatorka z kabiny, Anneliese. Marcus i Pieter, inżynier, zginęli. Trzy osoby, w tym Anneliese, zostały ciężko ranne.

Nie wiem, czy byłabym na pokładzie tego helikoptera, ale jest to bardzo prawdopodobne. Organizacja, która mnie tam wysłała, poważnie traktuje pisarzy. Zachęcano by mnie, żebym poleciała i obejrzała bazę. Nie miałabym powodu, żeby odmówić, zwłaszcza że lubiłam Marcusa i od razu poczułam do niego zaufanie. Był dobrym pilotem. Dzięki znajomości z Tomem wiedziałam, że to się da poznać.

Ciała zmarłych i trójkę rannych ewakuowano drogą powietrzną, a statek popłynął dalej. Nikt więcej nie dostał pozwolenia na powrót. Przez siedem kolejnych tygodni byli na morzu. Został jeden helikopter z pilotem, który musiał sam zbierać sprzęt z kotwicowisk.

Przez dłuższy czas nie mogłam przestać myśleć o Marcusie, o więzi, jaka się między nami nawiązała, kiedy staliśmy na pokładzie po powrocie z zakupów, które były ostatnią na wiele tygodni okazją do zaopatrzenia się w różne produkty.

– To było piękne – powiedział, nie o Kapsztadzie i Górze Stołowej, która migotała przed nami w upalnym powietrzu, ale o Bazie R. – Te góry, te lodowce. Chciałem tam zostać na zawsze.

4 KWIETNIA

Race rozcinają ciemność poranka. Na północy niebo lekko się rozjaśnia, niskim, niebieskim światłem. Najgłośniejszy jest warkot The Ice, tak jak ciemności są najgęstsze przed świtem.

Jesteśmy na „Erneście Shackletonie” i opuszczamy Bazę R. Chociaż nie płynęłam jeszcze tym statkiem, od razu poczułam się tu jak w domu. Wszystko wyglądało znajomo – karty kontrolne, wachty porządkowe, ćwiczenia bezpieczeństwa.

Kiedy wypływamy z zatoki, na wodzie nie ma kry, jest tylko góra lodowa, potężny Pentagon. Kapitan „Shackletona” potwierdza nasze podejrzenia, że gdyby zatrzymała się kawałek dalej na wschód, statek nie mógłby jej ominąć.

– Nigdy jeszcze nie widziałem tu tak wielkiej góry – powiedział. – Tym razem mamy szczęście.

Podróż na „Shackletonie” prawie w niczym nie przypomina rejsu na południe, który odbyliśmy cztery miesiące temu. Brakuje tego szokującego efektu przepływania przez zasłonę, która oddziela prawdziwy świat od Antarktydy. Zniknęły zaskoczenie i euforia. Jesteśmy przygaszeni, jakby ktoś nas skarcił. Coś się skończyło, i teraz musimy się tylko dostać do domu.

Powoli posuwamy się w górę półwyspu. Przez dwa pierwsze dni bezustannie sypał śnieg. Fale robiły się coraz wyższe, aż wreszcie przebijały się przez siedmiometrowe bałwany, a woda zalewała forkasztel przy pokonywaniu co trzeciej lub co czwartej fali. „Shackleton” zaczął wykonywać korkociągi, z których słynie. Wiele osób cierpi na chorobę morską na jego pokładzie. Dziób podnosi się normalnie, ale jego pusty, tylny pokład, pozostałość po dawnym wcieleniu jako statku zaopatrującego platformy wiertnicze na półkuli północnej, sprawia, że statek wykonuje półobrót podczas opadania. Mam wrażenie, że płyniemy na gigantycznym młynku do pieprzu.

Statek wznosił się i przechylał, kiedy dołączyłam do drugiego oficera na mostku. Morze było coraz bardziej wzburzone, płatki śniegu uderzały o okno jak kwarki albo fajerwerki, albo jakieś cząstki subatomowe rozpędzone do prędkości światła. Wyglądały pięknie w blasku reflektorów.

Byliśmy jedynymi żywymi istotami na przestrzeni wielu mil, jeśli nie liczyć „Southern Cross”. Minęliśmy się nocą, dzieliło nas zaledwie kilka mil. Wyglądał

jak girlanda światełek na horyzoncie. Następnym razem zobaczę go dopiero za dwa lata, w porcie w Kapsztadzie.

Wróciłam do kabiny, którą dzieliłam z Melissą, i próbowałam zasnąć. O wpół do drugiej coś mnie obudziło. Zorientowałam się, że stoję na pryczy. Statek wyprostował się na tyle, że udało mi się zgramolić na przechyloną podłogę. Wystraszona przechyłem, ubrałam się po cichu i poszłam na mostek. Przy sterze stał drugi oficer.

– Co się stało?

– Statek właśnie zanurzył się do maksymalnego poziomu. – Oficer wyglądał pośpnie. Wskazał na żyropilota, mechanizm, który stabilizuje przechył statku.

– Zalała nas boczna fala.

Tej nocy fale miały mniej więcej dziesięć metrów wysokości, prędkość wiatru wynosiła czterdzieści węzłów. Jak na Cieśninę Drake'a, nie są to szczególnie złe warunki. Przy włączonych silnikach i ustawieniu dziobem do wiatru, statek rozmiaru „Shackletona” nie był zagrożony. Jednak ta fala była dwa razy wyższa niż inne i pojawiła się znikąd, uderzając statek z boku. Obudziłam się na stojąco, kiedy z niej spadaliśmy.

Następnego dnia sztorm zaczął słabnąć, a statek kołysał się głównie na boki, co jest dużo mniej niepokojące niż nurzanie, czyli kołysanie w przód i w tył. Wszyscy oglądali filmy w barze – *Krucjatę Bourne'a*, *Wroga u bram*, *Dwa tygodnie na miłość*. Poszłam na mostek, żeby obserwować zachód słońca. Patrzyłam, jak petrele śnieżne i albatrosy czarnobrewy latają nisko nad błękitnymi falami, w których odbijało się zachodzące słońce. Horyzont spowijały chmury. Słońce przesuwano się przez nie, zostawiając za sobą brzoskwiniową smugę.

Teraz, kiedy jechałam do domu, znowu zaczęłam doceniać piękno Antarktydy i Oceanu Południowego. Podczas ostatnich tygodni w Bazie R przestałam je zauważać. Myśli zakrzepły mi od niepokoju, stały się ciężką grudą, którą wszędzie ze sobą nosiłam. Teraz wracałam do siebie. Mogłam znowu myśleć jasno.

Przypomniało mi się zdanie z książki, którą czytałam na Antarktydzie, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć jej tytułu. „Miałem wrażenie, że wracam z innej planety”. Instykt mnie nie zawiódł. Musiałam zostać do samego końca. Moment, w którym opuszczałam Antarktydę, był jak chwila, która oddziela życie od śmierci, zwłaszcza jeśli jest się przekonany, że się tam umrze, a ja byłam.

Tak jak w moim śnie, kiedy opuszczaliśmy Bazę R, utworzyły się dwa rzędy. Na pokładzie stali ci, którzy wyjeżdżali, a na nadbrzeżu ci, którzy zostawali. To oni odpalili przeterminowane race. Zostawiały za sobą pióropusz chemicznego, siniego dymu, kiedy wzbijały się w niebo o świcie. Odbijały się w czarnej wodzie, która wyglądała, jakby płonęła.

Patrzyliśmy z pokładu na tych, którzy zostawali tu na zimę. Widziałam Caroline, która przysłała tu prosto z łóżka, zarumieniona i rozczochrana. Machała do nas w samym polarze.

Silniki odepchnęły nas od nadbrzeża. Patrzyliśmy, jak odstęp powoli się zwiększa. Jeden, dwa, trzy metry czarnej wody rozświetlonej ogniem. Wtedy statek się odwrócił, kręcąc pirueta na rufie. Płynęliśmy w stronę ujścia zatoki, z dziobem zwróconym ku drugiemu brzegowi Wyspy Jenny. Baza zaczęła znikać w oddali. Staliśmy jeszcze przez chwilę na zewnątrz, a nasi towarzysze także nie ruszali się z nadbrzeża, pomimo zimna i przenikliwego wiatru, dopóki nie mogliśmy się już dostrzec w oddali.

Jest minus trzydzieści. Idę samotnie drogą. Za zakrętem wyłania się stojący na środku polany dom. Srebrno-czarny, wygląda jak własny negatyw. Niebo usiane jest gwiazdami.

Przez sześć tygodni, od połowy grudnia do początku lutego, temperatura oscylowała między minus piętnastoma a minus trzydziestoma stopniami. Kiedy spada do tego niższego poziomu, można zamarznąć, zwłaszcza jeśli wieje.

Jestem w stajni, pracuję tu przy koniach w zamian za darmowe lekcje jazdy. Do domu mam trzynaście kilometrów przez pustkowia. Pewnego wieczoru nie ma nikogo, kto mógłby mnie podrzucić do miasta, a nie mogę zostać w stajni – w nocy będzie minus dwadzieścia pięć.

Dzwonię do matki i proszę, żeby po mnie przyjechała, ale odmawia.

– Będę musiała wrócić pieszo – mówię.

– To wracaj.

Droga do domu zajmuje mi ponad dwie godziny. Szczypię się w policzki, żeby nie nabawić się odmrożeń.

Noc jest cicha. Gwiazdy wyglądają jak rozsypane kryształki lodu. Po obu stronach drogi stoją skrzypiące sosny. Mijam przytulne domy. Wyglądają jak obrazki na kalendarzu adwentowym, pomarańczowe kwadraty okien promieniają ciepłym blaskiem rodzinnego życia.

Wędrując tej nocy do domu, po raz pierwszy zaczynam snuć plany na przyszłość.

Miłość jest dla mnie abstrakcją, o ile nie wiąże się z konkretną osobą. Idę, jednym okiem zerkając na szosę, a drugim szukając potencjalnych dróg ucieczki, gdyby zza zakrętu wyłoniła się półciązarówka pełna pijanych mężczyzn. W głowie zaczyna mi się kształtować pewien obraz.

Widzę czarnoookiego mężczyznę o przystojnej twarzy. Jest szczupły, ale umięśniony. Widać, że jest inteligentny – ma żywą mimikę i łatwo czytać z jego twarzy. Jest w niej jednak coś, czego nie potrafię nazwać, jakaś chwiejność i, być może, bezwzględność.

Zdarza się, że tworzymy wizje swoich partnerów, zanim ich poznamy. Opieramy się na swoich pragnieniach i lękach. Ten mężczyzna jest prawdziwy. Skrzy się jak oszroniony chrust. Tak, jest blady i ciemnowłosy, zrobił coś niezwykłego i odważnego, dzięki czemu zbliżył się do poznania prawd, które też chciałabym znać. Pragnę jego doświadczenia i wiedzy

równie mocno, jak jego ciała.

Jest zimno, a moja wędrówka trwa długo, ale jest piękna. Wciąż pamiętam, że kiedy zza zakrętu ukazały się wreszcie światła miasta, las rozdarł krzyk sowy. Kiedy dotarłam do domu, w którym mieszkałam z matką i jej rodziną, byłam głodna i zmarznięta, ale ożywiała mnie świadomość, że dałam sobie radę.





EPILOG
POLA BŁĘKITU



21 czerwca, „zatrzymuje się obracający się świat”. 51°52′ szerokości geograficznej północnej, 0°10′ długości geograficznej zachodniej. Londyn.

Dzisiaj jest najdłuższy dzień roku. Uważamy go za pierwszy dzień lata, ale formalnie na północnej półkuli zaczyna się wtedy zima. Słońce weszło dzisiaj o czwartej czterdzieści dwie i zajdzie o dziewiętej dwadzieścia jeden. Jutro dzień będzie krótszy o minutę – słońce wzejdzie o czwartej czterdzieści trzy i zajdzie o dziewiętej dwadzieścia jeden. Przez kolejne trzy dni będzie wschodziło i zachodziło dokładnie o tej samej porze. Planeta zamiera wtedy w bezruchu, zanim zacznie przechylać się w stronę zimy.

Na razie jednak światło jest niskie i błękitne. Drzewa i wieże kościołów wyglądają jak cienie na tle nieba. W pogodnej nocy brązowy blask wisi nad horyzontem aż do jedenastej w nocy.

Na Antarktydzie ten dzień oznacza początek trwających trzy dni świąt, obchodzonych w środku zimy. Ubiera się choinkę, organizuje zawody sportowe i wręcza prezenty. Kucharz przygotowuje ucztę, której głównym daniem jest indyk. Wieczorami pije się, śpiewa i tańczy. W Bazie R niebo jest ciemne, tylko od jedenastej rano do pierwszej po południu horyzont rozjaśnia się lekko na południowym zachodzie. Na tej szerokości geograficznej zmiany następują szybko, więc 22 lipca, niecały miesiąc od dziś, słońce wyjrzy na chwilę zza horyzontu.

Siedzę przed komputerem w coraz ciemniejszym pokoju, oświetlonym tylko przez ociągające się, letnie słońce. Wiadomości wypełniają raporty na temat odwilży w Arktyce. Pojawiają się również artykuły o braku żywności, sztucznej inteligencji, inwigilacji i krachu kredytowym. Nasza przyszłość się krystalizuje. Rozumiem jednak, że przyszłość jest już tutaj, tylko nierówno rozłożona.

Niektóre skutki zmian klimatycznych, na przykład zauważalny wzrost średniej temperatury oceanów i gwałtowne zjawiska pogodowe, są odczuwalne wcześniej, niż wynikało to z najbardziej pesymistycznych prognoz. Najbardziej radykalne zmiany zachodzą w Arktyce. Od 1979 roku odwilż wydłużyła się tam o miesiąc. Łądolód Grenlandii co roku maleje o co najmniej dwieście gigaton. Pomijając oczywiste skutki erozji wybrzeża, niszczenia siedlisk i wymierania gatunków, zwłaszcza niedźwiedzi polarnych, konsekwencje porażających zmian morfologii pokrywy lodowej będą odczuwalne nie tylko na dalekiej północy.

Cała woda z topiącego się arktycznego łądolodu musi się gdzieś zmieścić. Płynie do oceanów, podnosząc ich poziom. W Wielkiej Brytanii można już zauważyć skutki erozji wybrzeża, tak samo jak widoczne są skutki sztormów,

które szalały w zimie z 2013 na 2014 rok.

Topniejąca pokrywa lodowa otworzyła drogę morską przez morza Północy, zarówno dla statków komercyjnych, jak i okrętów wojskowych. Prawie jedna czwarta nieodkrytych złóż gazu i ropy leży prawdopodobnie pod lodem na Oceanie Arktycznym. Prawie osiemdziesiąt cztery procent z dziewięćdziesięciu miliardów baryłek, stanowiących światowe zasoby ropy, pochodzi z obszarów morskich. Zasoby paliwa kurczą się i jest mało prawdopodobne, że kiedy branża paliwowa wyda swoje ostatnie tchnienia, złoża arktyczne zostaną oszczędzone. Kurczenie się arktycznej pokrywy lodowej i otwarcie północnych dróg morskich, które były nie do przebycia, odkąd ludzkość wynalazła okręty, oznacza, że o zasoby energii konkurować może więcej krajów.

Czy czeka nas początek nowej zimnej wojny, tym razem wywołanej termopolityką? W depeszach ujawnionych przez Wikileaks w 2011 roku amerykańscy dyplomaci odnoszą się do „potencjalnego wzrostu zagrożeń militarnych w Arktyce”. W tym samym czasie cytowano rosyjskiego ambasadora przy NATO, który powiedział: „XXI wiek będzie epoką walki o surowce, a Rosja nie da się w tej pokonać. (...) NATO wie dobrze, skąd wieje wiatr. Z Północy”.

Rosja, od niedawna częściej występująca w roli agresora, ma plany wobec arktycznych złóż. Putin uważa, że Arktyka jest kluczowym elementem, który pozwoli Rosji na utrzymanie swojej pozycji jako jednego z głównych producentów ropy na świecie. Pięćdziesiąt dwa procent wpływów do budżetu Rosji i siedemdziesiąt procent całego eksportu to sprzedaż ropy i gazu. W 2012 roku Rosja produkowała około 10,4 miliona baryłek ropy dziennie, prawie dwie trzecie pochodzi z zachodniej Syberii. Ale złoża rosyjskie zaczynają się wyczerpywać, przynajmniej niektóre. Arktyka wydaje się logicznym kierunkiem ekspansji Putina.

Sytuacja Antarktydy jest bardziej złożona. Na mocy Traktatu Antarktycznego do 2048 roku nie wolno tam eksploatować żadnych złóż. Łądociel Antarktydy wschodniej cały czas minimalnie przyrasta, za to Antarktyda zachodnia, w której położona jest Baza R, zachowuje się tak jak Grenlandia – jej lodowce topią się i wpadają do oceanu. Co roku kolejne strumienie lodowe, takie jak ten, który badał Oddvar i jego ekipa, odprowadzają lód z kontynentu do morza w coraz szybszym tempie. Glacjolodzy szacują, że dwie trzecie łądociela Antarktydy nieco zwiększy swoją masę ze względu na rosnące z powodu zmian klimatycznych opady, pozostała zaś jedna trzecia będzie się gwałtownie zmniejszać, a jej lodowce będą coraz szybciej spływać, zrzucając swój ładunek do morza.

Sytuacja na morzu jest więc jeszcze bardziej skomplikowana, skoro lód w jednych obszarach przyrasta, a w innych się kurczy. Dynamika lodu antarktycznego trafiła na czołówki gazet pod koniec grudnia 2013 roku, kiedy rosyjski okręt badawczy „Akademik Szokalski” uwięził w lodzie niedaleko wybrzeża Antarktydy, podobnie jak „JCR”, ale na nieco dłużej. Po nieudanych próbach uwolnienia go przez inne statki pięćdziesięciu dwóch pasażerów zostało w końcu ewakuowanych.

Te informacje huczą mi w głowie jak pełen zakłóceń obraz telewizyjny. Wszystko stało się tak szybko – zmiana naszego położenia, zmiana klimatu naszej planety. Próbujemy równie szybko reagować, próbujemy bić na alarm, namawiamy do działania – do oglądania filmów dokumentalnych, do zapoznania się z prognozami dotyczącymi naszej przyszłości.

Wierzę, że nasz umysł może zobaczyć przyszłość, że mamy odpowiednie oprogramowanie w mózgu, ale nie umiemy go używać. Nie mam specjalnych zdolności proroczych, ale ponieważ łatwo ulegam lękom, zdarzyło mi się wyczuć coś, co dopiero może przynieść czas. Od czasu do czasu intuicja przekazuje psychice to, co widzi nasz umysł.

Zasadniczo jednak nie wiemy za wiele o przyszłości, o ile, oczywiście, nie zajmujemy się przepowiedniami – nie jesteśmy jasnowidzami, astrologami, nie wróżymy z kart. Wiedza o przyszłości obnaża ludzką potrzebę życia w iluzji, którą nazywamy pragnieniem i nadzieją. Bardzo często prawda wymazuje te podnoszące na duchu złudzenia z naszego umysłu, czyniąc nas bezbronniymi wobec przyszłości, która jest pewna. Prawda jest zimnym i straszliwym miejscem. Czy na pewno chcemy je odwiedzić?

Podejrzewam, że przyszłość istnieje w jakimś wymiarze, który znajduje się poza czasem i przestrzenią, tak samo jak przeszłość i teraźniejszość. Po części sami go tworzymy. Dowodem niech będzie to, że przyszłość można przewidzieć, przynajmniej do pewnego stopnia. Różnica między przyszłością a przeszłością polega na tym, że przyszłość może się jeszcze zmieniać. Nie wiadomo jednak, w jakim stopniu. Być może stoimy na rozdrożu, ale wszystkie ścieżki prowadzą do tego samego celu.

Istnieje jeszcze jedna możliwość – że możemy sobie wymarzyć przyszłość. Nie indywidualnie, ale zbiorowo, dzięki jakiejś trudnej do zrozumienia synergii. To wspólne marzenie, które Jung nazwał zbiorową podświadomością, manifestuje się w sposób bardzo pomysłowy. Obawiam się, że z każdym mrozącym krew w żyłach filmem katastroficznym o powodziach, tsunami i potężnych burzach kształtujemy konkretną przyszłość – taką, która jest projekcją naszych lęków.

„Jeśli skupiasz się na tym, czego się boisz, możesz to wywołać”. Ta lubiana przez zwolenników ruchu New Age idea jest głoszona już od dawna. Antropolodzy nazywają to myśleniem magicznym. Jest to wiara, że myśli mają moc sprawczą, że to, co myślisz o danym wydarzeniu, może wpłynąć na jego kształt.

To Xavier przypomniał mi słowa Ernesta Shackletona, wygłoszone po druzgocącej porażce wyprawy „Endurance”: „Człowiek obiera sobie nowy cel, gdy tylko poprzedni okaże się nieosiągalny”. Być może na tym właśnie polegał sekret elastyczności Shackletona, dzięki któremu udało mu się przeżyć – że zawsze szukał kolejnego wyzwania i szybko podnosił się po porażkach.

W radzie Shackletona kryje się przesłanie dla nas wszystkich, które może okazać się pomocne podczas zmagania z zagadką topniejącego lodu i globalnego ocieplenia. Musimy wyznaczyć sobie nowy cel, jakim będzie ograniczenie emisji dwutlenku węgla. Ale nawet jeśli to się uda, planeta będzie się dalej ocieplać,

a my będziemy się musieli przystosować. To będzie sprawdzian naszej pomysłowości, tolerancji i współczucia, naszej elastyczności.

W międzyczasie mamy taką obsesję na punkcie apokalipsy, że możemy ją faktycznie wywołać. Nie bez powodu wiele osób przepowiadających koniec świata to różnej maści kaznodzieje. Gdzieś w głębi marzą o tym, żeby świat został zaorany, żeby nastał nowy początek, oczywiście zgodny z ich zasadami. Osoby religijne pragną, żeby coś się stało, żeby jakieś pojedyncze zdarzenie wszystko wyjaśniło, żeby nastąpił wybuch, który wyjaśni wszystko.

Podświadomie wszystkie cywilizacje dążą do zdziśiatkowania populacji. Jesteśmy świadomi tego, jak toksyczne mechanizmy rządzą naszym światem – spirala zadłużenia, bezwzględność, postawa typu „cel uświęca środki”. Chcemy dostać rozgrzeszenie, oczyścić się i zacząć wszystko od nowa. Wszyscy piewcy apokalipsy zakładają, że podczas straszliwego i bolesnego oddzielania ziarna od plew oni przetrwają i będą budować przyszły świat. To złudzenie jest wynikiem naszej genetycznej arogancji. Karmieni kazniami na temat obowiązkowego heroizmu, nie wyobrażamy sobie, że moglibyśmy polec przy pierwszej przeszkodzie.

Czujesz ją, kiedy się zbliżasz. Jej obecność nie przypomina niczego na Ziemi. Monumentalny egocentryzm tej krainy działa jak lodowaty wir i przyciąga cię do siebie. Jej urok tkwi w niezależności. Niczego nie potrzebuje i przez to jest tak atrakcyjna. Antarktyda żyje za nawiasem naszej uwagi, jak dodatkowa planeta zakotwiczona na dnie oceanu. Nie należy do nas.

Lód morski to najłatwiej osiągalny rodzaj lodu. Można patrzeć, jak przepływa, krystaliczny i spokojny, podobny do lodowego żaglowca, który przemierza południowe oceany. Ma blizny – torosy są jak stygmaty, zastrugi jak przecinające je szramy. Z pełniących funkcję wiatrołapów szczytów zwisają wciąż zmieniające się seraki. Gdzie indziej katabatyczne wiatry smagają odsłonięty firn, który traci swoją metaliczną poświatę. Ciepło walczy z potężnym, przenikającym do głębi mrozem. Wkrótce biel nie jest w stanie odpiąć palącego wzroku słońca. Zaczyna się odwilż. Nie przebiega łagodnie, tak jak strumień mógłby podnosić swój poziom wody na wiosnę, płynąc szemrzącą strużką. Przypomina raczej wybuch zamarznętego wulkanu. Naprężenia podczas topnienia są takie, jak przy zmianach następujących wskutek nagłego skurczu.

Ten poniedziałkowy poranek w kwietniu, kiedy „Ernest Shackleton” płynie wprost na niespokojne, otwarte morze otaczające od zachodu Półwysep Antarktyczny, jest moim ostatnim spotkaniem z Antarktydą. Próbowałam dać sobie drugą szansę i po raz wtóry doświadczyć życia na kontynencie, który przez lata nie pozwala swoim akolitom wyzwolić się spod jego uroku. Hipnotyzuje ich migotliwy, wewnętrzny horyzont, którego istnienia nie byli świadomi. Spieszno nam było na Falklandy, nie było więc mowy o trasie widokowej. Na niektóre ścieżki nie należy wkraczać ponownie. Tego ranka na „Shackletonie” nie wiedziałam jeszcze, że za mniej niż dwa lata będę próbowała

wrócić, ale los, wiedząc, że moja misja tutaj jest już zakończona, zniweczy moje starania. Nie wrócę tu już nigdy.

Całymi latami śniła mi się Antarktyda. W jednym ze snów lecę do odległej kolonii złożonej z drewnianych domów i świerków. Po zniszczonych drogach jeżdżą tu auta z lat osiemdziesiątych. Wszystko wygląda tak, jak w mieście, w którym mieszkałam w czasach licealnych. Antarktyda stała się państwem, pojawiły się tu takie osady, a to jałowe miasto stanie się moim domem i więzieniem. Raz w roku lata tu samolot linii Continental z Houston.

W innym śnie twin ottery i dash 7 są zaparkowane we wnętrzu góry lodowej zamiast w hangarze. Do wnętrza góry prowadzą ukryte drzwi. Żeby je otworzyć, trzeba znać szyfr. Wciskam kombinację cyfr i widzę je znowu, w blasku reflektorów lśnią niczym odpoczywające smoki. W jeszcze innym góry lodowe zagrażają Falklandom dużo bardziej skutecznie niż rząd Argentyny. Rozbijają się o brzegi, zatapiając wyspy w tsunami tworzonym przez topiący się lód.

W końcu Antarktyda wypuściła z objęć moją podświadomość. Sny się urwały, poza jednym.

Lecę z Tomem na Lodowiec Szelfowy Ronne, na Bluefields.

– Nie wiem, kto wymyślił tę nazwę – mówi, a usta krzywią mu się z charakterystyczną dezaprobatą. Wiem, o co mu chodzi. Pomimo uroczej nazwy, Pola Błękitu, tak jak wiele innych miejsc na Antarktydzie, nie są niczym więcej niż współrzędnymi GPS. Stoi tam kilka beczek po paliwie, chybocą się wiszące na bambusowych kołkach chorągiewki, a ich czerwone trójkąty szarpie wiatr katabatyczny. Nie ma błękitu, nie będzie żadnych pól.

Zbliżamy się do lodowca, kierując twin ottera w stronę zwiewnej jak muślinowa firanka zawiesziny kryształków lodu, unoszącej się na powierzchni Morza Weddella. Łądujemy, zatrzymujemy się z wdzięcznym poślizgiem na lodzie, który odbija światło jak chrom i ma jego konsystencję.

Wysiadamy. Stajemy obok małego, karminowego samolotu i patrzymy na horyzont. Lód morski. Pak lodowy. Krążki lodowe. Lśniący lód. Strome zejście do morza.

Wpatrujemy się w horyzont i szalone, niekończące się światło. Słońce świeci tak intensywnie, oddając swoje ciepło, że cały krajobraz zdaje się kołysać. Wpatrujemy się w białe połacie śniegu, tak pulsujące pustką i tak całkowicie pozbawione koloru, że przekraczają jakąś barierę i wydają się modre, granatowe, turmalinowe i turkusowe.

Po chwili Tom odrywa wzrok i nasze oczy spotykają się z mrugnięciem. We śnie nadal jesteście przyjaciółmi. Zdumieni, patrzymy na siebie. Mówimy to jednocześnie: „Pola błękitu”.

KRÓTKI SŁOWNICZEK POJĘĆ ANTARKTYCZNYCH

albedo – wielkość określająca zdolność danej powierzchni, w tym wypadku lodu, do odbijania światła słonecznego.

asystenci terenowi – alpinisci, którzy opiekują się naukowcami pracującymi w terenie i w bazie.

avtur – paliwo lotnicze; rodzaj nafty, wytrzymującej niskie temperatury.

bing-bong – powszechnie stosowana nazwa wewnętrznego systemu nagłośnieniowego w bazie.

bergschrand, szczelina brzeźna – szczelina, która powstaje wzdłuż granicy pola firnowego; poważna przeszkoda dla alpinistów.

col – przełęcz między dwiema górami, słowo to pochodzi od starofrancuskiego *col*, czyli szyja.

firn – forma przejściowa między śniegiem a lodem, występująca przede wszystkim w górnej części lodowca, gdzie jeszcze nie została skompresowana i przekształcona w lód.

gasz – dyżur porządkowy, codziennie pełniony przez inną osobę, zarówno w bazie, jak i na statku; termin morski.

HF/VHF – radio odbierające fale o wysokiej częstotliwości.

Iridium – model telefonu satelitarne.

jabłkowa chatka – chatka typu „jabłko”, czyli okrągła wersja chatki terenowej.

ludzkie żarcie – nazwa pochodząca od popularnego zwrotu „psie żarcie”, oznaczająca drewniane pudełka zawierające zapas suszonego i konserwowego jedzenia, który wystarczy dla dwóch osób na dziesięć dni.

melonowa chatka – chatka typu „melon”, podłużna chata z włókna szklanego używana w terenie.

met – meteorolog, który przygotowuje prognozy pogody na podstawie danych dostarczanych z Wielkiej Brytanii.

nory – pokoje mieszkalne w bazie, stoją w nich łóżka piętrowe.

nunatak – niepokryte lodem, pojedyncze wzgórze lub góra, wznoszące się ponad powierzchnię otaczającego go lądolodu.

odblask lodu – białe światło widoczne na horyzoncie, zwłaszcza na spodniej części niskich chmur, odbite od powierzchni lodu.

parhelion – jasne plamy na niebie, pojawiające się po obu stronach słońca, tworzone przez załamujące się w zawieszonych wysoko w atmosferze kryształkach lodu światło; inaczej nazywane słońcem pobocznym.

p-bag – torba z rzeczami osobistymi, zawierająca śpiwór, matę i baranią skórę, do użytku podczas prac w terenie.

punkt krytyczny zasięgu samolotu – miejsce, po przekroczeniu którego samolot nie będzie miał wystarczającej ilości paliwa na powrót do portu, z którego wystartował; oznacza to, że musi wylądować w miejscu, do którego zmierza.

RIB-y – pneumatyczne łodzie ze sztywnym dnem, hybryda łodzi z pontonem (po angielsku *Rigid-Hulled Inflatable Boats*).

serak – ostrokanciasta bryła lodowa, tworząca się na powierzchni lodowca.

sit rep – raport na temat bieżącej sytuacji w bazie, wygłaszany przez kierownika bazy raz w tygodniu podczas odprawy.

smoko – przedpołudniowa i popołudniowa przerwa na herbatę; termin morski.

sonda CTD – instrument stosowany w oceanografii, służy do pomiaru przewodności właściwej, temperatury i głębokości w kolumnie wody.

teren – wszystko poza bazą; praca „w terenie” oznacza mieszkanie w namiocie, chyba że pracujemy w dużym obozie terenowym; „głęboki teren” oznacza mieszkanie i pracę bardzo daleko od bazy.

toros – spiętrzony lód, zwał kry lodowej.

wiatr katabatyczny – wiatr spływający z pochyłości wzgórza, napędzany siłą grawitacji; powstaje wskutek ochładzania się powietrza nad wyżyną, górą, lodowcem, a nawet wzgórzem; najczęściej spotykany na Antarktydzie i Grenlandii.

zastrugi – bruzdy na powierzchni pokrywy śnieżnej utworzone przez wiatr.

zawiesina kryształków lodu – igiełki lub blaszki lodu unoszące się na wodzie.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka ma długą genezę. Miałam to szczęście, że podczas pracy nad nią otrzymałam kilka grantów i nagród. Następujące organizacje, instytucje i statki udzieliły mi szczerzej pomocy podczas zbierania materiałów i pisania *Dzienników lodu*, za co im serdecznie dziękuję: British Antarctic Survey, Arts Council England, Shackleton Scholarship Fund, Royal Literary Fund, Canada Council for the Arts, Natural Environment Research Council, Environment Institute przy University College London, A.W. Mellon Foundation w Republice Południowej Afryki, Galleri Svalbard na Spitsbergenie, oficerowie i załoga RRS „James Clark Ross”, zwłaszcza Jerry Burgan, i RRS „Ernest Shackleton”. Te organizacje wsparły mnie także podczas pisania trzech innych książek: *The Ice Diaries – Antarctic Work in Progress* (2006), *The Ice Lovers* (2009) i *Night Orders: Poems from Antarctica and the Arctic* (2011).

Chciałabym również podziękować przyjaciołom, którzy dotrzymywali mi towarzystwa na Antarktydzie, w Arktyce, w Londynie i w Norwich, podczas pracy nad tą książką. Są to: Layla Curtis, Gabriele Stowasser, Jerry Burgan, Silje Hørunges, Julia Bell i Rachel Sieder. Henry Sutton z University of East Anglia był moją podporą i wspierał mnie, był też wnikliwym czytelnikiem moich książek. Andrew McNaughton dał mi dach nad głową, stabilizację i wsparcie w tropikalnej Kenii, gdzie powstała znaczna część tej książki. Jak zwykle moje podziękowania należą się także Diego Ferrariemu – fotografowi, współpracownikowi, przyjacielowi i towarzyszowi podróży.

W książce zebrałam wiedzę zdobytą dzięki wielu naukowcom i pracownikom obsługi, z którymi rozmawiałam na Antarktydzie. Wśród nich byli eksperci British Antarctic Survey, Scott Polar Research Institute, Durham University, Cambridge University, Edinburgh University, University of Southampton i University of East Anglia. Szczególne podziękowania należą się Davidowi Waltonowi z British Antarctic Survey i Markowi Maslinowi, profesorowi klimatologii z University College London, za jego koleżeńskie wsparcie, za klarowność i zwięzłość jego prac na temat zmian klimatu.

Zbierając materiały do *Dzienników lodu*, przeczytałam wiele doskonałych książek dotyczących historii wypraw i regionów polarnych. Chciałabym wymienić te, których fragmenty pojawiają się w tekście: Eric G. Wilson *The Spiritual History of Ice: Romanticism, Science and the Imagination* (Nowy Jork, Palgrave Macmillan 2003), Stephen J. Pyne *The Ice* (Londyn, Weidenfeld & Nicolson 2003), Francis Spufford *I May Be Some Time* (Londyn, Faber and Faber 1996), Fridtjof Nansen *Farthest North* (Londyn, Constable 1897), Ernest Shackleton *Południe. Historia ekspedycji Ernesta Shackletona z lat 1914–1917*,

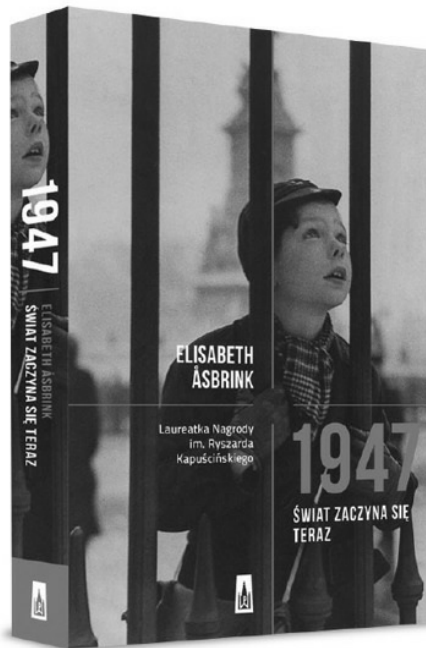
tłum. Grzegorz Górnicki (Wydawnictwo Anima ex Machina 2012). Terminy lodowe pojawiające się na początku każdego rozdziału można znaleźć na stronie World Marine Organization pod adresem aari.nw.ru/gdsidb/glossary/pl.htm.

Fragment tej książki został nagrodzony w konkursie na tekst non-fiction Prism International w 2012 roku. Dziękuję „Prism” za wieloletnie wsparcie. To jeden z najlepszych magazynów literackich w Ameryce Północnej, jestem wdzięczna, że moje prace mogły ukazać się na jego łamach.

Chciałabym podziękować mojej agentce, Veronique Baxter z David Higham Associates w Londynie, za jej rozsądne uwagi redakcyjne, upór i poświęcenie. Susan Renouf z ECW Press to najlepsza redaktorka, jaką można sobie wymarzyć – ma wiedzę, jest wnikliwa i kompetentna. Podziękowania należą się także pełnemu entuzjazmu i sprawnemu zespołowi ECW: Davidowi Caronowi, Jen Knoch za jej fantastyczną korektę, Erin Creasey i Crissy Calhoun. Natalie Olsen zaprojektowała elegancką okładkę, która doskonale przekazuje dualistyczną naturę lodu, jednocześnie spokojnego i groźnego. Wreszcie, następujące osoby pomogły mi w RPA, służąc wsparciem, poświęcając swój czas i zapewniając mi miejsce do pisania: świętej pamięci Stephen Watson, Steven i Denise Boers, A.W. Mellon Foundation, Pieter le Roux i Meg Vandermerwe. Dziękuję wam za przyjaźń i za udzielenie mi gościny w Kapsztadzie.

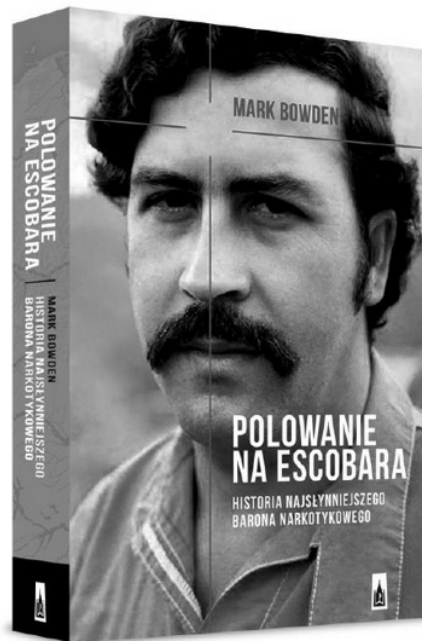
SERIA
REPORTERSKA
WYDAWNICTWA
POZNAŃSKIEGO

RZECZYWISTOŚĆ
WCIĄGA BARDZIEJ
NIŻ FIKCJA



Kiedy kończy się wojna? Gdy się to ogłosi, odbuduje domy, wyznaczy nowe granice, przestaje tęsknić za tym, który nigdy nie wróci, wypłucze się ostatni smutek? Åsbrink szuka końca i nowego początku. W 1947 roku nic się jeszcze nie zabiłiżniło, ziemia parowała od nadmiaru bólu i krwi przekraczającego jej dotychczasowe zdolności absorpcyjne. A równocześnie, bo obok każdej śmierci jest jakieś życie, nie było chwili wytchnienia: świat zaraz miał się nauczyć, że każde „nigdy więcej” będzie odtąd oznaczało niewiele ponad „następnym razem”.

Magdalena Kicińska

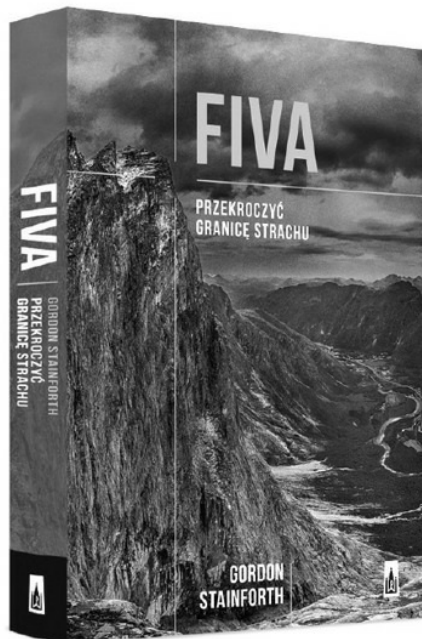


Prawdziwa historia budowania potęgi i spektakularnego upadku najśłynniejszego barona narkotykowego na świecie.

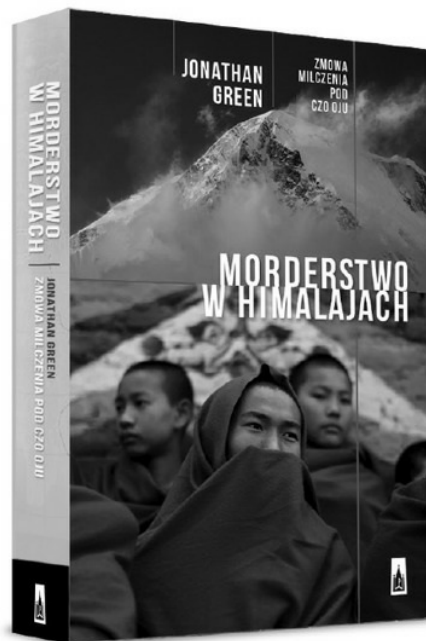
Pablo Escobar – jeden z najbogatszych kryminalistów w historii. U szczytu potęgi kontrolował 80% światowego rynku kokainy, dyktując warunki kolumbijskiej władzy i grając na nosie Stanom Zjednoczonym. Rozpętał terror zamachów i krwawą wojnę narkotykową. Jego sława wykroczyła daleko poza granice obu Ameryk. Bezwzględność, arogancja i wyrachowanie sprawiły, że imię Escobara do dziś owiane jest legendą, a jego biografia stała się podstawą popularnego serialu Narcos.

SERIA
REPORTERSKA
WYDAWNICTWA
POZNAŃSKIEGO

RZECZYWISTOŚĆ
WCIĄGA BARDZIEJ
NIŻ FIKCJA



Gdy w 1969 roku Gordon i John Stainforth postanowili wejść na norweską Ścianę Trolli, najwyższą pionową ścianę skalną w Europie, myśleli, że wspinaczka zajmie im jedno popołudnie. Obrona droga na szczyt – Fiva – pokazała im jednak, że góraska natura jest kapryśna, a ich umiejętności i sprzęt niewystarczające. Przygoda zamieniła się w trwającą ponad 50 godzin walkę o przeżycie. Odtworzona 40 lat po tych dramatycznych wydarzeniach relacja „z pierwszej ręki” oddaje intensywność doświadczenia i pozwala czytelnikowi zbliżyć się do granicy strachu, którą przekroczyli nastoletni bracia. Ludzka i bezkompromisowo szczerą opowieść nie tylko dla wspinaczy.



W podtytule tej szokującej książki Jonathana Greena brakuje słowa 'tchórzostwo'. Wybija się ono na pierwszy plan w jego opowieści o zabiciu siedemnastoletniej tybetańskiej mniszki. Kelasang Namtso. Najważniejsze w książce jest morderstwo na Kelsang oraz wszystko to, co z tego wyniknęło. Green, doświadczony dziennikarz, snuje barwną opowieść przykładając wagę do szczegółów. Książka potwierdza, że autor jest reporterem najwyższej klasy.

The Spectator